

Melinda Salisbury



Śpiący Książę

ZIELONA
SOWA

Śpiący książkę

Melinda Salisbury

Tłumaczenie: Jakub Chudy



Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Prolog

CZEŚĆ PIERWSZA

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

CZEŚĆ DRUGA

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Epilog

Podziękowania

O Autorce

Tytuł oryginału: THE SLEEPING PRINCE

Tłumaczenie: JAKUB CHUDY

Redaktor prowadzący: AGNIESZKA SKÓRZEWSKA-SKOWRON, NATALIA GALUCHOWSKA

Redakcja: AGNIESZKA SKÓRZEWSKA-SKOWRON

Korekta: NATALIA GALUCHOWSKA, MARZENA ZIELONKA, TERESA ZIELIŃSKA

Projekt okładki: MARTA ŻURAWSKA-ZARĘBA

Skład: BERNARD PTASZYŃSKI

Text Copyright © Melinda Salisbury, 2016

Cover illustrations © Rekha Garton, 2015

Map illustration © Maxime Plasse

Cover and map reproduced by permission of Scholastic Ltd

Copyright for this edition by Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o., Warszawa 2016

All rights reserved

Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów książki możliwe tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

Wszystkie postaci w książce są fikcyjne. jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych czy umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

ISBN 978-83-8073-056-4

Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.

Al. Jerozolimskie 96, 00-807 Warszawa

tel. 22 576 25 50, fax 22 576 25 51

e-mail: wydawnictwo@zielonasowa.pl

www.zielonasowa.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

Dla Jamesa Fielda.
Za, poza wszystkim innym,
zdobycie dla mnie biletów na premierę *Przeklętego Dziecka*.
Dziękuję Ci, Strdier.

Prolog



Stróż nocny na Wschodniej Bramie złapał się za szyję, w której nagle poczuł silne ukłucie. Gdy jego nogi odmówiły posłuszeństwa, a ciało stało się wiotkie, spojrzął na swoje palce, śliskie od krwi czerniejącej w przytłumionym blasku lampy oświetlającej bramę. Był martwy, zanim upadł na ziemię.

Golem przeszedł nad jego zwłokami.

Kolejny stróż odwrócił głowę, jego usta rozwarły się do krzyku, przekleństwa albo błagania o litość. Zamachnął się na stwora mieczem, jednak było już za późno. Srebrzysty błysk przeszył powietrze, a strażnik osunął się na ziemię. Jego krew zmieszała się z krwią martwego towarzysza.

Nieregularna, pusta przestrzeń, w której powinna znajdować się twarz golema, zwrócona była ku niebu, jakby w poszukiwaniu jakiegoś dźwięku lub zapachu. Golem przeszedł przez bramę, a jego zniekształcona głowa uderzyła o lampę, która, rozkołysana, rzuciła koszmarnie cienie na grubą, kamienną ścianę. Olej rozlał się i zadymił, płomień przygasł i zamigotał. Zostawiając za sobą krwawe odciski stóp, golem wszedł przez bramę do pogrążonego we śnie królewskiego miasta Lortune. Jedną ręką ciągnął za sobą maczugę tak długą, jak on sam, w drugiej trzymał wielki topór o podwójnym ostrzu.

Chwilę później z mroku wyłonił się kolejny golem z toporem i maczugą tkwiącymi w sękaty ch dłoniach. Jego broń nie zasmakowała jeszcze krwi.

Oba stworzenia kroczyły naprzód, powoli i nieustępliwie. Idąc, kołysały się rytmicznie na boki, bardziej przypominając statki na oceanie niż jakiegokolwiek istoty żyjące na lądzie.

Za nimi podążał Śpiący Książę.

W odróżnieniu od szkaradnych golemów, książę był piękny. Jego srebrnobiałe włosy odbijały

światło księżycyca i opadały na plecy niczym wodospad. Jego oczy, kiedy padło na nie światło rzucane przez lampę, wydawały się złote: jak monety, jak miód. Był wysoki, szczupły i poruszał się z gracją, która sprawiała, że każdy jego krok zdawał się być początkiem tańca. W dłoniach trzymał dwa płaskie miecze o wygiętych ostrzach i złotych rękojeściach, które zdobiły symbole pochodzące z martwego od wieków świata. Tej nocy nie miał jednak zamiaru ich użyć ani brukać się krwią. Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z jego planem, nie będzie musiał. Tym razem miecze miały tylko robić wrażenie, aby wszyscy, którzy nie śpią, mogli wyrzeć przez okno i zobaczyć go w całej okazałości, gdy będzie szedł przez ich miasto. Nieważne, czy będzie to starsza kobieta, której ból uniemożliwił odpoczynek, czy mały chłopiec, którego zbudził straszny sen. Chciał zostać zauważony, ale nie przez każdego. Jeszcze nie teraz. Chciał, żeby krążyły plotki o tym, jak wszedł do miasta, nie napotkawszy oporu, i zajął je. Jak najechał na miasto i zamek z pomocą jedynie dwóch golemów, nikogo przy tym nie zabijając – nie licząc tych, którym płacono za ochronę Lortune przed napaścią. Chciał, żeby mieszkańcy szeptali potajemnie o tym, jak wytwornie wyglądał, kiedy mijał ich domy. Chciał, żeby pamiętali, że mógł kazać zabić ich wszystkich we śnie, ale nie zrobił tego. Oszczędził ich, swoich poddanych.

Chciał, żeby jego nowi poddani mieli o nim dobre zdanie – przynajmniej za jakiś czas. Ojciec powiedział mu raz, że rządzić można na dwa sposoby: poprzez strach albo poprzez miłość. Nie mógł oczekiwać, że Lormeranie go pokochają, jeszcze nie teraz, ale mógł sprawić, że będą się go bali. Mógł to zrobić bez trudu.

Szedł za swymi golemami przez pogrążone w ciszy miasto, spoglądając z dezaprobatą na brudne chodniki i ulice, na plamy po nieczystościach wylewanych z okien na zewnątrz, na budynki stłoczone w cieniu zamku, ciasne i brudne, bardziej przypominające szopy niż domy bogatych kupców i rzemieślników w stolicy królestwa.

Gdy zaglądał do okien mijanych po drodze domów, na widok niewyszukanych mebli i ponurego wystroju wewnątrz na jego twarzy malował się niesmak. Spojrzał w górę, w kierunku zamku Lormere – solidnej, kwadratowej twierdzy pogrążonej w ciemności i we śnie, tak jak jej mieszkańcy. Zamek był brzydki jak reszta miasta, ale lepszy taki niż żaden...

Golemy po raz kolejny wykonały swoje zadanie na Wodnej Bramie, która była najsłabiej zabezpieczonym wejściem do zamku Lormere, mimo przydzielenia przez nowego króla dodatkowej straży. Osiem ciał – czterech uzbrojonych wartowników przy bramie i czterech na blankach muru obronnego – padło na ziemię, milknąc na zawsze. Tym razem Śpiący Książę zmuszony był włączyć się do walki, aby szybko ją zakończyć. Zaatakował ludzi przy bramie, podczas gdy jego potwory biły i rąbały łuczników dwadzieścia stóp wyżej, na murach. Strzały odbijały się od glinianej skóry golemów, które nawet jeśli zdawały sobie sprawę z tego, że ktoś do nich strzela, nie dały tego po sobie poznać. Masakrowały strażników, wgniatając ich czaszki w ziemię.

Na złotej tunice Śpiącego Księcia pojawiła się krew. Próbując ją zetrzeć, jeszcze bardziej rozmazał ją na aksamicie. Jego twarz pociemniała, a golemi w odpowiedzi zamachnęły się maczugami i tupnęły, ich ruchy zdradzały poruszenie. Książę przemknął obok nich i udał się ścieżką

biegnącą wśród budynków i ogrodów warzywnych w stronę górującego nad nimi zamku.

Nagle, niespodziewanie, nocną ciszę przerwał dźwięk rogu. Książę odwrócił się i pomknął w stronę Wodnej Bramy, golemi ociężale ruszyły za nim. Na ziemi leżał strażnik – był blady, ale nie martwy, jak mogło się początkowo wydawać. Dmuchał szaleńczo w róg, a jego oczy wychodziły na wierzch przy każdej próbie wydobycia dźwięku. Śpiący Książę wbił jeden ze swoich mieczy w klatkę piersiową mężczyzny, zatrzymując bicie jego serca oraz dźwięk rogu.

Było jednak za późno. Gdy spojrział w stronę zamku, zobaczył światła migoczące w oknach, które chwilę wcześniej były całkiem ciemne. Usłyszał dźwięki innych rogów podnoszących alarm i krzyki ludzi. Westchnął. Sięgnął do kieszeni, wyjął z niej arkusz pergaminu i rysik, napisał kilka słów, a następnie rozdarł papier na pół. Wskazał na golemi, które wyciągnęły w jego kierunku otwarte dłonie. Śpiący Książę umieścił na każdej oddarty kawałek pergaminu. Przez moment leżały na glinianej powierzchni, która chwilę później stała się płynna, wciągając pergamin w głąb, a następnie powróciła do swojej pierwotnej postaci. Krzyki stały się głośniejsze i bliższe, a w ciemnościach nocy rozległ się świst strzał.

Śpiący Książę westchnął. Wraz ze swoimi golemami ruszył w ciszy w stronę dobiegających go hałasów. Przeciął powietrze mieczem i uśmiechnął się.

W Wielkiej Sali zamku stał król Lormere. Ubrany był w jasnokremowe bryczesy, bufiastą białą koszulę i nierówno zawiązane wysokie buty. Z niepokojem przyglądał się Śpiącemu Księciu, który również lustrował swojego przeciwnika, przechylając głowę z zaciekawieniem. Strój księcia był teraz podarty i przesiąknięty czerwienią, jego piękne włosy pozlepiła zakrzepła posoka. Oczy, płonące w zbroczonej krwi twarzy, skupione były na królu. Za nim leżały stosy ciał. Żołnierze, strażnicy i nierozważni służący, którzy próbowali bronić swojego króla, rozrzucony byli po kamiennej posadzce jak zepsute zabawki. Makabryczna, usłana trupami ścieżka wiodła od Wodnej Bramy, poprzez ogrody i korytarze, aż tutaj, do miejsca, w którym bitwa miała osiągnąć swój szczyt.

Po drugiej stronie Wielkiej Sali, w pobliżu drzwi prowadzących do królewskiej Sali Słonecznej, leżał w bezruchu jeden z golemów. Fartowne uderzenie jednego ze strażników pozbawiło go ramienia, osłabiając alchemiczną kontrolę nad golemem. Dzięki temu kolejny strażnik miał szansę na pozbawienie go głowy. Upadając, zmiażdżył on swego pogromcę w ostatecznym, ironicznym akcie zemsty. Drugi golem stał w drzwiach do Wielkiej Sali, czekając na pozostałych strażników, którzy jeszcze nie brali udziału w starciu.

Nikt się nie zjawił.

Król trzymał coś w dłoniach: metalowy dysk na łańcuchu, który unosił przed sobą niczym prezent dla Śpiącego Księcia. Śpiący Książę uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Gdybyśmy tylko porozmawiali – powiedział nagle król. Jego twarz, otoczona burzą czarnych loków, była blada.

– Nie będziemy rozmawiać, Mereku z Lormere – powiedział Śpiący Książę miękko, spokojnym głosem, który kontrastował z jego uśmiechem szaleńca. – Twój ludzkie nie żyją. Twój zamek

i królestwo należą do mnie. Jedyne słowa, jakie chcę teraz od ciebie usłyszeć, to błaganie o litość.

Ciemne oczy Mereka błysnęły.

– Nie usłyszysz ich, zapewniam cię – odrzekł. – Nie umrę, żebrząc. – Po czym rzucił się do przodu.

Śpiący Książę uchylił się i uniósł jeden z mieczy, wykonał nim w powietrzu łuk i zatopił w nieosłoniętej piersi nowego lormerańskiego króla.

Zaskoczony Merek jęknął cicho, spoglądając na Śpiącego Księcia z dziecięcym wręcz niedowierzaniem. Jego powieki opadły i osunął się na ziemię. Śpiący Książę przyglądał mu się z nieodgadniętym wyrazem twarzy.

Przestąpił ponad ciałem króla i przeszedł przez salę, wchodząc schodami na podwyższenie. Za długim drewnianym stołem znajdowała się pieczęć Domu Belmis – tarcza ozdobiona trzema złotymi słońcami i trzema srebrnymi księżycami na krwistoczerwonym tle. Książę prychnął z obrzydzeniem, zdarł ją ze ściany i rzucił na podłogę, po czym przeszedł nad nią i skierował się w stronę wysokiego, rzeźbionego krzesła pośrodku stołu. Osunąwszy się na nie, przeciągnął palcem po zdobieniach, a jego usta ponownie się skrzywiły. Tanie, chłopskie rzemiosło. Zasługiwał na coś lepszego.

A teraz, kiedy Lormere należy do niego, zdobędzie to.

Część pierwsza

Rozdział 1



Podchodząc, skupiam wzrok na drzwiach przede mną, nie patrzę na strażników stojących po obu stronach. Staram się wyglądać na znudzoną, lekko nieobecną. Nie ma tu nic do oglądania, nic wartego uwagi. Po prostu kolejny wieśniak idący na zgromadzenie. Na szczęście żaden z nich nawet na mnie nie patrzy, kiedy wchodzę do podupadłego Domu Sprawiedliwości. Mijając strażników, powoli wypuszczam powietrze z płuc, a napięcie nieco ustępuje.

Wewnątrz wcale nie jest cieplej. Mocniej okrywam się płaszczem i idę w stronę sali, w której Chanse Unwin, samozwańczy Sędzia Almwyk, ma przekazać nam najnowsze wieści od Rady Tregellanu. Woda spływa po moich włosach i nosie. Przyglądam się rzędom drewnianych ławek i krzeseł ustawionych przodem do podium. Miejsc jest znacznie więcej niż mieszkańców wsi, którzy mają w nich zasiąść. Smród panujący w sali wykrzywia mi twarz. Mimo że jest nas niewielu, niedomyte ciała, mokra wełna, metal i strach – wszystko to tworzy gęstą woń stęchlizny. Tak właśnie pachnie rozpacz.

Ci z nas, którzy nadal próbują tu żyć, są mokrzy i drżą z zimna. Przejmujący chłód i jesienny deszcz przeniknęły przez nasze cienkie, wytarte ubrania i wdarły się w głąb naszych ciał, gdzie pozostaną przez całą zimę. Stojącym w równych szeregach pod ścianami żołnierzom jest jednak całkiem sucho i ciepło w grubych, zielonych, wełnianych tunikach i solidnych, skórzanych bryczesach. Ich czujne spojrzenia stale przeczesują salę.

Za sobą słyszę szamotaninę. Odwracam się i widzę żołnierzy zatrzymujących mężczyznę idącego zaraz za mną i przyciskających go do ściany. Przeszukują go, sprawdzają jego płaszcz i kaptur, a później puszczają wolno. Odwracając się, czuję na twarzy uderzenie gorąca. Udaję, że nic nie widziałam.

Pochylona przemykam wzdłuż tylnego rzędu i zajmuję miejsce w ławce dobre sześć stóp od najbliższej mi osoby. Kobieta burczy coś pod nosem. Trudno stwierdzić, czy to powitanie, czy raczej ostrzeżenie. Jej ręka unosi się i dotyka amuletu wiszącego na skórzanym rzemieniu na jej szyi. Spoglądam na amulet kątem oka. Przyglądam się złotemu dyskowi błyszczącemu w jej poskręcanych palcach, zanim schowa go pod płaszczem. Wiem, co to jest, ale wątpię, czy to prawdziwe złoto. Gdyby to było prawdziwe złoto, już dawno ktoś zdarłby jej ten amulet z szyi. Bogowie, gdyby to było prawdziwe złoto, sama bym to zrobiła. Gdyby to było złoto, amulet przynajmniej byłby coś wart.

Mój przyjaciel Silas roześmiał się, gdy powiedziałam mu, że wieśniacy noszą amulety mające chronić ich przed Śpiącym Księciem. Śmiałam się razem z nim, ale tak naprawdę uważałam, że w takich okolicznościach wiara w magię wcale nie jest taka dziwna. Półksiężycy z soli i chleba zawieszane na prawie wszystkich drzwiach i oknach we wsi, medaliony z trzema złotymi gwiazdami schowane za kołnierzem. Śpiący Książę to postać magiczna, rodem z mitów i przesądów. Jestem w stanie zrozumieć, dlaczego wydaje się naturalne przeciwstawianie mu magii, mitów i przesądów. Jednak w głębi duszy wiem, że żadna ilość tanich cynowych wisiorów nie powstrzyma go przed przybyciem, jeśli taka będzie jego wola. Jeżeli zapragnie zająć Tregellan, nie powstrzymają go żadne obsypane solą progi, jagody ostrokrzewu czy dębowe gałązki zawieszane na drzwiach i oknach. Jeśli nie mógł go powstrzymać zamek pełen strażników, to raczej nie da mu rady metalowy krążek czy kawałek krzaka.

Przed jego powrotem prawie nikt w Tregellanie nie uwierzyłby w coś tak nieracjonalnego, to nie po tregellańsku. Od czasu do czasu trafia się jakiś oszołom, który wierzy w Dąb czy Ostrokrzew i maluje sobie twarz i tyłek na czerwono sokiem z jagód w każde przesilenie, ale nie tak żyje większość z nas. Nie jesteśmy Lormeranami, z ich świątyniami, żyjącymi boginiami i dziwaczną rodziną królewską. Jesteśmy ludźmi nauki, rozumu. Przynajmniej tak nam się wydawało. Raczej trudno jest pozostać wiernym rozumowi, kiedy bajka sprzed pięciuset lat okazuje się prawdą, a potem niszczy zamek i zabija ludzi w sąsiednim kraju.

„Bądź grzeczną dziewczynką albo przyjdzie Nosiciel, a wtedy Śpiący Książę zje twoje serce” – tak mówiono dziewczynkom w Tremayne. Śpiący Książę był potworem z bajki, historyjką, która miała sprawić, że będziemy posłuszne. Opowieścią przestrzegającą przed chciwością i autokracją. Nigdy nie śniło się nam, że w końcu się obudzi. Zapomnieliśmy, że jest prawdziwy.

Odwracam się od kobiety i staram się przypomnieć sobie, kto jeszcze pozostał w Almwyk. Przypadkowo napotykam wzrok jednego z żołnierzy, który kiwa do mnie głową, wzmagając jeszcze stale towarzyszące mi uczucie ucisku w klatce piersiowej. Odpowiadam lekkim skinieniem i unikam kontaktu wzrokowego, staram się zachować spokój. Powstrzymuję się od dotknięcia kieszeni, aby sprawdzić, czy fiolka nadal w niej jest.

Kompletnie nie nadaję się na przemytnika narkotyków. Idąc tutaj, przynajmniej sześć razy sprawdzałam, czy nadal mam fiolkę, mimo że nie spotkałam nikogo, a już na pewno nikt nie podszedł do mnie na tyle blisko, aby wyjąć mi coś z kieszeni. Mimo wszystko w Almwyk trzeba mieć się na baczności.

Almwyk to nie wioska, gdzie utrzymuje się dobre relacje z sąsiadami. W miejscu takim jak to,

prosząc o pomoc czy okazując słabości, można co najwyżej zostać wyśmianym. W najgorszym wypadku, jeśli trafi się na niewłaściwą osobę i niewłaściwy moment, można dostać nożem pod żebro. Przed przybyciem żołnierzy często zdarzało się, że ktoś porzucał w lesie zwłoki lub je stamtąd przynosił. Nikogo to nie interesowało. Tutaj człowiek szybko uczy się przymykać oko na takie rzeczy.

Zaniedbane chałupy, z których zbudowane jest Almwyk, zamieszkane są przez ludzi zdesperowanych i wyklętych: ludzi, którzy stracili swój dom i swoje dotychczasowe życie w innych regionach Tregellanu za przestępstwa, do których popełnienia za nic się nie przyznają. Ludzie często mawiają, że w najtrudniejszych czasach, takich jak wojna czy zaraza, społeczności jednoczą się i wzajemnie wspierają. Nie w Almwyk. Gdy zbliżała się wojna, chałupy stopniowo pustoszały, a ci, którzy pozostali, plądrowali je w poszukiwaniu czegokolwiek, co mogłoby im się przydać. To tylko kwestia czasu, kiedy obecność mieszkańców przestanie być przeszkodą dla szabrowników. Instynkt gromadzenia wszystkiego, co może ułatwić przetrwanie, stanie się w końcu silniejszy niż zwykła ludzka życzliwość. Nawet teraz rozglądam się po pomieszczeniu, sprawdzając, kto pozostał i kto może stanowić zagrożenie.

Często umilam sobie czas, próbując zgadnąć, jakie zbrodnie popełnili ci, którzy nadal tu są. Najgorsi przestępcy, mordercy i tym podobni zniknęli, gdy tylko zjawili się żołnierze, pozostały więc jedynie zwykłe męty: dłużnicy, pijacy, narkomani, szulerzy i kłamcy. Biedacy i nieszczęśnicy. Ci, którzy nie odchodzą, bo nie mają dokąd.

To nie jest miejsce, gdzie przychodzi się, by zamieszkać. To miejsce, gdzie przychodzi się zgnić.

Zaciskam pięści pod znoszonym płaszczem i przyglądam się swojemu marznącemu oddechowi, zanim się rozwieje i połączy z oddechami innych, zwiększając tylko wilgoć panującą w sali. Grube szyby w oknach pokryte są parą. Nie znoszę tego wrażenia, że oddycham oddechami innych. Nie znoszę świadomości, że w dzisiejszych czasach nawet powietrze jest używane, kradzione. I tak ledwie mogę oddychać.

Gdy wszyscy, którzy mieli przybyć, są już na miejscu, rozsiani jak resztki rodzynek w smutnym puddingu śliwkowym, do sali wchodzi Chanse Unwin, prawdopodobnie najbardziej groteskowy przypadek w królestwie, jeśli chodzi o Sędziów. Pierś ma wypiętą i przygląda się twarzom zebranych. Kiedy jego spojrzenie pada na mnie, posyła mi lekki powitalny uśmiech. Moja skóra cierpnie, gdy uśmiech zmienia się w grymas zaniepokojenia albo jego karykaturę. Unwin wygląda na tak spoconego, że jego zmarszczone brwi zdają się niemal spływać mu z twarzy.

Po jego obu stronach stoją ubrani na zielono żołnierze o ponurych twarzach, którzy wcześniej pilnowali drzwi na zewnątrz. Co zaskakujące, dołącza do nich również kapitan, którego pękaty tułów opasany jest czerwoną szarfą. Za nimi wchodzi kolejnych sześciu żołnierzy i staje wzdłuż ścian. W pomieszczeniu słychać szmery, a atmosfera gęstnieje jeszcze bardziej.

Natychmiast siadam prosto i staję się uważna niczym zając. Wszyscy siedzący wokół mnie robią to samo, nawet kobieta, która burknęła na mnie, kiedy siadałam, przestaje garbić się jak wiedźma i spogląda groźnie na Unwina. Sięgając za pas w poszukiwaniu noża, widzę wokół wiele innych dłoni wędrujących ku butom lub za pazuchę. Każdy upewnia się, że jest uzbrojony.

Czegokolwiek ma dotyczyć to spotkanie, Unwin na pewno jest przekonany, że wieści zostaną źle przyjęte. Serce podchodzi mi do gardła, bo w tej chwili tylko jedna informacja mogłaby wywołać bunt. Z trudem chwytałem powietrze jeszcze bardziej gęstnieje mi w gardle.

Chase Unwin raz jeszcze rozgląda się po pomieszczeniu, ogarniając wzrokiem wszystkich zebranych, a następnie składa dłonie.

– Mam wieści od Rady w Tressalyn – mówi z namaszczaniem i satysfakcją. – Nie są one dobre. Trzy noce temu golem Śpiącego Księcia zaatakowały lormerańskie miasto Haga. Zniszczyły dwie tamtejsze świątynie. Również tym razem nikt nie przeżył. Zamordowały każdego, kto nie chciał pokłonić się Księżciu, czyli około czterystu osób. Atak ten nastąpił po splądrowaniu świątyń w Monkham i Lortune. Armia Księcia znajduje się teraz mniej niż pięćdziesiąt mil od naszej granicy z Lormere. Na podstawie jego poprzednich posunięć Rada uważa, że następne zaatakowane zostanie Chargate.

Na te słowa wszyscy odwracają się do swoich sąsiadów pełni niepokoju. Szepczą między sobą, a drobne lokalne sprzeczki i trwające od pokoleń rodzinne animozje odchodzą w niepamięć. Ja nie patrzę na nikogo. Zamiast tego zaciskam palce na rękojeści mojego noża i biorę głęboki oddech. Chargate jest po drugiej stronie lasu, to lormerański odpowiednik Almwyk. Znaczyłoby to, że golem są zaledwie kilka godzin drogi od nas.

Unwin chrząka, a szepty ustają.

– Rada oznajmia, że podjęte przez nią próby negocjacji ze Śpiącym Księżciem zakończyły się niepowodzeniem. Odmówił on kategorycznie podpisania traktatu pokojowego z Tregellanem. Nie zaprzeczył też, że planuje inwazję. – Rzuca spojrzenie kapitanowi, który uśmiecha się złośliwie i spogląda na jednego ze swoich żołnierzy.

Zastanawiam się, ile Unwin tak naprawdę wie, a ile tylko kazano mu przekazać.

– Z tego powodu – mówi dalej Unwin – Rada odbyła posiedzenie nadzwyczajne i jednogłośnie stwierdziła, że jest zmuszona do ogłoszenia w Tregellanie stanu wojny.

Tu robi dramatyczną pauzę, jakby oczekując, że będziemy protestować. My jednak się nie odzywamy, siedzimy w ciszy z kamiennymi twarzami, powstrzymując swoje reakcje do momentu, aż dotrze do sedna, do czegoś, co nas dotyczy. Czekamy, aż uzasadni obecność piętnastu nowo powołanych żołnierzy tregellańskiej armii w pomieszczeniu, w którym jest nas nieznacznie więcej.

Unwin, zdawszy sobie z tego sprawę, kontynuuje.

– Wczorajszej nocy tregellańska armia zamknęła granicę od rzeki Aurmere do klifów Tressamere, włączając Lasy Wschodnie. – Robi kolejną pauzę, a cały świat kurczy się do tej sali, do tych słów. „Nie mów tego”. Skupiam się, jak tylko mogę. „Nie mów tego”. – Od tego momentu wszelki ruch i handel między tym miejscem a Lormere jest zabroniony. Granica jest zamknięta. Każdy, kogo złapiemy na próbie jej przekroczenia, zostanie zabity na miejscu.

Wszyscy zebrani naraz biorą oddech, wdychając całe powietrze z sali.

– Biorąc pod uwagę jej strategiczne położenie, wieś zostanie zamieniona w koszary i bazę operacyjną dla garnizonu broniącego granicy. Almwyk zostanie ewakuowane. Natychmiast.

„Nie”. Mija ułamek sekundy, w którym mózgi zgromadzonych przetwarzają usłyszaną informację. Potem rozpętuje się piekło.

Rozdział 2



O spotkaniu dowiedziałam się, gdy Chanse Unwin zapukał do moich drzwi dzisiejszego ranka, zanim wzeszło słońce. W końcu udało mi się zasnąć jakąś godzinę lub dwie przed świtem. Znow śniłam o tym mężczyźnie. Tym razem staliśmy na moście nad rzeką, w pobliżu mojego starego domu w Tremayne. Było lato, srebrne ryby przemykały w czystej wodzie, a słońce prażyło, grzejąc mnie w głowę. Byłam ubrana w mój stary strój uczennicy. Sukienka – niebieska i czysta, liczne kieszenie fartucha pełne były małych fiolek, roślin i proszków. Czułam ich zapach. Ziołowa, ostra woń rozmarynu, kory wierzbowej i sosny: zapachy oznaczające dom i wiedzę, pracę i szczęście. Słuchając jego głosu, sięgnęłam do jednej z kieszeni i pozwoliłam palcom wędrować między suszonymi liśćmi.

Był wysoki i szczupły. Mimo ładnej pogody miał na sobie płaszcz z kapturem. Gdy mówił, pochylał się w moją stronę. Opowiadał historię, tworząc krąg złożony tylko z nas, a pełne wdzięku gesty jego dłoni dopełniały opowieść. Jego słowa ulatywały natychmiast, jak często ma to miejsce w snach, ale uczucia, które przywoływały, trwały nadal. Wiedziałam, że jego słowa miały wywołać we mnie śmiech, prawdziwy i głęboki, przez który od nadmiaru radości aż boli brzuch. Uśmiechnął się na widok mojego zachwyty, co uczyniło tę chwilę jeszcze słodsza.

Kiedy w końcu przestałam się śmiać, odwróciłam się do niego i zobaczyłam, że szuka czegoś w płaszczu. Wyjął małą lalkę i przesunął w moją stronę po jednym z kamieni, z których zbudowany był most. Wyciągnęłam rękę i podniosłam ją, muskając palcami jego palce. Usłyszałam, jak wstrzymuje oddech, co wywołało we mnie dziwne uczucie.

– Co to? – zapytałam, spoglądając na malutką figurkę.

– To ty – odpowiedział. – Lubię nosić cię ze sobą. Lubię być blisko ciebie. Czuwać nad tobą.

Wtedy zabrał lalkę z mojej dłoni i starannie umieścił w fałdach swojego płaszcza. Przyglądałam się temu, a serce łomotało mi w piersi. Nie widziałam jego twarzy, ale czułam, że na mnie patrzy. Zarumieniłam się, a on, dostrzegając to, uśmiechnął się lekko, rozchylił usta i zwilżył wargi językiem.

Gdy zbliżył się do mnie jeszcze bardziej, moje serce zaczęło bić coraz głośniejsze, a wtedy nagle jego odgłos stał się uporczywym waleniem w moje frontowe drzwi. Zostałam wyrwana z letniego snu, a w drewniane okiennice stukały krople deszczu. Ból w moim brzuchu nie był powodowany śmiechem, lecz głodem, a sen uleciał jak pajęczyna na wietrze. Odczuwałam jednocześnie przejmujący smutek i ulgę. Rozmyślanie o słońcu Tremayne w Almwyk w czasie zimy powodowało zarazem radość i żal.

Przeciągnąwszy się mocno, wstałam z leżącego na ziemi siennika, owinęłam się kocem, jakby to był płaszcz i nagle i z głuchym trzaskiem uderzyłam się w kolano o nogę od stołu tak mocno, że aż pociemniało mi w oczach. Skorzystałam z tego, że właściwie nikt mnie nie słyszy i zakląłam siarczyście. Uderzenia w drzwi nie ustawały, były rytmiczne jak puls.

Kiedy otworzyłam drzwi, stał za nimi Chanse Unwin – blady, jego mięsiste wargi ułożone były w szeroki uśmiech, kiedy przyglądał mi się od góry do dołu. Przeszły mnie ciarki, gdy wodził oczami po moim okrytym kocem ciele.

– Errin, witam. Obudziłem cię?

– Oczywiście, że nie, panie Unwin. – Wyszczrzyłam zęby, siląc się na uśmiech.

On uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Świetnie, świetnie. Nie chciałbym ci przeszkadzać. Czy mogę rozmawiać z twoją matką?

– Niestety, nie ma jej.

Spojrzał mi przez ramię, jakby myślał, że zobaczy moją matkę chowającą się przed nim.

– Nie ma jej? – powtórzył, wskazując głową słońce prześwitujące przez drzewa Wschodniego Lasu. – Przecież zakaz wychodzenia dopiero się skończył. Na pewno zobaczyłbym ją, gdyby właśnie wyszła.

– Nie wiem, jak to możliwe, że się pan z nią minął – odrzekłam uprzejmie. – Wyszła chwilę przed tym, jak zapukał pan do drzwi. Przez moment nawet myślałam, że to ona puka, bo czegoś zapomniała.

– To wyjaśnia, dlaczego nie jesteś ubrana. – Uśmiechnął się lubieżnie i wykorzystał okazję, aby jeszcze raz przyjrzeć mi się od stóp do głów.

Owinęłam się ciasniej moim płaszczem z koca. Słyszałam wystarczająco dużo plotek przy studni, żeby wiedzieć, że Unwin mieszka w Almwyk od ponad dwudziestu lat. Mimo otaczającej go aury dostojności, mówi się, że znalazł się tutaj z tego samego powodu co wszyscy – nie miał innej możliwości i nie był mile widziany gdzie indziej. Mówi się, że stworzył Almwyk z ruin starej królewskiej wioski łowieckiej i zajął się jej nadzorem, najpierw jako ośrodka czarnorynkowego handlu, a następnie jako osady, żeby trochę na tym zarobić. Kiedy zjawili się urzędnicy, żeby zbadać sprawę, udawał skruszonego najlepiej jak umiał, w zamian za parę groszy oferując potrzebującym schronienie i utrzymując ich w ryzach. Sędzia Almwyk.

– Dziwi mnie, że w ogóle otworzyłaś drzwi. To mógł być każdy. Żyjemy w ciężkich czasach, ludzie nie mają nic do stracenia... Żołnierze są daleko od swoich domów, swoich żon. Uchodźcy nie pogardzą niczym, co wpadnie im w ręce.

Nic nie odpowiedziałam. Nie mogłam. Ale moja twarz pewnie mówiła wszystko to, czego nie odważyłam się powiedzieć na głos.

– Teraz możesz współczuć tym ludziom, ale gdy będą zmarznięci, głodni i nastanie noc... – Unwin pochylił się w moją stronę. – Nikt cię nie obroni. – Spojrzał w górę, na puste nadproże drzwi, po czym wyjął z kieszeni kilka jagód i złoty dysk, a następnie wyciągnął rękę w moją stronę. – Przeciwno śmiertelnikom albo Śpiącemu Księżciu.

Byłam pewna, że Unwin nie wierzy w moc talizmanów i amuletów bardziej niż ja, ale zachowałam to dla siebie.

– To bardzo miłe, ale nie chciałabym pozbawiać pana ochrony.

– Chętnie wszedłbym do środka i poczekał na twoją matkę. W ten sposób moglibyśmy obydwójce skorzystać z zapewnianej przeze mnie ochrony.

Musiałam bardzo się postarać, żeby odpowiedzieć uprzejmie.

– Dziękuję bardzo za tak szczerą ofertę, ale nie chcę zabierać pańskiego cennego czasu. Poza tym mam jeszcze kilka spraw do załatwienia dzisiejszego ranka. Właściwie to muszę zaraz wychodzić. Do widzenia. – Już zaczęłam zamykać drzwi, ale Unwin wetknął stopę w szczelinę.

Oczy zwęziły mu się jeszcze bardziej, aż stały się jedynie wąskimi szparkami nad jego czerwonymi policzkami. Schował swój amulet.

– Wszystko w porządku? – zapytał powoli. – Nie słyszałaś może czegoś na temat swojego brata? Wiesz, że możesz mi zaufać. Jestem twoim przyjacielem. Twojej matki również. Chętnie pomogę, wystarczy poprosić.

– Wszystko w porządku, panie Unwin. W najlepszym porządku. Moja matka jest po prostu bardzo zajęta, nic więcej.

– Najwyraźniej. Nie widziałem jej przynajmniej od kilku tygodni. Może miesięcy. Jestem jednak pewien, że chętnie przyjdzie na dzisiejsze spotkanie.

Z przerażenia aż ścisnęło mnie w żołądku.

– Spotkanie?

Teatralnie uderzył się dłonią w czoło.

– Nic jeszcze nie mówiłem? Cóż, rozpraszasz mnie! Dotarły do mnie wieści od Rady w Tressalyn. Wysłali posłańca z ważnym obwieszczeniem. Najszybciej jak mogę staram się wezwać wszystkich do Domu Sprawiedliwości, aby mogli go wysłuchać.

– W takim razie nie będę pana dłużej zatrzymywać.

Jego twarz skrzywiła się w grymasie irytacji, a ja wiedziałam, że posunęłam się za daleko. Nigdy nie byłam dobra w trzymaniu języka za zębami. Jednak Unwin szybko odzyskał równowagę. Popękane żyłki na jego policzkach poruszały się, gdy próbował znów ułożyć usta w uśmiech.

– Jesteś bardzo miła i aż nazbyt zapobiegliwa. To rzadkie cechy u młodej kobiety. Nie każdemu może się to podobać. Ja to jednak podziwiam. Twoja bezpośredniość jest urocza. Jestem pewien, że te same cechy doceniasz także w innych, więc nie będę dłużej owijał w bawełnę ani obrażał cię półsłówkami. Przyszedłem także po czynsz. Wciąż jesteście mi winne dwa floreny za ostatni miesiąc. Pomyślałem, że nie będę was fatygował, ponieważ i tak mam wieści do przekazania.

– Oczywiście – odpowiedziałam. – Nie zapomniałam. Tak się składa, teraz sobie przypominam, że właśnie w tej sprawie moja matka wyszła tak wcześnie. Chyba zaszło niewielkie nieporozumienie.

– Obawiam się, że tak – odpowiedział ponuro. – Mam jednak nadzieję, że zobaczę was obie na spotkaniu i po wszystkim dacie mi zaległe cztery floreny.

– Cztery floreny? Czynsz to przecież dwa.

– Odsetki, Errin. Niestety, musiałem pożyczyć pieniądze, żeby pokryć waszą zaległą płatność. Wiesz, mam swoje zobowiązania. Dlatego tym razem będę musiał policzyć wam trochę więcej. Zakładam, że to rozumiesz. Niewielu właścicieli pozwoliłoby najemcy na mieszkanie bez płacenia czynszu. Ale, jak już powiedziałem, jestem waszym przyjacielem. – Jego uśmiech aż ociekał tryumfem. – Chcę tylko wam pomóc.

Byłam wściekła. Kłamał i bezczelnie wykorzystywał trudną sytuację, w której z własnej winy się znalazłam. Wiedział, że ledwie stać mnie na zapłatę dwóch florenów, które jestem mu winna.

– Nie będzie to problemem, prawda? Jeżeli będzie, możemy o tym porozmawiać. Możemy ponegocjować. – Obliznął wargi, a ja natychmiast poczułam ulgę, że nic tego dnia nie jadłam.

– Nie ma takiej potrzeby, panie Unwin. Jestem pewna, że moja matka ma wszystko pod kontrolą.

Uśmiech Unwina osłabł, a na jego twarzy pojawił się złowrogi grymas.

– Spotkanie rozpoczyna się punktualnie o trzeciej. Do zobaczenia. – Kłaniając się, sięgnął po moją rękę i przyciągnął ją do swoich ust.

Potem raz jeszcze omiół wzrokiem moje ciało i odwrócił się, a ja zamknęłam drzwi. Opierając się na nich, słuchałam, jak się oddala. Nie byłam w stanie powstrzymać dreszczy.

Cztery floreny. Jeden wciąż jest schowany w garnku. Ostatnie oszczędności na nagłe wypadki. „Chwała Ostrokrzewowi za Silasa” – przypominałam sobie. Będę musiała odszukać go przed spotkaniem. Przy odrobinie szczęścia będzie miał dla mnie kolejne zlecenie i może zapłaci z góry.

Tymczasowe uczucie ulgi zostało przerwane przez kolejne walenie do drzwi. Tym razem do drugich. Tych prowadzących do sypialni.

Kiedy otworzyłam drzwi do sypialni, przedmiot rzucony w moim kierunku z ciemnego pokoju omal nie trafił mnie w głowę. Pochyliłam się, ale niewystarczająco szybko. Emaliowany nocnik uderzył mnie w ramię, a mocz rozlał się na koc, którym byłam owinięta, przesiąkając w głąb tuniki. Moja matka kuciała na łóżku, szczerząc zęby i szykując się do skoku na mnie. Jej oczy były dzikie i podbiegłe krwią.

– Mamo? – powiedziałam cicho.

Ledwie zdążyłam zamknąć drzwi. Gdy tylko usłyszałam szcęk zamka, uderzyła w nie od

wewnątrz. Oparłam się o drzwi, gdy zaczęła w nie walić. Potem drząc, weszłam do kuchni.

Zbyt blisko.

Przed powrotem do matki poczekałam, aż słońce wzejdzie całkowicie. Znalazłam ją wciśniętą między łóżko a ścianę, zwiniętą i w milczeniu patrzącą w dal.

– Mamo? – powiedziałam łagodnie, powoli zbliżając się do niej, zachowując prostą drogę do drzwi na wypadek, gdyby wciąż było w niej więcej bestii niż człowieka. Już wcześniej udawało jej się mnie oszukać.

Podniosłam ją delikatnie i pomogłam wstać. Kiedy trzymałam ją w ramionach, wydawała się tak krucha, że trudno było mi powstrzymać żal. Sitowie rozłożone na podłodze szeleściło lekko, gdy ciągnęła po nich swoje stopy. Staralam się zapamiętać, które wiązki były brudne i wymagały wymiany. Właściwie to wszystkie powinny być wymienione, ale nasze zapasy pieniędzy były tak marne jak zapasy czystego sitowia. Oparłam ją o sfatygowany bujany fotel, a następnie przyniosłam czystą wodę i szmatę.

Nieważne, ile razy już to robiłam – mycie jej zawsze wydaje mi się nienaturalne. Jej skóra jest jak papier, przesuwa się, gdy przeciągam po niej szmatą, delikatna jak skrzydła ćmy. Zadrapania na jej przedramionach zagoiły się, zostawiając siatkę srebrzystych blizn lśniących w świetle świecy. Wycieram je ze szczególną uwagą, mimo że staram się na nie nie patrzeć.

Kiedy podniosłam jej ręce, aby ubrać ją w koszulę nocną, posłusznie trzymała je w górze, pozwalając mi układać się w dowolnej pozycji, jak lalka.

Wolę, kiedy jest agresywna.

Była sobie kiedyś młoda uczennica aptekarza, która mieszkała na farmie w domu z czerwonej cegły, z dachem ze złotej strzechy, otoczonym przez zielone pola. Miała ojca, który nazywał ją „mądrą dziewczynką” i dał jej na własność ogródek z ziołami, oraz matkę, która była życzliwą i pełną życia osobą. Miała też brata, który potrafił śmiać się i cieszyć.

Jednak pewnego dnia ojciec miał wypadek i, mimo jej wysiłków, zmarł. Wraz z nim umarły wszystkie jej nadzieje i marzenia. Farma, dom rodzinny od pokoleń, została sprzedana. Brązowe włosy matki stały się siwe, a jej dusza coraz bardziej blakła, kiedy podążała w stronę Almwyk jak upiór, bez słowa skargi, bez uczuć. Jej brat, dawniej energiczny i pełen radości, stał się zimny i surowy, jego oczy ze złością zwrócone były na wschód.

Gdyby ktoś sześć miesięcy temu powiedział mi, zanim jeszcze życie przeciekło mi przez palce jak woda, że moja matka zostanie przeklęta, odcięta od świata i otumaniona przeze mnie lekami, zaśmiałabym się mu w twarz. Później sprzedałabym mu kopniaka za obrazę, a potem śmiała się dalej. Już prędzej uwierzyłabym, że bajki okażą się prawdą. Oczywiście teraz już wszyscy wierzymy w bajki. Szkarłatny Varulv wymknął się ze stron książki i mieszka ze mną w tej chatce. Śpiący Książę obudził się ze snu i splądrował Lormere, armia stworzonych za pomocą alchemii golemów podąża za nim, gdy przemierza królestwo, zostawiając za sobą stosy trupów. Opowieści nie są już tylko

opowieściami – ich bohaterowie krążą teraz po świecie. Czekam tylko, aż Mully Kadłubek zapuka do mojego okna i poprosi o ciepły kąt. Moje życie będzie wtedy kompletne.

Właściwie to nie, nie na to czekam.

Nowo ogłoszony król, Merek z Domu Belmis, został zabity, zanim zdołał włożyć na głowę koronę, tak jak wszyscy ci, którzy nie chcieli przyrzec wierności Śpiącemu Księżciu i próbowali powstrzymać go przed objęciem tronu.

Kiedyś widziałam króla Mereka we własnej osobie, mniej niż rok temu, kiedy był jeszcze księciem. Przejeżdżał przez moje dawne rodzinne miasto, Tremayne, ze swiątą równie pięknych i dumnych młodych mężczyzn. Lirys i ja wymieniliśmy pełne podziwu spojrzenia. Nasze policzki płonęły purpurą tak bardzo, że mój brat spojrział na nas krzywo, a później na księcia na białym koniu. Książę Merek był przystojny, aż nazbyt przystojny. Ciemne loki otaczające jego twarz podskakiwały, gdy skinieniem głowy pozdrawiał ludzi rzucających kwiaty i monety przed jego konia. Może i Tregellan pozbył się swojej rodziny królewskiej, ale my byliśmy szczęśliwi, wychwalając przysłego króla Lormere. Wyglądał tak, jak powinien wyglądać książę.

Zanim przybyli żołnierze, rozmawiałam z uchodźcami spiesząco przejeżdżającymi przez wieś w drodze do Tyrwhitt. Opowiadali mi, że głowa króla, ukoronowana kawałkiem drewna, nabita jest na pal nad główną bramą miasta Lortune, w środku rzędu utworzonego z głów jego poddanych. Nie jestem sentymentalna, ale nie mogę znieść myśli, że jego piękna, pełna nadziei twarz spogląda martwymi oczami na królestwo, którym nigdy nie będzie rządzić, otoczona głowami tych, którzy pozostali mu wierni do końca. Nie wiem, czy jedna z tych głów nie należy do Lief.

Pytałam każdego wyzutego z uczuć uchodźcę, z którym udało mi się porozmawiać, czy słyszał cokolwiek o Tregellaninie zabitym przez Śpiącego Księcia albo czy na bramie obok głowy króla znajduje się głowa z włosami i kośćmi policzkowymi przypominającymi moje. Czy słyszał coś o Tregellaninie, który został schwytany, uwięziony lub gdzieś się ukrywa. Spędziłam godziny, chodząc tam i z powrotem po lesie, licząc, że w końcu zobaczę go idącego w moim kierunku z szalonym uśmiechem na twarzy, bez choćby cienia skruchy za to, że martwiłam się o niego.

Po prostu nie wierzę, że mój brat nie żyje. Lief zrobiłby wszystko, żeby pozostać przy życiu. Nie był człowiekiem, który dobrowolnie rzuciłby się na miecz. Gdyby Śpiący Książę zażądał ukłonu w zamian za jego życie, przystałby na to. Pokłoniłby się i zaczekał na odpowiedni moment na ucieczkę. Był... jest sprytny. Musi być gdzieś uwięziony, może chory lub ranny, może po prostu czeka, aż będzie mógł bezpiecznie uciec.

Rodzina przede wszystkim, jak mawiał tata, kiedy się kłóciliśmy. Przypominał nam, jak jego babcia potajemnie wyprowadzała swoich synów ze starego tregellańskiego zamku w noc, kiedy to ludzie zbuntowali się przeciwko rodzinie królewskiej i zabili jej członków. Nasza prababka była damą dworu królowej i żoną dowódcy armii. Kiedy usłyszała ludzi pod bramą, opuściła stanowisko, zabrała swoje dzieci i uciekła. Porzuciła swoje dawne życie, żeby zacząć na nowo gdzie indziej. Inni ludzie przychodzą i odchodzą, ale rodzina jest na zawsze.

Lief postępował tak samo. Zabrał nas tu, żebyśmy utrzymali się przy życiu. Musiał udać się do

Lormere, bo nie mieliśmy nic. Sprzedaliśmy wszystko, żeby spłacić nasze długi, gdy opuściliśmy Tremayne. Ta stara, brudna, ciasna, dziurawa chatka i apatia naszych sąsiadów to ostatnie rzeczy chroniące mnie i moją matkę do powrotu Liefa. Teraz nawet to zostanie nam odebrane. Nie będziemy miały gdzie się ukryć.

A my potrzebujemy schronienia, bo gdy księżyc się zaokrągla, staje się ciężki i pękaty, moja dawniej łagodna i kochająca matka zmienia się w potwora o czerwonych ślepiach i zakrzywionych szponach, który przez zamknięte drzwi szepcze o sposobach, w jakie chce mnie skrzywdzić.

Jednak kiedy ma w sobie bestię, przynajmniej jest w stanie mnie dostrzec. Usłyszeć mnie. Kiedy jest moją matką, jestem dla niej duchem. Jak mój ojciec i mój brat, tylko że ja nadal żyję. Nadal tu jestem.

Rozdział 3



Siedemnastu mieszkańców wioski wstaje ze swoich miejsc, krzycząc i wymachując pięściami. Niektórzy trzymają swoje amulety, inni nimi potrząsają. Ich słowa protestu są niezrozumiałe, poza przekleństwami. Pomieszczenie, które wydawało się duże, gdy do niego wchodziłam, teraz zdaje się ciasne i niebezpieczne. Kulę się na swoim siedzeniu, a moja ręka sięga ku fiołce, którą mam w kieszeni. Żołnierze krzykami próbują przywrócić spokój, nakazując ludziom, aby usiedli i słuchali dalej. Unwin wali pięścią w podium, żądając ciszy, ale ja już tego nie słyszę. W uszach szumi dźwięk buzującej w moich żyłach krwi, palcami ściskam brzeg ławki.

Nie mogę opuścić Almwyk. Nie mam pieniędzy, nie mam dokąd pójść. Muszę czekać na brata. Jeżeli odejdziemy, może nie być w stanie nas znaleźć. Przede wszystkim jednak nie mogę odejść ze względu na matkę. Nie dam rady zabrać jej z domu tak, żeby nikt jej nie zobaczył. Nikt nie może jej zobaczyć. Nie w takim stanie.

Żołnierze w końcu przywracają spokój, ale atmosfera buntu nadal unosi się w powietrzu. W całym pomieszczeniu rozbrzmiewają groźne pomruki. Unwin spogląda na nas z fałszywym współczuciem w oczach.

– Rozumiem, że jesteście zdenerwowani koniecznością opuszczenia waszych domów – mówi miłym głosem. – Jeżeli nie macie dokąd iść, zgodnie z dekretem Rady będziecie mieli pierwszeństwo wstępu do nowego obozu dla uchodźców niedaleko Tyrwhitt. Bez zbędnych pytań. Upewnijcie się tylko, że wasze papiery są odpowiednio opieczetowane, żeby wiedzieli, że jesteście Tregellanami, a nie szukającymi azylu mieszkańcami Lormere.

– W obozach nie będziemy bezpieczni – dobiega głos ze środka sali. Chyba to Stary Samm, nałogowy hazardzista, ale dość miły człowiek. – Nie przetrwamy zimy w namiotach, a tym bardziej

ataku Śpiącego Księcia, jeśli zdecyduje się przybyć.

– Może pan oczywiście udać się gdziekolwiek indziej w granicach naszego kraju, jeśli taka jest pańska wola – odpowiada Unwin. – Udanie się do obozów to jedynie możliwość dla tych, którzy nie mają się gdzie podziąć i nie chcą iść do więzienia za włóczęgostwo. Albo cokolwiek innego.

Atmosfera po raz kolejny gęstnieje, bunt wisi w powietrzu. Unwin doskonale wie, że nikt z nas nie mieszkałby tu, gdyby mógł iść gdzie indziej.

– A więc to wszystko? – mówi dalej Stary Samm. – Zostaniemy wyrzuceni z miasta bez ochrony?

– Nastął czas wojny – odpowiada Unwin z nutą dramatyzmu, patrząc na stojących wokół żołnierzy, starając się nawiązać z nimi kontakt wzrokowy.

Mój stosunek do nich nieznacznie zmienia się na lepszy, gdy ich twarze pozostają niewzruszone, odmawiając Unwinowi aprobaty, której szuka.

– Nastął czas wojny – powtarza. – Od tej chwili nie ma już łatwych rozwiązań. Wszyscy musimy coś poświęcić. Almwyk będzie bazą, z której cały Tregellan będzie broniony przez naszych najlepszych żołnierzy.

– Jak ochronią nas przed golemami? – pyta Stary Samm, a Unwin znów spogląda na żołnierzy, oczekując wsparcia. Jest jednak za późno. Wzmianka o golemach powoduje poruszenie na sali, a po chwili wszyscy znów wstają z miejsc. – Jak mogą nas obronić przed potworami, których nie da się zabić? Są z kamienia i mają dziesięć stóp wzrostu. Wasi chłopcy ich nie powstrzymają. – Jego słowa wywołały potok innych głosów, we wszystkich słychać było przerażenie.

– Słyszałem, że Śpiący Książę może zamienić człowieka w kamień samym spojrzeniem. Czy to prawda? Czy tak właśnie buduje swoją armię? Czy golemy to zakłęci ludzie? Czy nasze amulety nas ochronią?

– Nie mamy żadnych świątyń, więc na pewno zostawi nas w spokoju, prawda?

– Słyszałam, że żąda podatku w postaci młodych kobiet, a potem zjada ich serca – odzywa się drżący ze strachu kobiecy głos.

– Cóż, w takim razie jesteś bezpieczna, bo nie jesteś młoda już od dobrych trzydziestu żniw! – krzyczy ktoś z sali.

– Czy ostrokrzew zawsze działa? – odzywa się inny głos. – Czy jagody muszą być świeże? Czy sam sok też go odstraszy?

– Może moglibyśmy coś mu zaoferować? Czy naprawdę nie mamy niczego, czego mógłby chcieć?

Ludzie wykrzykują pytania, domagają się odpowiedzi i obrzucają się obelgami, a poziom hałasu ponownie wzrasta. Żołnierze wykonują ostrzegawczy krok do przodu, kładąc ręce na rękojeściach mieczy. Mieszkańcy wioski nie dają się jednak zastraszyć. Wchodzą na krzesła, a ich głosy stają się coraz głośniejsze. Nie wytrzymam tego dłużej. Przechodzę przez ławkę, po czym wymykam się wzdłuż ściany i przez drzwi.

Zatrzymuję się i opieram o pręgierz przed Domem Sprawiedliwości. Moje serce wali tak szybko, że aż mnie mdli. Moją skórę na przemian zalewa gorąco i zimno. Słońce nade mną zaczyna zbliżać

się już do horyzontu, a przerażenie mrozi mi krew w żyłach. Wkrótce będzie ciemno. Muszę sporządzić środek uspokajający dla matki. Muszę znaleźć Silasa i zdobyć pieniądze dla Unwina.

Chcę, żeby byli tutaj mój ojciec i brat.

Nie. Odpycham tę myśl od siebie, a serce wrywa mi się z piersi. Nie teraz. Mam sprawy do załatwienia.

Jednak moje ciało odmawia posłuszeństwa. Strach zaciska mi się wokół żeber jak gorset, gdy wracam na ślepo do chaty, ignorując spojrzenia dwóch przechodzących żołnierzy, maszerujących w stronę lasu.

Nie mogę oddychać.

Gdy żołnierze mnie mijają, zatrzymuję się i zakrywam oczy dłońmi, próbując się uspokoić. Mój mózg wypluwa myśli tak szybko, że trudno mi się na nich skupić. Czy mogłabym uspić ją lekami i w ten sposób stąd zabrać? Jeśli tak, to dokąd? Nie mam gdzie pójść. Nie mam niczego, nikogo. Może mogłabym udawać, że jest na coś chora, coś zaraźliwego? Jest wojna, naprawdę jest wojna. Jak długo jeszcze możemy tu zostać? Nie możemy, on jest mniej niż pięćdziesiąt mil stąd. Nie mamy dokąd pójść. Musimy stąd odejść. Nie, musimy zostać. Jak Lief nas znajdzie? Nie możemy go zostawić.

W Hadze zginęło czterystu ludzi, w Monkham kolejnych trzystu. Nie wiemy nawet, ilu zostało zabitych w Lortune i innych, mniejszych wioskach i miasteczkach w całym Lormere. Kiedy Lief udał się do Lormere, miałam wrażenie, że to na drugim końcu świata, ale teraz zdaje się, że to tuż za rogiem. Wschodni Las to niewielka przeszkoda dla armii golemów.

Wyobrażam sobie głowy znanych mi ludzi nabitych na kołki wzdłuż brzegu Zachodniego Lasu. Unwin. Marudny Stary Samm. Posepna, mamrocząca pod nosem Pegwin.

Silas.

Zakrywam dłońmi usta i wtedy widzę go, jakby myśl o nim przywołała go do mnie. Ukryty w cieniu obok mojej chatki, poza zasięgiem wzroku żołnierzy, zwyczajowo okryty swoim czarnym płaszczem. Silas Kolby. Jego twarz jak zwykle schowana jest w kapturze zwisającym tak nisko, że widać tylko jego usta. Jedyne przyjaciel, jakiego tutaj mam, to chłopak, którego twarzy właściwie nigdy nie widziałam. Teraz wydaje mi się to zupełnie normalne. To dobry przykład tego, jak dziwne stało się życie w Almwyk.

Poznaję go po wzroście. Jest jakieś osiem cali wyższy ode mnie, a ja jestem wysoka jak na dziewczynę. Opiera się o ścianę, krzyżując stopy w kostkach z wyuczoną nonszalancją, którą bez problemu potrafię przejrzeć. Unosi głowę na dźwięk moich kroków, a mnie nagle zasycha w ustach.

– Czekalem na ciebie – mówi niedbale swoim niskim głosem. Cały wygląda niedbale: połatany płaszcz, zniszczone rękawice z wytartymi palcami, znoszone buty. Jego słowa zawsze zdają się przyczepiać do mnie od środka, jak rzep albo złamany paznokieć przesuwany po jedwabiu. Jego głos jest lepki. – Jak poszło spotkanie?

Gdy odpowiadam, mój głos na szczęście nie drży, ale moje serce wciąż uderza jak skrzydła ptaka o kraty klatki.

– Wiedziałbyś, gdybyś przyszedł.

– Niestety, miałem inne plany. Czajenie się. Skradanie. Unikanie wykrycia i możliwego aresztowania. Jak zwykle.

– Skąd właściwie wiedziałeś o spotkaniu?

– Czajenie się. Skradanie. Właśnie powiedziałem, słuchaj uważnie. – Unoszę brwi i zaciskam wargi, a on uśmiecha się i mówi dalej. – Słyszałem, jak kilku żołnierzy skarżyło się, że muszą pilnować porządku na spotkaniu. Dużo ich tam było?

Staram się nie odwzajemniać uśmiechu, ale nie udaje mi się to, a niepokój powoli zaczyna ustępować.

– Było ich prawie tyłu, co nas.

– Aż tak źle?

– Aż tak – odpowiadam. Uśmiech schodzi mi z twarzy, ucisk w klatce piersiowej wraca i staje się jeszcze silniejszy. – Zeszłej nocy golemi weszły do Hagi i zniszczyły tamtejsze świątynie. Zginęło czterystu ludzi.

Otwiera usta, ale nic nie mówi, czekając, aż dokończę.

– Rada sądzi, że Chargate będzie następne. To niedaleko stąd, około pięćdziesięciu mil. Jesteśmy oficjalnie w stanie wojny. – Biorę głęboki oddech. – Zamknęli granicę.

Silas przytakuje i przygryza wargi w zamyśleniu, po czym odpowiada:

– To musiało się stać, wcześniej czy później.

– Wydaje się, że wcześniej.

Jego usta układają się w cienką linię, gdy pyta ostrożnie.

– Co z Liefem?

Potrząsam głową, mimowolnie spoglądając w kierunku lasu. Nie wierzę, że Lief nie żyje. Wiem, że to nieprawda. Ale nie chcę rozmawiać na ten temat z Silasem. Wie, że Lief był w Lormere i że jeszcze nie wrócił. Sposób, w jaki o nim mówi, delikatnie, z dystansem, świadczy o tym, że nie jest takim optymistą jak ja. Nie sądzę, żebyśmy musieli o tym rozmawiać.

Rozglądam się, po czym sięgam do swojego płaszcza i wyciągam ukrytą w nim fiolkę z wywarem z cykuty.

– Proszę. Przyniosłam to do twojej chaty w drodze na spotkanie. Nie było cię tam – mówię do niego.

– To nie jest już moja chata. Znow musiałem się przenieść – odpowiada. – Mieszkam teraz w tej obok starego chlewu. Tylko bogowie wiedzą, jak długo tam zostanę.

Wyciąga odzianą w rękawicę dłoń po miksturę. Upuszczam na nią fiolkę, patrząc, jak jego palce oplatają się wokół i sprawiają, że znika. Zaraz potem pochłaniają ją fałdy jego płaszcza, a jej miejsce zajmują złote monety. Otwieram dłoń tak jak on, żeby mógł je na niej położyć. Nie dotykamy się, Silas i ja, nawet w ten sposób, nawet po prostu podając sobie monetę czy fiolkę.

– Dzięki. – Kiwa głową i rozgląda się wokół.

Gdy naciąga swój kaptur jeszcze mocniej, przygotowując się do odejścia, rzucam:

– Potrzeba ci czegoś jeszcze?

Potrząsa głową, zaciskając usta.

– Nie, dzięki. Sądzę, że po zamknięciu granicy sytuacja ulegnie zmianie.

Przez ostatnie kilka miesięcy Silas złożył całkiem sporo zamówień, od niewinnych lekarstw po najbardziej zabójcze trucizny. Wszystkie zamówienia odnotowałam w swoim rejestrze aptekarza: co to było, ile tego było i ile kosztowało. Płaci trzy złote floreny za zamówienia nielegalne i cztery srebrne centy za pozostałe. Nie mam pojęcia, co z nimi robi, nie chce mi powiedzieć. Tak samo jak tego, skąd bierze pieniądze, żeby za nie zapłacić. Szczerze mówiąc, nigdy nic mi nie mówi. Próbowalam pytać wprost i używać podstępu. Zawsze potrząsa głową z ponurym wyrazem twarzy, rzuca mi ten sam tajemniczy uśmiech przez zaciśnięte wargi i mówi, że jeśli nie będę zadawać pytań, to nie usłyszę kłamstw.

Wzruszam ramionami, jakby mi nie zależało.

– Powinieneś już iść – przypominam mu. – Gdy wyszłam, spotkanie dobiegało końca. Przyjście tutaj było ryzykowne.

– Nie miałem wyboru, Errin. Mówiłem ci, musiałem się przenieść. Gdybym tu nie przyszedł, nie wiedziałabyś, gdzie mnie szukać. – Uśmiecha się. – Byłem ostrożny, nie martw się, zawsze jestem. Poza tym musiałem wiedzieć, czego dotyczyło spotkanie.

– A gdybym nie wyszła z niego wcześniej?

Jego szczęka drga lekko, a uśmiech znika mu z twarzy.

– Cóż, wtedy musiałbym się jakoś wytłumaczyć.

Próbuje zabrzmieć nonszalancko, ale jego ciało zdradza go. Jest spięty, zwinięty jak wąż, gotowy do ucieczki albo do ataku, jeśli byłaby taka potrzeba. Denerwuje się, że tutaj jest. Obawia się wykrycia, mimo że jego słowa sugerują co innego. Odczuwam perwersyjną przyjemność płynącą z tego, że tak łatwo odczytuję jego prawdziwe emocje. Przez trzy miesiące dzieliłam się z nim informacjami na temat mojego życia: o śmierci mojego ojca, o determinacji Liefa w zapewnianiu nam wsparcia i jego późniejszym zniknięciu, o mojej pracy w aptece, właściwie o wszystkim, poza stanem mojej matki. Robiłam to z nadzieją, że odwdzieczy się tym samym. Tak to miało działać: sekret za sekret, historia za historię. Zamiast tego on jedynie przytakuje, słuchając moich opowieści, jakbyśmy byli w konfesjonale. Kąciki jego ust unoszą się lekko w górę lub w dół zależnie od tego, o czym jest historia. Nigdy nie komentuje ani nie ocenia. Zamiast tego słucha i chłonie, nigdy nie mówiąc mi w zamian niczego osobistego.

Odkryłam jednak, że mogę wiele wywnioskować bez słów. To, czego udało mi się dowiedzieć, wymagało sporo wysiłku, ponieważ – mimo że jest jedyną osobą w tym miejscu, którą mogłabym nazwać przyjacielem i, jak sądzę, ja również jestem kimś takim dla niego – nie mam pojęcia, jak wygląda pod kapturem. Wydaje się to niebywałe. Powinno się takie wydawać. Jak można nazywać kogoś przyjacielem, znać go od dawna, ale nie wiedzieć, jak wygląda? Ja nie wiem. Nie wiem, jakiego koloru są jego oczy, jego włosy. Znam jego usta, podbródek i zadbane zęby. Raz nawet

widziałam koniuszek jego nosa, gdy śmiejąc się, odchylił głowę do tyłu. To wszystko. Od naszego pierwszego spotkania do dziś zawsze, ale to zawsze miał na sobie kaptur, rękawice i płaszcz. Nigdy ich nie zdejmował ani nie odchyłał w pomieszczeniach i na zewnątrz. Gdy pytałam go dlaczego, odpowiadał, że tak jest bezpieczniej. Dla nas obojga. I żebym więcej nie pytała.

Tajemniczy chłopcy nie są w rzeczywistości tak wspaniali jak w opowieściach.

Oczywiście mógł się ukrywać z powodu jakiegoś odrażającego oszpececia, ale jego zachowanie i sposób, w jaki się poruszał, przekonały mnie, że to nie to. Oczami wyobraźni widzę go z ciemnymi oczami i ciemnymi włosami muskającymi jego ramiona, ale w rzeczywistości nie mam pojęcia, jak wyglądają. Kilka razy udało mi się zajrzeć pod kaptur, który zawsze ma na sobie, i dostrzec błysk oka chwilę przed tym, jak naciągnął go jeszcze niżej, ukrywając w cieniu resztę swojej twarzy.

Mimo to potrafię poznać, kiedy jest zmartwiony, zaniepokojony, zdenerwowany czy zadowolony. Nauczyłam się czytać z jego warg, ramion i rąk, ze sposobu, w jaki się nosi. Pochyla się do przodu, gdy jest zrelaksowany, a jego głowa przechyla się w lewo. Kiedy jest pobudzony, stuka palcami o każdą powierzchnię w zasięgu ręki: pień drzewa, jego własne nogi lub ręce, gdy są skrzyżowane. Gdy jest rozbawiony, po lewej stronie jego ust tworzą się dwa dołeczki, po prawej nie. Gdy myśli, pociera językiem zewnętrzną stronę przednich zębów. Widzę rzeczy, których nie mówi głośno, ponieważ są one wypisane na całej jego osobie.

– Czy jest jeszcze coś, o czym powinienem wiedzieć? – Silas krzyżuje ręce, przerywając moje rozmyślenia i na powrót ściągając mnie na ziemię. – Ze spotkania?

Panika powraca jak fala i obmywa moje ciało. Skręca mnie w brzuchu, gdy przypominam sobie słowa Unwina.

– Zostaniemy ewakuowani ze skutkiem natychmiastowym. Wszyscy musimy odejść.

– Odejść dokąd? – pyta.

– Do obozu dla uchodźców w Tyrwhitt, jeżeli nie mamy innej możliwości – mówię, choć wiem, że nie możemy się tam udać.

Czuję na sobie jego wzrok, palcami lewej ręki nerwowo stuka w swoje ramię, jego dolna warga jest ściśnięta między zębami, co nauczyłam się interpretować jako „zamyślony wyraz twarzy”.

– Musisz odejść? – mówi w końcu.

– Wioska zostanie zamieniona w koszary. – Wysilam się, żeby wydobyć słowa z zaciśniętego gardła. – Będzie tu stacjonował cały pułk. Generałowie, łucznicy, pikinierzy, kawaleria; zarekwirują wszystko. Nie będziemy mieli się gdzie podziać. Odwracam od niego wzrok, oddycham głęboko, staram się zachować kontrolę, odepchnąć przerażenie, które znowu narasta, dusi mnie. Nagle robi mi się gorąco. Mam zawroty głowy.

Wyobrażam sobie moją matkę szalejącą w obozie dla uchodźców, rozszarpującą dzieci, przyciągającą do siebie starców i wbijającą zęby w ich ciała. Oczami wyobraźni widzę krew. Krzyki i przerażenie. Topory, miecze i walkę, próby powstrzymania jej. Nieuniknione rozprzestrzenienie się klątwy, nawet gdyby udało im się ją zabić. Ja osierocona albo zabita razem z nią. Ogień...

– Errin? – mówi cicho Silas, a ja zmuszam się, żeby na niego spojrzeć. Lekko rozchyłam swój

płaszcz, aby pozwolić chłodnemu powietrzu dostać się do środka. Chłód uspokaja mnie, wysysając gorąco z mojej skóry. Biorę głęboki oddech. Silas czeka w ciszy, przygryzając wargę.

– Przepraszam – mówię po chwili, gdy strach znów nieco słabnie. – Co masz zamiar zrobić w sprawie ewakuacji?

– Nic – odpowiada.

– Nie możesz zostać, oni skonfiskują wszystko. Zajmą wszystkie chaty.

– Muszę zostać.

Otwieram usta, aby po raz kolejny zapytać dlaczego, ale zamykam je szybko na dźwięk wojskowych butów maszerujących w naszą stronę. Słyszę dźwięk mokrego błota zasysającego skórzane podeszwy.

Bez zastanowienia otwieram frontowe drzwi mojej chaty i chwytam Silasa za płaszcz. Silas wydaje z siebie stłumiony jęk, sięgając rękami w stronę kaptura i przytrzymując go na twarzy. Wpycham go do pokoju i zamykam za nami drzwi tak cicho, jak to możliwe, po czym przyciskam oko do małej szczeliny, która w nich pozostała.

Wzdycham z ulgą, widząc, że dwóch żołnierzy, których wcześniej mijalam, przechodzi obok, nawet nie patrząc na chatę. Ich twarze są ponure, a głosy zbyt ciche, żeby je usłyszeć.

– Mówiłam, że nie powinieneś tu być – szepczę, odwracając się w stronę wnętrza pokoju. Rumienię się, widząc Silasa rozglądającego się wokół.

Nigdy wcześniej nie wpuszczałam go do środka z powodu mamy. Nikt nie może wiedzieć, czym się stała. W książkach Varulvy pali się na stosie, a domy, w których mieszkają ich rodziny, również są podpalane. Z rodzinami zamkniętymi wewnątrz, żeby zniszczyć infekcję. Cztery miesiące temu myślałam, że to stare przesady, niemające nic wspólnego z prawdą. Ale teraz... Teraz ludzie noszą amulety i przybijają do drzwi świeży chleb. A tacy jak ja kradną go, kiedy jest okazja. Chleb to chleb.

Podążam za jego spojrzeniem, gdy patrzy na półki z ich mizerną zawartością: moje wyblakłe fartuchy z doszywanymi guzikami, koce wiszące na prowizorycznym sznurze na pranie w płonnej nadziei, że wyschną do następnego incydentu z moją matką, mój siennik i cienkie koce na zakurzonej podłodze, zniszczony stół służący za baldachim. Widzę kominek z odrapanym, pustym glinianym garnkiem, wiszącym nad kupką popiołu. Żadnych ozdób, żadnych bibelotów. Żadnych błyszczących rondli ani dymiącej delikatnie, apetycznej strawy. Chata wygląda, jakby była opuszczona od lat. Wygląda gorzej niż niektóre chaty, w których sam sypiał.

Nie mogę znieść jego spojrzenia, gdy odwraca się do mnie. Moja twarz płonie ze wstydu. Zastanawiam się, co widzi, kiedy na mnie patrzy. Tłuste, brązowe włosy splecione w warkocze i owinięte wokół głowy, żeby trzymać je poza zasięgiem rąk mojej matki, półksiężyc brudu za paznokciami, spierzchnięte usta. Nie dziwi mnie, że on... Odrzucam od siebie tę myśl.

Nie muszę widzieć jego twarzy, żeby czuć bijącą od niego litość, która rozpala we mnie płomień gniewu i upokorzenia.

– Powinieneś już iść – mówię niegrzecznie i otwieram drzwi.

Za nimi stoi Chansę Unwin z pięścią uniesioną, aby zapukać.

Patrzy na Silasa i na mnie, jego oczy rozszerzają się. Odwracam się i spoglądam na Silasa. Przerazenie wbija we mnie swoje ostre szpony na widok zbielełej jak kreda dolnej części jego twarzy.

Rozdział 4



Wyraz twarzy Unwina mógłby być zabawny, gdybym nie była tak przerażona. Jego oczy wychodzą z orbit, gdy wlepia je w Silasa. Widzę, jak przygląda się znoszonym butom, luźnym nitkom zwisającym z jego płaszcza oraz sfatygowanym rękawicom. Lustruje go od stóp do głów, dwa, trzy razy, po czym jego wzrok spoczywa na ukrytej twarzy Silasa.

– Wyszłaś przed końcem spotkania – mówi w końcu Unwin, odwracając się do mnie, a jego ton jest oschły i groźny. – Widziałem, jak wychodziłaś. Myślałem, że mieliśmy się później spotkać.

– Proszę mi wybaczyć – odpowiadam. – Obawiałam się, że będą kłopoty. Nie chciałam brać w tym udziału.

– Miałem wszystko pod kontrolą. Przecież praktycznie jestem tu Sędzią – mówi, ponownie spoglądając na Silasa. – Właśnie dlatego pozwolę sobie zapytać, kim szanowny pan właściwie jest? – Słowo „pan” brzmi w jego ustach jak wyzwisko. – Skąd pan jest? Nie widziałem tu pana wcześniej.

Silas pochyla głowę tak, że widać tylko jego podbródek.

– Właśnie wychodziłem – mamrocze. Jego palce chowają się, wystukując rytm na ramieniu, kiedy napięcie powoli go opuszcza.

– Lepiej już idź. – Przepycham Silasa obok Unwina, po czym wychodzę na zewnątrz i staję między nimi.

Twarz Unwina ciemnieje, mężczyzna bierze głęboki wdech. Na ten widok Silas przyspiesza, znikając za rogiem chaty. Unwin odprowadza go wzrokiem z nieprzyjemnym wyrazem twarzy.

– Plan ewakuacji – mówi nagle, odwracając się do mnie. – Tę część spotkania przegapiłaś.

O brzasku wioskę opuszcza konwój jadący do obozu koło Tyrwhitt. Pojedziesz z nimi.

Przepełnia mnie strach.

– Nie mogę.

– Dlaczego?

– Moja matka jest chora. Bardzo chora. Nie wolno jej przenosić. – Kłamstwo wydobywa się z moich ust, zanim zdążę je przemyśleć.

– Zabawne... Mówiłaś dzisiaj rano, że twoja matka wyszła, żeby spłacić swoje długi. Teraz nagle jest na skraju śmierci?

– To prawda. Musiała wrócić, zanim udało jej się pana znaleźć. Nie powinna była wychodzić, to było niemądre. – Zdaję sobie sprawę, że bełkoczę, ale nie mogę przestać. – Teraz odpoczywa, ale nie można jej przenosić. Nie jestem pewna, co to jest, ale... Nie powinna się do nikogo zbliżać. – Obniżam głos. – To może być zaraźliwe. W konwoju, a później w obozie... mogłoby rozprzestrzenić się błyskawicznie. Poza tym nie mogłabym się tam nią odpowiednio zająć.

Zbyt późno zdaję sobie sprawę, że sama wpędziłam się w pułapkę. Dostrzegam to dopiero, kiedy w jego uśmiechu zauważam błysk zwycięstwa.

– Cóż, na szczęście mam dla ciebie pewną propozycję.

– Propozycję? – powtarzam.

Spogląda przez ramię, rozgląda się wokół i ścisza głos. Ton jego głosu jest przymilny i obrzydliwie poufały.

– Gdybyś chciała tu zostać, mogę przygotować pokój w mojej posiadłości dla was obu. – Uśmiecha się przez zęby.

– Co?

– Widziałem twoją twarz, kiedy wspomniałem o ewakuacji. Wiem, że nie masz dokąd pójść ani do kogo się zwrócić. Twój ojciec i brat nie żyją.

– Lief żyje. Wróci do nas.

Unwin obrzuca mnie bezlitosnym spojrzeniem.

– Nie masz nic, dziewczyno. Ja tutaj zostanę, będę pracował z wojskiem. Nie mogę wdawać się w szczegóły, ale zapraszam do siebie was obie. Oczywiście nie za darmo.

– Co ma pan na myśli? – Pot zalewa moje ramiona, po czym stygnie i przyprawia mnie o dreszcze.

– Miałem nadzieję, że uda nam się dojść do porozumienia. Między nami. Takiego, które zapewni satysfakcję obu stronom.

Jego źrenice są rozszerzone, a jego głos niski i dyszący. Rozumiem, o co mu chodzi, czego chce. Myśli, że może mnie o to poprosić i to dostanie, bo jego zdaniem nie mamy wyjścia.

Z całych sił staram się zachować obojętny wyraz twarzy i powstrzymać się od uderzenia go.

– To bardzo miłe, ale musimy odmówić.

– Odmówić? – Mruga. – Jak możesz mi odmówić?

– Mamy gdzie pójść. Na północy mieszka nasza rodzina. Oczekują nas. Wyruszymy, gdy tylko mama poczuje się lepiej. To mnie zmartwiło – że choroba mamy opóźni nasz wyjazd. Nie to, że nie mamy za co żyć.

Z każdym moim słowem jego brwi unoszą się coraz wyżej, po czym obnaża zęby.

– Nigdzie nie pójdziecie, dopóki nie oddacie mi pieniędzy, które jesteście mi winne. Teraz to sześć florenów.

– Ja... – próbuję coś powiedzieć, ale Unwin przerywa mi. Jego głos jest okrutny i złośliwy.

– Ja... – przedrzeźnia mnie piskliwym głosem. – Co takiego, Errin? Kolejna wymówka? Kolejna błyskotliwa riposta?

– Ja... – Nie jestem w stanie wydusić słowa, kiedy strach przed nim, prawdziwy strach, po raz pierwszy ściska mi gardło.

– No, wyduś to z siebie. – Pochyla się do przodu, na twarzy czuję kropelki jego śliny. – Jeszcze dziś rano miałaś mi do powiedzenia dużo mądrych rzeczy. A teraz co? Hm? Żadnej celnej kontry? Może jakaś zjadliwa uwaga? Gdzie moje pieniądze, Errin?

– Proszę. – Nagle znowu zjawia się Silas. Wychodzi zza rogu i wyciąga rękę w kierunku Unwina, który zwraca się w jego stronę. Moja szczeka opada. Wrócił. Wrócił! – Ile to miało być?

– Przyszedłem tutaj po jej dług, nie twój, kimkolwiek jesteś. – Unwin uśmiecha się szyderczo, a ja w osłupieniu gapię się na Silasa.

Zanim zdążę dojsć do siebie, Silas odzywa się znowu. Staje między mną a Unwinem, jakby chciał osłonić mnie swoim tyczkowatym ciałem.

– Sześć florenów, jeśli dobrze usłyszałem? Żaden problem. – Posyła Unwinowi szeroki, promienny uśmiech, o jaki nigdy bym go nie podejrzewała, a następnie wciska zaskoczonemu Sędziemu garść monet. – Proszę. Zapłacone.

Stoimy przez chwilę w całkowitej ciszy. Zdaje się, że nikt z nas do końca nie wierzy w to, co właśnie się stało.

– Zdejmij kaptur – szczeka nagle Unwin. – Kim jesteś? Pokaż się.

– Proszę wybaczyć, ale nie mam takiego zamiaru – odpowiada spokojnie Silas. – Kilka lat temu zostałem poważnie poparzony w trakcie pożaru. Oparzenia nigdy się całkiem nie zagoiły, nie jest to miły widok.

Unwin wyraźnie mu nie wierzy.

– Założę się, że widziałem gorsze rzeczy, chłopcze. – Wyciąga rękę, próbując zrzucić kaptur z twarzy Silasa, ale ten odsuwa się, a ja gwałtownie wciągam powietrze.

– Nie radzę. – Z głosu Silasa znikają pozory uprzejmości, a ich miejsce zajmuje groźba.

– Gdzie są twoje papiery? – warczy Unwin. – Skąd jesteś? Nawet nie brzmisz jak Tregellanin. Czego tu szukasz? Kim jesteś dla niej?

– To przyjaciel rodziny – odpowiadam w tym samym momencie, gdy Silas mówi: „Kuzyn”.

Czuję, jak moja skóra znów robi się gorąca, ale to nic w porównaniu z purpurowymi plamami

gwałtownie zalewającymi policzki, a potem całą twarz Unwina.

– Ale zawsze myślałam o nim jak o kuzynie – szybko dopowiadam. – Dorastaliśmy razem. To właśnie do jego rodziny na północy mamy zamiar udać się z matką. Przyszedł pomóc nam się spakować. Odprowadzi nas też, kiedy mamie się poprawi. Prawda? – Całą siłą swojej woli próbuję zmusić go, żeby podjął mój bluff.

– Oczywiście. – Silas uśmiecha się do mnie, a jego uśmiech jest złośliwy, leniwy i szeroki. Całe moje ciało płonie tak, jakby zaraz miało zająć się ogniem. Silas bierze moją dłoń w swoją, ukrytą w rękawicy. Czuję, jak moje serce drży, po czym zamiera. On mnie dotyka. Z własnej woli.

– Przybyłem tu, żeby pomóc mojej drogiej kuzynce. Jesteśmy sobie bardzo bliscy. – Słyszę jego słowa, ale wydają się one odległe, gdy dzwonią w moich uszach. Zasycha mi w gardle.

Oczy Unwina zwężają się w szparki tak cienkie, że aż trudno uwierzyć, że coś przez nie widzi. Spogląda raz na mnie, raz na Silasa.

– Rozumiem – mówi powoli. – Rozumiem.

– Czy to wszystko, panie... Unwin, prawda? – odpowiada Silas, a w jego głosie słychać rozkosz zwycięstwa. – Musimy już zająć się swoimi sprawami. Mamy dużo do zrobienia – mówi prędko i wciąga mnie do chaty, po czym zamyka Unwinowi drzwi przed nosem.

Moje serce bije tak szybko, że zdaje się wibrować, jednak gdy tylko znajdujemy się w środku, Silas puszcza moją dłoń. To, jak szybko mnie odrzucił, wywołało we mnie ból, który staram się ukryć, podchodząc do okna i przyglądając się Unwinowi przez pęknięcia w rogowych okiennicach. Stoi tam, gapiąc się na drzwi z zastygłym na twarzy wyrazem oburzenia. Gdy odwracam się do Silasa, on zdaje się przyglądać swojej dłoni. Mogę się jednak mylić, bo twarz zakrywa mu ten przeklęty kaptur. Z jego zeszywniałej sylwetki wyczytać można niezadowolenie. Widok surowej, ponurej linii jego ust sprawia, że aż ściska mnie w brzuchu.

– Cóż, bardzo sprytnie – przerywam ciszę. – Powiedz mi, jak to możliwe, że twoja szyja utrzymuje ciężar twojej głupoty?

Silas gwałtownie unosi głowę.

– Słucham? – odpowiada. W jego głosie słychać zdziwienie.

– Ty. Dlaczego po prostu nie wbiłeś mu noża w brzuch? Pewnie mniej by się obraził.

Silas bierze głęboki oddech.

– Próbowałem pomóc.

– Doprowadzając go do szału?

– Nie przepadam za cwaniakami. Nie podobał mi się też sposób, w jaki się do ciebie zwracał. I jak na ciebie patrzył. Nie mogłem tego zignorować, Errin. Nie mogłem.

Jego słowa całkiem mnie rozbijają. Serce trzepocze mi w piersi, gdy próbuję dojsć do siebie.

– Powinieneś był odejść, kiedy miałeś okazję – mówię z wyrzutem.

– Wiem – odpowiada łagodnie. Jego głos jest cichy i lekko zachrypnięty. – Ale nie mogłem po prostu tam stać i słuchać tego, co do ciebie mówił.

Nieprzyjemne uczucie ogarnia mój żołądek.

– Dam sobie radę – odpowiadam spokojnie.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi, że jesteś mu winna pieniądze?

– Bo... To nie ma nic wspólnego z tobą. Nad wszystkim panowałam. – Wzdycha lekko, a ja posyłam mu krzywe spojrzenie. Wzrusza ramionami i odwraca głowę w stronę pokoju, w którym jest moja matka. W stresie całkiem o niej zapomniałam. A zbliża się noc...

Podchodzę do niego i staję między nim a drzwiami.

– Nie chcę być niegrzeczna, ale mam kilka rzeczy do zrobienia. Proszę... – Idę do kominka, wyciągam floren ukryty w garnku i dokładam do trzech, które zapłacił mi za żabi barszcz. Wracam do niego i staję nieco bliżej, zmuszając go do zrobienia kroku w tył, aby zachować dystans między nami.

– Resztę będę musiała oddać ci później.

Silas potrząsa głową.

– O to się nie martw. Słuchaj, jeśli chcesz, to mogę zostać, na wypadek gdyby on...

– Nie! – Przerywam mu, modląc się, żeby mój podniesiony głos nie obudził matki. – Silas, nie kłamałam, mówiąc Unwinowi, że moja matka jest chora. Odpoczywa i nie chcę jej przeszkadzać, więc... – Wyciągam rękę z pieniędzmi, jednak on ją ignoruje.

– Mnie nie musisz okłamywać, Errin.

– Co masz na myśli? – Zamieram.

Silas mówi powoli, starannie, jakby zwracał się do dziecka.

– Popatrz na to miejsce. Te ubrania, które tam wiszą, są twoje. Rozpoznaję je. Ten niebieskawy fartuch miałaś na sobie, kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz. W ten zielony byłaś ubrana, kiedy... – przerywa, gryząc się w język, a ja zaciskam pięści z zawstydzenia. Silas spieszenie kontynuuje. – Jest jeden brudny kubek, jedna miska i jedna łyżka. Jeden siennik obok paleniska. Wszystkiego jest po jednym. Więc jeżeli twoja matka nie odpoczywa tam – skinieniem głowy wskazuje zamknięte drzwi – z dala od ognia, i ma ze sobą wszystkie swoje rzeczy i ubrania, to moim zdaniem jest dość oczywiste, że mieszkasz tutaj sama.

– Ja nie...

– Przestań. – Silas zaczyna przechadzać się po izbie, a jego kroki stają się zbyt głośne. Na ramionach zaczynam odczuwać dreszcz zaniepokojenia.

– Nie o to chodzi...

– Która matka pozwoli na to, żeby jej córka sama włóczyła się po lesie? – Ignoruje moje protesty.

– Która matka pozwoli na to, żeby jej córka warzyła w domu trucizny? I sprzedawała je, żeby móc zapewnić sobie dach nad głową? Byłem tuż obok ciebie, gdy przed chwilą rozmawiałaś z właścicielem tego domu, który przyszedł odebrać od ciebie czynsz. Ani ty, ani Unwin nie wspomnieliście o twojej matce, aż do momentu, kiedy potrzebowałaś wymówki, żeby się go pozbyć. Właściwie to nigdy nie wspominasz o matce. Opowiadałaś mi o swoim ojcu i bracie, ale to wszystko. Od kiedy tu przybyłem, nie widziałem, żeby ktokolwiek poza tobą tu wchodził albo stąd

wychodził. Wiem, że jesteś tu sama. Zawsze wiedziałem. Nie oczekuję, że powiesz mi coś więcej, ale przestań mnie okłamywać. To nie ma sensu. Wiesz, że nie wykorzystam tego przeciwko tobie.

Ton jego głosu jest łagodny, a ja odwracam się, żeby ukryć swój ból. Tak, wiem, że nie wykorzystam tego przeciwko mnie. Możliwe, że jest jedynym człowiekiem w krainie, który nie wykorzystaliby udręczonej młodej kobiety, nawet gdyby ona sama rzuciła mu się w ramiona.

Wtedy docierają do mnie jego słowa: „Od kiedy tu przybyłem, nie widziałem, żeby ktokolwiek poza tobą tu wchodził albo stąd wychodził”. Znów przechodzą mnie ciarki. Obserwował mnie. Dlaczego? Kiedy? Na pewno nie w czasie pełni. A jeśli tak, to nie był wystarczająco uważny, bo inaczej wiedziałby, że jest tu ktoś jeszcze. Coś jeszcze.

Już mam zacząć się z nim sprzeczać, z przyzwyczajenia, ale gryzę się w język. Ufam mu, tak jak to tylko możliwe w dzisiejszych czasach, ale mam również tę bolesną świadomość, że wie o mnie o wiele za dużo. Mimo jego zapewnień, że nie wykorzystam tego przeciwko mnie, jest to kolejna rzecz, którą wie na mój temat, podczas gdy ja nie wiem o nim nic. Ma nade mną zbyt dużą przewagę.

– Nie mów nikomu. – Zmieniam strategię i udaję skruszoną. – Gdyby ktoś się dowiedział...

Potrząsa głową, wyglądając na zaskoczonego.

– Ani słowa, jak mamę kocham – odpowiada w końcu, uśmiechając się szelmowsko pod wpływem własnego żartu.

– Posłuchaj. – Obchodzę go dookoła, zbliżając się do drzwi. Do twarzy przyklejony mam smutny uśmiech. – Jestem wdzięczna za twoją... pomoc, Silasie, ale naprawdę mam dużo do zrobienia. Jeżeli mam stąd odejść, to... – Ściszam głos i wzruszam ramionami.

Czuję na sobie jego wzrok, ale nie wiem, co jeszcze mogłabym powiedzieć, a on też się nie odzywa. Atmosfera w pomieszczeniu staje się ciężka i zaczyna mnie przytłaczać. Nadal trzymam jego pieniądze. Po raz kolejny wyciągam je w jego stronę, ale on ani drgnie. Kładę pieniądze na gzymsie kominka. W końcu Silas wzrusza ramionami, mija mnie i rusza w kierunku drzwi, ignorując stosik monet.

– Do zobaczenia wkrótce, Errin – mówi, otwierając drzwi. Niebo na zewnątrz ma kolor fioleto i czerwieni.

– Trzymaj się z dala od kłopotów – ostrzegam go, siląc się na uśmiech.

Gdy Silas zaczyna zamykać drzwi, z pokoju mojej matki dobiega głośny huk.

W ułamku sekundy wraca za próg i przechyla głowę, jakby zerkał na mnie spod kaptura. Zamyka frontowe drzwi i szybkim krokiem rusza przez pokój. Rzucam się na drzwi sypialni, gdy sięga do klucza wetkniętego w zamek.

– Nie rób tego – mówię, zdając sobie właśnie sprawę, dlaczego mama hałasuje i jak jest już późno. Nie zaparzyłam jej herbaty.

Spogląda na mnie, a wtedy boleśnie uświadamiam sobie, jak niewielka przestrzeń oddziela nas od siebie. Nie mogę odwzajemnić jego spojrzenia.

– Proszę, nie. Odejdź – błagam.

Silas potrząsa głową, po czym bierze mnie delikatnie za ramiona i odsuwa na bok. Gdy otwiera drzwi, zamykam na chwilę oczy.

Matka siedzi na łóżku, jej kubek leży na podłodze obok, woda jest rozlana. Siwe włosy sterczą dziko wokół jej głowy, oczy skupione są na Silasie jak na zdobyczy. Moje serce zastyga.

Silas wydaje się tego nie zauważać. Zbliży się do niej cicho i kuca przy łóżku.

– Witam – mówi łagodnie i, co wprawia mnie w osłupienie, odsuwa nieco brzeg swojego kaptura i pokazuje jej swoją twarz. Udaje mi się dostrzec kość policzkową, wysoką i ostrą, i końcówki jego bladych rzęs. – Jestem Silas, znajomy Errin. Pani musi być jej matką.

Przez chwilę moje serce przestaje bić i wydaje mi się, że mama zaraz rzuci się na niego. Jednak zamiast tego tylko patrzy, jej usta są otwarte w kształt litery „O”. Czekam, aż się ruszy, a kiedy odchyła się i opiera na poduszce, jej oczy nadal są wpatrzone w jego twarz. Wbiegam do pomieszczenia, żeby się jej przyjrzeć.

Jej oczy są nadal czerwone, nadal dzikie. Nic się nie zmieniło.

Kiedy spogląda na mnie, zwiężają się. Robię krok w tył.

– Przyniosę ci herbatę, mamó.

– Przypilnuję jej, gdy będziesz ją robić – mówi Silas. Jego kaptur znów zakrywa całą twarz poza ustami, które nie zdradzają nic. Raz jeszcze przyglądam się mamie, a jej spojrzenie znów skupia się na Silasie. Uspokaja się, patrzy na niego, ale nie tak, jakby był dla niej zdobyczą.

– Czy już coś jadła? – pyta Silas.

– Przed wyjściem na spotkanie dałam jej trochę chleba i gulaszu. Teraz nie będzie chciała nic jeść do jutra. Zawsze tak jest.

Silas przytakuje, a ja przyglądam się im, patrząc raz na jedną, raz na drugą milczącą postać. Żadne z nich nie zwraca na mnie uwagi. To niemądre, bardzo niemądre zostawiać go z nią samego, ale jednak to robię. Chwiejnym krokiem idę do pokoju, rozpalam ogień, nalewam wody do glinianego garnka, dodaję waleriany i rumianku do liści pokrzywy. Jeszcze tylko reszta miodu i dużo maku. Kiedy odwracam się i spoglądam w stronę drzwi, widzę, że Silas nadal siedzi przy niej, a ona wciąż przygląda mu się z potulnym wyrazem twarzy, która zdaje się rozluźniona i... ludzka. Jest w tym obrazku coś złowrogiego: zakapturzona postać klęcząca przy leżącej kobiecie. Przez chwilę zapominam, które z nich jest tym niebezpiecznym. Pospiesznie kończę przygotowania, niedbale precedzam i mieszam napar, robiąc przy tym bałagan na blacie. Przez chwilę przypomina mi się mój stary nauczyciel i jego reprimendy, a na mojej twarzy pojawia się przepraszający uśmiech, jednak szybko uświadamiam sobie, że Silas i mama są w pokoju obok i biegnę do nich z powrotem.

Prawie upuszczam kubek, widząc, że Silas trzyma ją za rękę. Jej wiotkie palce spoczywają bezwładnie w jego okrytej rękawicą dłoni. Ręką daje mi znak, żeby podać mu kubek. Przyglądam się, jak ostrożnie na niego dmucha, po czym zbliża go mojej matce do ust. Matka posłusznie bierze łyk, a Silas uśmiecha się zachęcająco. Cofam się do drzwi, patrzę, jak podaje jej kubek, a jej palce oplatają jego palce. Moje serce wypełnia gorycz, gdy uświadamiam sobie, że zazdroszczę mu tego,

jak dobrze sobie z nią radzi. Moje uczucia do Silasa zawsze były skomplikowane, ale to jest coś nowego: zazdrość o własną matkę, ponieważ trzyma ją za rękę.

I ponieważ ona pozwala mu na to. Jestem zazdrosna, bo cała jej nienawiść wydaje się być przeznaczona dla mnie. Wobec Silasa może być spokojna, nawet gdy zachodzi słońce i odzywa się w niej bestia. Powinna przecież teraz rozszarpywać mu twarz pazurami, a nie patrzeć na niego z zaufaniem, jak młody ptaszek poszukujący na niebie swojej mamy. Może tylko mnie chce zrobić krzywdę. Może to wcale nie jest klątwa. Może po prostu nienawidzi mnie za to, że jest skazana właśnie na mnie. Mamy tylko siebie, a ona nadal rozszarpałaby mi gardło, gdyby tylko miała okazję.

Wspomnienia naszego życia w rodzinnym domu, naszej czwórki siedzącej przy stole rok temu. Lief i tata z entuzjazmem debatują o nowej metodzie hodowli krów, podczas gdy ja i mama przewracamy oczami, posyłając sobie porozumiewawcze spojrzenia.

Ja, w kuchni, rozpakowuję prezenty na moje trzynaste urodziny: prawdziwy fartuch aptekarski z tuzinem kieszonek, zestaw szklanych fiolek i notes do zapisywania moich eksperymentów. Lief podaje mi zawinięte w papier nasiona. Oczywiście mam zasłonięte dłońmi, a ojciec prowadzi mnie na zewnątrz do małego skrawka ziemi, który sam dla mnie przekopał.

Wspomnienia o Liefie i mnie leżących na świeżo skoszonej łące i patrzących w gwiazdy po obchodach majowych, gdy miałam dwanaście lat. Obserwujemy nisko przelatujące nietoperze, chwytające w powietrzu owady. W szczęce czuję mrowienie wywołane przez ich zew, zew, którego nie słyszę, ale który czuję. Potem widzę mamę i tatę z gorącym kakao i kruchym, maślanym ciastem. Leżymy we czwórkę na kocach i patrzymy w niebo, śledząc wzrokiem płomykówkę, od czasu do czasu przesłaniającą księżyc. Wspomnienia rąk taty albo Liefia wokół moich ramion, chroniących mnie przed upadkiem, gdy wracamy do gospodarstwa zmęczeni, ale szczęśliwi.

Wspomnienia nocy, kiedy budziłam się i widziałam mojego dziesięcioletniego brata obok mojego łóżka, zasypiającego na stojąco z małą łopatą w dłoni.

– Co ty robisz? – pytałam.

– Śpij dalej – mamrotał. – Wszystko w porządku, jestem tutaj.

Ale teraz nie ma go tu. Teraz nie ma go tu.

Uderza we mnie fala rozpacz, prawie pozbawiając równowagi. Opieram się o futrynę, patrząc, jak Silas odstawia kubek, kiedy moja matka kończy pić. Dokładnie okrywa ją kocem, brzegi wsuwając jej pod boki. Załamuję ręce z nieopisanego żalu, który mnie ogarnia.

Kolejne wspomnienia: mamy czytającej mi i Liefowi, zanim jeszcze przeniósł się do własnego pokoju; taty stojącego w drzwiach i słuchającego, ze szklanką brandy w dłoni. Jego oczy są łagodne i skupione na mamie: jej delikatnych rumieńcach, pojawiających się pod jego spojrzeniem, i jej ustach, roześmianych ze szczęścia, że poświęca jej uwagę...

Wspomnienie Liefia i mnie kładących ją do łóżka w noc po tym, jak mój ojciec umarł. Wspomnienie naszej dwójki patrzącej na siebie ponad jej drżącą sylwetką, a potem, bez słowa, kładącej się do łóżka obok niej. Wspomnienie jej ramion oplecionych wokół mnie i Liefia, obejmującego nas oboje. Wspomnienie zapachu mojego ojca na poduszce. Nim wzeszło słońce, jego

zapach zniknął, a jego miejsce zajęły nasze łyzy, słone i gorzkie.

Oddalam się i czekam, aż Silas odejdzie od jej łóżka, po czym zamykam drzwi do jej pokoju na klucz. Gdy odwracam się w jego stronę, ma ramiona skrzyżowane na piersi i energicznie stuka w nie palcami.

– Co jej się stało?

Biorę głęboki oddech.

– Po tym, jak... Śpiący Książę najechał na Lormere, ona... Ona chyba poszła szukać Liefa. Jedyne, co przychodzi mi do głowy, to że chciała dostać się do Lormere, żeby go odszukać. Od kiedy się tam udał, zachowywała się dziwnie. Była cicha i nieobecna, ale przypisywałam to śmierci taty i przeprowadzce tutaj. Zazwyczaj musiałam ją skłaniać do jedzenia, ale miała się lepiej niż teraz. Sama się myła i ubierała. Ale kiedy dotarły do nas wieści, że Śpiący Książę zajął zamek i... Wtedy przestała robić cokolwiek. Pewnego dnia poszłam do studni po wodę, a kiedy wróciłam, już jej nie było. Znalazłam ją w lesie. Od tamtej pory jest taka.

– A blizny na jej rękach? Sama to sobie zrobiła? Czy dlatego podajesz jej napar z ziół?

Potrząsam głową.

– Nie. Była podrapana, kiedy ją znalazłam. Może to jakieś zwierzę? – Staram się mówić spokojnie i brzmieć rozsądnie. – Może jakieś ciernie? Kto wie? Sama nam nie powie. Oczyściłam rany i na szczęście nie było zakażenia, ale, jak sam widziałeś, zostały blizny.

Zapada długa cisza, a moje serce bije zbyt mocno, zbyt szybko.

– Nie możesz... Nie można jej pomóc? Nie ma tu jakiegoś miejsca, może klasztoru, do którego można by ją zabrać?

Prawie wybucham śmiechem. Tak, są takie miejsca. To przecież Tregellan. Jeśli ma się pieniądze, to można wysłać swoich najbliższych na leczenie do domku nad morzem. Ale jeśli się ich nie ma, to pozostaje jedynie przytułek dla obłąkanych albo więzienie dla włóczęgów.

Poza tym ona nie jest szalona. Ona jest bestią. Dla takich nigdzie nie ma miejsca.

– Nie. Nie ma. Nie dla nas.

Obydwoje pogrążamy się w ciszy – ja ściskam w palcach rąbek sukienki, on patrzy w kierunku drzwi. Po chwili odzywa się.

– Co jeszcze było w herbacie, którą jej dałaś?

– Rumianek i waleriana. Mak. Żeby mogła odpocząć – dodaję prędko. – Nie sądzę, że jest w stanie spokojnie spać. Myślę, że przez cały czas jest pogrążona w smutku. Ta herbata daje jej przynajmniej kilka godzin wypoczynku.

– A co z tobą?

Odwracam się w jego stronę.

– Co ze mną?

Wydaje mi się, że na mnie patrzy. Przez chwilę przygryza wargę, a potem zadaje pytanie.

– Czy ty... Jak ty sobie radzisz?

– Dobrze.

Kiedy odzywa się znowu, jego głos jest boleśnie uprzejmy.

– To wcale nie wygląda dobrze, Errin. Ani trochę. Widzisz to, prawda?

Nagle nie mogę znieść jego widoku i chcę, żeby wyszedł. Nie chcę myśleć o wszystkich powodach, dla których nie jest mi dobrze. Oczywiście, że wiem, że nie jest. Nie jestem głupia. Dobrze nie było, od kiedy umarł tata i nigdy już nie będzie.

Nie chcę myśleć o tacie, a już na pewno nie chcę myśleć o Liefie, o tym, że jest w Lormere albo w więzieniu, albo że próbuje walczyć z golemami; nie chcę myśleć o tym, jak go zabijają. Nie. On żyje. Czuję, jak coś we mnie wzbiera, jakby krzyk lub gejzer. Coś, o czym nie mogę myśleć, bo inaczej... Odganim to od siebie, odpycham obraz pustych oczu Liefia, ran na jego klatce piersiowej, jego głowy... Jego głowy... Nie, Errin. Wystarczy.

Moje oczy i gardło nadal płoną. Dobiegam do frontowych drzwi w trzech susach. Gdy otwieram je, wyraźnie sugerując mu wyjście, Silas wzdycha. Jego kaptur wisi nisko na jego twarzy, czego nagle nie mogę znieść. Pragnę go zerwać. Co on ukrywa? Kim on jest?

– Wyjdź – mówię szorstko. – Silasie, wyjdź, proszę. I nie wracaj tu.

Wydaje mi się, że patrzy na mnie przez dłuższą chwilę, przygryzając wargę. Potem przytakuje i przechodzi obok mnie. Zatrzymuje się na progu i odwraca w moją stronę.

– Myślę, że mógłbym ci pomóc – mówi łagodnym głosem.

Tak bardzo chcę mu uwierzyć. Zamiast tego zamykam drzwi, mimo że stoi zaraz za nimi. Siadam przy ogniu, trzęsąc się, ale nie z zimna. Spływa na mnie uczucie straty, rozbija się o mnie jak fala. Moje wnętrze zdaje się puste, oczy pieką, a zaciśnięte w pięści dłonie pocierają o siebie w złości.

Wystarczy. Nie mam na to czasu. Użalanie się nad sobą to luksus, na który nie mogę sobie pozwolić.

Tak jak chleb. Albo duma.

Wystarczy, Errin. Jest dużo do zrobienia. Wstawaj.

Próbuję się podnieść, ale muszę podeprzeć się o stół. Nie mogę się wyprostować pod jakimś niewidzialnym ciężarem.

Ból w klatce piersiowej naciska na żebra, które nagle zdają się kruche, delikatne, jakby nie były w stanie utrzymać mnie w całości. Moje oczy wypełniają się łzami, a pokój wokół mnie zaczyna się rozmywać.

Jestem sama. Tak bardzo sama. Wszyscy odeszli.

Nie, mówię samej sobie. Chcesz skończyć jak mama? Chcesz stracić rozum i biegać jak zwierzę po lesie? Przestań. Przestań natychmiast. Lief wróci. Na pewno. Musi wrócić. Wtedy znów wszystko będzie dobrze. Uczucie duszności narasta i narasta. Nie mogę oddychać, moje dłonie wykrzywają się w szpony, a serce wali tak szybko, że zaraz wybuchnie. Na zmianę jest mi zimno i gorąco. Raz pocę się, a raz drzę. Próbuję złapać oddech, a przerażenie przenika mnie aż do szpiku kości. Opadam na podłogę, przyciskając czoło do ziemi. „Wystarczy”, powtarzam raz za razem. „Proszę”.

Imadło zaciśnięte na moich żebrach powoli zaczyna się rozluźniać. Serce stopniowo zwalnia. Znow zaczynam widzieć i słyszeć. Oddycham głęboko, ale nie wstaję z ziemi, mimo nieprzyjemnego zapachu sitowia i błota pokrywającego podłogę. Wystarczy, że znow mogę oddychać.

Przeżyłam.

Mam nadzieję, że następnym razem również starczy mi sił.

Rozdział 5



W końcu udaje mi się podnieść i zabrać za obowiązki. Jestem wściekła, że zmarnowałam aż tyle dnia. Moje ciało zdaje się być kruche i wyczerpane. Mocno już wypalone świece migoczą gwałtownie, gdy poruszam się po pokoju, próbując pozbyć się strachu. Cały czas czuję się nieswojo we własnym ciele, jakbym nie do końca tu była.

Strzepuję schnące na sznurze tuniki i koce – ciągle tylko schną i nigdy całkiem nie wysychają – wcieram w nie suszoną lawendę i przysuwam bliżej ognia. Sortuję sitowie leżące na podłodze i wyrzucam to najbardziej zniszczone. Zasłaniam okna najlepiej jak umiem, zatykając szczeliny w okiennicach starymi szmatami. Potem gotuję garnek rzadkiej zupy.

Siadam na ławce z miską w dłoniach i przyglądam się pomieszczeniu. Wygląda na tak samo zaniedbane jak wcześniej, a nawet bardziej przez przerzedzone sitowie i pustą przestrzeń. Żaden znajdujący się tu mebel nie jest nasz. Stół, ławka, palety, a nawet zniszczony bujany fotel – wszystko już tu było, kiedy przybyliśmy. Cały nasz dobytek to stara skrzynia we wnęce obok kominka, jej zawartość i odrapany gliniany garnek.

Przez chwilę bawię się myślą, że mogłabym zrobić kilka prostych mikstur i nalewek, które mogłabym sprzedać lub użyć podczas drogi. Pierwszy jednak raz nie czuję natchnienia, żeby zatracić się w warzeniu i odmierzaniu składników, w mojej sztuce. Nie czuję natchnienia, żeby robić cokolwiek. Spoglądam na miskę wodnistej zupy i czuję, jak ścisza mnie w gardle. Na wszystkich bogów...

Mimo że jest jeszcze dość wcześnie, podsycam ogień i wczołguję się na swój siennik, zakrywając się kocem po same uszy. Wyśpię się, skoro mam okazję. Dzisiaj jest druga noc. Dzisiaj będzie do mnie mówiła.

Przez ostatnie trzy miesiące ten mężczyzna był w prawie wszystkich moich snach. Jest wysoki, prawie tak wysoki jak Silas i tak samo szczupły. Tak jak w przypadku Silasa, nie znam jego twarzy. Nigdy jej nie widzę. Czasami uda mi się uchwycić błysk oka albo wrażenie uśmiechu, ale zawsze są one ulotne. Tak jak to bywa w snach, kiedy coś się wie, wcale tego nie wiedząc. To chyba nie przypadek, że ten mężczyzna ze snu pojawił się w moim życiu krótko po tym, jak poznałam Silasa.

Ale to nieważne, ponieważ kimkolwiek on jest, jego obecność zdaje się znajoma i podnosi mnie na duchu. Mówi do mnie, ale jego słowa natychmiast znikają, pozostawiając dobre samopoczucie. Znam go. To mój przyjaciel.

Czasami bierze mnie za rękę albo pokrzepiająco gładzi po ramieniu. Kiedyś stanął za mną, kiedy pracowałam przy stole w starej aptece, i objął mnie swoimi długimi rękami, a jego palce spoczęły na mojej talii w akcie zaborczości, który przyprawił mnie o dreszcz. Po przebudzeniu moje serce łomotało w inny, zakazany sposób.

Dziś śni mi się dom. Znow jestem w aptece, przygotowuję lekarstwo. Te sny kocham najbardziej, a jednocześnie najbardziej ich nienawidzę: kocham je, bo jestem tam, gdzie moje miejsce, i robię to, co lubię najbardziej. Nienawidzę ich, bo to tylko sny, które stracę tak samo, jak straciłam ojca. Dzisiaj mężczyzna stoi nade mną, kiwając głową i uśmiechając się zachęcająco, gdy wyciągam ręce po kolejne składniki mojego lekarstwa. Recytuje listę składników, a ja posłusznie za nią podążam. Robię to, co każe, i wyczuwam, że sprawia mu to przyjemność. Mam na sobie moją ulubioną niebieską tunikę. Kieszenie fartucha są ciężkie od składników, a ja jestem maksymalnie skoncentrowana. Wiem, że to najważniejsza mikstura, jaką kiedykolwiek przygotuję. Uzdrowi moją matkę i sprowadzi brata. To jest napar, który zmieni wszystko. A ja umiem go przygotować. Tylko ja mogę to zrobić.

Mężczyzna mówi coś, a ja spoglądam w górę dostatecznie szybko, żeby ujrzeć błysk bieli, zanim zdąży się odwrócić. Ponownie spoglądam na swoją miksturę i widzę, że kipi. Nie udało się. Mężczyzna potrząsa głową, a jego frustracja jest prawie namacalna. Wtedy słyszę hałas. Rada jest już pod drzwiami. Nazywają mnie czarownicą, zdrajczynią. Krzyczą, że powieszą mnie za warzenie trucizn. Spalą na stosie. W oknach widzę blask pochodni. Szkło zaczyna bulgotać i topić się od gorąca. Setki pięści żądnych mojej śmierci uderzają w drzwi apteki. Mężczyzna nie mówi nic, stoi do mnie tyłem, jego ramiona są opuszczone w geście rozczarowania.

Kiedy się budzę, walenie do drzwi oczywiście okazuje się być nie rozwścieczonym tłumem, a moją matką. Ogień nadal mocno płonie. Nie mogłam spać dłużej niż kilka godzin. Siadam, próbując złapać oddech. Ciągłe mając w głowie koszmarny sen, przyglądam się cieniom skaczącym po pokoju jak tańczące dzieci. Trzęsą mi się ręce, a palce nadal mam zaciśnięte, jakbym trzymała łyżkę.

Łomotanie zmienia się, staje się bardziej miarowe, co wywołuje u mnie dreszcz. Matka uderza rytmicznie, raz-dwa-trzy, raz-dwa-trzy, jak muzyka rozpoczynająca przedstawienie. I tak jak w przedstawieniu ma swoje otwarcie, na które czekam w ciemności.

– Zbudź się, malutka – odzywa się matka, groteskowo udając sympatię. – Pora wstawać, moja słodka, moja najdroższa córeczko.

– Prześlą – szepczę, zakrywając uszy dłońmi. Nie wiem, czy pamięta, co mówi i robi, kiedy jest w takim stanie. Oby nie, proszę, oby nie.

– Errin – matka szepcze zza zamkniętych drzwi. – Słyszysz mnie, moja droga, moja kochana? Jestem samotna, Errin. Tęsknię za twoim ojcem. Tak bardzo tęsknię! I za Liefem. Pamiętasz jeszcze swojego brata? Swojego pięknego, mądrego brata. Czy jakakolwiek inna matka została obdarowana dwójką tak mądrych i zdolnych dzieci? Otwórz drzwi, moje dziecko. Usiądź obok mnie i pozwól się przytulić. Będziemy razem opłakiwać naszych utraconych chłopców.

Wargi zaczynają mi drżeć, a do oczu napływają świeże łzy.

– Słyszę cię, moja piękna. – Drapie w drzwi. – Czuję twój zapach. Posłuchaj córeczko, Śpiący Książę się zbliża. Przyjedzie tu ze swoją armią. Nie chcę, żeby i ciebie zabrał. Nie chcę, żeby odebrał mi wszystkie dzieci. Chodź do mnie i pozwól mi się ochronić. Chodź do matki, Errin.

Słyszę cichy odgłos skrobania i przetykam ślinę.

– Nie musisz być sama, malutka.

– Nie chcę być sama – szepczę mimowolnie, ledwie słysząc własne słowa, ale bestia słyszy je wyraźnie.

– To otwórz te drzwi, Errin. Otwórz drzwi.

Łzy ciekną mi po policzkach. Wstaję i zrzucam z siebie koce. Drewniana podłoga skrzypi.

– Grzeczna dziewczynka. – W jej głosie słychać uśmiech. – Moja grzeczna dziewczynka. Chodź do mnie.

Kiedy dobiega ją dźwięk wody, którą nalewam sobie do szklanki, przestaję być jej grzeczną dziewczynką.

Staram się ignorować jej szal, skupić się na picciu wody, której każdy łyk litościwie ucisza ją na krótką chwilę. Pierwszej nocy, kiedy to się stało, prawie otworzyłam drzwi i pozwoliłam jej zrobić, co tylko zechce, bo nic nie wydawało mi się gorsze od wysłuchiwania, że Lief i mój ojciec odeszli z mojej winy. Godzinami mówiła mi, jak bardzo mnie nienawidzi, że nigdy mnie nie chciała i jak ojciec płakał z żalu, kiedy się urodziłam, i prosił ją, żeby mnie utopić. Potem było inaczej. Mówiła mi, że mnie kocha, że mamy tylko siebie i że jestem wszystkim, czego kiedykolwiek chciała. Mówiła mi, że została wybrana, że ja również i jeśli otworzyłabym drzwi...

Później zaczęłam wkładać do uszu kawałki szmat nasączone woskiem, obwiązując głowę paskiem materiału, żeby nie wypadły. Nie zagłuszało jej to całkiem, ale trochę tłumilo najgorsze momenty. Kiedy uderzenia robią się tak gwałtowne, że garnek zaczyna bujać się na haczyku, spoglądam uważnie w stronę drzwi, ale do tej pory mama nie miała wystarczająco dużo siły, żeby je wyłamać. Czekałam, aż się zmęczy, aż agresja pozbawi ją energii. Kiedy tak się dzieje – wiedząc, że wytchnienie nie potrwa długo – przechodzę cicho przez pokój i otwieram skrzynię. W tej samej chwili otaczające mnie wspomnienia uderzają we mnie i tłumią moje zmysły.

W skrzyni jest płaszcz ojca i wydaje mi się, że wciąż czuję na nim jego zapach, zapach słomy i ziemi utrwalaony w grubych wełnianych włóknach. Przyciskam go do twarzy i wyobrażam sobie, że to jego broda, że pochyła się nade mną, żeby pocałować mnie w policzek na dobranoc. Moje serce

ponownie ściska się z poczucia straty.

Po cichu przeglądam zawartość skrzyni, przekładam stare książki, teksty, listy i tabele z mojego dawnego życia. Zawinięta w aksamit waga z brązu, zbyt cenna, żeby jej tu używać, zbyt dla mnie ważna, żeby ją sprzedać. Prezent od Mistrza Pendie za zdobycie kompletu punktów na testach na trzecim roku.

Na samym dnie skrzyni od dawna zakopane jest to, czego szukam: wielka, stara, oprawiona w skórę księga z opowieściami mamy. Brzegi jej grzbietu są poprzecierane i zniszczone, oprawa zaczyna odchodzić w miejscu, w którym grzbiet oddzielił się od kartek. Na skórze widać ciemne odciski tam, gdzie dotykały jej nasze palce. Odciski palców dzieci i dorosłych tworzące mozaikę na niegdyś nieskazitelnej okładce.

Znałam te stare historie zanim jeszcze nauczyłam się doić krowę. Zabieram ją do swojego legowiska z siennika i instynktownie otwieram na opowieści o Szkarłatnym Varulvie. Stało się to moim rytuałem. Wykopuję księgę z dna skrzyni, kiedy jest pełnia, i czytam książkową wersję, podczas gdy prawdziwa bestia czai się na mnie w pokoju obok. Natura kłątwy różni się od tego, co napisano w książce. Przekonała się o tym na własnej skórze cała kraina.

W opowieści *Szkarłatny Varulv* młoda dziewczyna gubi się w lesie, po czym zostaje uratowana przez piękną kobietę i zabrana do jej zamku, gdzie ucztuje i bawi się. Pewnej nocy dziewczynę budzi ugryzienie w nogę, a pod swoim przykryciem dostrzega parę jarzących się czerwienią ślepi. Ratując się ucieczką, w końcu dociera do domu, gdzie pada zemdlona w ramiona uradowanego jej widokiem ojca. Miesiąc później czuje się dziwnie i kładzie się spać wcześniej niż zazwyczaj. Kiedy budzi się następnego ranka, jej koszula nocna jest zbroczona krwią i coś chrzęści jej w zębach. Wychodząc z sypialni, dostrzega martwego ojca, podczas gdy wszystkie drzwi są nadal pozamykane. Dziewczyna biegnie do lasu i ukrywa się między drzewami, gdzie po miesiącu atakuje i gryzie zagubionego drwala. Udaje mu się uciec i opowiedzieć o ataku swoim znajomym i innym mieszkańcom wioski, którzy przeczesują las w poszukiwaniu dziewczyny.

W końcu zostaje złapana i przywiązana do pala na rynku. Pod nią podpalony zostaje stos. Kiedy ginie w płomieniach, mieszkańcy wioski zapalają pochodnie i udają się do domu drwala. Są głusi na błagania rodziny, której pozostaje jedynie patrzeć przez okna, jak sąsiedzi i znajomi podpalają ich dom, wiedząc, że wszyscy nadal są w środku.

Przekłętej dziewczynie z książki w każdą pełnię wyrastało rudawe futro i spiczaste uszy, ale moja matka nie zmienia się tak, przynajmniej nie fizycznie. Kiedy księżyc zaczyna się zaokrąglać, staje się niespokojna, nerwowo rozgląda się po pokoju, a jej ręce poruszają się w nienaturalny, gwałtowny sposób. Wtedy białka w jej oczach stają się różowe, potem czerwone. Ich kolor wraca do normy, kiedy pełnia się kończy. W takie noce po zmroku nie mogę się do niej nawet zbliżyć. Mimo że jej ciało nie pęka, a kości i zęby nie wydłużają się, całe jej człowieczeństwo zostaje stłumione przez chęć gryzienia i rozszarpywania, zarówno palcami, jak i słowami.

Za pierwszym razem, kiedy bestia przejęła kontrolę, weszłam do niej zbyt szybko po wschodzie słońca. Rzuciła się na mnie i udało jej się złapać mnie za kostkę i przewrócić na ziemię. Uderzając twarzą w brudne sitowie pokrywające stare drewno, ukruszyłam sobie kawałek zęba. Gdyby stało się

to kilka sekund wcześniej, gdyby słońce nie było jeszcze tak wysoko nad horyzontem, gdybym nie miała na sobie dwóch par wełnianych skarpet... Zbyt wiele gdybania i sporo szczęścia... Może teraz byłabym taka jak ona.

Początkowo, zanim jeszcze wiedziałam, z czym mam do czynienia, próbowałam znaleźć lek. Przeszukiwałam stare księgi w nadziei, że natrafię na podobne objawy. Myślałam, że wystarczy tylko znaleźć na odpowiedniej stronie odpowiednią recepturę. Naprawdę myślałam, że tym razem nie zawiodę. Jednak jedyny pasujący opis znajdował się w książce, której nie miałam odwagi otworzyć. Kiedy w końcu sięgnęłam do niej w chwili desperacji, wiedziałam już, że nie istnieje żadne lekarstwo.

Wtedy podjęłam próbę stłumienia bestii, uspienia jej: rumianek, chmiel, lawenda, melisa. Niestety, udawało jej się przełamać działanie moich najsilniejszych mikstur uspokajających – nawet przy użyciu niebezpiecznie dużych dawek, po upływie godziny lub dwóch znów zaczynała walić w drzwi.

W końcu desperacja zmusiła mnie do sięgnięcia po bardziej nieprzyjemne rośliny: mak, piołun, nawet małe, rozcieńczone nalewki z tojadu. Raz za razem łamałam prawo, zbierając zakazane rośliny i jagody: bałam się, że ją zabiję, ale równie mocno obawiałam się, że ona zabije mnie pierwsza. Z takimi roślinami trzeba postępować podobnie jak z dziką bestią. Nie powinno się ich szukać, a jeśli już się to robi, zawsze trzeba mieć się na baczności i nie ufać im. Należy je szanować i bać się ich. Jednak jej bałam się bardziej.

I tak nic nie zadziało. Gdy zbliżała się pełnia, śledziła mnie wygłodniałym wzrokiem, a jej palce zwijały się jak szpony. Obwąchiwała mnie, kiedy kładłam ją do łóżka. Kiedy zdałam sobie sprawę z własnej porażki, moja pomoc ograniczyła się do zapewnienia sobie kilku godzin wytchnienia. Gdyby mój mistrz aptekarski, Mistrz Pendie, widział mnie teraz, zemdliłoby go.

Wygląd mojej matki właściwie nie zmienia się, kiedy próbuje zrobić mi krzywdę. Nie wyje do księżycy, ale szepcze moje imię, prosząc, żebym otworzyła drzwi, błagając, żebym z nią była i pocieszała ją.

Tylko wtedy w ogóle się do mnie odzywa.

*

Odwracam kartkę i staję twarzą w twarz ze Śpiącym Księciem. Przyglądam się przedstawiającej go ilustracji. Srebrne włosy spływają po jego plecach wzdłuż stronicy. W ramionach trzyma piękną, ciemnoskórą kobietę. Spogląda z kartki dumnym i opiekuńczym wzrokiem, a kobieta patrzy na niego. Jedna z jego dłoni spoczywa na jej twarzy, a ona zdaje się tulić do niej z na wpół przymkniętymi oczami.

Zanim zaczęłam uczyć się zawodu, nie wiedziałam, że Nosiciel również pojawia się w opowieści o Śpiącym Księciu. Oczywiście słyszałam o nim: „Bądź grzeczną dziewczynką albo przyjdzie Nosiciel” – tak mawiali rodzice. Nie zdawałam sobie sprawy, że jego początki są powiązane ze Śpiącym Księciem, do dnia, w którym czekając, aż uwarzy się mikstura, przeglądałam kopię

opowiadania należąca do Mistrza Pendie. Właśnie wtedy po raz pierwszy sama przeczytałam tę historię. Gdy byłam dzieckiem, mama, tata i Lief czytali mi ją. Kiedy dorosłam, przestałam się interesować starymi baśniami, a zamiast tego zaczęłam wymyślać własne. Jednak tego dnia wzięłam książkę i przeczytałam ją całą. Włączając fragment, w którym Śpiący Książę został ojcem, ale nigdy się o tym nie dowiedział. Zrozumiałam, dlaczego rodzina pomijała ten fragment. Nie mogłabym spać tygodniami, śniąc o dziewczętach – może nawet o sobie samej – prowadzonych do Śpiącego Księcia przez jego przekłętą syna, żeby mógł wyrwać im serca. Przerazające było dowiedzieć się, wiele lat później, że ta tragiczna historia miała jeszcze mroczniejsze zakończenie, niż początkowo myślałam.

Jednak nawet gdy już o tym wiedziałam, trudno było mi uwierzyć, że ten łśniący, uśmiechnięty książę z opowieści mógłby zjadać ludzkie serca. Patrząc, jak trzyma w ramionach córkę szczurołapa, jakby była ze szkła, byłam pewna, że nigdy by się czegoś takiego nie dopuścił. Jego ciepłe, bursztynowe oczy wydawały się być pełne troski. Nie potrafiłam pogodzić słów z obrazkami, nadal nie potrafię. Nie do końca. Mimo że wiem już, że to wszystko prawda, a nie tylko opowieść.

Zastanawiam się teraz, czy wszystko potoczyłoby się inaczej, gdybyśmy uważniej słuchali tej historii. W naszych lasach widziano Nosiciela z ciemnowłosą dziewczyną i nikt nic sobie z tego nie robił. Wszyscy myśleli, że to para kochanków uciekających z Lormere – nie byłby to pierwszy raz – i nikt nie zwracał na nich uwagi. Zanim było za późno. To był stary przesąd. Raz na sto lat syn Śpiącego Księcia wstaje z grobu i przemierza krainę w poszukiwaniu serca, żeby nakarmić swojego ojca. Bzdury i zabobony, to pewne. Wszyscy zapomnieli, że legenda o Śpiącym Księciu była – lub nadal jest – prawdą.

Kiedy nastaje świt, przygotowuję mojej matce śniadanie, herbatę, a później myję ją. Wymiatam z jej pokoju zabrudzone sitowie i wymieniam koce na łóżku. Kiedy kończę, matka kładzie się na plecach i patrzy w sufit. Zostawiam ją tak i zamykam drzwi.

Już mam odejść, ale nagle słyszę zbliżające się głosy. Wpadam w panikę i sięgam po nóż. Wtedy przypominam sobie, że to właśnie dziś ma się odbyć ewakuacja, co potwierdza się, gdy ostrożnie zerkam przez okno. Obok przechodzi Stary Samm. Za sobą ciągnie mały wózek z wypchanymi jutowymi workami i skarży się idącemu obok odzianemu w zieleń żołnierzowi. Gdybym była w innym miejscu, być może uchyliłabym okiennice i pomachała, ale nie jestem. Nie chcę ściągać na siebie niczyjej uwagi. Nie chcę tu żołnierzy przekonujących nas, że również musimy odejść. Muszę mieć nadzieję, że Unwin uwierzył w moją historię o chorej matce i nie będzie próbował pozbyć się nas siłą. To nie problem, jeśli przyjdą po nas, kiedy pełnia już minie. Zawsze mogę odurzyć matkę i powiedzieć, że to choroba tak ją osłabiła. Jeżeli uda nam się jakoś przetrwać kolejne kilka dni, będę miała trzy tygodnie na znalezienie jakiegoś innego opuszczonego miejsca, żeby nas w nim ukryć. Może gdzieś na południu, w okolicach rzeki Penaluny?

Muszę iść do studni i przynieść wystarczająco dużo wody, żeby za często nie wychodzić. Im mniej osób mnie widzi, tym lepiej. Niech myślą, że też stąd odeszliśmy. Muszę też udać się do lasu. Przypominam sobie słowa Unwina o zabijaniu ludzi na miejscu i przeszywa mnie dreszcz.

Ale to nieważne, bo i tak nie mam wyjścia. Potrzebuję ziół i wszystkich jagód, orzechów i bulw, jakie uda mi się znaleźć. Muszę zapewnić nam wystarczająco dużo jedzenia, żeby przetrwać następne kilka dni. Muszę też zrobić mikstury i lekarstwa do sprzedania podczas drogi. Przede wszystkim potrzebuję wystarczająco dużo naparów z maku, żeby opanować bestię. Po prostu będę musiała trzymać się z daleka od granicy i nie pozwolić nikomu się zobaczyć.

Las wydaje mi się nieprzyjazny, kiedy pochylając się nisko, przemykam między drzewami od cienia do cienia. Wiem, gdzie znaleźć makówki i psianki, dlatego najpierw tam się udaję. Poruszam się powoli i nasłuchuję najcichszych nawet dźwięków. Staję jak wryta na widok wiewiórki skaczącej po gałęziach sosny. Po chwili rzucam w nią nożem. Jestem jednak zbyt wolna. Nie trafiam, a wiewiórka znika, ale uderzenie rękojeści noża o korę w środku lasu wydaje się głośne. Zamieram i nasłuchuję z przerażeniem, spodziewając się, że przez moją nieostrożność zaraz usłyszę krzyki i kroki zbliżające się w moją stronę. Czekam dłuższą chwilę i gdy czuję się już wystarczająco bezpiecznie, podnoszę nóż i chowam go za pas, dziękując za swoje szczęście. Nieco jednak żałuję zmarnowanej okazji. Szkoda, że ojciec nie nauczył mnie polować. Naprawdę zabiłabym za trochę mięsa na gulasz.

Przypominam sobie jednak, że nie mogę przesadzać z rozpalaniem ognia, żeby zbyt nie przyciągać uwagi. Mam nadzieję, że będę miała tyle szczęścia w unikaniu żołnierzy i Unwina, ile ta wiewiórka miała w unikaniu mnie.

Udaje mi się zebrać makówki i nie trafić na nikogo, jednak gdy zbliżam się do kępki psianek, nagle słyszę cichy szelest. Określenie miejsca, z którego dochodzi, zajmuje mi chwilę. Kiedy porusza się, rozpoznaję ten dźwięk – to płaszcz ciągnięty przez liście. Natychmiast przykucam, podnoszę rąbek płaszcza i najciszej jak potrafię ukrywam się za krzakiem ostrokrzewu. W dłoni ściskam nóż, moje serce wali jak młot.

Gdyby nie to, że przez ostatnie trzy miesiące uczyłam się jego ruchów, pewnie nie poznałabym Silasa idącego przez las. Stanowczo kroczy na swoich długich nogach, przecinając ścieżkę naprzeciw mnie. Zatrzymuje się jakieś dwadzieścia pięć lub trzydzieści stóp przede mną, obraca głowę i rozgląda się wokół, nie zdejmując kaptura. Moje usta same się otwierają i zastanawiam się, czy oszalałam, ponieważ czuję się, jakbym po raz kolejny oglądała nasze pierwsze spotkanie. Właśnie w tym lesie.

Prawie zaczynam krzyczeć, kiedy z lasu wyłania się kolejna postać w płaszczu, jednak opanowuję się, gdy Silas uśmiecha się szeroko na widok przybysza. Znów prawie zaczynam krzyczeć, kiedy Silas, który, jak sądziłam, nie znosi być dotykany, obejmuje zakapturzoną postać, jakby była jego dawno zaginionym krewnym. Obejmują się przez dłuższy czas, poklepują delikatnie po ramionach, po czym spoglądają na siebie i rozmawiają cicho, wciąż trzymając się za ręce. Nie słyszę, co mówią, ale widzę wyraźnie, że wzajemne towarzystwo bardzo ich cieszy, co po raz kolejny przepełnia mnie gorczą zazdrości. Na mój widok nigdy się tak nie cieszył.

Odwracają się i wspólnie idą w kierunku Almwyk. Bez chwili zwłoki porzucam własne zajęcia i podążam za nimi. Kim jest ta osoba, że Silas zaryzykował, że ktoś go zobaczy – albo zabije? Czy właśnie dlatego tutaj jest? Idąc za nimi, zauważam, że nieznajomy jest niższy od Silasa. Musi

poruszać się nieco szybciej, żeby nadążyć za jego długimi krokami. Skręca mnie w żołądku, gdy Silas obejmuje ramieniem nieznanego i idą tak przez pewien odcinek. Co jakiś czas zatrzymują się, żeby chwilę porozmawiać, a potem ruszają dalej. Przez cały czas muszę kucać za krzakami i chować się za drzewami, żeby mnie nie dostrzegli. Starając się pozostać w ukryciu, nagle tracę ich z oczu. Panikuję, kiedy docieram do miejsca, gdzie ostatni raz ich widziałam, lecz nie ma po nich śladu.

Przyglądam się podłożu, szukam poruszonych liści albo odcisków stóp. Wtedy słyszę za sobą dziwny świst i uderzenie. Dostaję gęsiej skórki, a moje tętno przyspiesza. Mija dłuższa chwila, zanim udaje mi się rozpoznać ten dźwięk. Widok drugiej strzały wbijającej się w pień drzewa obok mojej głowy potwierdza moje obawy.

Żołnierze.

Zapominam o Silasie i jego przyjacielu, porzucam swój koszyk i zaczynam biec.

Biegnę między drzewami i skręcam nieprzewidywalnie, żeby utrudnić zadanie żołnierzom, których krzyki słyszę coraz bliżej. Są odurzeni żądzą krwi i euforią pogoni. Nie sądziłam, że podejda tak blisko miasta. Myślałam, że będą strzec granicy w głębi lasu. Nie zatrzymuję się, żeby sprawdzić, ilu biegnie za mną. Nawet nie myślę o tym, żeby się poddać. Wiem, że dosięgnie mnie strzała, gdy tylko opuszczę kaptur. Zamiast tego skaczę ponad korzeniami i ślizgam się na uschniętych liściach, mknąc na oślep w stronę, gdzie powinien być mój dom. Przebijam się przez krzaki, łamiąc gałęzie, które wplątują mi się we włosy i chłoszczą po twarzy i ciele.

Obok przelatuje kolejna strzała. W prawym uchu czuję pieczenie. Dotykam go dłonią. Jest cała we krwi. Nie, nie, nie. Biegnę dalej. Mój płaszcz zahacza o zwalone drzewo i przewracam się na ziemię tuż za nim. Uderzenie o podłoże jest tak silne, że aż dzwoni mi w zębach. Spoglądam w górę i widzę kamień spadający dziesięć stóp dalej. Gdybym nadal biegła...

Turlam się, a potem rzucam w lewo, w stronę gęstego modrzewiowego lasku. Przez cały czas modlę się, żeby zjawił się Silas albo ktokolwiek inny. Żołnierze są coraz bliżej.

Kiedy przedzieram się przez modrzewie, prawie wpadam na rząd kolejnych kilkunastu ludzi odzianych w zielone tuniki z uniesionymi mieczami w dłoniach. Szarżują w moją stronę, ale ignorują mnie, przebiegając obok. Odwracam się zdumiona i zauważam, że moi prześladowcy wcale nie są żołnierzami, ale bandą około piętnastu ludzi ubranych na czarno, rzucających się z mieczami i włóczniami na znajdującą się pomiędzy mną a nimi linię żołnierzy. Mają twarze owinięte szalami i zbroje złożone z niedopasowanych elementów, ale nie pozostawiają wątpliwości co do swoich złych intencji.

Jeden z żołnierzy podbiega do mnie i za ramię odciąga mnie od toczącej się walki. Dźwięk bitwy niesie się echem między drzewami: krzyki i wrzaski, metal uderzający o metal. Powietrze również pachnie metalem. Ryzykuję kolejne spojrzenie w tył i widzę ogień na czubkach niektórych włóczni, ogień spadający chaotycznie na ziemię pod postacią płonących strzał. Jeden z żołnierzy zostaje trafiony i pada bez ruchu w suche liście. Zapiera mi dech. Ziemia ponownie zbliża się w kierunku mojej twarzy i muszę wyciągnąć ręce, żeby kolejny raz nie upaść.

– Niech pani wstanie – rzuca żołnierz. – Chyba że chce tu pani zginąć.

– Przepraszam – dyszę i próbuję się podnieść. Spoglądam w górę i zatyka mnie. Żołnierz, który do mnie mówi, ma na sobie niebieską szarfę, a miecz ściska tak mocno, że na nadgarstku widać mu wszystkie ścięgna, wyraźnie odcinające się pod bliznami od gorącego żelaza. Kiedy widziałam go ostatni raz, cztery miesiące temu, był jeszcze chłopcem, jak Lief. Jego ciemne policzki były gładkie, a brązowe oczy rozszerzone od strachu i nadziei, kiedy zapraszał moją najlepszą przyjaciółkę na dożynkową zabawę.

Mężczyzna przede mną nosi wyszczerbiony hełm, na jego podbródku widać zarost. Nawet kształt jego twarzy nie jest już taki sam. Jakby ostrzejszy i silniejszy. Jego oczy jaśnieją, ale nie widać w nich nadziei, tylko czujność, kiedy spogląda raz w lewo, raz w prawo ponad moją głowę.

– Czy to ty? – pytam, nie mogąc uwierzyć, że widzę przed sobą utracone ogniwo łączące mnie z przeszłością.

Po jego twarzy widać, że mnie poznaje, i powoli pojawia się na niej uśmiech.

– Errin? – pyta, a ja przytakuję.

Wtedy słyszę ten straszny świst, a on przechyla się do przodu i upada na brzuch z jękiem zaskoczenia.

W jego nodze tkwi płonąca strzała.

Rozdział 6



– Kirin? Kirin, nie! – krzyczę i wyciągam ręce w stronę strzały, która już się wypala. Wtedy uświadamiam sobie, że w dłoni nadal trzymam nóż. Przez cały ten czas ścisnęłam go tak mocno, że rękojeść zostawiła podłużne ślady na mojej dłoni.

– Szybko, Errin, nie zatrzymuj się – mówi Kirin Doglass, sapiąc i z trudnością podnosząc się z ziemi. Odciąga mnie, a walka za naszymi plecami staje się coraz głośniejsza i bliższa.

Obok nas wciąż przelatują strzały i wbijają się w ziemię. Głowę trzymam nisko, obydwójce skręcamy raz w lewo, raz w prawo w nadziei, że nie znajdziemy się na drodze żadnej z nich. Kirin na wpół podskakuje, na wpół utyka. Jego zęby są zaciśnięte, a oczy skupione na drzewach przed nami. Nie patrzę w tył, mimo że desperacko chcę się dowiedzieć, czy żołnierze utrzymali szyk. Przez las niesie się echo uderzających o siebie mieczy. Ogarnia mnie panika. Co jeśli przegrają? Odganiam tę myśl, podchodzę do Kirina i obejmuję go ramieniem w pasie, pomagając mu wyjść chwiejnym krokiem z tego, zdawać by się mogło, niekończącego się lasu. Ledwie mogę uwierzyć własnym oczom, kiedy w końcu dostrzegam jego kres.

Dopiero kiedy jesteśmy już poza linią drzew, Kirin osuwa się na ziemię. Jego szczeka nadal jest zaciśnięta, a oczy płoną w jego pobladłej twarzy. Spogląda na swoją przebitą nogę.

– Musimy iść dalej – ponaglę go, spoglądając przez ramię pewna, że za chwilę nas dopadną.

– Nie mogę.

– Tam mogą być golemi.

– Nie – odpowiada z trudem.

– Nie wiesz tego...

– Errin. – Jego słowa brzmią jak rozkaz. – Musisz wyciągnąć tę strzałę. – Zaciska zęby.

– Nie. To nie jest dobry pomysł. Dopóki jest w twojej nodze, działa jak zatyczka. Nie możesz jej ruszać, zanim nie udasz się do lekarza.

Wzdycha.

– W porządku. Sprawdź, proszę, czy wyszła czysto z drugiej strony.

– Chyba tak. Patrz – mówię, a jego szczeka sztywnieje jeszcze bardziej.

– Nie mogę.

– Kirin, tu jest...

– Errin. Nie mogę – odpowiada przez zaciśnięte zęby. Zdejmuje hełm z głowy i upuszcza go na ziemię. Potem rozpina płaszcz, zrywa go z siebie, zwiija w kulkę i kładzie na hełmie. Jego krótkie, mocno kręcone włosy lśnią od potu. Stara się nie patrzeć na swoją nogę.

Chowam nóż i robię to, o co mnie poprosił. Gdy zbliżam się do rany, nagle ściska mnie w żołądku. Przez jego ciało przeszło przynajmniej sześć cali drewna. Z bliska wygląda to strasznie. Metalowy grot jest nadzwyczaj czysty.

– Tak – mówię, przełykając ślinę.

– Czy grot jest nadal przymocowany?

– Tak.

– Linką? Drutem? Woskiem? Widzisz, w jaki sposób?

– Chyba woskiem. Może klejem? – Pochyliam się i przyglądam. – Woskiem. Z dobrych świeczek.

Wzdycha lekko.

– Dzięki bogom. Czy możesz go odłamać?

– Po co?

– Muszę mu się przyjrzeć. Sprawdzić, czy nie jest zatruty.

– Jeśli poruszę strzałę, mogę rozerwać ranę.

Kirin potrząsa głową.

– Errin, proszę. Muszę być pewien. Powinien łatwo się odłamać. – Jego głos brzmi bardzo spokojnie, ale ręce drżą, a twarz jest szara i zdradza napięcie. Znowu skręca mnie w brzuchu.

Przypominam sobie, jak przyuczałam się do zawodu aptekarza. Wiele razy widziałam, jak lekarze oczyszczali ropiejące rany, wyciągali z nich metalowe i drewniane drzazgi, żeby później zastosować na nich przygotowane przeze mnie specyfiki. Dam radę.

Rozrywam nogawkę jego spodni wzdłuż szwu, chwytam promień strzały lewą dłonią i zapieram się o jego kolano, ignorując gwałtowny wdech, który wtedy bierze. Grot chwytam drugą dłonią. Nie jestem uzdrowicielką, nigdy nie musiałam łamać kości, żeby je nastawiać, ale pewnie byłoby podobnie jak teraz. Ta straszna odpowiedzialność i świadomość, że zadaję komuś ból gołymi rękami. Kiedy patrzę na grot, znowu czuję ściskanie w brzuchu. Skoro nie odpadł przy uderzeniu, musi się mocno trzymać. Nie ma szans, żeby chłopak nic nie poczuł.

Biorę głęboki oddech, zamykam oczy i wykonuję szybki ruch prawą dłonią. Mdli mnie, gdy słyszę odgłos łamanego grotu i krzyk Kirina.

Gdy na niego patrzę, pot spływa mu po twarzy.

– Kirin – mówię, ale on podnosi drżącą dłoń.

– Sprawdź koniec strzały – odpowiada, a jego głos jest słaby i zdaje się dochodzić z oddali. – Czy został na nim jakiś воск? Jakies drzazgi, luźne kawałki drewna albo pęknięcia?

– Nie. Przepraszam, Ki...

Bez ostrzeżenia chwyta za promień strzały powyżej lotki i wyciąga ją. Zaraz potem osuwa się, wpadając twarzą w błoto, po czym podnosi się na chwilę i wymiotuje.

Nie przeszkadzam mu. Ponownie wyciągam nóż, rozkładam leżący obok płaszcz i odcinam pasek materiału z jego górnej części, gdzie jest nieco czystszy. Opatrunek zawiązuję nieco poniżej kolana. Krwawienie natychmiast się zmniejsza. Odcinam kolejny pasek, żeby oczyścić rany. Dzięki bogom, wydają się być niegroźne.

– Masz szczęście – mówię, odcinając kolejne dwa paski grubej wełny, żeby osłonić ranę, i trzeci na bandaż. – I pusto w głowie.

– Przepraszam – odpowiada Kirin, spluwając na ziemię.

– Nigdy więcej tego nie rób. Nigdy. Nie masz pojęcia, co mogło się stać. Mogłeś się wykrwawić w ciągu kilku chwil.

– Wolę umrzeć tutaj niż w lekarskim namiocie. – Bierze ode mnie dwa opatrunki i przytrzymuje je na ranach, gdy ja obwiązuję je pozostałym paskiem materiału, żeby utrzymać je w miejscu. Kiedy kończę, spoglądam na Kirina i zauważam, że nosi amulet, lśniący blado w słońcu. To prawdziwe złoto. Dostrzegam na nim trzy gwiazdy i przygryzam język.

– Co tu robisz, Errin? – pyta Kirin, wycierając usta w to, co zostało z jego płaszcza, i patrząc na mnie tak, jakbym za chwilę miała zniknąć. – Gdzie jest Lief?

Dźwięki walki stały się nieco cichsze. Nie wiem, czy jedna strona zwyciężyła, czy po prostu jesteśmy daleko.

– Ktoś naprawdę musi się porządnie zająć tą raną. Może wdać się zakażenie.

– Errin, gdzie on jest?

Odpycham od siebie znajome uczucie ucisku w piersi i mówię mu w prostych słowach to, co wiem: że Lief był w Lormere, gdy zaatakował Śpiący Książę, i że od tamtej pory nie miałyśmy z nim kontaktu. Jednak ja uważam, że on nadal żyje.

Moje słowa nie przynoszą Kirinowi ulgi. Jego twarz zdaje się zapadać. Wygląda jak starzec, zmęczony i zniszczony życiem. Kości pod jego skórą zdają się przemieszczać i zmieniać go w kogoś innego. Starzeje się na moich oczach, tracąc resztki swojej chłopięcości. Błysk w jego oczach przygasa.

– Errin – odzywa się do mnie znanym mi tonem. Brzmi tak samo jak Silas, kiedy mówię o Liefie. Już mnie to męczy.

– Przestań – mówię, zanim spróbuje mi wytłumaczyć, jak mało prawdopodobne jest to, że mój brat żyje. – Znasz Liefa. Znasz go tak dobrze jak ja. Czy naprawdę myślisz, że wpakowałby się w coś, co doprowadziłoby do jego śmierci?

– Więc gdzie on jest?

– Ja... Nie wiem. Może jest ranny albo uwięziony. Ale wiem, że żyje, Kirin, czuję to. Nie zostawiłby nas. Na pewno ruszy w powrotną drogę, kiedy tylko będzie mógł. Wiem, że tak robi.

– Słyszałem wieści o tym, co dzieje się w Lormere, i...

– Ja również. Pytałam też każdego uchodźcę, którego spotkałam, i nikt nie słyszał nic o żadnym Tregellaninie zamieszanym w to wszystko. – Nie pozwalam mu dojść do słowa, przekrzykując każdą próbę protestu. – Sądzę, że został ranny, uciekając z zamku, i zaszył się gdzieś, żeby dojść do siebie.

– Dlaczego więc nie posłał żadnych wieści? – Ton głosu Kirina jest irytująco łagodny.

– Może posłał. Może próbował, ale jeszcze nie dotarły. Granica jest teraz zamknięta. Możemy nie mieć od niego żadnych wieści przez długi czas.

– Myślę, że nie zostawiłby cię tutaj – odpowiada cicho. Jego oczy są pełne współczucia. – Nie, jeśli to zależałoby od niego. Errin, musisz spojrzeć prawdzie w oczy. Jest prawie pewne, że Lief nie żyje.

– Nie. – Nagle zaczyna brzęczeć mi w uszach. Straszny dźwięk, jakbym przyłożyła głowę do ściany pełnej os.

– Ja też nie chcę wierzyć, że już go nie ma – zaczyna Kirin.

– To nie wierz – odpowiadam ostro, zakrywając uszy dłońmi jak dziecko.

Milkniemy oboje.

– Mieszkasz w Almwyk? W jednej z tych chat? – pyta po chwili Kirin.

Przestaję zasłaniać uszy, co i tak nie powstrzymało go przed mówieniem, i przytakuję, z trudem wymawiając słowa. – Tak. Lief ją dla nas znalazł.

Na jego twarzy dostrzegam grymas, ale zanim zdążę cokolwiek powiedzieć, dobiegają nas krzyki.

– Nie powinno cię tu być – mówi, próbując wstać. – Chodź.

Mimo że jestem na niego zła za brak wiary, biorę go pod prawe ramię i pomagam mu stanąć na nogi, ignorując jęk, gdy jego lewa stopa dotyka ziemi.

– Dlaczego wstąpiłeś do armii? – pytam, kiedy powoli zmierzamy w stronę centralnej części Almwyk. Kiedy jeszcze byliśmy w Tremayne, Kirin też był uczniem, jak ja, ale u kowala. Własna kuźnia była jego marzeniem. W te żniwa mógłby już ubiegać się o licencję od gildii.

– Wypełniam swój obowiązek – odpowiada dziwnie płaskim tonem.

– Twój obowiązek? Od kiedy to służba wojskowa stała się twoim obowiązkiem?

Zatrzymuję się koło jednej z opustoszałych chat. Jego oddech jest ciężki. Spogląda na mnie, a jego łagodne, brązowe oczy są teraz surowe, a usta zaciśnięte w wąską linię.

– Zostałem wcielony – oznajmia w końcu. – Tak jak każdy zdrowy mężczyzna od osiemnastego do

czterdziestego roku życia. W całym Tregellanie wszyscy zdolni do walki musieli się stawić. Obowiązkowo.

Mrugam z niedowierzaniem, słysząc jego słowa.

– Jak to? Jak mogą zrobić z tego obowiązek?

– Ci, którzy odmówią, zostaną aresztowani i wtrąceni do więzienia. Ich ziemia, dom i inne dobra zostaną skonfiskowane. To koniec dla ich rodzin. Jeżeli nie będziesz walczyć, zostaniesz aresztowany, a twoja rodzina wyrzucona z domu.

– Przecież tak nie można. Tak się tu nie robi. To brzmi jak coś, co zrobiliby Lormeranie.

Kirin unosi brew.

– To stare prawo. Nigdy nie straciło mocy. Każde gospodarstwo musi wysłać do wojska przynajmniej jednego mężczyznę, jeżeli tak zarządzi władca. Ostatni raz zostało użyte w czasie wojny z Lormere. Teraz Rada użyła go znowu. Sędziowie zajmują się jego egzekwowaniem.

– Mogą to robić?

– Najwyraźniej. – Głos Kirina jest ponury. – Jednak jeśli udowodnisz, że jesteś osobą religijną, mogą cię zwolnić z tego obowiązku.

– Ale dzisiaj już nikt nie jest religijny – mówię powoli. – Co z innymi? Ze starcami? Kobietami? Mistrzem Pendie? Lirys? Ulrikiem? – Jedno po drugim wymieniam imiona ludzi, na których mi zależy.

– Wszyscy, którzy mogli się przydać, zostali wysłani do Tressalyn, nawet Ulrik. – Jego usta krzywią się, gdy wspomina swojego dawnego mentora. – Chcą, żeby wszystkie sprawne ręce były gotowe do walki. Starsi mężczyźni zostali wysłani do wielkiej kuźni, żeby wytwarzać uzbrojenie. Niektóre kobiety też. Pendie jednak nadal jest w Tremayne. Nadal prowadzi aptekę. Lirys też jest w domu. Większość kobiet pozostawiono w domach, żeby doglądały gospodarstw i interesów. Na razie.

– Na razie? Myślisz, że każą walczyć kobietom?

– Jeśli będzie wystarczająco źle. – Spogląda na mnie z troską. – Czeka, nie powiesz mi chyba, że chciałyby walczyć?

– Myślisz, że bym nie mogła?

Zaciska na chwilę usta, po czym uśmiecha się.

– Wiem, że byś mogła. Po prostu myślę, że to powinien być wybór, to wszystko. – Przerywa na chwilę. – Przemyślany. Nie powinno się mówić ludziom, że to dla chwały. W śmierci nie ma ani krzty chwały... – przerywa sam sobie, zbyt późno. Patrzy na mnie, blednąc. – Przepraszam – mówi, a ja macham ręką na jego przeprosiny. – Jesteś przecież aptekarką. Będą potrzebowali twoich usług.

– Nie mam jeszcze licencji.

– Jeśli utrzyma się obecna sytuacja, to nie będzie miało znaczenia. Ja byłem kowalem, a teraz? Spójrz na mnie. – Pokazuje swój zakrwawiony mundur.

– Jak to wygląda? – Mój głos jest cichy. – Czy może być aż tak źle, że każą walczyć kobietom?

– Nie wiem – odpowiada powoli. – W Tremayne nie jest źle, przynajmniej na pozór. Nie racjonuje się jeszcze żywności, przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Nie było ataków. Ludzie się przygotowują, gromadzą jedzenie i opał, opróżniają piwnice, żeby móc się w nich schować, ale w powietrzu nie czuć paniki.

Jego głos zdradza, że nie mówi mi wszystkiego.

– Ale?

Kirin wzrusza ramionami i robi krok w moją stronę. Jęcząc z bólu, mocno ściska mnie za ramię. Oddycha powoli i głęboko. Czekam, aż jego twarz znów nabierze koloru, po czym spoglądam w dół na jego nogę. Krew przesiąkła przez opatrunek z płaszcza, ale jest jej niewiele. Skinieniem daję mu znak, że powinniśmy iść dalej, i obejmuję go ramieniem.

– Wyjeżdżając z Tremayne, można zobaczyć bogaczy kierujących się do Tressalyn z wozami pełnymi kosztowności – mówi dalej. – Widać sznury mężczyzn, chłopców idących do wojska, ich matki, siostry, żony i dzieci, płaczące i żegnające się z nimi. Obóz dla uchodźców w Tyrwhitt czuć znacznie wcześniej niż widać. A tutaj? W lesie są jacyś ludzie, a każdego dnia przychodzi nowy raport o tym, gdzie on jest i co zrobiły jego golemy. Lortune, Haga, Monkham.. Szczerze mówiąc, wszyscy liczą, że wcale nie dojdzie do otwartej walki. Po prostu nie mamy wystarczająco dużo ludzi, mimo powszechnego poboru. Od stu lat panował tu pokój. Nie jesteśmy gotowi na wojnę. A już na pewno nie na wojnę z cholernymi golemami. Jak zabić kamień? Nie mamy machin oblężniczych, nie mamy nic. Nie można kazać żołnierzom walczyć ze skałami. Już i tak ledwie udaje nam się walczyć z ludźmi.

Przez ramię patrzę w kierunku lasu, z którego nadal nie wrócili jego towarzysze. Na szczęście ci drudzy też nie.

– Kim byli tamci? – Skinieniem głowy wskazuję las. – To uchodźcy czy słudzy Śpiącego Księcia?

– Tak, to jego ludzie. – Zauważam, że nie nazywa go Śpiącym Księciem. – Ludzkie oddziały zaczepne. Ludziom nie trzeba wiele, żeby zwrócili się przeciwko swoim, jeśli widzą w tym szansę na ocalenie życia. Ludzką armią dowodzi Srebrny Rycerz. Rekrutuje zbirów i zdrajców, nakazuje im napadać i zabijać Lormeran, którzy stawiają opór lub próbują podejmować walkę. Zaczął wysyłać oddziały do lasu, żeby przełamać szeregi naszej armii. Sprawdzają nas. To już trzecia banda. Nigdy jednak nie udało im się przedostać przez las. Ani wrócić do niego.

– Srebrny Rycerz? Nie słyszałam o nim.

– Nosiciel. Dowodzi armią śmiertelników swojego ojca.

– Oczywiście. – Przechodzi mnie dreszcz. – W końcu są razem.

– Mamy rozstawione oddziały na całej długości granicy, od wybrzeża do wybrzeża. Patrolują teren i powstrzymują wroga, jak na razie... – Marszczy brwi, a jego głos cichnie. – Oczywiście nie będzie to trwać wiecznie. – Spogląda na mnie z rezerwą.

– Nic nikomu nie powiem.

– Jeśli miałbym zgadywać, to on po prostu bawi się z nami. Gdyby chciał nas podbić, już by to zrobił. Ale to? Wysyłanie małych grup, żeby nas nękać? Przepychanie z Radą? Wie, że się go boimy

i że nie możemy go pokonać. Dla niego to gra. Fortune zostało odcięte od razu. Pierwsze wieści, które do nas dotarły, to wiadomość, którą wysłał do Rady, że już po wszystkim i że ogłasza się niekwestionowanym królem.

– Więc sądzisz, że nie będzie inwazji?

– Jeszcze nie teraz. Wydaje się, że on przede wszystkim chce zniszczyć świątynie i wybić wiernych w Lormere. Zwrócił się przeciwko lormerańskim bogom w najgorszy możliwy sposób.

– Ale dlaczego? Dlaczego atakuje religijnych? Nie jestem religijna, jak większość ludzi tutaj, ale palenie świątyń i mordowanie mniszek i mnichów przyprawia mnie o mdłości. To jak krzywdzenie dzieci. Oni są przecież bezbronni.

– Spal całe zapasy jedzenia, a ludzie będą głodować i zwrócą się przeciwko sobie. Zniszcz świątynie i zabij akolitów, a ludzie nie będą mieli się do kogo zwrócić. Żadnych sanktuariów, żadnej pomocy. Żadnej nadziei. Szczególnie w takim miejscu jak Lormere. Są wystarczająco przejęci zniknięciem ich żyjącej bogini. Teraz to już dla niego zabawa. – Przerzywa. Każde jego słowo ocieka obrzydzeniem. – To, co robi pobożnym... To przerażające, Errin.

– Co robi? – Nie chcę wiedzieć, ale to pytanie wydobywa się z moich ust, zanim jestem w stanie się powstrzymać. Sądząc po tym, jak szybko Kirin odpowiada, pewnie się tego spodziewał.

– Wycina im serca. Mężczyznom, kobietom, studentom seminariów, nowicjuszom, ministrantom. Nie przebiera. Nie obchodzi go, ile masz lat, czy jesteś młody, czy stary. Każe wycinać serca z ciał, po czym wystawia je na widoku na placach miejskich. Każe ich pilnować, żeby nikt ich nie zabrał. Dopuszcza do nich tylko ptaki i szczury. Ale nie ludzi. Ciała są wrzucane do dołów. Zabrania też Zjedzenia ich grzechów. To też jest nielegalne. Za głowę zjadaczki grzechów wyznaczona jest nagroda. Całkiem spora. Z tego, co słyszałem, to i tak za nią nie przepadano. Biorąc pod uwagę wysokość nagrody, pewnie będą ją mieli przed Zimowym Przesileniem.

Zamieram.

– Dlaczego? – Dlaczego on to robi? Brzydę się tym. To bestialstwo i okrucieństwo.

– Bo jest potworem. Bo Lormeranie to myszy, które przez lata chowały się za swoją rodziną królewską i bogami, bojąc się własnego cienia. Równie dobrze mógł po prostu podejść do drzwi zamku i zapukać. Nie zrobiliby nic, żeby się przeciwstawić. Są zbyt przerażeni i zajęci modlitwami o wybawienie. Ponieważ całkiem bezkarnie sieje spustoszenie w Lormere, nasza Rada musiała się upewnić, że tu nie wydarzy się to samo. – Spogląda w dół na swój mundur i nagle cała energia opuszcza go. Wygląda teraz bardziej jak chłopak, którego kiedyś znałam. – Dlaczego nadal tu jesteś? Powinnaś zostać ewakuowana dziś rano, prawda? Powiedziano nam, że dziś nie będzie tu już żadnych cywilów. Która z tych chat jest twoja? Chodź, porozmawiam z twoją matką. Może uda nam się wyprowadzić was stąd jeszcze dziś po południu.

– Nie bądź głupi – odpowiadam szybko. – Musisz wracać do swojego obozu. Twoja noga wymaga odpowiedniej opieki.

– Na pewno uda ci się ją załatać. Czy nie tego się kiedyś uczyłaś?

– Musi się tobą zająć lekarz, nie aptekarz. Może spotkamy się później? Wtedy zastanowimy się, co

dalej robić. Chodź, odprowadzę cię do drogi.

Kirin pochyła się do przodu i spogląda mi w oczy.

– Co ty knujesz, Errin Vastel?

– Ja? Nic.

– Kłamiesz. Znam cię. Wykręcasz się. Co się dzieje?

– Musisz wiedzieć, że moja mama jest chora. – Wciskam mu to samo, co Unwinowi. – Jeszcze nie mogę jej nigdzie zabrać. Wyruszymy, gdy tylko poczuje się lepiej. Nie chcę, żeby w tym stanie była w drodze albo w obozie. To zbyt ryzykowne. – Jestem tak blisko prawdy, na ile mogę sobie pozwolić. – Do tego momentu staramy się nie wychylać.

– Może przeniesiemy ją do koszar? To dość daleko od lasu. Będziemy mogli jej przypilnować, aż wydobrzeje. Pójdę teraz i możemy...

– Twoja noga. – Przekrzykuję go, a on parska i unosi brew. Zmuszam się, żeby spojrzeć w jego znajome, przyjazne oczy. – Nie lubię pozostawiać nieopatrzonych ran – mówię cicho. – Wiesz dlaczego. To się dzieje bardzo szybko... Rana kłuta...

– Errin... – Kirin wygląda żałośnie, a ja czuję się strasznie, straszliwie winna za tę zagrywkę. – Przepraszam. Pójdę i poproszę, żeby mi ją opatrzone. Wtedy do ciebie wrócę. Bogowie, gdybym wcześniej wiedział, że tu jesteście, już dawno bym przyszedł i wydostał was stąd, wiesz? – Kiwa przecząco głową. – Dlaczego Lief porzucił farmę dla tego miejsca?

Wlepiam w niego wzrok.

– Co? O czym ty mówisz?

– Farma, my wszyscy... Czeka. Ty nic nie wiesz, prawda?

– Nie wiem czego? Mów – nalegam, gdy Kirin potrząsa głową.

Przełyka ślinę, nie mogąc spojrzeć mi w oczy.

– Ulrik powiedział Liefowi, że wam pomożemy. Połowa miasta była gotowa dołożyć się, żeby ocalić farmę. Kupilibyśmy ją, a on mógłby ją później od nas wykupić. – Spogląda na mnie ze współczuciem. – Twój ojciec był szanowany, nawet kochany. Nie pozwolilibyśmy, żeby cokolwiek złego stało się jednemu z nas, ale Lief odmówił. Powiedział, że nie potrzebujecie jałmużny i że sam znajdzie pracę i nowy dom dla was wszystkich. Wtedy odeszliście. Nikt nie wiedział dokąd.

– Ja... – Czuję, jak moja szczęka opada, i na przemian zalewa mnie zimno i gorąco. – On nie... On by tego nie zrobił. Nie zabrałby nas z domu, żeby zamieszkać tutaj.

– Myśleliśmy, że to była wasza wspólna decyzja. Nowy początek, z dala od złych wspomnień.

– Nie wiedziałam. – Brzęczenie w uszach powraca i muszę potrząsnąć głową, żeby się go pozbyć. Mieliśmy wybór, a Lief wybrał to? – Nic nie wiedziałam. Myślałam... Myślałam, że nikogo nie obchodzimy.

– Myślałaś, że nie obchodzicie Lirys... albo mnie? – Czuję wstyd, słysząc ból w jego głosie. – Co z Mistrzem Pendie? Co z Dapplewoodami? Ulrikiem? Jak mogłaś tak myśleć?

Potrząsam głową, nie mogąc wydusić z siebie słowa. Dlaczego Lief to zrobił? Po co ciągnął nas

przez pół kraju, żeby zamieszkać w Almwyk, jeżeli mógł zostać na farmie? Kochał farmę. Przyjął jej stratę jeszcze ciężiej niż mama, więc dlaczego zdecydował się ją porzucić? Co z „rodzina przede wszystkim”? Gdybyśmy tam zostali, mama byłaby... On byłby...

– Errin, wiem, jak bardzo kochałaś Liefę. Wszyscy go kochaliśmy. – Słowa Kirina ujmują mnie i spoglądam na niego. Otwiera usta i już ma mówić dalej, kiedy nagle przerywa i spogląda mi przez ramię.

Dołączają do nas dwaj żołnierze. Obydwaj zatrzymują się i salutują. Jeden z nich wzdryga się na widok łydki Kirina.

– Jesteś ranny? – pyta go.

– Wszystko w porządku, Kel.

Żołnierze przyglądają mi się z wyraźną ciekawością.

– Ma pani szczęście, że pani żyje – mówi jeden z żołnierzy, Kel. – Kiedy zobaczyliśmy, jak pani na nas biegnie, myśleliśmy najpierw, że to duch. Co pani robiła w lesie?

– To córka pułku – wtrąca szybko Kirin, a dwaj żołnierze wymieniają porozumiewawcze spojrzenia. – Zbierała korę brzoźową dla uzdrowicieli. Właśnie ją przesłuchałem i obiecała mi, że nie będzie już się tam zapuszczać – dodaje cierpko. – Więc co się stało?

– Pogoniliśmy ich. Zabiliśmy trzech z nich, ale oni zabili dwóch naszych i ranili dwóch. Trzech. – Kel kiwa głową z szacunkiem. – Nie wiedzieliśmy, co się z tobą stało, ale Cam mówił, że widział, jak dostałeś.

– Nic mi nie jest. Cam, każ przynieść ciała naszych ludzi z powrotem do obozu na spalenie. Ciała wrogów zostawcie jako ostrzeżenie. Kel, poczekaj tam na mnie. Będę potrzebował pomocy w drodze powrotnej.

Patrzę na Kirina, zadziwiona siłą w jego głosie. Żołnierze salutują i odwracają się, przed odejściem rzucając mi podejrzliwe spojrzenia. Zanim się odezwę, czekam, aż będą poza zasięgiem słuchu.

– Słuchają cię.

Odchrząkuje i unika mojego wzroku.

– Jestem podporucznikiem.

– Gratulacje – mówię, na co Kirin parska. – Czy macie tam córki pułku? Mam na myśli kobiety z opowieści podążające za wojskiem. Zazwyczaj nie były uzdrowicielkami. Przynajmniej nie w tradycyjnym znaczeniu tego słowa.

– Jest kilka. – Opuszcza głowę.

– Doprawdy? – Rumienię się, zdając sobie sprawę, co to znaczy, ale po chwili robi mi się głupio, że zachowuję się jak dziecko. Na Dąb, przecież mieszkam w Almwyk. – Cóż, to musi dobrze działać na morale....

Kirin rzuca mi gniewne spojrzenie.

– Dziękuję bardzo, jestem zaręczony – odpowiada prędko i głośno przełyka ślinę.

– Tak? – mówię. – Naprawdę? Więc ta zabawa dożynkowa...?

Kiedy na jego twarzy pojawia się lekki uśmiech, bez zastanowienia rzucam mu się na szyję, zbyt późno przypominając sobie, że jest ranny. Kirin chwieje się i jęczy, łapiąc mnie za płaszcz, żeby utrzymać równowagę. Dyszy lekko z bólu, a jego twarz znów szarzeje. Kiedy się odsuwam, zauważam, że Kel usilnie próbuje nas ignorować.

– Kirin, przepraszam. Przepraszam, wszystko w porządku? – Udaje naburmuszonego, ale jednocześnie nie może powstrzymać uśmiechu. Wygląda to dość groteskowo. – Gratuluję! Tak bardzo się za was cieszę. Nie mogę przestać się uśmiechać. Zapomniałam już, jak to jest tak się uśmiechać. Aż bolą mnie policzki. To wspaniałe uczucie.

Stoi ode mnie na wyciągnięcie ręki, jego twarz promienieje.

– Wiem, że to głupie, przy tym wszystkim. Ale... – Wzrusza ramionami. – Mamy pobrać się wiosną. Lirys chciałyby, żebyś tam była.

– To najwspanialsza rzecz, jaką słyszałam od wieków – odpowiadam szczerze. Nie raz widziałam ich razem z okna apteki. Myśl o tym, że mogą być szczęśliwą parą, napędza mnie nadzieją.

– Idź do niej – mówi. – Idź do domu. Swojego prawdziwego domu.

Przeszywa mnie uczucie tęsknoty. Iść do domu... do Tremayne... do mojej apteki. Przez całe życie tego właśnie chciałam.. Czy naprawdę mogłabym? Mogłabym zwierzyć się Mistrzowi Pendie, poszukać odpowiedniego leku albo jakiegoś sposobu, żeby zapanować nad mamą... Ze wszystkich ludzi on na pewno by zrozumiał. Mogłabym kontynuować naukę. Powraca do mnie mój sen: znów jestem w aptece, obok mnie stoi ten mężczyzna... Wtedy przypominam sobie tłum pod drzwiami, ale tym razem wyobrażam sobie, że nie przyszli po mnie, ale po mamę. Ich pochodnie płoną, kiedy żądają wydania im bestii.

Nie możemy wrócić do domu. Nigdy już nie będziemy mogli żyć w pobliżu normalnych ludzi. Jest już za późno.

Spoglądam na Kirina, uśmiechając się smutno.

– Idź, bądź żołnierzem. Niech ktoś cię opatrzy. Porozmawiamy później – mówię.

– Trzymaj się z dala od lasu – ostrzega mnie. – Przyjdź do koszar, jeśli nie chcesz mi powiedzieć, gdzie cię szukać. Wykorzystaj historię z córką pułku.

– Dobrze, panie podporuczniku – odpowiadam żartobliwie.

Kirin saltuje zawiadaczko i odwraca się. Natychmiast podchodzi do niego Kel i pomaga mu oddalić się niepewnym krokiem. Kiedy znika mi z oczu, moja radość z jego zaręczyn z Lirys zaczyna powoli zanikać. Myśli znów skupiają się na moim bracie. O czym on myślał? Co planował? Chciałabym się teraz z nim zobaczyć bardziej niż kiedykolwiek. Zapytać go, co, na Ostrokrzew, chciał osiągnąć, ciągnąc nas tutaj i zostawiając?

– Lief, gdzie jesteś? – mówię na głos, zbliżając się do chaty. – Wróć do domu. Choćby po to, żebyś mogła walnąć cię w twarz za to, co nam zrobiłeś. Po prostu... wróć do domu.

Wszystkie moje myśli schodzą na dalszy plan, kiedy po wejściu do chaty spoglądam na drzwi do pokoju matki, które są otwarte na oścież. Wbiegam do pokoju, a serce podchodzi mi do gardła. Czuję ulgę, widząc, że matka nadal leży bezpiecznie w łóżku, jednak mija ona natychmiast, gdy słyszę za sobą chrząknięcie. Kiedy się odwracam, każdy włos na moim ciele staje dęba.

Jego krótkie, srebrzystobiałe włosy otaczają twarz, która jest tak blada i gładka, jakby była wykuta z marmuru. Wygląda nienaturalnie, jak rzeźba. Najgorsze jednak są jego oczy, złoto-bursztynowe. Nie mruga ani razu, przyglądając mi się. Skóra dookoła jego oczu wysmarowana jest czymś czarnym, popiołem albo smołą, przez co jeszcze bardziej zdają się płonąć. To nie są oczy człowieka. Wyglądają raczej jak wzięte z książki. Z twarzy Śpiącego Księcia.

Przerażenie nie pozwala mi się poruszyć. Lodowaty, przejmujący strach paraliżuje moje ciało, mimo że umysł krzyczy, żeby uciekać.

Jego oczy są duże, rękami sięga po płaszcz przewieszony przez szczyt łóżka. Nagle znowu mogę się ruszać. Nie przestaję myśleć. Wyciągam nóż i rzucam się na niego, próbując odciągnąć go od mojej matki.

Bez trudu łapie mój nadgarstek i ściska go, aż upuszczam nóż na ziemię i zaczynam krzyczeć.

– Co ty, do cholery, robisz? – pyta, oburzony, głębokim i ochrypłym głosem.

W przerażeniu zdaję sobie sprawę, że znam ten głos. Człowiek stojący przede mną jest moim przyjacielem. To człowiek, którego nazywałam Silasem Kolby.

Rozdział 7



Nie. Próbuję wyrwać się z jego uścisku, ale jego długie palce są zakleszczone wokół mojego nadgarstka jak imadło. Panikuję i przestaję się szarpać, zamiast tego usiłuję wykorzystać cały ciężar mojego ciała. Rzucam się na niego, starając się go przewrócić.

Nie udaje mi się. Wtedy on łapie mnie za drugą rękę i wykręca mi ją za plecami, chwytając oba moje nadgarstki jedną dłonią. Staje za mną, po czym przyciąga mnie do siebie. Nie mogę się ruszać ani szarpać.

– Pomocy! – krzyczę, wijąc się w jego uścisku. Tupię nogami, wyginam się w przód i w tył, uderzam głową w jego pierś, za wszelką cenę staram się uwolnić. – Niech ktoś mi pomoże!

– Errin, zamknij się.

Dźwięk mojego imienia w jego ustach jest jak uderzenie w brzuch. Moja krew wrze. Dziwię się, że może mnie dotykać, nie parząc się.

– Jak mogłeś? – Moje płuca wypełniają się powietrzem i krzyczę znowu, aż drapie mnie w gardle. – Jak mogłeś?

Zakrywa mi usta dłonią odzianą w rękawicę.

– Przestań – syczy mi do ucha stanowczym tonem, ale walczę nadal, krzycząc mimo zatkanych ust i próbując go ugryźć. Zdaję sobie sprawę, że już po mnie. Jestem na jego łasce. Nie mogę jednak przestać się szarpać, nie mogę przestać walczyć. Moje ciało wije się w jego rękach wbrew mojej woli. „To nie może się tak skończyć. „Proszę, proszę, jeśli mogłabym...”

Spoglądam na swoją matkę i jej widok działa na mnie jak kubeł zimnej wody. Natychmiast przestaję się szarpać i wlepiam w nią wzrok.

Jej oczy patrzą na odrapane wapno pokrywające ścianę naprzeciw łóżka. Dociera do mnie, że mógłby mnie teraz zabić w jej obecności i nawet nie mrugnęłaby okiem. On zabije mnie w jej obecności, a ona nawet nie podniesie ręki, żeby go powstrzymać. Ta myśl pozbawia mnie woli walki, a moje ciało wiotczeje w jego ramionach.

Odwraca mnie do siebie, wciąż trzymając moje nadgarstki. Głowę ma przechyloną na bok, a jego przerażające, złote oczy wpatrują się we mnie. Zaczynam drżeć, a krew powoli stygnie w moich żyłach. „Nie chcę tak umierać. Bogowie, proszę, nie chcę tu umrzeć, nie teraz. Nie chcę, żeby to się tak skończyło. I mama... Nie chcę, żeby tak umarła”.

Zmuszam się, żeby przemówić. Błagać.

– Proszę, puść nas – mówię łamiącym się głosem. – Błagam cię. Proszę. Nikomu nie powiem, że cię widziałam. Nic nie powiem. Puść nas, proszę... – Wtedy tracę nad sobą kontrolę, a moje słowa mieszają się z płaczem. – Proszę, proszę. Miej litość... – Trzęsę się tak bardzo, że nie mogę mówić. Cała odwaga mnie opuściła. Boję się, że zaraz się zmoczę. Boję się, że będzie bolało. Jest mi wstyd, że błagałam. Lief nigdy by tego nie zrobił. Nie pamiętam, jak zwracać się do księcia. – Mój panie. – Próbuję uklonić się najlepiej jak umiem. – Proszę, Wasza Miłość...

– Co? – odpowiada ostro, a jego słowa brzmią, jakby dochodziły z oddali. – Co się, do cholery, dzieje, Errin? – Rumieni się z zakłopotania, co sprawia, że wydaje się bardziej wrażliwy, bardziej ludzki. Wtedy spogląda na mnie z niedowierzaniem, mruga raz, drugi, po czym puszcza mnie tak szybko, że prawie się potykam. Zanim zdążę dojść do siebie i podnieść nóż, podnosi swój płaszcz i nerwowo zarzuca go sobie na ramiona, a potem naciąga kaptur, zasłaniając włosy. Nadal jednak widzę jego twarz. Jego oczy.

Patrzy na mnie ze złością, jego złote oczy przypominają wąskie szparki.

– Nie jestem Śpiącym Księciem, Errin.

Obserwuję go, ciężko oddychając, gotowa zareagować na każdy ruch. Jego słowa dźwięczą w moich uszach, aż całkowicie tracą znaczenie. Moje serce nadal bije jak szalone. Obserwuję go bacznie.

– Bogowie... – Jego oczy lśnią, otoczone czarnymi pierścieniami, prawie płoną. Wygląda na... zrozpaczonego. – Naprawdę? Myślałaś, że... – Przeczesuje dłonią włosy, zdejmując kaptur. Wtedy jego palec wskazujący zaczyna stukać w kciuk tak szybko, że ledwie go widać.

Ten mały, znajomy gest łagodzi nieco mój strach. Czuję wstyd, bo jest to gest, który znam bardzo dobrze. To zaniepokojony, strapiiony, podenerwowany Silas. Widziałam, jak to robi, dziesiątki razy.

Wtedy zdaję sobie sprawę, że chcę mu uwierzyć. Chcę, żeby to po prostu było nieporozumienie. Ale nie mogę mu zaufać. Jeszcze nie. Nie do końca. Wiele kwestii nadal pozostaje bez wyjaśnienia, a ja wciąż się trzęsę. Moje płuca pracują, jakbym przebiegła kilka mil.

Intuicja nadal podpowiada mi, żeby uciekać.

Patrzę na niego – dokładnie przyglądam się jego dziwnym oczom, włosom i twarzy. Przez trzy miesiące patrzyłam na jego usta, ale teraz widzę niewielki garbek na jego nosie, czoło, białe brwi i rzęsy. Ma głębokie zakola. Jego skóra jest biała i nieprzezroczysta, nie przypomina ludzkiego ciała.

Nie widać pod nią żył, nie ma na niej żadnych niedoskonałości, piegów ani znamion. Na jego szczęce nie widać zarostu. Oczy ma koloru miodu, głębokie i bursztynowe. Można się w nich zatracić.

– Nie jestem Śpiącym Księciem – powtarza, wrywając mnie z moich myśli.

– Dobrze – mówię po dłuższej chwili.

– Wierzysz mi?

Nie jestem w stanie przytaknąć.

– Wierzysz? – żąda odpowiedzi.

– Zrozum mnie – odpowiadam cicho. – Pierwszy raz widzę cię bez płaszcza. I wyglądasz... Na pewno wiesz, jak wyglądasz. Co byś sobie pomyślał, gdybyś był na moim miejscu?

Odwraca się ode mnie i przygryza wargę, po czym znów spogląda na mnie.

– Mogę to wyjaśnić. Przynajmniej po części. Jeśli zechcesz mnie wysłuchać.

Przytakuję, a napięcie widoczne w jego oczach słabnie nieco.

Przynajmniej dopóki nie przygląda mi się od stóp do głów.

– Dlaczego masz na sobie krew? – pyta dziwnym głosem.

Dotykam dłonią ucha, ale krew zdążyła już wyschnąć.

– Ach. – Staram się nie mówić zbyt głośno. – Byłam w lesie i wpakowałam się w kłopoty. – Przyglądam mu się w poszukiwaniu jakiegokolwiek znaku, że coś o tym wie, że mężczyźni, którzy mnie zaatakowali, mogli szukać jego.

– Kiedy byłaś w lesie?

– Niedawno. Ja... Widziałam cię tam. Chwilę przed tym, jak zostałam zaatakowana.

Marszczy brwi, a między nimi tworzy się linia. Widzę, jak kształt jego oczu zmienia się, i zdaję sobie sprawę, że nie potrafię wyczytać myśli z jego twarzy. W ogóle go nie znam.

Patrzy na moją matkę, która nie wydaje się być świadoma, że tam jesteśmy, po czym bierze mnie delikatnie za łokieć i wyprowadza z pokoju. Wzdrygam się pod jego dotykiem, a on natychmiast puszcza. Zaciska usta. Wychodzi z pokoju, a ja podążam za nim, uprzednio schylając się po swój nóż. Zamyka drzwi na klucz i głową wskazuje ławkę, jakbym to ja była gościem. Moje serce nadal bije zbyt mocno, kiedy odwracam się do niego plecami, jednak siadam, składając dłonie na kolanach. Staram się wyglądać na spokojną. On jednak wcale nie wygląda na spokojnego. Omiata mnie spojrzeniem, a jego pięści raz się zaciskają, raz rozluźniają.

– Co się stało? Zaatakowano cię?

– Nie – odpowiadam, unosząc drżącą nadal dłoń, i zaczynam wyjmować małe gałązki i suche liście ze swoich włosów. – Powiedziałeś, że się wytłumaczysz. Tłumacz więc. Zacznij od tego, jak się tu dostałeś. I po co.

Spogląda w dół.

– Frontowe drzwi były otwarte.

– Nie, nie były.

– Były, jak już je otworzyłem. – Próbuje się uśmiechnąć, ale ja zachowuję kamienny wyraz twarzy. Czeka.

Kiedy nie odpowiada, wstaję, zdejmuję suszący się na sznurku koc i podnoszę gliniany garnek. Woda w środku jest zimna. Zaczynam ostrożnie oczyszczać swoje zakrwawione ucho.

– Masz trzydzieści sekund, a później znów zacznę krzyczeć i wołać strażników.

– Chciałem się upewnić, że z nią wszystko w porządku – mówi cicho. – Po wczorajszym.

– Dlaczego?

Ignoruje moje pytanie.

– Nie chciałem was nachodzić.

– Wchodzenie do czyjegoś domu i otwieranie drzwi zamkniętych na klucz to w zasadzie definicja najścia – odpowiadam. – Więc jeśli nie chciałeś nas nachodzić, to powinieneś zostawić drzwi w spokoju i nie wchodzić do środka.

Patrzy na mnie i przytakuje.

– Przepraszam. – Spuszcza głowę jak chłopiec przyłapany z ręką w słoiku z marmoladą. Jego skóra i włosy jaśnieją w zimowym świetle, przez co wygląda jak duch.

– Czym ty jesteś? – Pytam bez zastanowienia.

– Nie jestem „czymś”. – Błyskawicznie podnosi głowę i spogląda na mnie, a jego złote oczy błyszczą z oburzenia. – Jestem osobą, tak jak ty. Nie rzeczą. Ani Śpiącym Księciem.

– Przepraszam – odpowiadam, patrząc w podłogę. – Po prostu... nie widziałam nigdy nikogo takiego jak ty, chyba że w opowieściach... o nim. – Siedząc obok sobowtóra Śpiącego Księcia, trudno jest wypowiadać jego imię. – To coś nowego.

– Nie dla mnie.

– Cóż, dla mnie tak – mówię. – Po prostu... Silasie, pomyśl o tym. Przez trzy miesiące nie miałam pojęcia, jak wyglądasz. Nic o tobie nie wiedziałam. Nie chciałeś mi nic powiedzieć. Nie wiem, skąd jesteś, ani co tu robisz. Obaj pojawiliście się w dokładnie tym samym momencie i do niedawna nikt nie wiedział, że tu jesteście. Macie nieograniczony zapas pieniędzy, macie sekretne zadania. Poza tym, Silasie, widziałam cię w lesie chwilę przed tym, jak zostałam zaatakowana. Byłeś tam kilka minut wcześniej. Z kimś jeszcze. Widziałam, jak się spotkaliście, a potem straciłam was z oczu. Teraz wracam tu i widzę ciebie, twoje włosy i oczy. Dziwisz się, że tak pomyślałam?

Silas patrzy na mnie, wzrusza ramionami i potrząsa głową.

– Moja rodzina wywodzi się z Tallith – oznajmia cicho, dziwnie gorzkim tonem. Gdybym go nie znała, sądziłabym, że go uraziłam. – Odziedziczyłem po niej swoją zdumiewającą urodę. Księżycowe włosy, boże oko. Tak to nazywają w Lormere. To cechy Tallithian, możesz to sprawdzić w każdej książce historycznej. To fakt, że w dzisiejszych czasach rzadko spotyka się osoby z jedną z tych cech, a co dopiero z obiema. Ale to dlatego, że staramy się nie wychylać. I tak wystarczająco rzucamy się w oczy. – Krzyżuje swoje długie nogi jak ucniak i opiera łokcie na kolanach. – Oczywiście, odkąd powrócił Śpiący Książę, bezwzględnie musimy ukrywać nasz wygląd. Ludzie bywają impulsywni.

Przełykam ślinę, a moja skóra robi się gorąca. Zapada cisza. Spuszczam głowę i patrzę na niego ostrożnie przez rzęsy, próbując pogodzić człowieka, którego znałam od trzech miesięcy, z tym, który znajduje się przede mną. Jest całkowicie inny, niż się spodziewałam, co mnie zawstydza. Spoglądając na niego, zauważam, że również uważnie mi się przygląda, jakbym to ja była powodem tego nieporozumienia, nie on.

– O czym myślisz? – Jego słowa zaskakują mnie.

– Po prostu... Jesteś inny, niż sobie wyobrażałam.

Czerwieni się i mówi „Och” w sposób, który również u mnie wywołuje rumieńce.

– Po co ci to czarne wokół oczu? – pytam w pośpiechu, próbując wybrnąć z niezręcznej sytuacji.

– Łatwiej ukryć je w cieniu. Gdyby ktoś podszedł wystarczająco blisko, żeby zajrzeć pod kaptur.

Moja skóra ponownie się rozgrzewa.

– Oczywiście. – Znow pogrążamy się w niezręcznej ciszy. On bawi się swoimi rękawicami, a ja patrzę wszędzie, tylko nie w jego stronę.

– A twoja rodzina? – pytam. – Czy są... Wyglądają tak jak ty? Ja... Chciałabym wiedzieć na wypadek, gdybym jeszcze kogoś takiego spotkała... to znaczy... w takich kolorach.

Spogląda w dół, bawiąc się dłońmi, zanim przemówi. Jego głos jest wyważony.

– Cóż, mój ojciec nie żyje. Miał wypadek przy pracy. – Między jego słowami są niemal niezauważalne przerwy. Czuję, że moje oczy rozszerzają się, kiedy zdaję sobie sprawę z łączącego nas smutku. – Moja matka mieszka z grupą kobiet w pobliżu Gór Zachodnich. Do niedawna mieszkałam z nią. Potem przybyłem tutaj.

– Z Lormere?

– Tak. – Odwraca wzrok, po czym znow skupia go na mnie. – Wyjechałem, zanim przybył Śpiący Książę. – W jego głosie słyszę złość.

– Nie masz lormerańskiego akcentu.

– Gdybym miał, może nie pomyślałabyś, że jestem tym... czymś. – Spogląda na mnie ostro, a później odwraca się.

– Nie złość się na mnie, Silasie. To niesprawiedliwe. Wiesz o tym.

Potwierdza skinieniem.

– Czy twoja matka jest bezpieczna w Lormere? – pytam po chwili.

– Tak, miewa się dobrze. Jak reszta. Na szczęście świątynia, w której mieszkają, jest odległa i dobrze ukryta.

– Mieszka w świątyni? Czy ona... Czy przyjęła święcenia? – Silas mruga i przytakuje z wahaniem, a wtedy przypominają mi się straszne słowa Kirina na temat tego, co Śpiący Książę robi kapłanom i kapłankom. – O bogowie, Silasie. Musisz ją stamtąd zabrać.

– Ona... nie może jeszcze odejść. – Patrzy w dół na swoje ręce. – Ale nic jej nie grozi. Osoba, z którą wcześniej się spotkałem, to posłaniec od niej.

– Silasie, to poważna sprawa. Jeżeli on... Jeżeli Śpiący Książę ją odnajdzie... On nie okazuje litości.

– Ona jest związana ze świątynią, Errin. Nie może odejść. – Otwieram usta, żeby coś powiedzieć, ale przerywa mi. – Wiem, Errin. Uwierz mi, wiem, co tam się dzieje. Ale... ona ma zadanie do wykonania. Pewne rzeczy muszą zostać zabrane ze świątyni, zanim zostanie przez niego zniszczona. To ważne.

– Rzeczy? Te rzeczy są ważniejsze niż jej życie?

– Tak, jej zdaniem tak. Księgi. Historia.

Potrząsam głową. Wiem, że w Lormere wdowy często wstępują do klasztorów, ale ona musi zrozumieć, jak wielkie niebezpieczeństwo jej teraz grozi. To jego matka, na miłość Dębu. Nic w tej świątyni nie może być warte tego, co zrobi im Śpiący Książę, jeśli ich znajdzie.

– Silasie...

– Dlatego tu jestem. To moje ogniwo w łańcuchu. Pomagam jej przenieść artefakty i dokumenty przez granicę, póki jeszcze jest to możliwe.

– Czyś ty stracił rozum? – mówię. – Czy wy wszyscy powariowaliście? A co jeśli cię złapią? Co jeśli ktoś zobaczy cię bez płaszcza? Pomyślą dokładnie to, co ja. Żadne artefakty nie są tego warte. Ryzyko jest za duże, nie widzisz tego?

– Tutaj jestem bezpieczniejszy, niż gdybym został tam. Zaufaj mi. – Przygryza wargę, gdy tylko te słowa wydobywają się z jego ust, i odwraca ode mnie wzrok.

Wtedy zdaję sobie sprawę, że opuściły mnie wszystkie wątpliwości względem niego. Znowu mu ufam. Nawet jeśli on i jego matka to szaleńcy.

– Co zrobisz, gdy zacznie się ewakuacja? – pytam.

– Nic.

Mam dziwne przeczucie, że to nie wszystko, dlatego siedzę nieruchomo, bez słów, zachęcając go, aby mówił dalej.

– Czekam tu na coś innego, co prawdopodobnie wcześniej czy później tu trafi. Coś spoza świątyni.

– Czyli co?

Silas przesadnie wzrusza ramionami.

– Nic, co miałoby dla ciebie jakiegokolwiek znaczenie. To sprawa religijna. Nie ma sensu wyjaśniać.

W brzuchu czuję ukłucie, obce i nieprzyjemne. Nie rozumiem, co oznacza.

– Są niewielkie szanse, że to coś może tu teraz trafić: granice są zamknięte, a lasy pełne żołnierzy i lormerańskich najeźdźców.

Ponownie przytakuje.

– Wiem. Ale to nie zmienia faktu, że muszę tu zostać. Przynajmniej na razie. Aż będziemy pewni.

Obydwoje myślimy w ciszy.

– Kiedy tu przybyłeś, żeby czekać na to coś, czy wiedziałeś, że nadchodzi Śpiący Książę?

Patrzy na mnie.

– Tak – odpowiada.

Otwieram usta, żeby zadać kolejne pytanie, ale ucisza mnie ruchem ręki.

– Moja kolej. Kiedy wciąż myślałaś, że ja to on, przestałaś walczyć. Szarpałaś się jak szalona i nagle przestałaś. Myślałem, że zemdliałaś. Czy chciałaś, żebym... żeby on...?

Zaczynam się rumienić.

– Chciałam cię oszukać.

W jego złotych oczach pojawia się błysk.

– Ja ciebie nie okłamałem, Errin. Więc i ty nie okłamuj mnie.

Odzywam się, ale nie mogę na niego spojrzeć.

– Ona tam siedziała, Silasie. Wbiegłam do pokoju, żeby jej bronić. Dałabym się zabić, żeby ją uratować, a ona nie zrobiła nic. Patrzyła w ścianę, gdy jej córka, jej jedyne żyjące dziecko, walczyła o swoje życie. Nie chciałam umrzeć. Ale nie mogłam walczyć. Nie po tym.

Twarz Silasa jest jak z kamienia. Mruga do mnie, a potem lekko przytakuje. Nagle wstaje, prostując swoją wysoką sylwetkę, i staje nade mną.

– Masz – mówi, przeszukując kieszeń i wyjmując małą, brązową, szklaną buteleczkę z zakraplaczem w korku. Taką, w jakiej aptekarze wydają lekarstwa.

Wstaję i biorę ją. Zdejmuję korek i ściskam, wciągając niewielką ilość płynu do zakraplacza. Ma kolor mleka, delikatny. Wącham ją ostrożnie. Pachnie różami. W buteleczce jest może siedem kropli. Wciskam korek na miejsce.

– Co to?

– To dla twojej matki. – Patrzy mi w oczy przez dłuższą chwilę. – Myślę, że to pomoże na jej przypadłość.

Moja krew zmienia się w lód.

– Co masz na myśli? – szepczę. Czy on wie, czym ona jest? Rozpoznał to?

Jego twarz, wciąż dla mnie nowa, pozostaje nieodgadniona.

– Dodaj to do jej herbaty dziś wieczorem zamiast maku. Tylko jedną kroplę. Rozumiesz? Jedna dawka, jedna kropla dziennie. Nie więcej.

– Co to jest? Jak działa? Na co się to stosuje? – Mam ochotę złapać go za poły płaszcza i potrząsnąć.

– Muszę iść. Wrócę, kiedy będę mógł. Tym razem zapukam. – Uśmiecha się.

– Silasie...

– Nie zadawaj pytań, to nie usłyszysz kłamstw. – Mówiąc to, wychodzi, a drzwi zamykają się za nim z delikatnym trzaskiem.

Spoglądam na fiolkę w swojej dłoni.

Przez resztę dnia szczęśliwie nic się nie dzieje, jednak mimo to nadal odczuwam lekką panikę z powodu wszystkiego, co powiedział mi Kirin. Gdy udaje mi się usunąć ze swoich myśli obrazy strzał, krwi i wyrwanych serc, zwracają się one w stronę Silasa. Z białymi włosami i złotymi oczami. Jeszcze bardziej tajemniczego, niż gdy nosił kaptur.

Kiedy zapada zmrok, robię dla matki herbatę z dodatkiem jednej kropli mikstury od Silasa. Gdy wpada do naparzu, przez chwilę nawet spodziewam się kłębow dymu albo zmiany koloru, ale nic takiego się nie dzieje. W zapachu wcale jej nie czuć. Moja matka też chyba nie zauważa różnicy w smaku, kiedy jej ją podaję. Jej czerwone oczy cały czas patrzą na mnie. Kiedy jest już zamknięta na noc w swoim pokoju, zasuwam drzwi skrzynią i wychodzę na zewnątrz, ukrywając się w cieniu. Udaję się do studni i przynoszę tyle wody, ile tylko jestem w stanie unieść. Większość z niej zużywam do zrobienia odpowiednio dużej ilości zupy, żeby starczyło na kolejny dzień.

Kiedy kończę, wracam do swojego legowiska, biorąc ze sobą książkę mamy. Od razu otwieram ją na opowieści o Śpiącym Księżciu, szukając wzrokiem przedstawiającego go rysunku. Zdaję sobie sprawę, że to tylko książka i ilustracja może nie być dokładna, ale nie mogę powstrzymać się przed porównaniem jej do twarzy Silasa. Są takie podobne. Spoglądam w złote oczy widniejące na ilustracji na kartce księgi. One odwzajemniają moje spojrzenie, kiedy powoli zasypiam.

Mężczyzna trzyma moje dłonie w swoich, odwraca je i spleta swoje palce z moimi. Nasze dłonie są połączone w uścisku. Bierze moją prawą dłoń i otwiera ją, kciukiem pocierając jej wnętrze i przesuwając po liniach życia i serca. Muska palcami moje palce, zatacza delikatnie kręgi na moich opuszkach. W piersi czuję ucisk, moja skóra drży od poświęcanej mi przez niego uwagi. Kręci mi się w głowie. Mimo to zauważam, że jego dłonie są gładziej niż moje. Moje są pokryte draśnięciami i zadrapaniami, oplecione siecią blizn przypominających drobne koronki, powstałych od noża do ścinania roślin, cierni i drzazg. Moje paznokcie są krótkie i postrzępione. Kiedy zauważam, jak bardzo różnią się od jego paznokci, cofam swoją dłoń.

– Wstydzisz się? – pyta. Pochylam głowę i potrząsam nią. – Nie powinnaś – dodaje, znowu delikatnie biorąc mnie za rękę. – W tych rękach jest życie i śmierć. Zabij albo ulecz, to twój dar. To twoja broń.

Patrzę w dół na moje dłonie, a on ujmuje je i podnosi do swojej twarzy. Czubek jego kaptura muska wierzch moich nadgarstków. Kiedy chcę zapytać, dlaczego go nosi, przyciska usta do mojej skóry. Ścisza mnie w żołądku. Czuję, jakbym spadała. Wtedy wszystko się kończy, a on puszcza moje dłonie, które zdają się zimne bez jego dotyku.

– Nad czym pracujesz? – pyta w końcu, a później wstaje. Kiedy zaczyna odchodzić, skupiam wzrok na pomieszczeniu wokół mnie. To nie moja stara apteka, ale chata w Almwyk. We śnie wygląda jeszcze gorzej niż w rzeczywistości: sufit pokrywają pajęczyny, a w zakamarkach słychać szmery. Pod stopami czuję zgniłe i obślizgłe sitowie. Wokół roznosi się jego słodkawy zapach. Stoję przerażona.

– Nie martw się – mówi, jakby czytał w moich myślach. Podnosi ze stołu fiołkę i przygląda jej się

przez chwilę. – Niedługo znowu będziesz miała prawdziwą aptekę.

– W domu? – pytam bez zastanowienia, a jego usta układają się w znajomy uśmiech.

– W domu.

– Ale... – Odwracam się do drzwi pokoju matki. We śnie wydaje się ciemny, mroczny. Emanuje niebezpieczeństwem i niedostępnością.

– Jest cicha dzisiejszej nocy – mówi. – Dlaczego? Ty to sprawiłaś?

Odpowiadam uśmiechem. Nie mówię mu, że dałam jej miksturę, której sama nie przyrządziłam. Coś mnie powstrzymuje.

Mężczyzna lekko wzrusza ramionami i podchodzi do mnie. Obejmuje mnie delikatnie, przyciągając do swojego szczupłego ciała, a moje serce rośnie. Myślę o tym, co powiedział Kirin, i uśmiecham się. Dom.

Sen kończy się nagle, ale uczucia pozostają. Leżę bez ruchu i nasłuchuję czegoś, co mogło mnie z niego wyrwać. Okna są zasłonięte, więc nie wiem, jak daleko jeszcze do świtu, jednak patrząc na kominek, stwierdzam, że ogień zdążył już całkiem zgasnąć. Próbuje wychwycić jakiś dźwięk dochodzący z pokoju matki. Pewnie to mnie obudziło. Nie słyszę jednak nic. Najciszej jak mogę podchodzę do okna i odsuwam zasłonę. Moje usta otwierają się z zaskoczenia, kiedy zauważam szarawe, lawendowe światło przechodzące przez krawędzie okiennic. Świt. Już świta.

Jestem zdumiona, że udało mi się przespać noc, że moja matka przespała noc. Zdumienie jednak szybko zmienia się w strach. W kilku krokach pokonuję dystans dzielący mnie od drzwi, łapię za klucz i próbuję jak najszybciej otworzyć je drżącymi dłońmi. A co jeśli ona... co jeśli... Nie wiem, co było w miksturze od Silasa. Jak mogłam być tak głupia? Nie zapytałam nawet, czy to bezpieczne, czy jest jakieś ryzyko. O, bogowie, mój sen. To było ostrzeżenie. Ostrzeżenie, że ona...

Jednym ruchem otwieram drzwi, zapominając o ostrożności. Nie zastanawiam się, czy to nie kolejna z jej sztuczek albo pułapka. Leży w łóżku, jej usta są otwarte, głowa lekko przechylona w tył. Podbiegam do niej, a żołądek podchodzi mi do gardła.

– Mamo! – Słowa więzną mi w gardle. Łapię ją za jej wątłe ramiona i potrząsam. – Mamo!

Przez jedną, przyprawiającą o mdłości chwilę matka nie reaguje. Przystaję oddychać. Wtedy jej oczy otwierają się i spogląda na mnie. Uczucie ulgi jest tak silne, że osuwam się na łóżko obok niej, nadal trzymając ją za ramiona. Mruga powoli, a ja patrzę jej w oczy. Od miesięcy nie były tak czyste. Są tylko lekko różowawe, a źrenice nie są poszerzone ani zwężone. Co najważniejsze, w jej spojrzeniu nie ma nienawiści. Ostrożnie układam ją z powrotem na poduszce.

– Przyniosę ci śniadanie – mówię drżącym głosem, a ona przytakuje. Po raz pierwszy od trzech miesięcy. Skinienie jest ledwo widoczne, może nie było celowe, ale ja je dostrzegam. Wycofuję się z pokoju, nie mogąc oderwać od niej wzroku.

Co było w miksturze, którą dał mi Silas?

Rozdział 8



Skłamałabym, gdybym powiedziała, że zawsze chciałam być aptekarką. Moją pierwszą miłością była alchemia. Wiedziałam wszystko o trzech ścieżkach alchemii z książek mamy: aurumanci, którzy potrafią zmieniać zwykłe metale w złoto, żeby nigdy nie żyć w biedzie; filtromanci, którzy potrafią uwarzyć Elixir Życia, żeby nigdy nie chorować; i animanci, którzy potrafią ożywiać homunkulusy albo, co gorsza, golem, żeby nigdy nie być samotnymi.

Nigdy nie bawiłam się w animantkę. Wydawało się to zbyt dziwaczne, nawet dla mnie. Linie między Śpiącym Księciem, postacią z opowiadań dla dzieci, i prawdziwym Księciem Korony Tallith rozmyły się przez ostatnie pięćset lat, ale obie wersje tej historii mówią, że był on pierwszym i jedynym alchemikiem, któremu udało się dać życie martwemu przedmiotowi. Nigdy nie pragnęłam takiej mocy. Nawet kiedy byłam dzieckiem, idea obdarzania życiem rzeczy, które żyć nie powinny, wydawała mi się straszna. Czasami udawałam, że jestem aurumantką – zazwyczaj, kiedy czegoś chciałam, ale nie mogłam tego mieć. Jednak najczęściej bawiłam się w filtromantkę.

Umiejętność tworzenia Elixiru była znacznie rzadsza niż możliwość zmieniania metali w złoto. Mistrz Pendie powiedział mi kiedyś, że ostatni znany filtromanta zmarł ponad siedemdziesiąt zniw temu w Konklawe i że Rada wyprawiła mu oficjalną uroczystość pogrzebową. Właściwie był to ostatni raz, kiedy alchemicy masowo opuścili Konklawe, i ostatni raz, kiedy użyto tregellańskiej armii, która została powołana do ochrony alchemików przed próbami porwań ze strony Lormeran.

Jednak bawiąc się w alchemiczkę, nie miałam na ten temat pojęcia. Spędzałam godziny, mieszając rozmaite składniki, takie jak błoto, mleko, serwatkę czy jagody, i nazywałam swoje dzieło Elixirem Życia. Moje mikstury dawałam mamie, kiedy bolała ją głowa, i tacie, kiedy bolały go plecy. Próbowалам też, daremnie, podawać je Liefowi, kiedy wpadł w pokrzywy albo stoczył się z dachu

stodoły.

W końcu biedny tata wytłumaczył mi, że nie można zostać alchemikiem i że trzeba się nim urodzić. Wrodzona alchemia, wywodząca się od Królewskich Bliźniąt z Tallith, była umiejętnością przekazywaną poprzez krew. Wtedy powiedział mi też, że mimo tego, że alchemia pozostaje poza moim zasięgiem, mogę nauczyć się warzyć inne mikstury i napary, które również leczą, nawet bez cudownej mocy Elixiru Życia. Zwróciłam się więc ku medycynie i okazało się, że świetnie sobie radzę z roślinami i jestem utalentowaną aptekarką.

Przyuczając się do zawodu aptekarza, poznaje się zasady łączenia i tworzenia, konstruowania i dekonstruowania. Uczy się izolować elementy i mieszać je tak, żeby uzyskać równowagę i najlepszy możliwy efekt leczniczy. Jeden mały listek za dużo, jedna dodatkowa kropla jakiejś substancji może odróżnić lekarstwo od narzędzia zbrodni. Spędzałam miesiące na dekonstruowaniu gotowych mikstur, które wcześniej otrzymałam. Badałam ich zapach i kolor, poszukując kwasów i zasad oraz sprawdzając ich reakcję z humorami ciała. Oddzieliłam poszczególne elementy wszystkich stu leków wymienionych w *Materia Medica* i zapisałam pieczołowicie wszystkie składniki każdego z nich. W moim śnie mężczyzna pytał mnie, co robię. Robiłam właśnie to. Mój umysł wyraźnie podpowiadał mi, żeby to zrobić. Gdyby Silas miał jakiegokolwiek pojęcie o aptekarstwie, to wiedziałby, że z miksturą od niego będę w stanie zrobić to samo. Może nie będę umiała jej odtworzyć, ale będę mogła stwierdzić, co w niej jest. A to może być wystarczający trop, żeby wskazać mi drogę do odpowiedniej receptury.

Odlewam jedną drogocenną kroplę do szklanego naczynia, a resztę odstawiam w buteleczce dla matki, nie wiedząc dokładnie, co znajdę. Później podchodzę do nierozpalonego kominka i wymiatam popiół, a potem podnoszę jego dno. Kiedy tu przybyliśmy, w kominku nie było dna. Był to po prostu dół w ziemi. Błagałam Liefa, żeby znalazł jakąś tacę i zrobił z niej podkład pod palenisko, przekonując go, że rozpalamie ognia bez tego byłoby niebezpieczne. Tak naprawdę potrzebowałam miejsca pod spodem, żeby ukryć mój zestaw aptekarski, bardziej przydatny prawdziwemu, licencjonowanemu aptekarzowi niż amatorskiemu sprzedawcy prostych mikstur. Miałam sprzedać te rzeczy, żeby zdobyć pieniądze na czynsz – moją piękną *Materia Medica*, wszystkie szklane naczynia i pipety, notesy i menzurki, ale nie potrafiłam. Wiedziałam, że ojciec by tego nie chciał. Więc schowałam je. A teraz ich potrzebuję.

Wącham zawartość miseczki i wyciągam notes. Jako punkt wyjściowy zapisuję „róża”. Mój nos jest wprawiony i jestem pewna, że czuję ten zapach. Odstawiam miseczkę i wydaję ze skrzyni moje stare tabele, szukając pod hasłem „róża”. Znajduję ją w trzydziestu ośmiu znanych lekach. Trzydzieści osiem to za dużo. Muszę ograniczyć tę liczbę, żeby skutecznie wykonać zadanie. Jednym ze składników musi być sól, doskonała substancja oczyszczająca, ale ta informacja nie jest zbyt pomocna. Jest tam coś jeszcze. Coś pachnącego jak świeżo zgaszona świeca, jakby dym, ale nieco słabsze. Ponownie przeglądam tabele, ale nic nie przychodzi mi do głowy. Marszczę brwi i szukam dalej. Róża, sól i coś pachnącego dymem. Wyjmuję *Materia Medica*. Dam radę.

Okazuje się jednak, że nie. Przynajmniej nie tak szybko, jak sądziłam. Po południu zanoszę mamie

chleb i zupę. Przyglądam się jej uważnie w poszukiwaniu oznak dalszej poprawy albo nawrotu. Gdyby nie różowawe białka oczu i przypominające pajęczynę włosy, wyglądałaby na zdrową, jakby dochodziła do siebie po gorączce albo wypadku. Wygląda tak, jakby kłamstwo, które powiedziałam Unwinowi i Kirinowi, było prawdą. Wzdycha, kiedy strzepuję poduszki leżące wokół niej. Zamieram, po czym szybko spoglądam na nią, ale zamyka oczy i nie zwraca na mnie uwagi. Zostawiam kubek z wodą obok jej łóżka i już mam zamiar zamknąć drzwi, kiedy zatrzymuję się i patrzę na jej dłonie. Jej palce delikatnie stukają w okrywający ją koc. Raz-dwa-trzy-cztery – postukuje raz za razem, trzymając dłoń na brzuchu, tak jak Silas, kiedy jest poruszony. Przez głowę przelatuje mi stare wspomnienie.

Cała nasza czwórka siedzi przy stole, a moja matka rysuje niewidzialny wzór na blacie stołu, postukując w niego cicho, podczas gdy Lief i ojciec bez końca rozmawiają o wadach i zaletach różnych metod obsiewania pola. Znów widzę ją bębniącą lekko w blat, patrzącą przez okno na ulewny deszcz, przez który nie mogła iść do sąsiadki na herbatę. Robi tak, kiedy jest znudzona. Tak jak stukanie Silasa, robi to bezwiednie. Sądzę, że żadne z nich nie jest świadome, że to robi.

Moja matka jest znudzona.

Nie mogę przestać myśleć, co to może oznaczać. Biegnę do środkowego pokoju i wydaję spod łóżka książkę z opowieściami. Przynoszę ją matce i kładę jej na kolanach. Boję się oddychać, żeby nie zaprzepaścić tej chwili. Jej oczy otwierają się i spogląda w dół na książkę, a potem na mnie. W jej spojrzeniu nie widać, żeby cokolwiek rozpoznawała. Moje policzki czerwienią się ze wstydu, że jestem aż tak sentymentalna. Jak to możliwe, że nadal mam nadzieję...

Wtedy zimna dłoń zamyka się wokół mojej dłoni, a oddech więźnie mi w gardle. Zanim zdążę ją odepchnąć i uciec, jej palce oplatają się wokół moich, delikatnie, jak płatki na róży. Trzyma moją dłoń przez trzy sekundy, po czym puszcza ją, a jej oczy znów się zamykają.

Opuszczając pokój i przekręcając klucz w zamku, czuję mrowienie na skórze, i pieką mnie oczy. Opieram się o drzwi i oddycham głęboko, aż jestem już pewna, że się uspokoiłam. Robię sobie filiżankę herbaty i siadam na ławce, patrząc na moje eksperymenty. W mojej głowie jest zbyt wiele myśli, ale jedno małe nasionko zaczyna kiełkować. Nie mogę go zignorować, mimo że bardzo się staram.

Jest jeszcze zbyt wcześnie, żeby stwierdzić, że to mikstura od Silasa wywołała tę zmianę, ale w jakiś sposób w głębi duszy czuję, że tak właśnie było. Musiało tak być. Czymkolwiek jest ta cudowna mikstura, powoli dosięga mojej mamy i sprowadza ją z powrotem. I jeśli uda mi się ustalić, co to jest, i zrobić tego więcej, stale robić tego więcej, może naprawdę uda się... Może naprawdę będziemy mogli wrócić do domu.

Jeśli odzyska świadomość, mogłaby pomóc mi radzić sobie z jej przypadłością. Jest szansa, że obie wrócimy do Tremayne, nie na farmę, ale...

Mogłabym kontynuować naukę. Mogłabym wrócić do apteki, a Mistrz Pendie mógłby wciąż uczynić mnie swoją współpracownicą. Wtedy miałybyśmy wystarczająco dużo pieniędzy, żeby wynająć dom gdzieś na obrzeżach. Z piwnicą. Będę mogła zapomnieć o Unwinie, o obozach dla uchodźców

i o szukaniu schronienia z dala od ludzi, żeby ukryć matkę. Dom. Nawet jeśli nadejdzie wojna, tak będzie bezpieczniej. Za murami miasta.

Rozgryzę to, na bogów wszystkich panteonów, rozgryzę to.

To pozostaje moją mantrą przez resztę popołudnia: jeśli bestię można kontrolować, może będziemy mogły wrócić do domu. Przystaję pracować tylko po to, żeby rzucić okiem na matkę i na książkę, poza tym nie wykonuję żadnych innych obowiązków. Brudne naczynia leżą, okna są zasłonięte, a ja nadal mam na sobie zabrudzony krwią fartuch z wczoraj.

To nieważne. Nic nie jest ważne, tylko to. Dowiem się, co jest w tej miksturze, a potem skopiuję ją i wszystko będzie dobrze. Na ten cel poświęcę jeszcze jedną kroplę.

Za każdym razem myślę o powrocie do domu, do apteki, do normalnego życia. Przechodzi mnie taki sam dreszcz, jaki odczułam, kiedy Kirin po raz pierwszy o tym wspomniał. Znow wśród swoich – na pewno będzie lepiej. Jeśli coś może wyleczyć rany spowodowane odejściem taty, to na pewno jest to powrót do domu. Lief wiedziałby, gdzie nas szukać, jeśli on... kiedy on...

Ściskam szklaną pipetę tak mocno, że aż pęka, a niewielkie kawałki szkła kaleczą moją dłoń. Prawie nie zwracam na to uwagi. Węzeł w mojej piersi znow się zaciska. Zamieram, na mojej dłoni gromadzi się krew, ale nie obchodzi mnie to. Brzydzę się sobą. Wina trzyma mnie w swoich szponach i przykuwa do ziemi. Patrzę na fiolkę i na pracę, którą wykonałam.

Wtedy przypominam sobie słowa Kirina, że od początku mogliśmy zostać w Tremayne. Pamiętam ból i dezorientację w jego głosie, kiedy wspomniał, że odrzuciliśmy jego pomoc i odeszliśmy bez pożegnania. Po raz pierwszy czuję gniew w stosunku do Lief. Przez niego musieliśmy przeprowadzić się tutaj, a ja musiałam znosić lubieżne uśmiechy Unwina. Przez jego dumę musiałam przecierpieć niezliczone nieprzespane noce. Poszedł pracować we wrogim kraju, zostawiając mnie ze zrozpaczoną matką, która nie mogła nawet samodzielnie jeść. Wszystko dlatego, że nie chciał przyjąć pomocy.

Jesteśmy tutaj z powodu ego, które nie pozwoliło mu skorzystać ze wsparcia jego przyjaciół, naszych przyjaciół. Choroba mamy, przygotowywanie mikstur, wszystko. Nic z tego nie musiało się wydarzyć. Głupi, głupi Lief. Jak mógł? A teraz jest... Nie. Nic mu nie jest. To Lief. Znajdzie nas. A jak już wróci, za wszystko zapłaci. Może zająć się mamą, a ja wrócę do pracy. Zobaczmy, jak sobie poradzi.

Zauważam, że drzę. Zamykam oczy i głęboko oddycham. Kiedy otwieram je znowu, spoglądam na fiolkę. Została już tylko połowa mikstury. Stół pokryty jest zanieczyszczonym płynem i pozostałościami po bezskutecznych wysiłkach. „Do pracy” – mówię do siebie.

Resztę dnia i sporą część wieczora spędzam na próbach wyizolowania pozostałych składników, ale nie znajduję niczego, co udałooby mi się rozpoznać. Przeprowadzam testy na obecność kwasów i zasad, destyluję niewielką ilość, próbując w ten sposób je oddzielić, ale bez rezultatu. Przerывam pracę i odgrzewam trochę zupy, po czym zanoszę ją matce wraz z jej herbatą. Je z rozkoszą,

pochylając się do łyżki, kiedy podnoszę ją do jej ust. Po raz kolejny wstrząsa mną dreszcz nadziei. Dodaję do herbaty czwartą kroplę lekarstwa Silasa, przyglądając się mamie uważnie, kiedy sączy ją spokojnie. Zostawiam ją leżącą w ciszy, jej twarz jest zrelaksowana. Zanim zamknę drzwi, biorę ze sobą książkę z opowieściami. Po chwili pod drzwiami ustawiam skrzynię, na wszelki wypadek. Ostrożność raczej nie zawadzi. Wracam do stołu, do swoich tabel i fiolek. Brakowało mi tego.

Zasłaniam okna i pracuję przy blasku świec, próbując znaleźć ślady lilii, anyżu, ruty zwyczajnej i każdej innej rośliny, jaka przychodzi mi do głowy albo figuruje w moich książkach, aż zużywam resztkę lekarstwa z czwartej kropli. Przeprowadziłam nawet test na obecność humorów, włączając flegmę i czarną żółć, ale bez efektu. Nadal nie wiem, co jest w eliksirze od Silasa.

Jedyny niepospolity składnik, który wywołał jakąkolwiek reakcję, to przywrotnik, ale może to być jedynie anomalia, biorąc pod uwagę niewielki efekt. Pracując nad miksturą tak długo, jestem pewna, że wyczuwam nutę siarki i jakiś metal. Co to takiego?

Rozglądam się po blacie stołu, gdzie leżą porozrzucane stosy papieru, pipety, wykresy i naczynia. Biorę do ręki butelkę, którą dał mi Silas, i przyglądam się jej. Zostały dwie krople. Jutro jest ostatnia noc pełni, więc na tę chwilę potrzebuję dla niej tylko jednej kropli... Wiem, że jestem coraz bliżej. Muszę być.

Podaję rzyko i wyciskam jeszcze jedną kroplę. Po raz kolejny sprawdzam obecność przywrotnika, pozwalając papierowemu wskaźnikowi wchłonąć część cudownego płynu. Po raz kolejny papierek ciemnieje, ledwie, niejednoznacznie. Rzucam go na podłogę. Bez sensu.

Odpycham się od stołu, zapominając o zachowaniu ciszy. Zamieram, kiedy rozlega się głośny dźwięk ławki przesuwanej po podłodze. Na szczęście wewnątrz pozostaje nieruchome. Zmuszam się, żeby zrobić sobie przerwę. Zjadam resztkę zupy prosto z garnka, nie tracąc czasu na jej odgrzewanie. Następnie myję garnek i ponownie wieszam nad ogniem. Po prostu muszę trochę się cofnąć. Jestem już zbyt blisko. Pytanie brzmi: czy dalej próbować tutaj, czy błagać Silasa, żeby powiedział mi, co to jest?

Podając decyzję, wstaję i sięgam po płaszcz. Muszę bardzo uważać, żeby nikt mnie nie zobaczył, szczególnie żołnierze albo Unwin, ale jeśli Silasowi się to udaje, to nie widzę powodu, żeby nie udało się również mnie.

Kiedy otwieram drzwi, widzę stojącego za nimi Silasa z ręką podniesioną, żeby zapukać.

Przygląda mi się od góry do dołu, po czym mija mnie i wchodzi do chaty. Zamykając drzwi, słyszę, jak wciąga powietrze przez zęby. Zdejmuje kaptur i odwraca się do mnie. Uderza mnie blask jego oczu. Zapomniałam już, jak bardzo płoną.

– Nie próżnowałaś – mówi beznamiętnie. – Tracisz czas. I miksturę.

– Więc oszczędź mi tego i powiedz, co w niej jest.

Jego twarz pozostaje niewzruszona, a złote oczy ciemnieją.

– Ciesz się z tego, co masz, Errin. Nawet dając ci ją, złamałem kilka przyrzeczeń. Nie mogę powiedzieć ci nic więcej.

– Ona przespała noc, Silasie – mówię. – Dziś rano spojrzała na mnie. Dotknęła mnie. Jeżeli to

dzięki twojej miksturze, jeżeli mogę ją odzyskać, to muszę wiedzieć, co to jest. Silas, muszę. Nie dawaj mi nadziei tylko po to, żeby ją odebrać. Proszę cię. Zbyt wiele już straciłam.

Odwracam się, czując ścisk w gardle i pieczenie w oczach. Wzbiera we mnie poczucie beznadziei i muszę zacisnąć zęby, żeby nie zacząć płakać.

– Errin – odzywa się Silas, a ja potrząsam głową. – Przykro mi – mówi łagodnie. – Chciałem pomóc.

Niepewnie kładzie rękę na moim ramieniu, a ja zamieram.

Wstrzymuję oddech. Ciężar jego ręki jest przytłaczający i muszę walczyć, żeby mu nie ulec. Nigdy nie byłam pewna, co do niego czuję. Czasami budzi we mnie gniew, czasami... Wiem, że jego głos niekiedy wywołuje dziwne uczucie w moim brzuchu. Uczucie, na które nigdy nie jestem gotowa. Wiem, że spędziłam zdecydowanie zbyt wiele czasu, patrząc na jego usta, i to nie tylko dlatego, że był to jedyny sposób na odczytanie jego emocji, kiedy jeszcze zakrywał się płaszczem. Jestem pewna, że tajemniczy mężczyzna z moich snów to podejmowana przez mój umysł próba stworzenia bardziej przystępnej wersji Silasa, co jest niezwykle upokarzające.

Teraz wiem, że prawdziwy Silas nic do mnie nie czuje. Nie w ten sposób.

Cztery tygodnie po tym, jak rozpoczął się nasz dziwny układ, poszłam do jego chaty, żeby dostarczyć zamówienie. Nieszkodliwą maść z kamfory i mięty. Nic wielkiego.

Byłam straszliwie zmęczona. Pomiedzy dziwnymi snami a pierwszą przemianą mojej matki, podczas dnia prawie lunatykowałam. Byłam całkowicie zaabsorbowana dbaniem o nas obie, upewnianiem się, że nikt w wiosce nie dostrzeże naszej słabości, chodzeniem do lasu i zbieraniem składników, warzeniem niezliczonych mikstur, żeby przełamać jej chorobę, leczeniem zadrapań na jej ręce, zdobywaniem jedzenia i handlowaniem, kiedy tylko nadarzyła się okazja. Pracowałam od świtu do nocy bez przerwy. Wypychałam z mojej głowy myśli o Liefie i tacie, wiedząc, że nie mogę się załamać jak matka.

Ale kiedy zbliżała się pełnia, zobaczyłam, że wodzi za mną wzrokiem, a jej palce zwijają się w szpony. Wtedy przypadkowo zamknęłam ją na noc w pokoju, ocalając w ten sposób swoje życie. Później przetrwałam dwie długie, coraz bardziej traumatyczne noce przerywane jej przekleństwami, drapaniem i uderzeniami w drzwi, po których stawała się cicha i pozbawiona życia, gdy tylko weszło słońce. Ślęczałam nad opowieściami ze starych ksiąg od chwili, kiedy dowiedziałam się, że Śpiący Książę powrócił, więc znałam imię tego, czym się stawała. Rozpoznałam to po jej czerwonych oczach i ostrym języku.

Nie wierzyłam do końca, dopóki nie przewróciła mnie na ziemię, ukruszając mi ząb.

Więc kiedy niosłam Silasowi jego maść, nie byłam w pełni przytomna. To nie wymówka. Byłam przestraszona, wyczerpana i pogrążona w smutku. W ciągu poprzednich dwóch miesięcy cały mój świat wywrócił się do góry nogami, więc kiedy okazał mi trochę uprzejmości, ja... Źle go rozumiałam.

Jak zawsze zaprosił mnie do swojej chaty i, również jak zwykle, wyciągnął rękę po mały słoiczek,

a ja po moją zapłatę. Od naszego pierwszego spotkania zauważyłam, że zawsze nosi rękawice oraz kaptur i że za wszelką cenę stara się mnie nie dotykać. Byłam więc zaskoczona, kiedy złapał mnie palcami za podbródek i odchylił moją twarz w kierunku swojej.

– Wyglądasz na zmęczoną – powiedział, a dźwięk jego głosu coś we mnie poruszył.

– Ostatnio jestem zajęta. – Zmusiłam się do uśmiechu, a jego palce zacisnęły się na mojej szczęce.

– Co ci się stało? – Spojrzał na mój nadkruszony przedni ząb, a ja natychmiast zamknęłam usta i próbowałam ukryć go, odpowiadając.

– Upadłam.

– Na drzwi? – Jego głos był ponury i gniewny.

– Nie, Silasie, na podłogę. Naprawdę.

– W domu?

– Tak. – Odsunęłam twarz od jego dłoni, poirytowana pytaniami i moją dziwną reakcją na jego bliskość. Odczuwałam jego obecność w wyjątkowy sposób, jak nikogo innego. Miałam też świadomość tego, jak wyglądam ja sama i jaki był kościsty i wysoki w porównaniu ze mną. Jak blisko mnie stał. Czułam ciepło jego oddechu na mojej twarzy, kiedy mówił. Czułam jego zapach – delikatny aromat mięty i starego kadzidła.

Przygryzł wargę, a jego głowa była przechylona w bok. Wtedy odezwał się znowu.

– Powiedziałaś mi, gdyby ktoś zrobił ci krzywdę, prawda?

Na dźwięk tych słów wybuchłam płaczem. Nie mogłam się powstrzymać, nie mogłam poradzić sobie z tą małą uprzejmością, jaką mi okazał. Wtedy wciąż był mi prawie obcy, był moim klientem, ale był też pierwszą osobą, która była dla mnie miła, albo wydawała mi się miła w tym trudnym czasie. Rzuciłam się na niego i płacząc, wtuliłam w jego pierś. Wtedy, ku mojemu zaskoczeniu, objął mnie. Ręce trzymał luźno, ale obejmował mnie, aż przestałam się trząść i pozwolił mi wypłakać się w swoją tunikę. Przez cały czas głaskał mnie po włosach, przeczesywał je palcami, delikatnie je rozplątując. Było to bardzo przyjemne.

– Wszystko w porządku? – zapytał, a jego głos rozbrzmiewał echem w moich uszach.

Kiedy czekał na moją odpowiedź, spojrzałam w górę, w ciemną otchłań jego kaptura.

Pocałowałam go.

Nigdy wcześniej tego nie zrobiłam, ale jego pocałowałam, nagle przyciskając usta do jego ust. Przez jedno, dwa, trzy uderzenia serca nasze usta stykały się. Wydawało mi się, że jego usta delikatnie przesunęły się po moich, lekko jak musnięcie skrzydeł motyla. Myślałam, że odwzajemnia mój pocałunek.

Wtedy odepchnął mnie z taką siłą, że prawie upadłam.

– Nie – powiedział, wycierając usta, jakbym go pobrudziła.

Natychmiast odwróciłam się i próbowałam uciec, ale przyciągnął mnie z powrotem i trzymał na odległość wyprostowanej ręki.

– Przepraszam – powiedział, oddychając ciężko. – Przepraszam, że cię odepchnąłem. I że

krzyknąłem. Ale nie możesz... Nie wolno ci... Nie rób tego, Errin. Proszę.

Nigdy w życiu nie byłam tak zawstydzona. Przytaknęłam bez słowa. Wtedy puścił mnie, a ja pobiegłam do domu i zrobiłam sobie herbatę z maku. Następnego ranka obudziłam się z bólem głowy, bólem serca, kiedy o nim myślałam, i notatką pod drzwiami z prośbą o maść z kory wierzbowej.

Nigdy już o tym nie rozmawialiśmy i nie dotykaliśmy się, aż do momentu, kiedy wziął mnie za rękę przed Unwinem.

Lekko poruszam ramieniem, strząsając jego dłoń, którą natychmiast zabiera. Moje ramię zdaje się być zimne w miejscu, którego przed chwilą dotknął.

– Chcesz czegoś? – pytam beznamiętnie.

– Właśnie szedłem spotkać się ze swoim kontaktem. Chciałem sprawdzić, co u ciebie. U was obu.

– Dzięki tobie ostatnia noc była najlepszą, jaką miałyśmy od trzech miesięcy – mówię, a jego twarz zdradza smutek. – Większość zużyłam, próbując ustalić, co to jest, ale nie byłam w stanie. Przyznaję, nie potrafię. Potrzebuję twojej pomocy. Pozostała już tylko jedna kropla. Powiedz mi, co w niej jest. Proszę.

– Nie uda ci się, Errin. I nie powinnaś próbować.

– Dlaczego?

– Chciałbym... – zaczyna, a potem potrząsa głową. – Mogę spróbować zdobyć jeszcze trochę. Ale to wszystko.

Spoglądam na niego.

– Ile? Możesz zdobyć tyle, żeby starczyło na rok?

Robi dziwną minę, przygryza wargi, a jego policzki bledną.

– Zapłacę ci za to. Nie proszę o przysługę.

– Nie o to chodzi. Nie mogę...

– Nie możesz mi powiedzieć – przerywam mu. – Oczywiście, że nie. To pewnie tajemnica, prawda, Silasie?

– Jesteś niesprawiedliwa.

– Nie mów mi o byciu niesprawiedliwym, Silasie Kolby.

Patrzy na mnie z żalnym wyrazem twarzy, ale nie mogę zmusić się, żeby czuć do niego sympatię. Odwracam się od niego i czekam, aż usłyszę za sobą cichy dźwięk zamykanych drzwi. Wracam do stołu. Jeszcze jedna próba.

Później, kiedy zasypiam, znów śni mi się ten mężczyzna. Tym razem nie jesteśmy w aptece ani w mojej chacie, ale gdzieś, gdzie nigdy przedtem nie byłam. Znajduję się w małej, zwyczajnie umeblowanej, kamiennej sali. Jest zimno i wilgotno. W jakiś sposób czuję, że jesteśmy pod ziemią. Mężczyzna siada na drewnianym krześle i opiera się o pokryty ciemnymi plamami stół. Jest przygarbiony i sprawia wrażenie pokonanego i zmęczonego. Żal mi go.

– Chodź tu, moja słodka – mówi, wyczuwając moją obecność. Podchodzi do niego. Obejmuje ramionami moją talię i opiera głowę o mój brzuch. – Co za bałagan – wzdycha. – Co za bałagan.

Sięga rękami do góry i przyciąga mnie do siebie. Pochyliam się nad nim, a on przyciska usta do mojej szyi. Moje oczy przymykają się, gdy całuje mnie wzdłuż linii podbródka. Kiedy przestaje, zaczyna kręcić mi się w głowie.

– Ale mam ciebie, prawda? – pyta, kiedy jego usta docierają do mojego ucha, a jego język pieści je delikatnie.

Bezwiednie przytakuję.

Jakiś czas później budzi mnie stukanie i gorzkie rozczarowanie. Kiedy siadam zdezorientowana, zimne powietrze ochładza pot na moim czole. Pierwsza myśl, która przychodzi mi do głowy, to że mikstura jednak nie zadziałała. To musiał być zbieg okoliczności, że ostatniej nocy matka była taka spokojna.

Wtedy słyszę ten dźwięk ponownie. Trzy ciche stuknięcia.

Dobiega od frontowych drzwi. Nie od drzwi do pokoju mojej matki.

Przez głowę przelatują mi wszystkie najstraszniejsze możliwości: że to Unwin albo Kirin i jego żołnierze, najeźdźcy albo złodzieje. Mam nadzieję, że to Silas, ale biorąc pod uwagę to, co stało się wcześniej, jest to mało prawdopodobne. Wygrzebuję się z łóżka i zamieram. Pod nosem raz za razem mamrocę „Proszę, odejź”. Przez moment panuje cisza, a potem znów słychać pukanie, tym razem głośniejsze i bardziej stanowcze. Moje serce zatrzymuje się. A więc to żołnierze.

Słychać szcęk zasuwki, a ja skaczę naprzód, zdając sobie sprawę, że drzwi nie są zamknięte na klucz. Kiedy otwierają się, dostrzegam postać trzymającą na rękach coś dużego.

– Pomóż mi – mówi Silas, podchodząc z trudem do mojego siennika i zrzucając na niego ciało.

Rozdział 9



Zamykam frontowe drzwi, a potem podchodzę do Silasa, który przykłęka obok czegoś, co wygląda jak człowiek. Jego twarz przypomina kawał surowego mięsa. Jego nos jest rozsmarowany po zwiotczalej twarzy, włosy ma przesiąknięte krwią. Jest nieprzytomny. Przykładam palce do jego nadgarstka. Ze zdziwieniem wyczuwam puls, słaby, jak muśnięcie skrzydeł ćmy, i liczę uderzenia. Są bardzo słabe i oddalone od siebie.

– Nie wiedziałem, dokąd pójść – mówi Silas z przejęciem i bezradnością w głosie. – Przepraszam.

– Potrzebuję wody. – Nie patrzę na niego, próbując ocenić obrażenia mężczyzny. – Masz szczęście, że żyje. Niestety, chyba długo to nie potrwa. Wiem, że to ryzykowne, ale...

– Przyniosę.

Pod jego nieobecność sięgam po nóż i rozcinam tunikę mężczyzny, odsłaniając poranioną, muskularną klatkę piersiową, która jest tak samo posiniaczona jak jego twarz. Delikatnie dotykam żeber w poszukiwaniu złamań, ale żadnych nie wyczuwam. Przeciągam ręką po jego lewym biodrze, a potem wzdłuż nogi, dokładnie sprawdzając kolano i kostkę. Nie znajdując złamań, robię to samo po prawej stronie.

– Mam – mówi Silas, wbiegając z powrotem do chaty i z głośnym trzaskiem zamykając drzwi. Natychmiast wzdrygam się i odwracam w stronę drzwi do pokoju matki. Oboje zamieramy, wyczekując z szeroko otwartymi oczami.

– Przepraszam – mówi Silas, a ja potrząsam głową.

– Nieważne. Woda musi być przegotowana. – Ruchem głowy wskazuję wiadro w jego rękach,

z którego zwisa ucięta lina, krzywiąc się na samą myśl o tym, co zrobią żołnierze, próbując jutro skorzystać ze studni. Silas zanosi wodę do kominka i przelewa część do wiszącego nad nim glinianego garnka. Słyszę, jak rozpala ogień. Najpierw rozlega się szelest papieru, a potem cichy trzask płomieni. Uporawszy się z ogniem, staje nade mną i przygląda się, jak kończę oględziny.

– Potrzebujemy bandaży – mówię. – Weź jeden z czystych koców wiszących na sznurze. Porwij go na długie paski.

Przynosi jeden z koców i siada obok mnie, po czym zaczyna drzeć go z zaskakującą agresją. Przez chwilę w pomieszczeniu słychać tylko dźwięk rozrywanego materiału. W końcu odzywam się, żeby wypełnić odstępy między tymi okropnymi dźwiękami.

– Ma złamany nos. Prawa kość policzkowa chyba też jest złamana – zaczynam. – Podejrzewam też złamanie żeber. Dwóch, może więcej. Nogi chyba nie są połamane, ale prawa kostka jest mocno spuchnięta, więc nie mam pewności. Wygląda na to, że został brutalnie pobity.

– Przeżyje? – pyta Silas.

– Nie wiem – odpowiadam. Podchodzę do stołu i przetrząsam go w poszukiwaniu kory wierzbowej i balsamu z arniki. – Dodaj do wody trochę soli – mówię Silasowi, po czym kontynuuję. – Znasz go? Czy to ten człowiek, z którym miałeś się spotkać?

Spojrzenie Silasa jest skupione na rannym mężczyźnie, na jego otwartych ustach. Kiedy przyszedł, nie miał na sobie kaptura. Jego ręce drżą. Traci nad sobą panowanie. Siła, którą musiał w sobie znaleźć, żeby przynieść tutaj tego mężczyznę, zaczyna go opuszczać.

– Silasie, musisz mi pomóc – mówię stanowczym tonem. – Potrzebuję patyka. Mocnego. Mniej więcej tej długości. – Pokazuję dłońmi długość około sześciu cali.

Spogląda na mnie pustym wzrokiem, a ja zdaję sobie sprawę, że w tym stanie mi nie pomoże. Podnoszę się, wycieram ręce o i tak już poplamioną sukienkę i wymykam się w ciemność. Nocne niebo jest czyste. Nad sobą widzę setki tysięcy gwiazd mrugających do siebie konspiracyjnie. Księżyc jest w pełni. Jego blada, ciężka tarcza wisi w ciemności nad moją głową. Jest jasno jak w dzień, ale świat wygląda, jakby ktoś wyssał z niego wszystkie kolory. Nie ma jeszcze nawet północy.

Szybko znajduję to, czego szukam – dębową gałązkę, odpowiednio cienką i prostą, żeby usztywnić rękę – po czym wracam do chaty. Zamieram, kiedy dostrzegam jakiś kształt obok drzew zaraz za chatą. Odbija kilka promieni światła, po czym znika w głębi pogrążonego w ciemności lasu. Pozostaję bez ruchu i mrużę oczy, przypatrując się linii drzew w poszukiwaniu poruszenia, błysku kolczugi lub niebieskiej wstęgi, zasłoniętej twarzy najeźdźcy albo tego, kto zaatakował znajomego Silasa. Czekam, odliczając uderzenia swojego serca. Dochodzę do sześćdziesięciu i nie widzę nic więcej. Biegnę do chaty najszybciej jak potrafię, zamykam i zaryglowuję drzwi i opieram się o nie, poświęcając chwilę na dojsście do siebie przed powrotem do mojego pacjenta.

Silas stoi przy stole, patrząc pustym wzrokiem na panujący na nim bałagan i porozrzucane fiolki. Podaję mu gałązkę i proszę, żeby zdarł z niej korę. Zaskoczony robi to, a ja zabieram się za rozcinanie spodni mężczyzny. Są uszyte z tkaniny dobrej jakości, o gęstym splocie i małych, ładnie

wykonanych szwach – aż żał je niszczyć. Kimkolwiek był ten mężczyzna, musiał przybyć z miejsca, w którym nie martwiono się o pieniądze. Powoli rozcinam i zdejmuję fragmenty sztywnego od krwi i brudu materiału, odsłaniając skórę.

– Możesz go uratować? – Silas pyta tak cicho, że muszę na niego spojrzeć, żeby się upewnić, że rzeczywiście coś powiedział.

– Nie wiem. – Zaczynam usztywniać nogę mężczyzny, przywiązując do niej patyk bandażami zrobionymi przez Silasa.

– Spróbuj, proszę cię. Zrobię wszystko. Wszystko. – Roziskrzone, złote oczy Silasa skupiają się na moich. Przytakuję raz, po czym wracam do swojego pacjenta.

Zawsze dobrze radziłam sobie z roślinami. Na naszej farmie było małe poletko, które ojciec podarował mi na moje trzynaste urodziny. Była to dobra, żyzna ziemia. Ojciec oznaczył działkę małym płotkiem, który sam zrobił.

– To dla naszej Errin – oznajmił, kiedy patrzyliśmy na pusty fragment ziemi. – Będzie mogła sadzić swoje własne zioła i zaoszczędzimy fortunę na zakupach w aptece.

To był żart. Cała nasza czwórka była nieprzyzwoicie zdrowa. Do dnia, w którym upadł mój ojciec, nigdy nie wzywaliśmy aptekarza z innego powodu niż z prośbą o przyjęcie mnie na naukę.

O jego wypadku dowiedziałam się od mojego brata gnającego przez wieś. Siedziałam wtedy z Lirys, na wpół słuchając jakiejś jej opowieści o Kirinie, kiedy przybiegł Lief – drżący i blady jak ściana.

– Chodź – powiedział, a moje serce przeszło przerażenie. Podkasałam spódnice i podążyłam za nim.

Całą drogę do domu biegliśmy, nie zamieniając ani słowa.

Będąc już na farmie, Lief przebiegł przez kuchnię, zostawiając błotniste ślady na kamiennej podłodze. Pamiętam, że pomyślałam wtedy, jak zła będzie mama, kiedy to zobaczy. Jak zgani nas oboje i każe nam posprzątać. Nie wiedziałam, że już raz tu sprzątała, zmywając krew taty.

Pobiegłam tym śladem do domu, do pokoju matki i ojca.

– Co się stało? – wydyszałam, opierając się o framugę drzwi. Mama siedziała obok mojego ojca, przykładając kawałek materiału do jego nogi. W pokoju czuć było zapach metalu, alkoholu i strachu.

– Cholerny byk – powiedział tata, próbując wywołać uśmiech na swojej poszarzałej twarzy. – Wyprowadzałem go ze wschodniego wybiegu i rzucił się na mnie.

– Ubódł cię? – zapytałam.

– Nie – powiedział Lief. – Ojciec go wyprzedził. Ale za szybko przeskoczył przez ogrodzenie i wylądował na widłach. Przebiły mu nogę.

– Pokaż mi – powiedziałam, podchodząc do łóżka i delikatnie odsuwając rękę matki.

Krew nie tryskała jak z fontanny ani nie wypływała w rytm bicia serca ojca. Poczułam ulgę. Nic ważnego nie uległo uszkodzeniu. Krew zbierała się w ranie, która stała się swego rodzaju

zbiornikiem.

– Musimy ją oczyścić.

Mama przytaknęła i wzięła głęboki oddech.

– Co mam robić?

– Potrzebujemy świeżej wody – powiedziałam. – Lief, wstaw czajnik, niech się gotuje. Umyj jedną z cynowych mis wrzącą wodą, a potem napełnij ją, dodaj soli i przynieś tutaj. Mamo, przynieś, proszę, brandy i czyste ubrania. Weź też swoje przybory do szycia. Wyczyść ranę, umyj ją dokładnie wodą. Tylko wodą z solą.

– A brandy?

– Daj ją tacie. Tyle, ile zechce.

– A co ty będziesz robić? – zapytała.

– Będę w moim ogrodzie.

Pobierałam nauki u aptekarza już od dwóch lat. Pięć dni w tygodniu spędzałam w jego wonnych pokojach i uczyłam się o ziołach, roślinach i lekach. Nieraz sprzeczałam się z nim na temat sugestii zawartych w *Materia Medica* i niektórych metod, których używał do leczenia pacjentów, ale Mistrz Pendie był dobrym człowiekiem, który więcej zapomniał na temat medycyny, niż ktokolwiek inny o niej wiedział.

Tata był ze mnie taki dumny.

– Masz mózg po mojej babci – mawiał. – Była wystarczająco bystra, żeby uciec z zamku, kiedy ludzie obrócili się przeciwko szlachcie. Była wystarczająco bystra, żeby zabrać mojego ojca, ukryć się i zacząć nowe życie tutaj, na tej farmie. Dobrze wiedzieć, że też jesteś mądrą dziewczynką.

*

Tata dał mi ogród i tam właśnie poszłam. Przebierałam dłońmi rośliny, przeglądałam i wybierałam te, które były potrzebne. Żywokost na powstrzymanie krwawienia. Lepszy byłby aframon, ale do tej pory nie chciał mi się przyjąć w ogródku, a bieganie teraz po niego do apteki byłoby stratą czasu. Rzepik i żywokost powinny go zastąpić. Jeszcze krwawnik, dla pewności. Lawenda, rumianek i głowienka do oczyszczenia rany.

Potem pobiegłam z powrotem do domu z rękami pełnymi liści. Mój brat stał w kuchni, stukając stopą o podłogę i spoglądając nerwowo na czajnik.

– Jeszcze się nie zagotowała? – zapytałam.

– Mama już trochę ma – odpowiedział. – To drugi czajnik.

Z góry usłyszeliśmy krzyk bólu i skrzywiliśmy się.

– Nie będzie mógł pracować przez jakiś czas, prawda? – powiedział Lief.

– Nie, będzie musiał odpoczywać, aż się zagoi.

– No to będziesz musiała mi pomagać.

– Co masz na myśli? – Położyłam liście na stole, po czym zaczęłam chodzić po kuchni w poszukiwaniu owsa, muślinu i czystych misek.

– Chodzi o twoje wypadki do wioski, żeby poplotkować o chłopakach, kiedy tutaj jest praca do zrobienia. Koniec z nimi.

– Ja pracuję we wsi, w aptece, pamiętasz?

– Będziesz musiała w takim razie zrobić sobie przerwę, nie sądzisz?

– Nie jesteś moim ojcem, Lief.

– Nie, nie jestem. Nasz ojciec jest na górze i krwawi, bo ty byłaś zbyt leniwa, żeby odłożyć narzędzia na miejsce.

Zamarłam i odwróciłam się do niego.

– Nie prosił mnie o to.

Napotkałam jego spojrzenie. Oczy mu błyszczały od gniewu.

– Po pierwsze, nie musiał cię o to prosić. Po drugie, próbował to zrobić dziś rano, ale udawałaś, że nie słyszysz.

– Nie słyszałam! – protestowałam z poczuciem winy, mimo że właściwie mówiłam prawdę. Nie słyszałam, bo spieszyłam się do wioski. – Chcesz powiedzieć, że to moja wina?

– Proszę. – Uderza cynowym czajnikiem w odrapany, drewniany stół. – Idę sprawdzić, co u niego.

Rodzina przede wszystkim, Errin. Pamiętaj o tym.

Zostawił mnie tak, odrętwiałą. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że mam pracę do wykonania. Zmieszałam żywokost, rzepik i krwawnik, a potem zmieszałam je z owsem, żeby zrobić okład. Dodałam też gorącej wody i trochę mleka, żeby lepiej związać papkę. Zawinęłam wszystko w kawałek muślinu, wykręciłam i pędem pobiegłam po schodach na górę.

Kiedy weszłam, w pokoju czuć było świeżą krew. Mama odsunęła się, żebym mogła obejrzeć ranę. Teraz była czysta i okazała się głębsza, niż myślałam. Musiał upaść na widły prawie całym swoim ciężarem.

– Ile brandy już wypił? – zapytałam mamę, a ona ruchem głowy wskazała butelkę. Była w jednej trzeciej pusta. – Potrzymaj to wewnątrz rany. Nie wygląda to ładnie, ale zatrzyma krwawienie. Będziemy wtedy mogli znowu ją oczyścić i przygotować do zszycia.

Mama przytaknęła i wzięła okład. Tata krzyknął, kiedy wcisnęła go do wnętrza rany, a Lief podniósł butelkę i podał mu do ust.

– Pójdę i przygotuję resztę – powiedziałam, a Lief przytaknął zdawkowo.

Kiedy wróciłam do kuchni, wstawiłam jeszcze jeden czajnik z wodą, włożyłam lawendę, rumianek i głowienkę do moździerza i utłukłam je na masę. Dolałam trochę wody, a kiedy wszystko przybrało postać pasty, dodałam trochę świńskiego tłuszczu, żeby zrobić maść. Świński tłuszcz najlepiej stosować u mężczyzn.

Na tym etapie mój ojciec był już nieprzytomny, z bólu, od brandy albo od jednego i drugiego, co

znacznie ułatwiło mi pracę. Kiedy mama usunęła okład, krwawienie zmniejszyło się, a ja odetchnęłam z ulgą.

– Teraz musisz mi pomóc – powiedziałam do matki. – Musisz złączyć skórę tak, żebym mogła ją zszyć.

Mimo że lekko zzieleniała, przytaknęła, a ja nawlekłam igłę, którą mi przyniosła. Kiedy tylko przekłułam skórę, żeby zrobić pierwszy szew, wybiegła z pokoju, zakrywając ręką usta.

– Lief?! – zawołałam, a on przyszedł i usiadł po drugiej stronie łóżka.

Powoli zaszyliśmy ranę mojego ojca.

Kiedy rozsmarowywałam maść na jego nodze, spojrzałam w górę i zauważyłam, że tata mi się przygląda.

– Jak się czujesz? – zapytałam.

– Jakbym upadł na widły, a potem pozszywała mnie własna córka. Zdaje mi się też, że mogę być troszkę pijany – odparł, nieco bełkocząc.

– Więc nic nadzwyczajnego? – powiedziałam, uśmiechając się nieznacznie.

Wstałam i pocałowałam go w czoło, a on złapał mnie za rękę.

– Jesteś taką dobrą dziewczynką – powiedział. – Jestem z ciebie taki dumny.

Z powodu słów Lief'a nadal pobrzmiwających w moich uszach wcale nie czułam się wtedy jak dobra dziewczynka.

Następnego ranka wydawało się, że tata czuje się dobrze. Kiedy sprawdzałam ranę i nakładałam jeszcze trochę mojej maści, siedział w łóżku i narzekał przede wszystkim na ból głowy. Zostawiłam go pod opieką mamy i niechętnie pomogłam Liefowi z obowiązkami domowymi. Kopnęła mnie jedna z krów, co skończyło się bolesnym siniakiem i zepsuło mi humor na resztę dnia. Lief i ja jedliśmy osobno. Byliśmy na siebie źli, bo on zażądał, żebym zrobiła kolację, a ja odmówiłam.

– Ale to twój obowiązek.

– Bo jestem dziewczyną?

– Tak.

Rzuciłam mu gniewne spojrzenie.

– Lepiej, żeby tata nie usłyszał, że tak mówisz.

– Nigdy nie widziałem, żeby ojciec gotował posiłek, a ty? To obowiązek matki.

– Cóż, dzisiaj byłam rolnikiem, a to praca dla mężczyzn. A więc dzisiaj jestem mężczyzną i nic dla ciebie nie ugotuję.

– W porządku. Nie gotuj. Zjem chleb ze smalcem.

– Udław się nim – syczę i zostawiam go samego. Zazwyczaj dobrze się dogadywaliśmy, poza zwykłymi sprzeczkami brata z siostrą, ale napięcie związane z raną ojca i ciężki, niewdzięczny dzień pracy wprowadził nas w paskudny nastrój i żadne z nas nie chciało dać za wygraną.

Nie rozmawialiśmy przez całe cztery dni, a każdy z nich wydawał się trwać tydzień, kiedy pracowaliśmy obok siebie przy dojeniu krów, sprzątaniu po nich, wypędzaniu na pastwisko i noszeniu mleka do mleczarni. Udało mi się trochę zemścić na Liefie, zmuszając go do dojenia, kiedy mama siedziała z tatą, ale nie dało mi to dużej pociechy. Dwa razy dziennie sprawdzałam ranę ojca i wydawało się, że goi się dobrze. Narzekał na sztywność w nodze, ale można się było tego spodziewać, a mama zaproponowała, że ją rozmasuje.

Sześć dni po wypadku nie mogłam spać, mimo wyczerpania pracą. Rzucalam się i wierciłam od nieznośnego letniego upału. Leżałam na pościeli z rozpostartymi rękami i nogami, próbując się ochłodzić. Wtedy otworzyły się drzwi.

– Errin, coś jest nie w porządku – powiedziała mama w ciemności.

Kiedy weszłam do ich pokoju, panował tam nieprzyjemny, kwaśny zapach choroby. Prawie zwymiotowałam. Położyłam dłoń na czole ojca. Było rozpalone. Jęczał cicho przez sen, a jego skóra w przyćmionym świetle wyglądała jak z wosku, mokra od potu, który nie miał nic wspólnego z letnim upałem. Wtedy zatrzęsł się, nagle i przerażająco. Jego ramionami szarpały skurcze i drgawki. Matka podbiegła do niego, próbując przytrzymać go w miejscu.

Wiedziałam, co to było, ale nie chciałam w to wierzyć. Nie chciałam, żeby to działało się naprawdę i żeby było już za późno.

– Jak długo to trwa?

– Przy obiedzie mówił, że jest mu za gorąco. Nie mógł przełykać i bolała go szczęka. Potem zaczęły się dreszcze, najpierw na szyi. Czułam, jak jego mięśnie drżą.

Tata zatrzęsł się znowu, a ja zamknęłam oczy.

– Potrzebujemy pomocy Mistrza Pendie.

Mama natychmiast wysłała do niego Liefę. Kiedy go nie było, po raz pierwszy w życiu mama i ja padłyśmy na kolana i zaczęłyśmy modlić się do bogów, w których nigdy nie wierzyłyśmy.

Mistrz Pendie zrobił, co mógł. Zastosował korę wierzbową i więcej lawendy. Poprosił też o paski i liny, żeby przytrzymać ojca. Każdy atak był coraz bardziej gwałtowny. Aptekarz powiedział nam, żeby wlewać ojcu do gardła miód oraz podawać cukier, śmietanę i masło. Całą noc spędziliśmy na noszeniu wody i jedzenia, próbując nakarmić go między atakami, żeby nabrał sił. O świcie był wyczerpany, ale nadal się trząsł. Jego ciało jakimś cudem było bardziej wychudzone niż przed zachodem słońca.

– To tęzec – powiedział po powrocie Mistrz Pendie.

– Jak to wyleczyć? – zapytała mama.

Lief i ja spojrzeliśmy na siebie nawzajem.

– Nie da się – powiedział z żalem Mistrz Pendie, po czym zwrócił się do mnie. – Przykro mi. Naprawdę mi przykro.

Zostawił nam krople makowe, żeby podać ojcu. Tęzec prowadzi do bolesnej śmierci. Nawet po

zażyciu środka uspokajającego jego ciało nadal drżało.

Matka popadła w katatonię, nie chciała uwierzyć w to, co się działo. Dzień spędziła w pokoju, wpatrując się w ścianę i szepcząc zapomniane modlitwy do zapomnianych bogów. Ja siedziałam obok i w ciszy trzymałam ją za rękę, również modląc się w myślach. Lief został z ojcem.

Poszłam na dół wziąć sobie szklankę mleka. Było późno, księżyc stał wysoko, a świat zdawał się nieruchomy. Nie usłyszałam kroków Lief'a za swoimi plecami. Dopiero kiedy zobaczyłam jego odbicie w oknie, zdałam sobie sprawę, że tam był. Kiedy odwróciłam się i zobaczyłam jego twarz, już wiedziałam.

– Jak mam jej powiedzieć? – odezwał się. – Jak mam jej powiedzieć, że odszedł?

Rozdział 10



Silas pracuje ze mną przez kolejną godzinę, pieczołowicie myjąc mężczyznę od stóp do głów, odsłaniając wiele ran i sińców. Nie wzdryga się ani nie zbiera go na wymioty. Pracuje w ciszy i ze stoickim spokojem, pomagając mi oczyścić, opatrzyć i zabandażować rany najlepiej jak możemy. Brzydkie, groźnie wyglądające sińce sprawiły, że skóra na klatce piersiowej i brzuchu mężczyzny przybrała kolor ciemnego fioletu. Nie wróży to nic dobrego. Jego skóra jest zimna w dotyku i nie rozgrzewa się, mimo że stale podsycamy ogień. Kiedy zmywamy krew i brud z jego włosów, zauważam, że są one białe jak włosy Silasa. Gdy podnoszę powieki, żeby sprawdzić źrenice, widzę złote tęczówki. Spoglądam na Silasa, ale nie mówię ani słowa.

W końcu, kiedy nie pozostaje już nic więcej do zrobienia, przykrywamy mężczyznę wszystkimi kocami, jakie udaje nam się znaleźć.

– Co teraz? – mówi Silas. Zmęczenie lub ból sprawiły, że jego ochrypły głos brzmi jeszcze bardziej surowo.

– Nic. Zrobiłam wszystko, co mogłam. Reszta zależy od niego. Jeśli ma obrażenia wewnętrzne... – Ściszam głos, a Silas przytakuje gwałtownie. – Arnika i kora wierzbowa powinny zmniejszyć opuchliznę na zewnątrz. Będziemy wiedzieć więcej, jeśli... kiedy... się obudzi.

Silas opiera głowę na dłoniach.

Wstaję i zaglądam do wiadra, po czym z resztki wody parzę dwie filiżanki herbaty. Jedną z nich podaję Silasowi. Bierze ją, obejmując filiżankę dłońmi.

– Co się stało? – pytam. – Kim on jest? To... jakiś twój krewny?

– Tak. Daleki kuzyn. Ale znałem go dobrze. On... – Silas przestaje sączyć herbatę. – Masz coś

mocniejszego?

Unoszę brwi.

Bierze kolejny łyk.

– On był pośrednikiem. To z nim widziałaś mnie wczoraj. Mamy łańcuch biegnący przez całe Lormere. Ludzi porozmieszczanych w różnych miejscach, przekazujących sobie przedmioty ze świątyni mojej matki, aż uda się je przenieść przez granicę do mnie, a ja ukrywam je w bezpiecznym miejscu. On zajmował się przerzutem przez granicę i przejściem przez las. Był najlepszy. To z nim miałem się wcześniej spotkać, ale się nie stawiał. Wiedziałem, że coś poszło nie tak, i...

Już mam mu przerwać i zapytać, co dokładnie przemycają, ale nagle po plecach przechodzi mi zimny dreszcz. Zaatakowany w lesie... Zrzucam koce z jego przyjaciela i zaczynam przyglądać mu się raz jeszcze, szukając długich, poszarpanych zadrapań, takich jak te na rękach mojej matki.

– Co ty robisz?

– Nic, po prostu... sprawdzam.

– Co?

Nie odpowiadam. Odczuwam ulgę, kiedy nic nie znajduję.

– I nie było śladu niczego... nikogo, kto mógłby to zrobić?

Silas potrząsa głową.

– Przepraszam, że cię w to wciągam – mówi. – Wiem, że masz własne problemy.

– Gdzie indziej byś poszedł?

Potrząsa głową i garbi się, opierając ręce na kolanach. Nagle zdaję sobie sprawę, że przyglądam się czubkowi jego głowy, na której widać dwa wiry z włosów. Przypomina mi się Lief, którego włosy rosły tak samo. Pamiętam, kiedy matka strzygła go, a potem włosy z lewej strony odstawały miesiącami, zanim wyprostowały się pod własnym ciężarem. Potem zapuścił długie włosy i nigdy nie pozwalał ich obcinać. Ciekawe, czy Silas wie, że jego włosy tworzą dwa wiry. Ciekawe, czy go to obchodzi.

Wstaję i podnoszę swój płaszcz, po czym zarzucam mu go na ramiona.

Silas odsuwa się nerwowo, kiedy płaszcz opada wokół niego.

– Nie jest mi zimno – mówi.

– To nie dlatego – odszeptuję.

Nasze oczy spotykają się, a ja zapominam, jak się oddycha. Tak się czuję. Nagle moja klatka piersiowa zapomina, jak się unosić i opadać, a płuca nie wiedzą, jak się wypełniać. Nie zdaję sobie sprawy, że on również wstał, ale nagle czuję jego oddech na swoim policzku. Znowu zaczynam oddychać, płytko i szybko, a moja skóra płonie jak rozżarzone do białości żelazo. Spoglądam na niego i mam ochotę sięgnąć i wygładzić dłonią zmarszczkę między jego brwiami. Przez moment wygląda jak Śpiący Książę z opowieści, ze swoimi wysokimi kośćmi policzkowymi i obfitymi ustami. Potem wcale nie wygląda już jak książę, ale jak smutny, zagubiony człowiek, a podejście do niego, objęcie go rękami, połączenie ich z tyłu na jego szyi i przyciągnięcie go do siebie wydaje się

najłatwiejszą rzeczą na świecie.

Sztywnieje na chwilę, ale później rozluźnia się, nie odwzajemniając jednak mojego dotyku. Tak jakby moje objęcie nie miało z nim nic wspólnego. Kiedy moja skóra rozgrzewa się znajomym uczuciem wstydu, rozłączam palce i odsuwam się.

Wtedy jego długie ręce oplatają mnie i przyciągają z powrotem. Wtula głowę w zagłębienie między moją szyją a ramieniem, przyciskając twarz do mojej skóry. Czuję na szyi ciepło jego oddechu.

Stoimy tak przez dłuższą chwilę, a moment, w którym powinniśmy przestać, już dawno minął. Trzyma się mnie, jakbym była ostatnią bezpieczną przystanią w czasie sztormu, a ja chcę być nią dla niego. Moje uczucia błędzą między zaniepokojeniem a czymś innym, co sprawia, że moje serce bije szybciej w znany mi sposób. Boję się chwili, w której to się skończy. Mam przeczucie, że kiedy nie będzie go już w moich ramionach, razem z nim odejdzie ważna część mnie.

Silas wzdycha, a ja opieram swoją głowę o jego głowę. Odwraca się do mnie powoli, aż jego usta muskają moją twarz. Gwałtownie wciąga powietrze, a jego palce na chwilę zaciskają się na mojej talii. Zastygamy, jego wargi prawie dotykają moich. Przechylam głowę, a kąciki naszych ust stykają się. Zamykam oczy i czekam, aż się poruszy, aż mnie pocałuje, ale pozostaje intrygująco nieruchomy, przyciskając mnie do swojej piersi. Czuję, że jego serce bije tak gwałtownie, jak moje.

Wtedy odpycha mnie od siebie. Znowu.

– Errin – mówi, a w moich uszach znów zaczyna dzwonić. – Proszę, nie mogę.

– Przepraszam, już nie będę – odpowiadam, jękając się.

– Myślałem, że wcześniej wyraziłem się jasno – mówi cicho, a ja przytakuję, czerwieniąc się znowu, kiedy uderza we mnie kolejna fala upokorzenia. – Tak nie może być – mówi błagalnym głosem, podchodząc do drzwi. Moje zdradzieckie serce zatrzymuje się, kiedy widzę, jak sięga ku zasuwie.

– Zostań – mówię, a on zatrzymuje się, przechylając głowę. Nadal stoi tyłem do mnie. – Jest późno.

– Nie mogę. – Zrzuca płaszcz z ramion i ostrożnie kładzie go na ławce. – Wrócę, kiedy wzejdzie słońce.

Wtedy odchodzi, zostawiając mnie samą z umierającym człowiekiem.

Wylewam wymieszaną z krwią wodę i wrzucam do ognia resztki materiału, patrząc, jak syczą i strzelają w płomieniach. Oczy mężczyzny są podkrążone, a cera niebezpiecznie blada. Kiedy nie pozostaje już nic do zrobienia, biorę swój płaszcz i okrywam się nim, siadając na ławce. Czekam.

– Silas? – Głos jest tak cichy, że nie jestem pewna, czy to sen, czy jawa. Kiedy słyszę go ponownie, otwieram oczy i spoglądam na mężczyznę na łóżku. Jedno oko ma tak spuchnięte, że wcale go nie widać, ale drugim patrzy na mnie.

– Silas? – mówi ponownie, a ja zrywam się z ławki i podchodzę do niego.

– Cicho, oszczędzaj siły – mówię. – Przyprowadzę go. Przyprowadzę go do ciebie. – Już mam wstawać, kiedy mężczyzna z trudem podnosi rękę.

– Znasz go?

– Tak, to on cię tu przyniósł. On...

– Musisz przekazać informację.

– Przyprowadzę go...

– Nie! – Mężczyzna kaszle, a krople jego śliny spadają na koc, ciemne i błyszczące. Zamyka oko, a ja obawiam się, że jest już za późno. Wtedy odzywa się znowu. – Powiedz mu, że ona już odeszła.

Odeszła? Kto? Kto odszedł? Czy chodzi mu o matkę Silasa? Czy ona nie żyje?

– To z jej powodu tutaj jest, on zrozumie. Powiedz mu, że udała się do Scarron... – przerywa i zaczyna kaszleć, odkształając gęstą wydzielinę. W kąciку jego ust pojawia się krew, a ja już wiem, że nie wyjdzie z tego. Biorę go za rękę, a na jego zakrwawionych wargach pojawia się leciutki uśmiech. – Udała się tam, zanim... zanim on przybył. Jest bezpieczna, na razie.

– Dobrze – mówię, trzymając go za rękę. Więc to nie matka Silasa. Ktoś inny.

Mężczyzna gwałtownie wciąga powietrze.

– Musi ją odnaleźć. – W jego głosie słychać rżenie. – Musi zabrać ją do Konklawe. Szybko. Nie ma wiele czasu.

– Konklawe?

– Wszyscy... To najbezpieczniejsze miejsce. Musi ją tam zabrać. Muszą tam zostać. Książę nadchodzi. Wie o niej...

– Powiem mu. Obiecuję.

Wtedy umiera. Po prostu umiera. W jednej chwili jego oko lśni i skupia się na mnie, a potem... Widzę jego śmierć, widzę zmianę. Trudno to opisać, ale coś z niego uchodzi. Na zawsze. Przypominam sobie wtedy, że nie znam jego imienia. Nie zapytałam Silasa, a on mi nie powiedział. Teraz nie żyje, obcy w moim domu, wiele mil od domu.

Zamykam jego oko, mając nadzieję, że będzie wyglądał, jakby spał, ale tak nie jest. Jest dziwnie zwiotczały, przez co od razu widać, że jest martwy. Siadam na podłodze i przyglądam się mu. Nigdy nie widziałam niczyjej śmierci. Widziałam mojego ojca, ale po wszystkim. Nie widziałam, jak to się stało.

Mijają długie, dziwne chwile, a ja czuję się odrętwiała, oderwana od otaczającej mnie rzeczywistości. Próbuje się czymś zająć, ale nie mogę. Patrzę na martwego mężczyznę. Trzask drewna płonącego w kominku wrywa mnie z zadumy. Wstaję z podłogi. Muszę przekazać Silasowi wiadomość, żeby zabrał ją, kimkolwiek ona jest, do Konklawe.

Sięgam do zasuw w drzwiach, ale zamieram, kiedy nagle zdaję sobie sprawę, że Silas wie, gdzie znajduje się Konklawe.

Przed ostatnią wojną nasi alchemicy mieszkali w miastach, ale kiedy zostaliśmy pokonani przez

Lormere, zażądano od nas, żebyśmy ich oddali, jakby byli rzeczami albo majątkiem. Ukryliśmy ich wtedy w tajnym stowarzyszeniu znanym jako Konklawe. Miejsca, gdzie ma swoją siedzibę, nie ma na żadnej mapie i tylko dwóch anonimowych członków Rady, niebędących członkami Konklawe, wie, gdzie się ono znajduje. Tak myślałam, do dzisiejszej nocy.

Wizyty w Konklawe są możliwe, ale zdarzają się rzadko, a odwiedzający musi się zgodzić na wprowadzenie go w narkotyczny sen podczas podróży w obie strony, żeby nie mógł zapamiętać drogi. Podczas wizyty osoba taka jest strzeżona przez elitarny oddział i nie może bez pozwolenia rozmawiać z alchemikami. W tym samym czasie nie może być też więcej niż dwóch odwiedzających. Książę Merck był tam raz, ale nawet jego, a właściwie szczególnie jego, uśpiono i pilnie strzeżono.

Alchemicy nie powinni mieszkać poza Konklawe, tym bardziej w Lormere.

Powiedział, że jego przodkami byli Tallithianie. Jego oczy i włosy...

I wtedy wszystko staje się jasne. Białe włosy, złote oczy. Rodzina Tallithi. Nie zwyczajni Tallithianie, ale Tallithianie z rodziny królewskiej, z linii alchemików. Silas jest alchemikiem. Lormerańskim alchemikiem.

Ciężko opieram się o stół, przewracając przy tym fiołkę. Ostatnia drogocenna kropla spływa po szklanej ścianie.

Nagle chwytam się stołu obiema rękami, żeby nie upaść przygnieciona ciężarem mojego odkrycia.

Tajemnicze lekarstwo, które uspokaja bestię w mojej matce i wyrzuca ją z żałoby, a którego nie jestem w stanie odtworzyć. Dostałam je od alchemika.

Silas nie musi mówić mi, z czego jest ta mikstura. Ma rację, mówiąc, że nigdy nie uda mi się jej zrobić.

To Elixir Życia.

Rozdział 11



Sięgam po fiolkę i przyglądam się jej pod światło. Elikzir Życia. Czy to możliwe?

To oznacza, że nie wszyscy filtromanci są martwi. Niektórzy z nich nadal żyją i są w stanie stworzyć Elikzir. Potrzebuję go więcej, dla mamy. To jedyny sposób, żeby uciszyć bestię.

Wyglądam przez szczeliny w okiennicach w poszukiwaniu śladów ruchu albo życia na zewnątrz, a potem znów zerkam na martwego mężczyznę. Martwego alchemika. Czy odważę się...? Tak, jestem zdecydowana. Czasu jest coraz mniej. Przynajmniej pod osłoną ciemności będzie mniejsza szansa, że zobaczy mnie Unwin albo żołnierze. Mamie też nic się nie stanie. Nie wie przecież nic o tym, co zaszło dzisiejszej nocy, a trup przecież nic jej nie robi. Wrócę, gdy tylko otrzymam odpowiedź. Zakładam płaszcz i pochylam się nad mężczyzną. Przykrywam jego twarz kocem.

– Śpij dobrze – mówię łagodnie.

*

Noc jest aż nazbyt cicha. Powinny tu przecież być różne stworzenia, węszące i buszujące wśród liści, wywołujące ciarki na moich plecach, łamiące pod swoim ciężarem suche gałązki i szeleszczące opadłymi liśćmi. Powinno być przecież słychać ciche pohukiwanie sów i nawoływania lelków. Szczury, myszy, jelenie. Żywe stworzenia powinny... żyć, ale zamiast tego świat wydaje się całkowicie pogrążony w ciszy. Gdyby nie moje serce, bijące głośno w mojej piersi, zastanawiałabym się, czy nie ogłuchłam. Gdzie są żołnierze, którzy powinni teraz patrolować okolicę? Dlaczego nie słyszę ich nerwowego śmiechu i głupich żartów, które mają dodać im otuchy w ciemności? Brak dźwięków aż nadto wyostrza moje zmysły, które poszukują w ciemności czegokolwiek, co mogłoby przykuć moją uwagę, dowolnego dźwięku, zapachu czy obrazu.

Starając trzymać się w cieniu, używam światła księżyca jako drogowskazu. Wisi on teraz nisko na niebie, a jego blask pozbawił świat kolorów: wszystko wydaje się czarne, białe, szare i srebrne. Wioska wygląda, jakby była namalowana, jak makieta. Wcale nie przypomina rzeczywistości, wywołując u mnie nieprzyjemne uczucie, jakby mnie tam nie było. Przekradając się przez wieś, w prawie wszystkich oknach widzę ciemność. Tylko Dom Sprawiedliwości oświetla płomień świecy widoczny w jednym z górnych okien.

Już mam skrócić w uliczkę prowadzącą do chaty, w której mieszka Silas, kiedy mój wzrok przykuwa srebrny błysk w oddali. Jakiś cień przemieszcza się wzdłuż linii drzew. Czy to żołnierz? Nagle zamieram.

Z lasu wyłania się ogromny kształt. Ma przynajmniej siedem stóp wzrostu, a jego kontur jest zniekształcony i potężny. Kiedy dostrzegam jego głowę, w moim gardle w ciągu chwili rodzi się i umiera krzyk.

To coś nie ma twarzy.

W miejscu, w którym powinny być oczy, nos i usta, znajduje się pokryta bruzdami, rozdęta masa, znajdująca się na szczycie ledwie humanoidalnego kształtu. Mimo braku oczu i uszu, stworzenie podnosi głowę i zdaje się węszyć w powietrzu, po czym odwraca swoje ciało w moim kierunku.

Wtedy z ciemności wyłania się kolejny stwór i staje obok pierwszego, a hulający między czubkami drzew podmuch wiatru przynosi do mnie ich smród. Mokre błoto, gnijące liście i siarka. Słodkawy, ciężki, przesycony wonią rozkładu. Odwracam się i zaczynam biec. Nie oglądam się za siebie, oddalam się od domu Silasa. Przebiegam obok Domu Sprawiedliwości, gnam przez wioskę, próbując jak najdalej uciec od tych stworzeń. Wybiegam na obrzeże wioski i rzucam się na żywopłot. Czołgam się przez krzaki, co chwilę zahaczając o nie płaszczem, aż w końcu ukrywam się w plątaninie roślin. Moje serce bije tak szybko, jakby za chwilę miało eksplodować. Zwijam się w kłębek, serce nadal tłucze mi się w piersi. Zamykam oczy, dysząc i trzęsąc się.

Moje serce zwalnia, kiedy nagle coś dotyka mojego ramienia. Nabieram powietrza, gotowa rozedrzeć noc swoim krzykiem. Czyjaś dłoń zasłania mi usta. Obok mnie dostrzegam Silasa. Nie ma na sobie koszuli. Jest nagi od pasa w górę i bosy. Na jego skórze dostrzegam krwawiące zadrapania od krzaków, w które za mną wszedł. Kiedy odwraca się, żeby wyjrzeć z naszej kryjówki, na jego plecach dostrzegam znaki, dyski zanikające stopniowo od całkiem czarnego, przez wypełniony w trzech czwartych, w połowie pełny, aż do pustego w środku, idealnego okręgu z czarnego tuszu na jego skórze, przecięte linią biegnącą przez środek.

Odrywam wzrok od tatuażu i wyglądam przez gałązki, czekając, aż pojawią się stwory. Silas podąża za moim spojrzeniem i pochyla głowę, nasłuchując odgłosów jakiegokolwiek ruchu. Światło księżyca lśni na jego srebrzystych włosach. Zaczynam zdejmować z siebie płaszcz.

– Co ty robisz? – szepcze.

– Okryj się.

Spogląda w dół.

– Przepraszam. Szykowałem się do snu.

– Nie. Twoje włosy – mówię cicho. – Lśnią.

Jego oczy rozszerzają się i pomaga mi zdjąć płaszcz, po czym zasłania nim głowę i ramiona.

Czekamy w ciszy, a z każdą minutą nasz strach nieco maleje. Po dłuższej chwili Silas trąca mnie i daje mi znak głową, po czym zaczyna wyczołgiwać się z kryjówki.

Podążam za nim. Moje ręce są poranione od kolców, ale zimno sprawia, że nie czuję bólu. Wtedy on dotyka mnie, odziane w rękawice dłonie chwytają mnie za ramiona i wyciągają z krzaków.

– Chyba odeszły – mówi, rozglądając się wokół.

Również się rozglądam, a wszystkie włosy na moim ciele nadal stoją dęba.

– Czekaj, widziałeś tam kogoś, niedaleko lasu? Żołnierza?

Potrząsa głową.

– Myślałem, że kogoś widziałem, ale potem pojawiły się golemy. Widziałem dwa. – Znów się rozgląda. – Jesteś pewna, że kogoś widziałaś?

– Nie. Tak. Nie wiem.

Silas marszczy brwi.

– Musimy wejść do środka.

Porusza się niczym mgła, a jego chód jest zarazem lekki i pewny. Podążam za nim, nieświadoma, że mój krok nie jest tak cichy jak jego. Jego stopy zdają się szybować, kiedy ja zwyczajnie tupię, jednak Silas nie ucisza mnie. Pozostajemy blisko siebie, kiedy przemykamy wokół Domu Sprawiedliwości. Świeca wewnątrz już się nie pali, a naszym jedynym drogowskazem jest światło księżycy. Mój płaszcz jest na niego trochę za mały, dlatego w pewnym momencie kaptur zsuwa mu się z głowy.

– Włosy – szepczę, a on zatrzymuje się. Pomagam mu założyć kaptur, ukrywając zdradzający nas blask.

– Lepiej?

Przytakuję. Wtedy czuję ten zapach, wypełniający moje nozdrza wonią rozkładu i siarki. Nasze spojrzenia spotykają się, gdy zdajemy sobie sprawę, co to oznacza.

– Uciekaj! – słyszę syk Silasa, który nagle odbiega ode mnie, próbując utrzymać na głowie kaptur powiewającego za jego plecami płaszczem. Zamieram, przywierając do ściany domu Unwina, patrząc, jak jedna z wielkich postaci wyłania się jakby znikąd i zaczyna człapać w ślad za Silasem. Wszystko w tej istocie wydaje się nienaturalne: jej zapach, chwiejny chód i gwałtowne ruchy. Nagle ogarniają mnie mdłości. Coś takiego nie powinno przecież istnieć.

Ale gdzie jest ten drugi?

Moje oczy wpatrują się z przerażeniem w ciemność. Próbuję wziąć głęboki oddech. Chcąc się wymknąć, staram się zachować ciszę i trzymać w cieniu.

Wtedy prawie na niego wpadam.

Z bliska smród mokrej zgnilizny jest tak silny, że zbiera mnie na wymioty. Stwór bezgłośnie wyciąga w moim kierunku swoje wielkie dłonie, a ja zataczam się i odsuwam do tyłu. Rzucam się

szaleńczo w kierunku lasu, słysząc za plecami ciężkie kroki. Zaciskam zęby, żeby nie zacząć krzyczeć. Nie chcę, żeby drugi stwór wiedział, gdzie jestem, i odciął mi drogę ucieczki. Gdzie są żołnierze? Gdzie jest Silas?

Kiedy docieram do lasu, zaczynam biec zygzakiem. W uszach dzwoni mi z przerażenia. Przypominam sobie najemników, strzały, świst i uderzenie, strzałę pękającą jak kość, kiedy ułamywałam grot. Chwytam się jednego z nisko rosnących konarów pobliskiego drzewa i wspinam się na niego. Gęsto rosnące drzewa i krzaki na skraju lasu utrudniają golemowi pościg, co daje mi kilka chwil, żeby wspiąć się na wysokość dziesięciu czy piętnastu stóp. Siadam na gałęzi skulona i czekam, aż stwór przejdzie obok. Dociera do mnie jego zapach, wywołując dreszcze.

Nie ma oczu. Nie wie, gdzie jestem. Jeżeli nie będę się ruszać i nie wydam żadnego dźwięku, nic mi się nie stanie. Nic mi się nie stanie.

Golem zatrzymuje się, po czym podnosi głowę i zamiera jak posąg, a ja z przerażenia prawie spadam z gałęzi. Chwilę później jednak oddala się i z zaskakującą szybkością wchodzi w głąb lasu. Słyszę w oddali szelest zgniatanych przez niego krzaków. Kiedy tylko znika mi z oczu, zsuwam się na ziemię, spadając kilka stóp i obcierając sobie dłonie. Moje kolana drżą, ale nie zatrzymuję się ani na chwilę. Na wpół biegnąc, na wpół zataczając się, wydostaję się z lasu i kieruję w stronę chaty Silasa.

Wpadam do środka, do pustego pokoju.

Zakopuję się w stosie koców, aż widać tylko czubek mojej głowy. Próbuję nie zamykać oczu nawet na chwilę, ponieważ krótkie mrugnięcie przywołuje obraz stojącego pode mną golega i pustą przestrzeń w miejscu, w którym powinna być jego twarz.

Wydaje mi się, że mija przynajmniej kilka godzin, kiedy Silas w końcu pojawia się w drzwiach, ciężko dysząc. Po chwili jest już obok mnie. Jedną dłonią dotyka mojej twarzy, a drugą zdejmuje z głowy kaptur. Nigdy wcześniej nie cieszyłam się z czyjegoś widoku tak bardzo, jak teraz.

– Wszystko w porządku? Czy ktoś za tobą szedł? – Jego głos jest cichy, ale zdradza zaniepokojenie.

– Zgubiłam go w lesie.

– Ja również... – Nagle przerywa i zwraca się w kierunku drzwi. Oboje nasłuchujemy, a moje serce prawie wyrywa mi się z piersi.

– Chyba jesteśmy bezpieczni – mówi po chwili. – Żadnych świeczek. Żadnego ognia. I żadnych dźwięków. Nie chcemy, żeby wróciły. – Wtedy odwraca się do mnie. Jest zaskakująco blisko. – Dlaczego byłaś na zewnątrz? Czy Ely... – przerywa. – Och. – Opuszcza go cały strach i zaniepokojenie. Osuwa się i nisko opuszcza głowę. – Tak. Rozumiem.

Ely. Martwy mężczyzna miał na imię Ely.

– Przykro mi. Próbowałam...

– Wiem. Wiem, że tak było. – Spuszcza głowę i wzdycha głęboko, pocierając czubek nosa swoimi długimi palcami.

– Obudził się na chwilę.

Silas energicznie podnosi głowę.

– Mówił coś?

– Tak.

Jego wzrok skupia się na mnie.

– I?

– Powiedział wystarczająco dużo. Wiem, czym jesteś.

Na twarzy Silasa pojawia się cień.

– Czym jestem. Znow do tego wracamy?

Mówię powoli, starannie dobierając każde słowo.

– Powiedział mi, czym jesteś i czego szukasz.

– Doprawdy. – To nie jest pytanie.

Przytakuję.

– Powiedział również, żeby przekazać ci, że on nadchodzi. I że o wszystkim wie.

Jego twarz wydaje się pusta.

– Cóż, teraz już wiesz wszystko – mówi beznamiętnie. – Co zamierzasz zrobić z tymi informacjami?

Podjęłam już decyzję. Jeśli powiem mu, że ta dziewczyna jest w Scarron, wtedy odejdzie. On i Ely jasno dali mi do zrozumienia, że najważniejsze dla nich jest wypełnienie poleceń jego matki, niezależnie od grożącego im niebezpieczeństwa. Nawet jeśli to oznacza śmierć. Silas odejdzie i odszuka ją, a potem uda się do Konklawe i zniknie. Jeśli go stracę, stracę również wszelką nadzieję na wyleczenie mamy, na odzyskanie mojego poprzedniego życia.

To jedyna droga, dla mnie i dla mamy. Nie mam wyboru. Ja nie mogę zrobić Eliksiru, teraz to rozumiem. Ale on zna kogoś, kto może. Jeśli mi go nie przyniesie, to...

Rodzina przede wszystkim.

– Chcę, żebyś zabrał nas ze sobą – mówię.

– Do...?

– Do Konklawe. – Jego szczęka opada tak nagle, że prawie jest to zabawne. – Nie uwierzyłeś mi – mówię powoli. – Myślisz, że próbuję cię podejść.

Silas milczy, w jego spojrzeniu dostrzegam bunt.

– Nie chcę cię oszukiwać. Ely mi powiedział. Jesteś alchemikiem. Jesteś tutaj, ponieważ czekasz na kobietę albo dziewczynę, na kogoś, komu zagraża Śpiący Król. To z jej powodu tutaj przybyłeś. To na nią czekałeś, kiedy przemycałeś artefakty od swojej matki. Kiedy ją znajdziesz, masz zabrać ją do Konklawe. – Nie jestem pewna, ile z tego jest prawdą, aż dostrzegam, że resztki koloru odpływają z twarzy Silasa. – Ely powiedział mi, gdzie ona jest. Powiedział też, że Śpiący Król o tym wie i idzie po nią.

– Gdzie ona jest?

Potrząsam głową.

– Zabierz nas do Konklawe. Wiesz, gdzie ono się znajduje. Nie będziemy przeszkadzać. Wiesz, że potrafię o nas zadbać. Musimy ukryć się gdzieś, gdzie jest bezpiecznie. I... – Przerywam na chwilę. – Więcej Elikśiru. – Jego twarz staje się kamienna, a ja przyspieszam. – To wszystko, czego... To wszystko. Kiedy to dostanę, powiem ci, gdzie ona jest.

– Szantażujesz mnie?

– To nie szantaż. Proszę cię o pomoc w zamian za to, co wiem.

– Ufałem ci – mówi cicho, patrząc na mnie z niedowierzaniem szeroko otwartymi oczami.

– Silasie, ja po prostu potrzebuję twojej pomocy. I w zamian za to pomogę również tobie. Możemy pomóc sobie nawzajem.

Jego złote oczy zwężają się.

– Nie wpadłaś na to, żeby poprosić mnie o pomoc, zamiast mi grozić?

– Wpadłam – odpowiadam, a mój ton jest bardziej szorstki, niż tego chciałam. – Prosiłam cię dwa razy. Pierwszy raz o receptę, a później, żebyś sprzedał mi więcej.

Robi dziwną minę, przygryza wargi, a jego policzki bledną.

– Zapłacę ci za to – dodaję prędko. – Nie proszę o przysługę.

– Nie o to chodzi. Nie mogę zdobyć ilości, o którą prosisz.

– To zaprowadź mnie do kogoś, kto może.

Wbija we mnie wzrok, po czym kręci głową.

– Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi.

Rzucam mu gniewne spojrzenie.

– Przyjaciółmi. Oczywiście. A czy gdybym powtórzyła ci, co powiedział twój inny przyjaciel, a potem poprosiła cię o pomoc, to pomógłbyś mi? Czy może od razu byś stąd wyjechał?

Wygląda na strapionego.

– Errin... nie zrozumiesz tego. Jeżeli Śpiący Książę je odnajdzie... Nie ma na to czasu. Mam zadanie do wykonania i jest ono znacznie ważniejsze niż ty...

– Więc tak właśnie musi być – przerywam mu.

Silas potrząsa głową.

– Jeśli Ely wiedział, gdzie ona jest, to ktoś musiał mu to powiedzieć. Dowiem się więc od tego kogoś.

– Nie masz na to czasu. Ely powiedział, że czasu jest niewiele. Musimy działać razem albo oboje poniesiemy porażkę.

Silas obrzuca mnie spojrzeniem pełnym obrzydzenia.

– Naprawdę masz zamiar to zrobić, Errin?

Przytakuję, brzydząc się sobą.

– Tak. Muszę.

Odwraca się w stronę okna i opuszcza ramiona. Zaczyna mówić, stojąc odwrócony do mnie plecami, a mnie robi się jeszcze bardziej niedobrze.

– Niech tak będzie. Zabiorę cię do Konklawe. Przyniosę ci więcej Elik siru. Chcesz czegoś jeszcze?

– Chcę tylko, żebyśmy obie były bezpieczne. Kiedy już tam dotrzemy, powiem ci, dlaczego to robię. Jaki jest prawdziwy powód. Nie mam wyboru, Silas. Gdyby był inny sposób, wybrałabym go, ale innego nie ma. Muszę postąpić właśnie tak.

Odwraca się i rzuca mi szydercze spojrzenie. W świetle księżyca wyraźnie widzę jego profil, jego przygryzioną wargę.

– Naprawdę myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi. Myślałem, że jesteśmy czymś więcej.

– Więcej niż przyjaciółmi? Kiedy wzdrygasz się, jeśli tylko cię dotknę? – Usilnie staram się nie mówić zbyt głośno. – Oczywiście, teraz wszystko jasne. Dziewczyna. Oczekiwanie. Dlaczego nie powiedziałaś, że już kogoś masz? Pewnie niewiele dla niej znaczysz, skoro nawet nie wiesz, gdzie ona jest. – Wiem, że powinnam przestać mówić, ale nie mogę.

Silas odwraca się gwałtownie i staje przede mną.

– A więc o to chodzi? Czy to twoja zemsta za to, że ja i ty...? Myślisz, że tu chodzi o jakąś dziewczynę? To wszystko z zazdrości?

– Oczywiście, że nie – śmieję się, ale wcale mnie to nie bawi. – Nie pozostawiłeś żadnych złudzeń, jeśli chodzi o twoje uczucia wobec mnie. Nie jesteś zainteresowany.

– Nie, nie jestem – rzuca gniewnie, uciszając mnie. – Ponieważ jestem mnichem, Errin.

Rozdział 12



Wlepiam w niego wzrok, aż w końcu dociera do mnie to, co powiedział.

– Jesteś mnichem? – powtarzam oszołomiona.

Zdejmuje z ramion mój płaszcz i rzuca mi go. W słabym świetle wpadającym przez okno z krowiego rogu jego skóra nie wydaje się już taka blada i lekko lśni złotym blaskiem. Schyla się, żeby podnieść z podłogi tunikę, a jego kręgosłup przypomina kamienne stopnie biegnące pomiędzy pokrywającymi jego plecy tatuażami, znikające pod cienką warstwą mięśni, w momencie kiedy się prostuje i zakłada tunikę przez głowę. Wygląda jak istota z opowiadań, z innego świata, wykuta z lodu i złota.

– Tak. Jestem bratem w Zakonie Sióstr Naeht.

– Nie rozumiem. – Mam na myśli tak wiele rzeczy. Jest zbyt młody, żeby być mnichem. Zbyt... Mnisi nie noszą noży i nie skradają się po lasach. Mnisi nie kupują trucizn. Mnisi nie są wytatuowanymi lormerańskimi alchemikami. Mnisi golą się na łyso i mają nieświeży oddech. Są starzy. Silas... nie jest mnichem.

Marszczy lewą brew.

– Co tu rozumieć? Złożyłem śluby i muszę służyć Siostrom Naeht.

– Wierzysz w bogów?

– Oczywiście, że nie.

– Ale... – przerywam łączę w głowie wszystkie nowe informacje. Siostry, alchemia, przemysł. Raz jeszcze analizuję moją teorię w myślach, po czym zgaduję. – A więc Siostry Naeht zajmują się alchemią, tak? To lormerańscy alchemicy żyjący w ukryciu? To przykrywka.

Wzrusza ramionami, krzyżuje ręce na piersi i milczy.

Przypominam sobie, co powiedział mi o swoich rodzicach.

– Czy twoja matka jest alchemiczką?

– Nie. Jest taka jak ty. Normalna. – Mówi to w taki sposób, jakby było to coś złego, czym sprawia mi przykrość. – Mój ojciec był alchemikiem. Alchemia przekazywana jest we krwi z pokolenia na pokolenie.

Biorę głęboki oddech i zastanawiam się nad znaczeniem jego słów.

– Więc tak naprawdę nie jesteś mnichem? To tylko przebranie?

Patrzy na mnie, a jego złote oczy skupiają się na moich.

– Nie. Jestem mnichem. Złożyłem śluby wierności Siostron Naeht. Przysiągłem, że będę im służył i przedkładał ich dobro ponad wszystko inne. Ślubowałem, że nie będę miał żony ani dzieci, chyba że w służbie Siostron. Jestem ich wyznawcą, w słowie i czynie. – Spuszcza głowę i patrzy w podłogę, a na mojej twarzy pojawia się grymas rozczarowania.

– Aha. – Mój głos jest cichy. – Jak...?

– Jak zostałem mnichem?

– Wszystko – mówię. – Jak to wszystko się stało? Chyba że nie możesz mi powiedzieć.

Nie chcę, żeby zabrzmiało to złośliwie, ale jego oczy błyszczą, a brwi unoszą się.

– Czy nie mogłabyś być chociaż trochę łaskawsza w swoim zwycięstwie? Czego jeszcze chcesz?

Krwi?

– Miałam na myśli... – Milknę, kiedy znów zwraca się w stronę okna, ignorując mnie. Podnosi jedną z deszczulek i wygląda na zewnątrz. Kiedy w końcu odwraca się w moim kierunku, jego twarz jest pozbawiona wyrazu.

– Chcę zrozumieć – mówię łagodnie.

– Wiedza, którą przede mną ukrywasz, jest ważniejsza niż cokolwiek, co mógłbym ci powiedzieć. Zrozum to.

Biorę głęboki, drżący oddech i kładę dłoń na moim pękającym powoli sercu.

– Przepraszam cię za to. Naprawdę. Gdyby mogło być inaczej... Niczego innego nie życzyłabym sobie tak bardzo.

Jego uśmiech jest pełen goryczy i rani mnie do żywego.

– Gdyby życzenia były koźmi, żebracy nie chodziliby pieszo.

Spuszczam głowę, a moja skóra płonie.

– Przepraszam – mówię znowu. – Muszę dbać o swoją rodzinę. Moją matkę. Muszę zrobić to, co jest dla niej najlepsze. Na pewno to rozumiesz, biorąc pod uwagę to, co robisz dla swojej matki.

Silas nadal milczy, przygryzając dolną wargę. Jego ręce są skrzyżowane na piersi.

– Słyszałaś o Aureku i Aurelii, prawda? – mówi po chwili, a jego ton zdaje się nieco mniej lodowaty.

Spoglądałam na niego i powoli potrząsam głową. Wtedy do głowy przychodzi mi pewien obraz. Śpiący Książę stojący na szczycie wieży, obok niego dziewczyna, jego siostra. Pod nimi złote i lśniące Tallith. Przypominam sobie towarzyszący mu podpis. Słyszę głos mojej matki odczytującej go.

Bliźnięta, jak lustrzane odbicia, których drogi z wiekiem rozeszły się i stały się tak różne jak noc i dzień. Aurek, złoty książę i dziedzic tronu Tallith, aurumanta i animanta, oraz jego siostra, Aurelia, filtromantka, nie byli już jednością.

Aurek. Po tym wszystkim, co się stało, nigdy nie myślałam o nim po prostu jako o Aureku Złotym. To prawdziwy człowiek, nie Śpiący Książę, nie postać z bajki. Książę Aurek z Tallith. Został przeklęty i spał tak długo, że dla świata stał się jedynie mitem. Zapomniałam o tym. Zapomniałam, że miał również siostrę, Aurelię. Opowieść rzadko o niej wspomina. Jej historię przyćmiewały losy Śpiącego Księcia i córki szczurołapa. Aurek i Aurelia byli pierwszymi alchemikami, błogosławionymi dziećmi, których dary zapewniły niezrównany dobrobyt i pomyślność dla Tallith, aż Śpiący Książę został przeklęty. Wtedy Aurelia opuściła Tallith i udała się w nieznane miejsce, ale w końcu wyszła za męża i założyła rodzinę. To ona kontynuowała linię filtromantów.

– Tak – mówię. – Bliźnięta. Śpiący Książę i jego siostra.

Silas przytakuje.

– A znasz też opowieści o Aureku i jego... apetytach?

Potrząsam głową. Silas wygląda na zdziwionego, a potem zawstydzonego i odwraca wzrok.

– Aurek gustował w... zalecaniu się do młodych panien i uwodzeniu ich. Wiele z nich nosiło jego dzieci...

– Znam historię o Nosicielu. – Przerywam mu, ale natychmiast tego żałuję, kiedy twarz Silasa znów staje się kamienna.

– Nie bierzemy go pod uwagę – odpowiada zimno. – Jego historia nie jest częścią naszej tradycji.

Milknę. Mijają długie, niezręczne chwile. W końcu Silas bierze głęboki oddech i kontynuuje.

– Aurek ogłosił, że dzieci te mają jego krew i dlatego muszą zostać zabrane od swoich matek i wychowane jako szlachta w zamku. Zanim Aurek zapadł w sen, spłodził ośmioro dzieci.

– I wszystkie zostały zabrane od matek? – Nawet przy moim obecnym stosunku do matki nadal jestem przerażona.

– Wygląda na to, że sporo im za to zapłacono. – Jego usta krzywią się w niesmaku. – Poza tym sprzeciwianie się życzeniom Aureka nie byłoby mądre. Jego požądaniu dorównywało jedynie jego okrucieństwo. Po tym, jak klątwa doprowadziła Tallith do upadku i stało się jasne, że Aurek nie wyzdrowieje, Aurelia odeszła i założyła wspólnotę w Lormere wraz z kilkoma byłymi służącymi, które nadal pozostały jej wierne. Zabrali ze sobą dzieci Aureka. Jako jego potomstwo, były narażone na niebezpieczeństwo. Mimo że na początku wydawały się nie posiadać umiejętności ojca, same ich imiona wystarczyły, żeby wyznaczono za nie wysoką nagrodę. Aurelia wybrała Góry Wschodnie, dzięki izolacji, jaką im zapewniały. Nie zdawała sobie sprawy, że Lormere zacznie przekształcać się w samodzielne królestwo już po sześćdziesięciu latach od ich przybycia.

Przerywa i zwilża językiem wargi, a ja czekam na dalszy ciąg.

– Dojście Domu Belmis do władzy oraz ich obsesja na punkcie alchemików i wykorzystywanie ich umiejętności do zwiększania swoich wpływów spowodowały, że wielu opuściło Lormere. Wchodzili oni w związki małżeńskie z normalnymi kobietami i mężczyznami w Tregellanie i w zasadzie nie byli niepokojeni przez waszą byłą rodzinę królewską, poza koniecznością płacenia przez nich dziesięciny w złocie. Po wojnie z Lormere na powrót zaczęli się ukrywać.

– Z powodu żądań lormerańskiej rodziny królewskiej?

Jego twarz ciemnieje.

– Dokładnie. Dom Belmis zawsze trochę zbyt mocno interesował się alchemią, Aurekiem i Aurelią.

Moje oczy rozszerzają się, a on kontynuuje.

– Kiedy pierwsi Tallithianie osiedlili się w Lormere, przynieśli ze sobą również opowieść o bliźniętach: Aurek, animanta, który mógł dawać życie martwym przedmiotom. Aurelia, która mogła wyleczyć każdą ranę i każdą chorobę. Historia ta była przekazywana ustnie, a ludzie z czasem zapomnieli, że jej bohaterowie byli bliźniętami i że byli śmiertelnikami. Rozeszły się pogłoski o magicznym śnie Aureka, że jego ciało nie tylko nie zgniło, ale nawet się nie postarzało. Że nie dotknął go rozkład i że kiedyś ponownie powstanie. Kreowano go na boga, a Aurelię razem z nim. Później zrobiono z nich kochanków. Stąd właśnie wzięła się tradycja małżeństwa brata z siostrą w rodzinie królewskiej. Niewłaściwie zrozumiano historię Aureka i Aurelii, Złotych Bliźniąt z Tallith.

– Zrobiono z nich Naeht i Daeg, bóstwa, które błogosławiły Dom Belmis i dały mu prawo do sprawowania władzy. Jako swego rodzaju gorzki żart, córka Aurelii, która była już wtedy naszą przywódczynią, nadała zakonowi oficjalną nazwę Sióstr Naeht. Nigdy nie mogła głośno powiedzieć, że Dom Belmis kłamie, nie zdradzając przy tym siebie i nas, ale nie mogła pozwolić, żeby zagarnęli wszystko.

– Ale dlaczego? – pytam. – Dlaczego byliście tak bardzo przeciwni współpracy z Domem Belmis?

– Nie byliśmy przeciwni współpracy z nimi. Ale nie chcieliśmy pracować dla nich. Niektóre obszary alchemii są mroczne. Tregellańska rodzina królewska i Rada zawsze były w tej kwestii wyrozumiałe. Lormerańska rodzina królewska nie byłaby. Żądaliby złota. A gdyby się o nim dowiedzieli, także Eliksiru. – Odwraca głowę, spoglądając w dal.

– Kto sporządza Eliksir? Czy to ta dziewczyna? Jest alchemiczką, filtromantką? Czy to dlatego jest taka ważna?

Silas spogląda na mnie.

– Czy naprawdę oczekujesz, że ci powiem? Szantażujesz mnie, Errin. Zabiorę ciebie i twoją matkę do Konklawe i będę musiał wytłumaczyć moim ludziom, jak i dlaczego mam to zrobić. Mojej matce również. Będę musiał przyznać się, że złamałem śluby, żeby ci pomóc. Będę musiał wytłumaczyć moim ludziom, dlaczego dla ciebie narażam ich na ryzyko. Już mam przez ciebie wystarczająco dużo kłopotów. Dałem ci już bardzo wiele. Niech to ci wystarczy.

Nigdy nie czułam się tak ponizona.

– Silasie... Nie mam wyboru. Mama...

– Oszczędź mi tego – przerywa mi. – Nie muszę znać szczegółów.

W oczach zaczynają zbierać mi się łzy. Wpatruję się w podłogę, a ból w mojej piersi staje się coraz silniejszy i zaczyna mnie przytłaczać.

– Przepraszam – mówię szeptem.

Silas opiera się o ścianę chaty.

– Szczerze mówiąc, prawdopodobnie zrobiłbym to samo w twojej sytuacji. – Prycha. – Właściwie już to zrobiłem, jeśli pamiętasz. Kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz.

Spoglądam na niego, ale jego oczy są zamknięte. Czuję iskrę nadziei, że może mi wybaczy albo przynajmniej zrozumie, dlaczego to robię.

– Zdaje się, że historia zatoczyła koło. – Otwiera oczy. – Zdobycie Elikssiru nie będzie łatwe, ostrzegam. Poza istniejącymi obecnie zapasami, nie ma go już więcej. Przynajmniej na razie. Mój prywatny był w fiołce, którą ci dałem.

Unoszę brwi.

– Wszyscy go mamy na wypadek, gdybyśmy zostali ranni. Szybko leczy fizyczne rany. – Przerywa. – Nie mogłem znaleźć fiołki Ely'ego. Sprawdziłem jego kieszenie, zanim go do ciebie przyniosłem. Musiał ją zgubić.

– A swoją oddałeś mnie. – Wzbiera we mnie nowa fala poczucia winy. Gdyby nie próbował mi pomóc, mógłby uratować życie Ely'emu. Wtedy przypominam sobie, że po powrocie z lasu, kiedy znalazłam go przy stole, obok fiołki, jego oczy były dzikie.

– Była zaraz obok – mówię. – Na stole. Została jedna kropla.

Zapada cisza.

– Wiem. Nie będę udawał, że się nad tym nie zastanawiałem.

– Dlaczego tego nie zrobiłeś?

Patrzy mi prosto w oczy i mówi twardym jak żelazo głosem:

– Bo go potrzebowałaś. Zdradzanie przyjaciół nie leży w mojej naturze.

Moja skóra płonie i zalewa się czerwienią. Zdaję sobie sprawę, że między nami nie jest dobrze i być może nigdy już nie będzie. Odrywam od niego wzrok.

– Dziękuję – szepczę.

Po chwili Silas mówi dalej, a jego ton brzmi nieco przyjaźniej.

– Od jakiegoś czasu zaczęliśmy też nosić fiołki z zabójczą trucizną na wypadek, gdybyśmy zostali złapani. Więc ja również dziękuję.

– Mnie? – Patrę w dół na swoje ręce. – Na pewno mógłbyś sam zrobić sobie truciznę.

– Elikssir jest inny niż twoje aptekarskie specyfiki. Ogólna zasada mieszania składników jest taka sama, ale technika jest inna. No i oczywiście, mając Elikssir, niezbyt często musimy korzystać

z pomocy aptekarzy. Zналиśmy kiedyś tę sztukę, ale z różnych powodów została porzucona. Już z nią nie eksperymentujemy. Poza tym alchemicy nie przepadają za truciznami. Przynajmniej do niedawna nie przepadali.

– Cóż, cieszę się, że mogłam się przydać. – Gniotę w dłoniach brzegi płaszcza.

Nagle Silas podchodzi i klęka przede mną.

– Mogłabyś przydać się jeszcze bardziej. Powiedz mi, gdzie ona jest. I tak ci pomogę, przysięgam. Proszę, Errin. Nie niszczy w ten sposób naszej przyjaźni.

Jego słowa palą. Czuję się ze sobą podle, ale potrząsam głową.

– Silas, zdecydowałam już. Powiem ci, kiedy zabierzesz mnie i moją matkę do Konklawe i poprosisz, żeby się nią tam zajęli. Wtedy sama cię do niej zaprowadzę.

Przytakuje i spuszcza głowę, przegrany.

– Jutro. Jutro wyślę wiadomość.

Przytakuję.

– Dziękuję. I... Mam pewne instrukcje na temat mamy – dodaje. – I jej choroby. Będą musieli ich przestrzegać. W najdrobniejszych szczegółach. I zachować wszystko w tajemnicy.

Silas prychnął, podchodzi do okna i ponownie wygląda na zewnątrz.

– Jesteśmy dobrzy w zachowywaniu tajemnic. Nic jej tam nie grozi.

Zapewne tak będzie. Wróciłybyśmy na długo przed kolejną pełnią. Czuję, że część ciężaru spoczywającego na moich barkach znika, jednak kiedy spoglądam na Silasa, dostrzegam, że w jego przypadku jest odwrotnie. Ramiona ma opuszczone, opiera się o framugę i sprawia wrażenie tak wyczerpanego, że moje serce aż wyrywa się do niego. To ja mu to zrobiłam.

Próbuję wstać, ale zrzucając z siebie koce, potykam się, gwałtownie wciągając powietrze i zaczynam osuwać się na ziemię. Silas natychmiast skacze w moją stronę i łapie mnie, a ja upadam twarzą na jego ramię, po czym stawia mnie na nogi.

– Dzięku... – spoglądając w górę, zdaję sobie sprawę, że jego twarz jest zaraz obok mojej.

Zaciska oczy i bierze głęboki, drżący oddech. Kiedy je otwiera, są pełne determinacji i ognia.

– To niesprawiedliwe – szepcze zasmucony. – Tak bardzo staram się być twoim przyjacielem.

Boję się ruszyć.

– Kiedy składałem moje śluby, miałem zamiar ich przestrzegać. – Ostatecznie zdejmuję rękę z mojego ramienia.

– Pójdę już – mówię, nie mogąc na niego spojrzeć, ale on staje na drodze do drzwi.

– Nie mogę pozwolić ci odejść – mówi cicho. – Nie mogę ryzykować, że zobaczą cię, jak stąd wychodzisz, i będą tu węszyć.

– Muszę. Mama jest sama.

– A jeżeli golemy nadal gdzieś tam są i zaprowadzisz je prosto do niej? Pomyśl, Errin. Jest tam tak bezpieczna, jak to w tej chwili możliwe. Za kilka godzin nadejdzie świt. Poczekaj. Dla dobra nas

wszystkich.

Opadam z powrotem na koce i obejmuję swoje kolana. Wiem, że ma rację. W ciemności jest zbyt niebezpiecznie. Golemy prawie dwa razy mnie dopadły. Jeżeli zaprowadzę je do niej albo do niego, wtedy wszystko pójdzie na marne.

Bacznie mi się przygląda, a jego postawa zdradza napięcie i czujność. Rumienię się pod wpływem jego spojrzenia.

Chciałabym przestać ciągle się na niego rzucać. Ile razy musi mnie odepchnąć, żebym w końcu zrozumiała?

– Przepraszam za... – Spuszczam głowę. – Przepraszam. Wiem, że nie możesz. Przepraszam.

– Errin – mówi łagodnie, a ja spoglądam na niego. – Gdybym mógł, zrobiłbym to. Jeśli to cokolwiek dla ciebie znaczy. – Uśmiecha się smutno. Przez chwilę widzę dołeczki w jego lewym policzku. – Gdyby było inaczej... Gdybym ja był inny. Żałuję, że nie byłem z tobą szczerzy od samego początku – mówi dalej. – Żałuję, że ci nie powiedziałem. Może wtedy... Myślałem, że możemy zostać przyjaciółmi. Myślałem, że to wystarczy.

– Bo tak jest – mówię. – Było. Ja tylko... – Ściszam głos, nie wiedząc, kim właściwie dla niego jestem. – Czy jesteście... Czy myślisz, że nadal możemy być przyjaciółmi? Po tym wszystkim?

– Bogowie, mam taką nadzieję – mówi jednym tchem i rzuca mi płomienne spojrzenie, a potem odwraca wzrok. – Byłoby mi bardzo przykro, gdybym cię teraz stracił – dodaje, a jego głos jest tak cichy, że muszę się wysilić, żeby go usłyszeć.

Podejmuję decyzję.

– Jest w Scarron – mówię, zanim zdążę zmienić zdanie. – Ta dziewczyna. Ely powiedział, że jest w Scarron.

Silas otwiera usta ze zdziwienia.

– Dziękuję. Bardzo dziękuję. – Przechodzi przez pokój, po czym przyciska usta do mojego czoła, jakby mnie błogosławił. Jego pocałunek pali moją skórę. – Natychmiast wyślę wiadomość do Konklawe, żeby nas tam oczekiwano. Upewnię się, że przyjmą twoją matkę, potem sam zabiorę was obie do Konklawe i dopiero wtedy udam się do Scarron.

– Mogłabym pójść do Scarron z tobą.

– Nie, dziękuję. Będzie najlepiej, jeśli pójdę sam. Nie wiem, czy ona nas oczekuje.

– Dlaczego nie wiedziałaś, gdzie ona jest? – pytam. – Jeśli jest dla was taka ważna, to dlaczego ją zgubiliście?

– Ona nie mieszkała z Siostrami.

– Czemu?

– Animosje – mówi po dłuższej chwili. – To skomplikowane. Porozmawiamy, kiedy wrócę.

Przytakuję, mimo że nie podoba mi się ten plan. Ale powinno być jeszcze dużo czasu na wyjaśnienia. Poza tym kiedy będę w Konklawe, nie będzie w stanie wiele przede mną ukryć.

– Dziękuję ci – mówi łagodnie. – Nie wiesz nawet, co zrobiłaś.

Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu czuję, że jestem z siebie dumna.

Rozdział 13



Po tym wszystkim nie ma już nic więcej do powiedzenia. Siedzimy w ciszy, jednak atmosfera jest nieco bardziej przyjazna. Oboje słuchamy dźwięków nocy, a on w końcu zasypia. Jego oddech staje się wolniejszy i głębszy. Idę za jego przykładem i również zasypiam. Po raz pierwszy od wielu miesięcy nic mi się nie śni.

Kiedy się budzę, słońce jest już na niebie, a jego blade, mleczone światło przedostaje się przez okiennice.

– O bogowie, mama – mówię, zrywając się na równe nogi. – Za długo spałam.

Silas siada, natychmiast odzyskując czujność.

– Idź. Daj mi godzinę na wysłanie wiadomości do Konklawe, a potem przyjdę pochować Ely’ego. W tym czasie powinnaś się spakować. Wyruszymy, gdy tylko wszystko będzie gotowe. Będziemy musieli iść pieszo, chyba że uda mi się ukraść jakieś konie. Czy twoja matka da radę?

– Nie. Nie da rady iść pieszo. – Wyglądam przez szczeliny w okiennicach i sprawdzam, czy mogę bezpiecznie wyjść na zewnątrz. – Jest zbyt słaba. Dobrze by było, gdybyś zdobył dla niej konia. Ja mogę iść. Ale ona nie.

– Zobaczę, co da się zrobić.

Uśmiecham się do niego.

– A więc za godzinę?

Potwierdza skinieniem.

Kiedy przekradam się do domu, w powietrzu czuć chłód przywodzący na myśl zbliżającą się zimę. W sercu nadal czuję nadzieję. Próbuję wyobrazić sobie, jak wygląda Konklawe i gdzie się znajduje. Gdzieś w ukryciu, być może na północy. Skoro mówiliśmy o Scarron, może Konklawe jest gdzieś nad morzem. Pozwalam swojej wyobraźni wypełnić się zapachem wodorostów i słonej wody, które znam z miast północy. Mogłabym wieść tam szczęśliwe życie, gdyby udało mi się znaleźć sposób na ukończenie praktyki. Mogłabym pracować tam jako aptekarz, a może nawet czegoś ich nauczyć w podziękowaniu za udzieloną pomoc. Mogłabym im pomóc, jeśli tylko mi pozwolą.

Moje uczucie nadziei słabnie nieco, kiedy zbliżam się do chaty. Las po jej drugiej stronie nie wygląda już tak przyjaźnie jak dawniej, nawet w świetle dnia. Przypominam sobie golema, jego kroki dudniące za moimi plecami i sposób, w jaki wyciągał po mnie swoje ręce. Przyspieszam kroku, starając się jak najszybciej wejść do środka.

Jednak kiedy sięgam ku zasuwie, drzwi otwierają się, a w środku stoi Kirin odziany w swój mundur. Wyraz jego twarzy zdradza, że ma złe wiadomości.

– Errin, dzięki bogom... – próbuje mówić, ale odpycham go na bok i wpadam do domu.

Staję jak wryta, kiedy zauważam w środku kapitana z czerwoną szarfą i Chanse'a Unwina, stojących nad Elym, który jest odkryty i bezsprzecznie martwy. Stół nadal pokrywają pozostałości moich aptekarskich wysiłków, mój dziennik, otwarty na stronie ze szczegółami dotyczącymi mikstur, które sporządziłam. Również wszystkich trucizn, które zrobiłam. Na widoku stoi pudełko ze wszystkimi składnikami. Na etykietach widnieją nazwy: psianka, cykuta, tojad, oleander. Fiolka z Eliksiorem stoi na środku stołu.

Patrzę na nich, na pytający wyraz twarzy kapitana i złośliwy uśmieszek Unwina. Później spoglądam na drzwi do pokoju matki. Otwarte.

– Errin – Kirin woła mnie ponownie, kiedy wbiegam do jej pokoju.

– Nie ma jej – dobiega mnie z tyłu głos Unwina.

Odwracam się.

– Ewakuowałam ją do ośrodka w Tressalyn. – Robi pauzę i wyszczerza zęby. – Specjalistycznego. Dla szaleńców.

– Nie! – Rzucam się w jego kierunku, ale Kirin pojawia się znikąd i chwyta mnie za talię, ratując Unwina przed moim atakiem. – Gdzie ona jest?! – krzyczę zza pleców Kirina.

– Jak widać, szaleństwo jest u was rodzinne – mówi drwiąco Unwin.

Kirin wpycha mnie do pokoju i zamyka drzwi. Słyszę przez nie, jak rozmawia z Unwinem.

– Wyjdź. – Jego głos jest zimny.

– To mój dom – warczy Unwin, ale Kirin robi coś, co sprawia, że nie mówi nic więcej.

– Wioska została przejęta przez armię – odzywa się spokojnie inny głos, najpewniej kapitana. – Jesteś teraz na naszej łasce. I najlepiej będzie, jak wyjdiesz.

– Nie ma mowy – odpowiada Unwin. – Chcę wiedzieć, jak długo trzymała w zamknięciu tę wariatkę. Spójrz na to. Na podłodze leży ciało, a na stole stoją trucizny. Ona jest przestępcą, a ja

jestem tu Sędzią. Ja się nią zajmę.

– To już wszystko, Unwin – mówi kapitan, potem słyszę dźwięki szamotaniny. Kiedy drzwi frontowe zamykają się, odsuwam się od drzwi sypialni i czekam.

Kirin otwiera je powoli. Wychodzę, również powoli, oczekując, że stanę przed kapitanem. Nie ma go jednak w środku, odwracam się więc do Kirina. Jego twarz jest blada, a na brwiach widać kropelki potu. Jest przechylony w lewą stronę. Zapomniałam o jego ranie. Musiał ją naruszyć, kiedy powstrzymał mnie przed rzuceniem się na Unwina.

– Wszystko w porządku? – pytam. – Powinieneś odpoczywać. Kilka dni temu dostałeś strzałę.

– Mną się nie przejmuj. W co ty się wpakowałaś? – pyta cicho.

– Gdzie moja matka?

– Kazał żołnierzom ją zabrać jeszcze przed naszym przybyciem.

– A ty mu na to pozwoliłaś?! – wrzeszczę.

– Gdzie byłaś?! – Kirin krzyczy na mnie. – Gdzie byłaś zeszłej nocy?!

– Proszę, powiedz mi, gdzie ona jest – błagam.

– Poza tym, co jej się w ogóle stało? – mówi dalej Kirin. – Znaleźli ją dziś rano zamkniętą w swoim pokoju. Wyglądała na bliską śmierci. Nawet się nie poruszyła, kiedy podnosili ją z łóżka. Czy to twoja sprawka? Podawałaś swojej matce narkotyki?

Podnoszę rękę do ust i opadam na kolana. Wyobrażam sobie żołnierzy wyciągających ją z łóżka w jej starej koszuli nocnej, patrzących na jej wychudzone ciało i puste oczy. O bogowie.

– Dlaczego tu byliście?

– Unwin się do nas zgłosił. Mówił, że kazał mieszkańcom ewakuować się razem z resztą, więc pewnie włamali się tu uchodźcy. Gdybym wiedział, że to ty... Wysłałem z nim tutaj kilku chłopaków. Zanim sam przyszedłem sprawdzić, co się stało, było już za późno. Zabrali twoją matkę i znaleźli... wszystko.

Zakrywam twarz dłońmi. Nie. Proszę, nie.

Kirin rozchyła moje dłonie i zmusza mnie, żebym na niego spojrziała.

– Errin, albo wszystko powiesz, albo sam będę musiał cię aresztować. Na stole jest wystarczająco dużo dowodów, żeby skazać cię na powieszenie, nawet nie licząc ciała. Mów.

Wyrывam się z jego uścisku i ponownie wchodzę do pokoju matki, siadając na skraju jej łóżka. Kirin idzie za mną, ale pozostaje w przejściu.

– Po tym, jak zdaliśmy sobie sprawę, że Lief utknął w Lormere, ona... zamknęła się w sobie. Nie chciała jeść, nie chciała się myć ani chodzić do toalety. Musiałam wszystko robić za nią. Nie mieliśmy pieniędzy, Kirin. Musiałam jakoś je zdobyć. Zaczęłam robić mikstury na sprzedaż, żeby zapłacić czynsz i kupić jedzenie. To był jedyny sposób. Czasami też... usypiałam ją. Czasami. Coś jej się stało w lesie. To ją zmieniło. – Zaczynam mówić i uświadamiam sobie, że nie mogę przestać. – Próbowałam to wyleczyć, później chciałam po prostu jakoś jej pomóc. Nic nie działało i stała się gwałtowna i niebezpieczna. Zaatakowała mnie. – Otwieram usta i pokazuję mu ząb. – To jej sprawka.

Było tego więcej. Kirin, musisz mi powiedzieć, gdzie ona jest. Jeśli odpowiednio się nią nie zajmą, ich też zaatakują.

Kirin potrząsa głową.

– Jest jak Szkarłatny Varulv – wyrzucam to z siebie. – Będzie krzywdzić ludzi. Zarazi innych, jeśli się nią nie zajmę.

– Errin, to nie jest śmieszne.

– To prawda.

Patrzy na stół, na panujący na nim bałagan po moich próbach zdekonstruowania Elikssiru, a potem znówu na mnie. Potrząsa głową, a jego oczy są pełne żalu.

– Errin. Nie wiedziałem, że jest aż tak źle.

– Wiem, ale wiem też, jak to kontrolować. Mamy dokąd się udać. Są ludzie, którzy mogą jej pomóc. Powiedz mi, gdzie ona jest, a...

– Przestań – mówi. – To koniec. Teraz jest bezpieczna. Ty też będziesz bezpieczna.

– Co? – Zamieram. – Co masz na myśli?

– Zapewnimy ci opiekę. Nie powinnaś była być tu sama. Ale teraz zaopiekujemy się tobą. Sam tego dopilnuję.

Wlepiam w niego wzrok.

– Nikt nie musi się mną opiekować. Znalazłam dla nas nowy dom. Będziemy tam bezpieczniejsze niż gdziekolwiek indziej, zaufaj mi.

– Errin, potrzebujesz pomocy. Obie jej potrzebujecie.

– Nie jestem szalona. Kirin, spójrz na jej ręce. Są na nich blizny. To naprawdę się stało. To prawda. Musisz mi uwierzyć.

Nie wierzy mi. Widać to po nim, po sposobie, w jaki marszczy brwi i krzywi usta ze smutku.

– Errin, musisz mnie posłuchać. Zaopiekuję się tobą. Będą ci zadawać pytania, trudne pytania, w związku z niektórymi rzeczami, które tutaj masz. No i oczywiście w związku z ciałem. Ale wszyscy wiedzą, że nie zrobiłaś mu tego, że nie byłabyś w stanie mu tego zrobić. Wstawię się za tobą i napiszę do Mistrza Pendie, żeby za ciebie poręczył. Wyjaśnimy wszystko, co stało się z twoim ojcem i z Liefem. Powiemy, że byłaś tutaj sama ze swoją matką przez ostatnie cztery miesiące bez pieniędzy. To każdego mogłoby doprowadzić do lekkiego szaleństwa. Ale nie możesz mówić takich rzeczy, szczególnie teraz, kiedy pojawił się Śpiący Książę. To mogłoby się dla ciebie źle skończyć. Pozwól mi się tym zająć, dobrze? Jakoś to załatwię. Wszystko będzie dobrze.

Pęka mi serce. Jego słowa, jego życzliwość, troska w jego głosie. Jest jak brat, za którym tak tęsknię. Ale nic nie rozumie. Muszę iść do Silasa. On będzie wiedział, co zrobić. Jego ludzie znajdą sposób, żeby mi pomóc. Są potężni. Będą w stanie pomóc mi odzyskać matkę. Kiedy będziemy w Konklawe, mój dziennik ani biedny Ely nie będą już stanowić problemów. Będziemy ukryci przed wszystkimi.

Patrzę na Kirina i przytakuję, sprawiając wrażenie małej i skruszonej. On uśmiecha się delikatnie,

po czym przechodzi przez pokój i siada obok mnie na cienkim sienniku. Obejmuje mnie braterskim ramieniem, a ja na chwilę opieram się o niego.

– Przepraszam – mówię. – Przepraszam, że was zawiodłam.

– Nie... – zaczyna. Wtedy uderzam go łokciem w brzuch i uciekam. Trzaskam za sobą drzwiami i przekręcam klucz w zamku. Jestem już przy drzwiach frontowych, kiedy zaczyna łomotać. Przebiegam przez próg i gnam przez wioskę. Kiedy zbliżam się pędem do chaty Silasa, za sobą słyszę już krzyki żołnierzy. Nie zatrzymuję się, mijam wszystkie chaty po drodze i docieram do jego domu.

– Silas! – krzyczę, otwierając drzwi na oścież. – Si...

Od czasu, kiedy go zostawiłam, nie minęło więcej niż pół godziny. Powiedział, że przyjdzie do mnie za godzinę. Na podłodze wcześniej był stos koców. Teraz nie ma tu nic. Nawet starej resztki po świeczce. Chata jest całkowicie pusta, jakby nigdy go tu nie było. Nic się nie stało, mówię do siebie, czując, jak strach skręca mi żołądek. Musiał się spakować i zabrać ze sobą swoje rzeczy, kiedy poszedł wysłać wiadomość. Pewnie jest już w drodze, żeby się ze mną spotkać...

– Ech, Errin – mówi cicho ociekający tryumfem głos. Odwracam się i staję twarzą w twarz z Chansem Unwinem.

– Wiedziałem, że tutaj wrócisz, jeśli ten gołowąs w mundurze da ci chociaż cień szansy – mówi, stając w drzwiach i blokując wyjście. – Nie ma go, tego twojego kochasia. Wiedziałem, jak wyszedł zaraz po tobie. Kierował się w stronę Długiej Drogi. Czyżby się z tobą nie pożegnał?

Nie. Nie zrobiłby tego. Nie mógłby mi tego zrobić. Powiedział, że jesteśmy przyjaciółmi. Powiedział, że jesteśmy czymś więcej.

„Nie wiesz nawet, co zrobiłaś”, powiedział.

Tak, wiem. Pozwoliłam mu się oszukać. Udawał tylko, że mnie lubi. Nigdy naprawdę go nie znałam. Bogowie, przez miesiące mnie okłamywał, ukrywał się przede mną. Wykorzystywał mnie.

Jestem taka głupia.

Opieram się o ścianę, a moje wnętrzności skręcają się w moim ciele. Ból pod żebrami jest tak silny, że muszę się pochylić – wypełnia mnie, zgniata moje płuca i uniemożliwia oddychanie. Co mam teraz począć? Zabrali mamę, a ja... Potrzebuję go. Jak mógł to zrobić?

Unwin stoi w przejściu i śmieje się.

– Musiałaś myśleć, że urodziłem się wczoraj – mówi, opierając się o framugę. – Znam każdy zakamarek tej wioski. Mojej wioski. Czy naprawdę sądziłaś, że gnieździł się tutaj jak zwierzę bez mojej wiedzy? Sądziłaś, że nie zauważyłem? Wiedziałem. Nie spieszyłem się.

Moje oczy zwężają się. Nie wierzę mu, a moja lewa brew unosi się, żeby mu to oznajmić.

– Nie rozumiałabyś moich powodów! – ryczy, a jego twarz staje się purpurowa. – Nic byś nie rozumiała, głupia dziewczyno. Byłem dla ciebie dobry. Dbałem o ciebie. Zaopiekowałem się tobą. Ale nie, nie byłem dla ciebie wystarczająco dobry. Mała hrabianka z Tremayne. – Unwin przechyliła głowę, przyglądając mi się, a moja szczęka zaciska się w gniewie. – Spójrz na siebie – mówi dalej. – Nawet nie jesteś aż taka ładna.

– Jeśli chociaż spróbujesz mnie dotknąć...

– Ha! – przerywa mi, parszając śmiechem. – Nie naszczałbym na ciebie, gdybyś stała w ogniu. Już nie. Teraz już wiem, że jesteś używanym towarem. Mówiłem ci: wszystko widziałem. Wczoraj w nocy. On i ty, baraszkujący po całej wiosce. On bez koszuli, ganiający cię po krzakach. Potem pomagałaś mu się okryć obok mojego domu. Nie dziwię się, że odszedł. Po co trzymać krowę, kiedy wypilo się już całe mleko?

Świeca w oknie Domu Sprawiedliwości. Nie spał. Obserwował nas. Ale chyba nie widział golemów. Nagle podchodzi do mnie, a ja odsuwam się instynktownie.

– Nie obchodzi mnie, co widziałeś – mówię.

Uśmiecha się pogardliwie.

– Wiesz, chciałem ci zaoferować, że zostanę twoim opiekunem. Byłabyś pod moją kuratelą. Wyobrażałem sobie, jak byłoby miło, gdybyś szorowała podłogi u mnie w domu.

– Po moim trupie.

– Tak właśnie będzie – mówi. – Jak już powiedziałem, Errin, ciało i pudełko z truciznami. Ładny, schludny dziennik oznajmiający światu, jakie specyfiki warzyłaś i dla kogo. Niedługo zawieszysz i twój drogi Silas również, kiedy już go dopadniemy.

Nie sądziłam, że to możliwe, ale moja krew staje się jeszcze zimniejsza.

– Mam tylko nadzieję, że pozwolą mi kopnąć w stołek, na którym będziesz wtedy stała.

Odwracam się i uderzam go prosto w twarz, obejmując kciukiem palce, jak nauczył mnie tata. Słyszę odgłos łamiącego się nosa pod moją pięścią, w której natychmiast czuję ból promieniujący wzdłuż całego przedramienia, a skóra na moich kłykciach pęka. Obejmując uszkodzoną dłoń drugą, gryzę się w język, żeby powstrzymać płacz. Unwin próbuje zatamować krwotok z nosa, a ja przyglądam mu się i czekam, aż na mnie spojrzy. Kiedy to następuje, robię w jego kierunku krok, a on się wzdryga.

– Jak ty komu, tak on tobie, Chanse Unwinie. Zapamiętaj to. Na twoim miejscu uważałabym, co jesz i pijesz. Wiesz już, co potrafię zrobić. – Patrzę mu w oczy, aż odwróci wzrok, jak pies poddający się woli swojego pana. Dopiero wtedy odwracam się i odchodzę.

Udaje mi się przejść połowę drogi do wioski, kiedy moje nogi odmawiają posłuszeństwa i muszę oprzeć się o jedną z chat. Oddycham głęboko i ściskam posiniaczoną dłoń. Tak bardzo boli. Ale zrobiłabym to ponownie, gdybym musiała.

Opieram się o ścianę, czując przez tunikę mokre drewno. Wzrasta we mnie panika, kamień bezustannie tkwiący w mojej piersi wgniata mnie w ziemię. Nie mam pieniędzy. Nie mam się gdzie podziać. Nie mam nawet swojego noża.

Co mam teraz, do cholery, począć?

Część druga

Rozdział 14



Opuszczam wioskę tą samą drogą, którą moja rodzina i ja przybyliśmy cztery miesiące temu, ale w odwrotnym kierunku: udając się wzdłuż krętej, wydeptanej ścieżki, biegnącej między małymi zagajnikami i dolinami, i docierając w końcu do Długiej Drogi. Tereny po obu stronach traktu porośnięte są karłowatymi drzewkami, kolcolistami, orlicami i ostem. Dzicz, ziemia niczyja.

Kiedy tu przybyliśmy w środku lata, wszędzie było zielono i gęsto od roślinności, co kontrastowało z pustką w naszych duszach, pozostałą w miejscu zajmowanym niegdyś przez ojca. Teraz jest tu pusto i lodowato, a w mojej duszy jest jeszcze jedno poczucie straty, pozostawione przez brata i matkę.

Przez Silasa również. Kiedy tylko ta myśl przychodzi mi do głowy, gniew i upokorzenie ściskają mi żołądek.

Zerkam przez ramię, ale nie dostrzegam niczego, co sugerowałoby, że ktoś za mną idzie. Mimo to popędzam swojego ukradzionego konia do galopu, z ulgą zwiększając o kilka dodatkowych mil dystans między mną a Almwyk przed zachodem słońca. Kiedy spoglądam w tył, nadal widzę dym unoszący się w oddali z lewej strony, a na mojej twarzy pojawia się uśmiech.

Po spotkaniu z Unwinem wiedziałam już, że muszę jak najszybciej opuścić Almwyk, że żołnierze będą mnie szukać. Ciało, trucizny i napaść na Unwina w najlepszym wypadku skończyłyby się dla mnie więzieniem, a Kirin nie mógłby tym razem wstawić się za mną. Czuję się nieco winna z powodu nieprzyjemności, jakie spotkają go za to, że pozwolił mi uciec, ale odrzucam je. Nic mu nie będzie. Przecież jego też zaatakowałam. Ma sińce, które to potwierdzą.

Udałam się więc do ostatniego miejsca, w którym mogliby mnie szukać: Domu Sprawiedliwości

Unwina. Włamałam się przez małe okienko z tyłu budynku, owijając płaszczem zdrową rękę i wybijając cienką szybę, a potem zebrałam szkło i wdrapałam się do środka. Znalazłam się w spiżarni. W domu panowała cisza, a ja działałam szybko. Wzięłam czysty ręcznik i obwiązałam rozciętą dłoń. Potem zabrałam ze spiżarni worek z mąką i przeciągnęłam go do kuchni, a zawartość wysypałam na podłogę, kaszląc, kiedy mąka dostała mi się do ust, i śmiejąc się, kiedy pokryła całe pomieszczenie. Nie miało to jednak znaczenia.

Worek wypełniłam jedzeniem Unwina, zabierając tyle, ile byłam w stanie bez problemu unieść: chleb, ser, jabłka, resztki szynki, litr świeżego mleka, trochę potrawy z krewetek zawiniętej w muślin, na widok której aż pociekła mi ślinka.

Zostawiając worek obok tylnego wyjścia, wbiegłam na piętro. Sama myśl o założeniu na siebie jakichkolwiek ubrań należących do Unwina przyprawiała mnie o mdłości, ale wiedziałam, że nie mam wyboru: samotna kobieta na drodze przyciągałaby uwagę, ale samotna kobieta w zakrwawionej sukience okryta cienkim płaszczem przyciągałaby jej o wiele za dużo. Dlatego otworzyłam jego szafę i zaczęłam grzebać w ubraniach, rozrzucając je po ziemi i wzdrygając się od ich zapachu. Nie było tam nic, co pasowałoby na mnie, zabrałam się więc za stare skrzynie Unwina. Przekopywałam się przez wiele lat jego życia, spodnie i koszule robiły się coraz mniejsze i mniej zniszczone. W końcu szczęśliwie natrafiłam na bryczesy – miały jakieś trzydzieści lat i były na mnie trochę za długie, ale musiały wystarczyć. Podwinęłam nogawki i założyłam ładny skórzany pasek, zdjęty z haka obok drzwi. Górną część mojego ciała okrywała wełniana koszula przesiąknięta zapachem kulek na mole i cienka kamizelka, ale przynajmniej będzie mi ciepło. W końcu wzięłam podszyty futrem płaszcz, owinęłam warkocz wokół głowy i wytarłam z twarzy resztki mąki moją starą tuniką.

Resztę rzeczy zostawiłam tam, gdzie leżały, łącznie z ubraniami, po czym pobiegłam na dół.

Z małej biblioteczki ukradłam garść monet rozrzuconych na biurku, po czym wyjęłam wszystkie jego papiery i stojące na półkach książki i przytaszczyłam je do kuchni. Rzuciłam wszystko na stół, wzbijając przypominający upiora obłok mąki. Kiedy stos jego rzeczy sięgał mi do piersi, przyniosłam najdrożej wyglądające butelki whiskey, jakie udało mi się znaleźć, i nasączyłam stos ich zawartością. Na koniec wybrałam najgroźniejszy i najostrzejszy nóż leżący obok pieca i schowałam go za pas. Wszystko to zajęło mi mniej niż dwadzieścia minut.

Następnie wzięłam krzesiwo z pieca i dotknęłam nim ogniska. Przez moment patrzyłam, jak alkohol zajmuje się niebieskim płomieniem, a potem schowałam krzesiwo do kieszeni, wzięłam worek i uciekłam prosto do lasu.

Ze skraju lasu przyglądałam się, jak dom zajmował się ogniem. Najpierw palił się powoli, tak powoli, że myślałam, że zgaśnie, zanim zajmie się na dobre. Prawie wróciłam, żeby mu nieco pomóc. Wtedy jednak powiew wiatru rozniósł żar na strzechę, a płomienie z hukiem poszły w górę. Patrzyłam, jak wielu ludzi próbuje w pośpiechu gasić pożar, jak biegają do studni po wodę i klnąc, szukają brakującego wiadra. Wszyscy bezsilnie patrzyli, jak pożoga ogarnia dom Unwina. Wtedy prawie, prawie wybaczyłam Silasowi.

Kiedy obmyślałam mój plan, założyłam, że Unwin pobiegnie prosto do żołnierzy, żeby na mnie

donieść, zamiast wrócić do domu. Miałam rację. Wrócił, kiedy domu nie dało się już uratować. Poświęciłam kilka drogocennych sekund, żeby napawać się furją i dezorientacją malującą się na jego wciąż zakrwawionej twarzy. Potem wykorzystałam okazję i pobiegłam wzdłuż brzegu lasu – zakradłam się do obozu wojskowego, unikając wzroku żołnierzy biegnących w stronę wioski. Myśleli chyba, że dym oznacza początek ataku.

Kiedy miałam już pewność, że obóz jest pusty, szybko weszłam na jego teren, sprawdzając największe z namiotów w poszukiwaniu mojej matki, na wypadek gdyby ciągle ją tu przetrzymywali. Skręcało mnie w żołądku za każdym razem, kiedy odsuwałam płachtę i stwierdzałam, że namiot jest pusty. Z największego ukradłam torbę na ramię, bukłak, mapę krainy i kolejny nóż, tym razem z rękojeścią z opalu.

Użyłam tego noża, żeby uwolnić jednego z koni z prowizorycznej stajni, piękną gniadą klacz o czujnym spojrzeniu. Nie przstraszyła się ani kiedy do niej podeszłam, osiodłałam ją, a ni nawet kiedy wdrapałam się na jej grzbiet.

Wzięłam mojego kradzionego konia, kradzione ubrania, kradzione jedzenie i kradziony nóż i wyjechałam z Almwyk najszybciej jak mogłam.

Przez pierwsze dwie godziny jazdy nie widziałam niczego ani nikogo. Słyszałam bażanty nawołujące się w trawie oraz od czasu do czasu szelest czegoś większego, ale koń nie wydawał się zdenerwowany, więc ja również się nie przejmowałam. Zamiast tego ukryłam twarz pod kapturem i skupiłam się na obserwacji drogi przed i za nami.

Cały czas trzymam się brzegów drogi, jeśli to możliwe, jadę po trawie, żeby nie zostawiać za sobą śladów, którymi ktoś mógłby podążyć. Kiedy słońce zbliża się do horyzontu, a cienie stają się dłuższe, zauważam ślady zostawione przez uchodźców, którzy wyruszyli wcześniej. Mijam zgubioną lalkę, której pokryta bruzdami twarz skierowana jest ku niebu. Zdaje się śledzić nas swoimi dziwnymi, namalowanymi oczami. Dostrzegam but, nieznacznie tylko większy od mojego, porzucony. Zastanawiam się, jak ktoś mógł go zgubić i co się stało z jego właścicielem. Kto mógł pozwolić sobie na to, żeby zgubić but? Koło drogi leżą też inne rzeczy: papier, kawałki szkła, fragmenty tkanin. Wszystko to zostawia ślad, którym podążam, kierując się w głąb Tregellanu i zmierzając do Scarron.

Jeśli Silas Kolby nie zdołał ukraść konia, to idzie teraz na północ pieszo przez kraj, którego nie zna. Zamierzam więc pognać do Scarron jak wicher i znaleźć tę dziewczynę jako pierwsza, zanim zrobi to Silas i zniknie w Konklawe na dobre. Jedyne sensowny powód jego działań jest taki, że jest ona filtromanką. Jestem o tym przekonana. Dlatego właśnie alchemicy tak bardzo chcą ją odnaleźć. Silas powiedział, że mają ograniczony zapas Elixiru, a ja sądzę, że to za jej sprawą. Pewnie przez te animozje. Teraz, kiedy jest tu Śpiący Książę, chcą ją znaleźć i zakończyć konflikt.

Rodzina przede wszystkim.

Dlatego będę w Scarron pierwsza. Będę tą, która powie jej, że jest w niebezpieczeństwie i że musi ukryć się w Konklawe. Doprowadzę ją tam. Wypełnię jego zadanie, a kiedy Konklawe będzie rozpyływać się w podziękowaniach, powiem im, że mogą mi się odwdzięczyć, wyciągając moją matkę ze szpitala dla obłąkanych, dając jej schronienie i kilka kropel Elixiru każdego miesiąca. Niewielka

cena jak za przyrowadzenie im ich filtromantki.

A kiedy mama będzie bezpieczna, Silas Kolby pożałuje, że mnie zdradził.

Tego tygodnia, kiedy pierwszy raz spotkałam Silasa, skończyłam siedemnaście lat, dowiedziałam się, że jakimś cudem Śpiący Książę nadal żyje i obudził się, najechał na Lortune, zajął zamek Lormere i zabił króla – wszystko w jedną noc.

Tego tygodnia również zdałyśmy sobie sprawę, że najprawdopodobniej Lief jest tam uwięziony.

Powiedziałam matce to, co usłyszałam przy studni, próbując zachować spokój, ale moja klatka piersiowa zaciskała się, aż nie zostało już w niej miejsca na powietrze i nie mogłam oddychać. Ona spojrzała na mnie, po czym odwróciła twarz do ściany. Zostawiłam ją, wyszłam z domu, poszłam do lasu i byłam w połowie drogi do Lormere, zanim zdałam sobie sprawę, gdzie jestem. Przez cały czas ucisk w mojej piersi nie ustawał, stając się namacalnym niemal ciężarem między moimi płucami, aż się do niego przyzwyczaiłam. Wmówiłam sobie, że być może nic mu nie jest, że pewnie jest teraz w drodze do domu. To właśnie ta myśl sprawiła, że zawróciłam. W trakcie długiej drogi powrotnej przekonałam samą siebie, że on będzie już w domu, kiedy wrócę, że minęliśmy się w lesie. Że jeszcze będziemy się z tego śmiać. Że piorun nie uderza dwa razy w to samo miejsce. Ale kiedy dotarłam do chaty, jego tam nie było. Nie było też mojej matki.

Znalazłam ją pół mili dalej, przysypaną liśćmi. Jej ramię było rozerwane i krwawiło z głębokich i poszarpanych ran. Kiedy zapytałam ją, co się stało, nie odezwała się ani słowem, a jej oczy były jednocześnie dzikie i martwe.

Następnego dnia znowu udałam się do tego samego lasu, żeby znaleźć zioła, rośliny czy cokolwiek na jej rany, co mogłoby zapobiec zakażeniu. Otoczona mrocznym lasem, w cieniu i w ukryciu, martwiłam się o wszystko. Wiedziałam, że we mnie i w niej coś pękło, i przerażała mnie myśl, że nie da się już tego naprawić. Nagle pojawiło się tak wiele trosk: bieda, choroba, śmierć. I jeszcze więcej śmierci. Każdy szelest, każdy hałas i krzyk ptaka sprawiał, że serce prawie wyskakiwało mi z piersi, nie przejmując się kośćmi i ciałem, które napotykało na swojej drodze.

Moje ręce trzęsły się, kiedy próbowałam zerwać korę z pnia wierzby. Ostrze mojego pięknego aptekarskiego noża, ostatniego prezentu od ojca, było już stępione, a w uszach dzwoniło mi ze strachu. Nagle usłyszałam szelest liści za plecami, dźwięk pękającej gałązki, świadczący o tym, że jest tam coś dużego. Wtedy odwróciłam się i zobaczyłam zakapturzonego mężczyznę idącego w moją stronę. Był pochylony jak drapieznik. Odskoczyłam w tył i zagroziłam mu nożem, a on zatrzymał się i wyciągnął do przodu odziane w rękawice ręce.

– Spokojnie – powiedział, a jego głos wywołał ciarki na moich plecach. Był kolczasty, jeśli można w ten sposób określić czyjś głos, i zaskakująco pozbawiony jakiegokolwiek akcentu. – Nie chcę zrobić krzywdy.

– Odsuń się – nakazałam, machając nożem przed sobą, żeby potraktował mnie poważnie. – Albo cię wypatroszę.

Kąćki jego ust uniosły się, ale był to przyjacielski uśmiech. Są ludzie, których uśmiech po prostu zmusza innych, żeby go odwzajemnili. Lief taki był. Są też tacy, których uśmiech sprawia, że zapomina się swojego imienia. Są też uśmiechy, które emanują spokojem, solidarnością i sympatią. Są ludzie tacy jak książę Merek, którego uśmiech był uwięziony na jego twarzy przez cały czas, kiedy jechał przez Tremayne, i nigdy nie mógł się uwolnić. Na jego uśmiech trzeba było zapracować. Kiedy pierwszy raz spotkałam Silasa, jego uśmiech był czystym wyzwaniem, wygięte w łuk usta prowokowały.

– Nie ma takiej potrzeby – powiedział. – Myślałem, że jesteś kimś innym. Teraz widzę, że się myliłem. Pozwolisz, że udam się w swoją stronę. – Wycofał się, a ja przyglądałam się mu z sercem walącym jak młot. Czubek mojego noża wyraźnie się trząsał.

Gdy tylko zniknął mi z oczu, podniosłam koszyk i ruszyłam za nim. Wiedziałam, że to głupie. Wiedziałam, że powinnam odwrócić się i iść do domu, ale nie mogłam się powstrzymać. Musiałam się dowiedzieć, skąd przyszedł i dokąd się kieruje. Mieszkaliśmy wtedy w Almwyk już od miesiąca, więc znałam nieco twarze i zwyczaje moich sąsiadów. Wydało mi się to zbyt dużym zbiegiem okoliczności, że jakiś obcy skrada się w środku lasu dzień po tym, jak znalazłam swoją matkę podrapaną i w szoku. Dlatego właśnie za nim poszłam. Chciałam wiedzieć, gdzie sypia ten obcy z szelmowskim uśmiechem.

Szukałam też okazji do bójk. Chciałam zrobić komuś krzywdę, bo sama czułam się skrzywdzona, bo mama została skrzywdzona. Bo Lief może być również spotkała krzywda. To było niesprawiedliwe.

Ruszyłam więc za nim w ciszy, ściskając nóż w garści. Dotarłam aż do wioski, trzymając się linii drzew i śledząc go wzrokiem. Zauważyłam, jak zbliża się do jednej z porzuconych chat nieopodal lasu i wyjmując z ramy liche okienko zrobione z krowiego rogu, takie same jak w większości tutejszych chat, a potem wspina się do wnętrza budynku, po czym sięga na zewnątrz swoimi długimi rękami i wkłada okno na miejsce. Od razu zdałam sobie sprawę, że się ukrywa. Może był uchodźcą, ale na pewno ani Unwin, ani ktokolwiek inny o nim nie wiedział, a moje podejrzania rosły. Ostrożnie zbliżyłam się do okna i przyłożyłam do niego ucho.

Wtedy on był już za moimi plecami i zatkał mi usta dłonią. Upuściłam koszyk, czując, jak jego zawartość rozsypuje się na ziemi pod moimi stopami. Od początku wiedział, że za nim idę. Wyszedł frontowymi drzwiami zaraz po wejściu do chaty i czekał na mnie.

– Wścibska jesteś – powiedział, przyciskając moją twarz do szorstkiej, drewnianej ściany chałupy, jednak z zaskakującą delikatnością, biorąc cały impet uderzenia na swoją okrytą rękawicą dłoń. Jego rękawice pachniały miętą i pokrzywami. – Co teraz z tym zrobimy?

Próbowałam się uwolnić, ale trzymał mnie zbyt mocno.

– Teraz zabiorę dłoń z twoich ust. Jeżeli krzykniesz, uciszę cię na zawsze – powiedział. – Rozumiesz?

Przytaknęłam powoli, a on zabrał dłoń, odwracając mnie twarzą do siebie i podnosząc mój podbródek. Uniosłam wtedy swój nóż i przyłożyłam mu go czubkiem do gardła. Na jego ukrytej pod

kapturem twarzy znów zobaczyłam uśmiech.

– Dobra jesteś – powiedział, a jego aprobata wywołała we mnie dziwne poczucie dumy. Wtedy poczułam, że coś ostrego dotyka przestrzeni między moimi żebrami. Jego własny nóż, wycelowany w moje serce. – Ale tym razem ja jestem lepszy. Opuść broń. Zachowujmy się jak cywilizowani ludzie.

Zrobiłam, o co prosił, a on na szczęście zrobił to samo i również schował swoje ostrze.

Staliśmy tak w bezruchu. Czułam spojrzenie jego oczu ukrytych pod kapturem. Przyglądał mi się, ale nie widziałam nic poza jego ustami, które układały się w cienką, wyraźną linię.

– Kim jesteś? – zapytał w końcu, odsuwając się o krok i chowając nóż do pochwy. Ja zrobiłam to samo. – Dlaczego za mną poszłaś?

– Nazywam się Errin. Errin Vastel. Myślałam... Chciałam się dowiedzieć, kim jesteś.

– Jestem nikiem, Errin Vastel – powiedział, przygryzając dolną wargę.

Było coś w sposobie, w jaki wypowiedział moje imię, co sprawiło, że przeszedł mnie dreszcz. Coś jak klątwa albo zaklęcie. Było w tym coś dziwnego, coś, czego należy się wystrzegać.

– Nie mieszkasz tutaj – powiedziałam. – To nie twoja chata.

– Teraz jest moja, na jakiś czas – odparł. – Dlaczego interesuje cię, kim jestem?

– Po prostu chciałam wiedzieć. W miejscu takim jak to obcy są powodem do niepokoju.

– Z tego, co słyszałem, każdy mieszkaniec Almwyk jest powodem do niepokoju.

– Gdyby Chanse Unwin się dowiedział... – Chciałam raczej go ostrzec niż grozić mu, ale w odpowiedzi syknął na mnie.

– Ale jeszcze się nie dowiedział. I tak zostanie. Nikt się nie dowie. Moja obecność tutaj pozostanie naszym sekretem, chyba że chcesz, żeby wszyscy dowiedzieli się, jak się spotkaliśmy. W środku lasu, ty z koszykiem pełnym cykuty, psianki i oleandra. – Ruchem głowy wskazał rośliny rozsypane u moich stóp. – Za zbieranie tego bez licencji aptekarza grozi powieszenie, prawda? Nie wydaje mi się, żebyś miała licencję, Errin Vastel. Chyba że się mylę i jesteś w Almwyk aptekarzem?

Czerwienię się, a w moim sercu strach walczy z gniewem. Strach jednak wygrywa.

– Nie.

– No cóż, ty dochowasz mojej tajemnicy, a ja dochowam twojej. Co ty na to?

Co innego mogłabym odpowiedzieć? Zgodziłam się i starałam się jak mogłam unikać chaty, w której mieszkał.

Jednak trzy dni później spotkałam go po raz kolejny, znowu w lesie.

To było po pierwszym spotkaniu z Unwinem, kiedy oznajmił wszystkim, że Rada Tregellanu wyśle do naszej wioski żołnierzy, żeby chronić granicę. Tego samego dnia połowa mieszkańców spakowała się i odeszła, unikając w ten sposób aresztowania. Kiedy przy wyjeździe z wioski formował się długi i hałaśliwy konwój, ja wymknęłam się do lasu, sądząc, że to ostatnia szansa, zanim przybędą żołnierze. On tam już na mnie czekał.

– Potrzebuję od ciebie mikstury, jeżeli będziesz w stanie ją zrobić – powiedział bez zbędnego

wstępu, zeskakując ze spróchniałego dębowego pnia, na którym siedział. Strzepał resztki suchych liści i mchu ze swojego płaszcza, swobodnie, jakbyśmy spotykali się w lesie regularnie, jakbyśmy byli przyjaciółmi, po czym przechylił głowę na bok jak ptak. – Nalewka z żabiego barszczu. Najmocniejsza jak się da. Zapłacę ci za nią trzy floreny i nie powiem nikomu, skąd ją mam.

– Czemu miałabym to zrobić? – Gdy tylko te słowa opuściły moje usta, miałam ochotę połknąć je z powrotem. Za trzy floreny zapłacę czynsz za cały miesiąc i jeszcze trochę zostanie. Wystarczy, żeby kupić jedzenie, jeśli nie uda mi się niczego zebrać. Trzy floreny to kolejny miesiąc życia. Oczekiwałam, że pójdzie sobie przez moją nieuprzejmość.

Myliłam się.

– Bo widać wyraźnie, że potrzebujesz pieniędzy. A ja bardzo potrzebuję tej mikstury. Potrzebujemy siebie nawzajem. To dobry układ.

Patrzyłam na niego w tym jego ponurym płaszczu i głupich rękawicach, czując, że on również mi się przygląda.

– Jak masz na imię? – zapytałam w końcu.

Kiedy podszedł do mnie, w pełni zdałam sobie sprawę, jak jest wysoki i szczupły. Ostatnim razem, kiedy się spotkaliśmy, skupiałam się na tym, żeby pozostać przy życiu, ale teraz... Przypominał mi brzozę albo wierzbę. Miał w sobie pewną swobodę i beztroskę, w lesie czuł się jak w domu. Pasował tu.

– Silas Kolby – powiedział, zatrzymując się na odległość stopy ode mnie. Wyciągnęłam do niego rękę, a on spojrzał na nią ze zdziwieniem, jakby ten gest był mu obcy. Moje policzki spłonęły rumieńcem i cofnęłam rękę, ale on nagle ją złapał, a jego duża dłoń objęła moją w sposób, który sugerowałby raczej przypieczętowanie paktu niż zwykłe przedstawienie się.

Zajęło mi kilka tygodni, zanim pozbyłam się strachu i podejrzeń, że to on skrzywdził moją matkę, ale podczas pierwszej pełni po ataku upewniłam się, że to nie Silas. Ku mojej wściekłości pozostał sobą, podczas gdy ona... To był zwykły łut szczęścia, że zamknęłam ją tego dnia, wychodząc z chaty, żeby znowu nigdzie nie wyszła i nie zrobiła sobie krzywdy. To był zwykły łut szczęścia, że przekręciłam klucz w drzwiach po podaniu jej kolacji, kiedy już prawie spałam i działałam bez zastanowienia. Tylko dzięki szczęściu tej nocy podrapała jedynie drzwi, a nie mnie, kiedy siedziałam za nimi, płacząc i wysłuchując rzucanych przez nią wyzwisk. Podczas pierwszego miesiąca, kiedy powoli zaczynałam zdawać sobie sprawę, że Lief może być w poważnych tarapatkach i że zostałam sama z matką zmieniającą się w bestię, Silas był jedyną rzeczą, która nie pozwalała mi oszaleć. Miał dziwny zwyczaj pojawiania się zawsze wtedy, kiedy byłam bliska zrobienia czegoś złego, po czym nie byłoby już powrotu.

Poza tym ufałam mu. Naprawdę. Nie wiedziałam nawet jak bardzo, dopóki mnie nie zdradził.

Rozdział 15



Daleko na zachodzie dostrzegam słońce wiszące nisko na niebie i zdaję sobie sprawę, że zbliża się noc, szybko i cicho. Zwalniam konia do stępa, otwieram torbę i wyjmuję z niej mapę. Jadąc pięć mil w stronę zachodzącego słońca, dotrę do Tyrwhitt, ale nawet jeśli zapłacę za gospodę ukradzionymi pieniędzmi, to będzie pierwsze miejsce, w którym będą szukać mnie żołnierze, więc to rozwiązanie odpada. Tremayne leży około pięćdziesięciu mil na północny zachód za Tyrwhitt. Muszę dotrzeć tam jutro przed porą obiadową, jeśli chcę być w Scarron przed zmrokiem.

Postanawiam kontynuować podróż i dotrzeć jak najdalej, jak tylko będę w stanie, za Tyrwhitt, zanim słońce całkiem zniknie. Wtedy będę musiała zatrzymać się na noc, czy znajdę schronienie, czy nie. Wmawiam sobie, że wszystko będzie dobrze. To tylko jedna noc, a ja mam gruby płaszcz. Raczej nie będzie gorzej niż w tej żalosnej chacie w Almwyk.

– Naprzód, maleńka. – Uderzam piętami w boki klaczy i popędzam ją. Kiedy niebo zmienia się już z szarego w fioletowe, mijamy przedmieścia Tyrwhitt. W oddali, na środku pola, dostrzegam obóz dla uchodźców. Kirin nie przesadzał, mówiąc, że czuć go z daleka. Śmierdzi zgnilizną, śmieciami i ludzkimi odchodami.

Mrużąc oczy, dostrzegam prowizoryczne szopy, opierające się jedna o drugą, i wiszące między nimi kawałki materiału, dające dodatkowe schronienie. Są tu też najróżniejsze namioty zrobione z odpadów i wzmocnione patykami. Wszędzie można zobaczyć małe ogniska, nie widać jednak ruchu, a w cuchnącym powietrzu nie czuć zapachu jedzenia. Wszystko wygląda na zaniedbane i zapomniane. Nie widać żadnego miejsca, w którym można byłoby zdobyć świeżą wodę albo umyć się, czy załatwić swoje potrzeby. Wygląda to jak istna wylęgarnia chorób.

Najgorsze jednak jest druciane ogrodzenie otaczające obóz i rozmieszczone gdzieniegdzie potrójne

gwiazdy, wycięte niedbale z drewna i owinięte ostrokrzewem, którego jagody widać wyraźnie w ginącym świetle. Wyglądają jak krople krwi między zwojami ostrego jak brzytwa drutu, a sam ten widok skłania mnie, żeby popędzić nieco konia. Czy jest tam Stary Samm? Pegwin? Niech bogowie mają tych biedaków w swojej opiece.

Minąwszy Tyrwhitt, pokonuję jeszcze jakieś cztery czy pięć mil i dopiero wtedy zatrzymuję się na noc. Postanawiam rozbić obóz z dala od głównej drogi. Zsiadam z konia i prowadzę go wzdłuż wąskiej ścieżki. W ostatnich promieniach słońca dostrzegam, że uszy klaczy odwracają się do tyłu i przez moment wydaje mi się, że moje uszy próbują zrobić to samo. Zatrzymuję się i nasłuchuję. Z obu stron otaczają nas niskie zarośla, wystarczająco gęste, żeby się w nich ukryć. Stwierdzam, że lepszego miejsca raczej już nie znajdę.

Ścieżka ostro zakręca w lewo, a potem z ciemności przed nami wyłania się mała, obskurna chatka, podobna do tych w Almwyk. Zamieram, wstrzymując oddech, przyglądając się jej i nasłuchując. Spoglądam na ziemię w poszukiwaniu odcisków stóp.

Przywiązuję konia do drzewa, wydaję nóż i skradam się w stronę chaty. Przez wybite okna nie widać światła świecy ani ognia. Okiennice są otwarte na oścież, mimo niskiej temperatury. Prostuję się i podchodzę bliżej.

Chodzę dookoła i nasłuchuję, zaglądam ostrożnie przez okna. Moje serce wali, jestem gotowa do ucieczki. Kiedy docieram do frontowych drzwi, okazuje się, że są uchylone. Czując w kościach, że ktoś zaraz się na mnie rzuci, otwieram je ostrożnie, krzywiąc się, kiedy głośno skrzypią. Czekam, aż moje oczy przyzwyczają się do ciemności, po czym wchodzę do środka.

Z powodu zmierzchu i małych okienek na początku prawie nic nie widzę. Wchodzę głębiej i zaczynam się rozglądać. Wygląda trochę jak nasza chata: mały komin, klepisko. Jednak tutaj jest tylko jeden, duży, pusty pokój i, co niezwykle, wąskie, drewniane schody prowadzące na piętro. W jednej dłoni cały czas ściskając nóż, a drugą kurczowo trzymając się poręczy, powoli wspinam się na górę, przy każdym kroku czekając na dźwięk pękającego pode mną drewna.

U szczytu schodów jest kolejna otwarta przestrzeń ze starym łóżkiem obok okna i drewnianą skrzynką postawioną na boku, pełniącą funkcję stolika. Na materacu i blacie stolika znajduje się gruba warstwa kurzu, a jedyne ślady stóp widoczne na brudnej podłodze należą do mnie. Jest to przygnębiające i odosobnione miejsce, ale przynajmniej mam dach nad głową i nikogo tutaj nie było od bardzo długiego czasu.

Decyduję się zostać. Schodzę na dół i rozpalam niewielki ogień w palenisku, zasuwając okiennice, żeby ukryć jego blask. Modłę się, żeby komin nie był zatkany. Wychodzę na zewnątrz i prowadzę klacz za chatę. Przywiązuję ją i przepraszam za pozostawienie jej na dworze. Nie wydaje się, żeby miała coś przeciwko. Ociera się o mnie pyskiem, prosząc o jabłko i trochę wody z bukłaka. Nie chcę zostawiać jej tak z całym rzędem, ale nie mam gdzie go powiesić. Poza tym nie pomyślałam, żeby zabrać grzebień albo zgrzebło, żeby móc ją wyczesać. Poluźniam co tylko mogę i jeszcze raz przepraszam, a ona patrzy na mnie swoimi dużymi, brązowymi oczami, przyjaźnie na mnie parskając.

Potem wracam do mojej tymczasowej siedziby i zamykam za sobą drzwi na zasuwę.

Przypiekam na ogniu trochę chleba z serem i popijam mlekiem. Jedzenie smakuje mi jeszcze bardziej, kiedy przypominam sobie, skąd je mam. Następnie zdejmuję opatrunek z rącznika i przyglądam się swojej dłoni. Zużywam trochę wody, żeby oczyścić ranę, i ponownie ją obwiązuję. Nadal boli, ale założę się, że twarz Unwina boli znacznie bardziej. Jeszcze raz przywołuję tę chwilę w mojej głowie. Mam nadzieję, że jego nos pozostanie krzywy, kiedy się zagoi, i za każdym razem, kiedy sędzia spojrzy w lustro, przypomni sobie o mnie.

Kiedy moje powieki zaczynają opadać, przychodzi mi na myśl, żeby spać na górze, ale nie chcę pozbawiać się możliwości ucieczki. Zamiast tego zawijam się w swój płaszcz, nie zdejmując ubrań ani butów, i wykorzystuję torbę jako poduszkę. Patrzę przez chwilę na tłący się ogień, czerwień i czern, po czym zamykam oczy. Proszę, niech szczęście mnie nie opuszcza. Ostatnio wyjątkowo mi nie dopisywało. Nie wiem, do kogo albo do czego się modlę, ale mam nadzieję, że mnie słyszy. Niech uda mi się dostać do Scarron i znaleźć tę dziewczynę. Nie proszę o cud.

To wszystko, czego mi trzeba. Proszę, błagam, niech uda mi się ją znaleźć, zanim zrobi to Silas.

Znowu śni mi się ten mężczyzna, ale sen jest urywany: niby w nim jest, ale go nie ma. Zawsze jest o jeden pokój dalej w miejscu, w którym jest więcej pokoi, niż wydaje się to możliwe. Biegnę przez niekończące się sale, mając nadzieję, a jednocześnie obawiając się, że będzie tuż za rogiem. Słyszę, jak mnie woła, a skóra na moim karku spina się i cierpnie. Nie wiem, czy biegnę do niego, czy przed nim uciekam.

Kiedy budzę się jakiś czas później, trzęsę się tak bardzo, że aż dzwonią mi zęby. Ogień już zgasł, a płaszcz zsunął się ze mnie, wystawiając mnie na działanie nocnego chłodu. Sięgam po niego, żeby znów się okryć, ale nagle zamieram.

W kostkach czuję mrowienie, które pnie się w górę po łydkach, a moje ciało pokrywa gęsia skórka. Mrowienie rozprzestrzenia się, a każdy włoszek na moim ciele staje dęba. Mój wzrok skacze z miejsca na miejsce po pokoju, skupiając się na cieniach, szukając jakiegoś powodu, dla którego intuicja podpowiada mi, że coś jest nie tak.

Wysilam się, żeby usłyszeć, co dzieje się na zewnątrz chaty, nasłuchując parskania konia albo szelestu zwierząt w zaroślach. Tam. Z lewej strony domu słyszę szelest liści zgniatanych pod stopą.

Najciszej jak mogę podchodzę do okna i wyglądam przez cienką szczelinę w okiennicy, patrząc w kierunku, który wydaje mi się być wschodem. Próbuję dostrzec, czy niebo jest chociaż nieco jaśniejsze.

Wtedy za oknem przesuwa się cień.

Odskakuję do tyłu, a w ustach zasycha mi z przerażenia. Wtedy dostrzegam kolejny cień.

Nie myśląc zbyt długo, biegnę po torbę i zawieszam ją sobie na szyi, porzucając jedzenie i płaszcz. Wspinam się po schodach, modląc się, żeby żaden nie zaskrzypiał. Poruszam się najszybciej jak mogę, nie wydając przy tym żadnego dźwięku. Kiedy docieram na górę, słyszę szcęk zasuw

w drzwiach.

Przechodzę na palcach przez pokój, staję na łóżku i wyglądam ostrożnie przez okno, ale nie jestem w stanie dostrzec, kim są moi goście. A co jeśli to żołnierze? Co jeśli mnie znajdą? Stoję cicho i nasłuchuję, mając nadzieję, że odejdą. Proszę, odejdźcie stąd. Odejdźcie.

Nagle z dołu dobiega mnie głośny huk, a potem drugi: dźwięk drzwi uderzających o klepisko.

Ponownie wyglądam przez okno i oceniam dystans do ziemi. Jest zbyt wysoko. Gdyby mnie usłyszeli albo gdybym zrobiła sobie krzywdę, byłoby po mnie.

Spoglądam w górę. Okap dachu jest nisko nad oknem, więc może... Słyszę, jak ktoś grzebie przy palenisku, potem kroki zbliżają się do schodów. Czas na rozmyślenia właśnie się skończył. Wspinam się na parapet, stojąc tyłem do pogrążonego w nocy świata, i szukam pod okapem jakiejś belki, którą mogłabym chwycić. Upewniam się szarpnięciem, że wytrzyma moją wagę, po czym podciągam się do góry i staję na niewielkiej ramie, opierając łokcie o dach. Za sobą czuję powiew zimnego powietrza. Jestem sparaliżowana strachem.

Wtedy słyszę głos mężczyzny.

– Tu jest piętro – mówi z lormerańskim akcentem. A więc to nie żołnierze.

Nie mogę sobie jednak pozwolić na chwilę wytchnienia. Mięśnie w moich rękach wyją z bólu, kiedy wdrapuję się do góry. Przygryzam wargi, czując, że skóra na moich dłoniach znowu pęka. Wciągam górną połowę ciała na dach, a strzecha wygłusza nieco hałas. Przez krótką, przerażającą chwilę moje stopy nie mogą znaleźć oparcia. Macham nogami jak szalona, po czym zaciskam pięści na wiążkach strzechy i zarzucam nogi na belkę. Dzięki Dębowi, że mam na sobie bryczesy. W spódnicy nigdy by mi się to nie udało.

Pod sobą słyszę kroki dwóch osób, które wbiegają pędem na schody. Ogarnia mnie taki strach, że prawie spadam.

Leżę na brzuchu, wstrzymując oddech i przytrzymując ciałem moją torbę.

– Wyszła przez okno – mówi inny głos. Ku mojemu zaskoczeniu to głos kobiety, mimo że jest nie mniej ochryply niż głos towarzyszącego jej mężczyzny. Ma również lormerański akcent. – Spójrz, na tym zakurzonym łóżku widać ślady stóp. Skoczyła.

– Nie łamiąc sobie nóg? Nie ma szans. Może być na dachu – odpowiada mężczyzna.

– W takim razie będzie najlepiej, jak to sprawdzisz.

Ścisną mnie w żołądku, kiedy para owłosionych dłoni pojawia się kilka cali od mojej twarzy. W świetle księżycy dostrzegam jego brudne, poobgryzane paznokcie. Już mam go kopnąć, kiedy kawałek strzechy odpada i słyszę jego przekleństwa.

– Nie ma jej tu. Strzecha jest zgniła. Gdyby spróbowała tu wejść, skończyłoby się to gorzej, niż tylko złamaną nogą. Masz rację, skoczyła. Musiała nas usłyszeć i zwiąła.

– Robisz taki hałas, że słyszała cię pewnie już milę stąd.

– Nie mogła uciec daleko. Jej płaszcz nadal jest ciepły. Zostawiła też jedzenie. Może po nie wróci, kiedy stwierdzi, że jest już bezpiecznie. Powinniśmy poczekać.

– Pamiętaj, że miała dwie torby. Tej drugiej tu nie widzę. Konia też ani śladu. Na jej miejscu bym tu nie wróciła. Uciekłabym tak daleko, jak tylko się da. – Kobieta jest pewna siebie, a jej towarzysz chrząka coś w odpowiedzi.

Słyszę, jak ich kroki oddalają się, schodzą po schodach. W mgnieniu oka zdaję sobie sprawę, że jeśli obejdą dom dookoła i spojrzą w górę, zobaczą mnie przyczepioną do dachu jak pająk. Przesuwam się w stronę krawędzi, ale mężczyzna oderwał fragment strzechy, którego musiałabym się złapać, żeby wejść z powrotem do domu.

Nie mam wyboru, na razie muszę zostać tu, gdzie jestem.

Słyszę, jak wychodzą z domu, i czekam na moment, w którym obejdą chatę i zobaczą mnie albo znajdą mojego konia i będą wiedzieć, że nadal tu jestem.

Wtedy słyszę stłumiony stukot z wnętrza domu i cała sztywnieję. Wcale nie odeszli. Czekają. Wiedzą, że tu jestem i chcieli mnie wykiwać. Słyszę trzeszczenie schodów i czuję pod sobą, że ktoś zaczął się przy oknie. Stoją tam przez dłuższy czas, a moje serce bije w mojej piersi tak mocno, że czuję je nawet w czubkach palców. Na szczęście po chwili ponownie słyszę skrzypienie schodów, a potem zapada cisza.

Mijają długie minuty, a ja nadal z całych sił trzymam się dachu. Oddech mam płytki, a moje ręce drżą. Wyczekiwanie staje się nie do zniesienia. Przesuwam się bliżej krawędzi dachu i nasłuchuję. Czy naprawdę sobie poszli? Nagle wiązka strzechy odrywa się, kiedy próbuję zmienić na niej chwyt.

Muszę skakać albo spadnę.

Po żniwach Lief i ja skakaliśmy czasem ze strychu, rzucając się piętnaście stóp w dół i odbijając od słodko pachnącego siana. Kiedy Lief był starszy, robił salta. Skakał do tyłu na stosy ściętej trawy, jednak ja nie byłam wystarczająco odważna albo wystarczająco głupia.

Na moje oko brzeg dachu jest jakieś piętnaście stóp od ziemi. Problem polega na tym, że na dole nie ma stogu siana.

Obracam się równolegle do krawędzi. Jest tu gruba belka będąca częścią ramy. Zapieram się o nią i mocno przytrzymuję. Będę musiała przetoczyć się, gdy tylko dotknę ziemi, a potem uciekać. Przetocz się i uciekaj. Kiedy opuszczam się w dół, a moje nogi nie mają oparcia, zaczynam panikować, mimo że wiedziałam przecież, że tak właśnie będzie. Próbuję złapać się kolejnej wiązki strzechy, ale natychmiast odpada, a ja lecę w dół. Zanim zdążę zdać sobie sprawę, co się stało, jestem już na ziemi, bezskutecznie próbując złapać oddech. W żebrach czuję przeszywający ból, moje płuca nie mogą nabrać powietrza...

Potem to uczucie stopniowo zanika, a moje płuca wypełniają się słodkim powietrzem. Oddychanie boli, ale i tak wciągam powietrze do płuc. Zatkano mnie. Po prostu mnie zatkało. To wszystko. Myślałam, że złamałam sobie kręgosłup.

Przekręcam się na bok, wyciągając spod siebie torbę i odwracając głowę w stronę przejaśniającego się nieba. Potem oglądam swoje ciało w poszukiwaniu obrażeń. Jestem potłuczona, ale niczego sobie nie złamałam ani nawet nie skręciłam. Szok nadal nie pozwala mi wstać, mimo że

jakaś część mojego umysłu nakazuje mi stąd uciekać. Właśnie ta część mówi do mnie coraz głośniejsze. Siadam niezdarnie, wciąż nie mogąc uwierzyć, że nic mi się nie stało. Spoglądam na chatę, próbując przywołać w sobie odwagę, żeby do niej wejść. Gdyby ktoś nadal był w środku, na pewno wyszedłby na zewnątrz, słysząc, jak spadam.

Wyjmuję z torby nóż i podchodzę bliżej.

Drzwi są wyłamane z zawiasów. Zbliżam się ostrożnie i pozostaję chwilę przy wejściu, czekając, aż moje oczy przyzwyczają się do półmroku. Nagle zapominam o ostrożności i z krzykiem dobiegam do mojego prowizorycznego łóżka.

Zabrali mój płaszcz, całe moje jedzenie, a nawet krzesiwo. Materac leży pusty naprzeciw kominka. Wszystko, co mi zostało, to torba na ramię, mapy, zapasowy nóż i prawie pusty bukłak. Niech będą przekłęci. Kiedy wstaję, czuję zapach tak nieoczekiwany, że staję jak wryta.

Mięta i stare kadzidło. Delikatny zapach, wiszący w powietrzu jak drobinki kurzu.

Silas tu był.

Biegnę do lasu za chatą i odwiązuję konia, w pośpiechu zaciskam mocowania siodła i strzemion. Klacz węszy w moich kieszeniach w poszukiwaniu jedzenia, ale odpycham ją poirytowana.

– Nic już nie mam – mówię. – Nie masz co szukać. – Klacz rzy cicho, a mnie robi się smutno. Przecież to nie jej wina. Mogło być gorzej. Co by było, gdybym ją też straciła, gdyby Silas albo tamci też ją znaleźli? Głaszczę ją po łbie i szepczę jej do ucha przeprosiny.

Silas tu był. Czy przyszedł tu z tymi ludźmi? Nie, słyszałam przecież dwa głosy i kroki dwóch par stóp. Jeśli tu był, przyszedł później, kiedy byłam na dachu.

Jeśli to faktycznie był on. Czy na pewno czułam kadzidło? Spadłam z wysoka, mogłam się pomylić. Zostawiam konia i idę wzdłuż ścieżki prowadzącej do drogi, cały czas nasłuchując i rozglądając się w półmroku. Widzę ślady czterech osób idących w stronę chaty i trzech oddalających się od niej. Dostrzegam też ślady tylko jednego konia. A więc Silas wciąż nie ma konia. Chyba że zostawił go przy drodze. Nie, nie byłby na tyle nierozważny. Wracam do swojej klaczy.

Kiedy wdrapuję się na siodło, czuję, jakbym była z żelaza. Jest mi bardzo ciężko. Już mam ponaglić konia, ale powstrzymuję się. Kimkolwiek była ta dwójka, wiedzieli, że miałam dwie torby. I że jestem kobietą. To znaczy, że musieli mnie wcześniej widzieć. Śledzili mnie. Domyślałam się, że byli to uchodźcy. Lormerańscy uchodźcy, którzy albo uciekli z obozu, albo nie chcą tam trafić. Założę się, że ukrywali się nieopodal Tyrwhitt i zobaczyli mnie, jak przejeżdżałam, a potem poszli za mną pieszo. Chyba powinnam się cieszyć, że to nie byli żołnierze. Ale... To oznacza, że rzucam się w oczy. I sprawiam wrażenie bezbronnej.

Rozpinam włosy i pozwalam warkoczowi opaść mi na plecy. Wyciągam nóż i obcinam włosy, zaczynając przy samej szyi. Po krótkiej chwili trzymam warkocz w dłoni, a moja głowa wydaje się niebywale lekka. Poranna bryza rozwiewa moje mocno skrócone loki. Patrząc na trzymane w dłoni włosy, brudne i zmatowiałe, po czym wyrzucam je do lasu.

Z daleka mogłabym zostać wzięta za młodego mężczyznę, co być może wystarczy, żeby zmylić kogoś szukającego bezbronnej ofiary, a być może nawet żołnierzy, których mogę spotkać po drodze. Jeśli nie podejda zbyt blisko. Spoglądam w dół na swoje piersi i krzywię się, poluzowując nieco koszulę, żeby je ukryć. Szkoda, że nie mam już płaszcza. Mój kark owiewa zimne powietrze, kiedy wyprowadzam konia z powrotem na drogę. Zastanawiam się, czy wyglądam teraz jak mój brat, kiedy był młodszy.

Utrzymuję słońce za moim prawym ramieniem, aż docieram do głównej drogi, która nadal nazywa się Drogą Królewską i rozciąga się między Tyrwhitt i Tremayne, a potem rozwidla w stronę Tressalyn. Kiedy do niej docieram, staram się wyglądać najgroźniej jak tylko mogę. Wypatruję każdego, kto podróżuje pieszo, zarówno drogą, jak i lasem albo łąką obok. Zatrzymuję się rzadko, unikając wiosek i siół. Staram się jechać spokojnie, ale w stałym tempie. Szybko przekonuję się, że koń, którego wzięłam, jest stworzony do podróży na dalekich dystansach wymagających dużej wytrzymałości, jednak zbyt wolno posuwamy się do przodu.

Mijam wielu podróżnych idących w tym samym kierunku, samotnie lub w parach. Wszyscy mają na sobie kaptury, jak Silas, dlatego mijając ich, wstrzymuję oddech. Zauważam jednak, że nie są tak szczupli ani wysocy jak on, że nie poruszają się w ten sam sposób. Większość z nich idzie ze spuszczoną głową, jednak jeden czy dwóch popatrzyło w górę, a ich puste, wypełnione przerażeniem spojrzenia wywoływały we mnie dreszcz. Zawsze odwracali wzrok jako pierwsi ze strachu przede mną. Wiedziałam wtedy, że byli uchodźcami z Lormere. Mijając ich, kierowałam konia na drugą stronę drogi, by ich zapewnić, że nie mam w stosunku do nich złych intencji. Nie mogę jednak zapomnieć ich twarzy. Jak puste były ich spojrzenia. Co takiego widzieli, co je takimi uczyniło?

Mijają godziny, a ja uświadamiam sobie, że źle oszacowałam prędkość, z jaką będę w stanie podróżować. W porze lunchu, po pięciu godzinach jazdy, ledwie minęłam Newtown i mam do pokonania jeszcze trzydzieści mil. Zeskakuję z siodła i postanawiam przejść najbliższe kilka mil, dając klaczy odetchnąć. Pozwalam jej też zatrzymać się i pić z kałuży, gdy ma na to ochotę. Kiedy wypijam ostatnie kilka kropel wody z bukłaka, zastanawiam się, czy nie napełnić go z tych samych kałuż, jednak zmieniam zdanie, widząc, jak koń je brudzi. Nie jestem aż tak spragniona, jeszcze nie. Myślę o ludziach, których minęłam, i zastanawiam się, co piją. Kiedy ostatnio coś jedli.

Nie spotykam nikogo jadącego konno aż do późnego popołudnia, kiedy to droga zaczyna robić się szersza i bardziej ubita stopami licznych podróżnych. Z głodu burczy mi w brzuchu, zaschło mi w ustach, a z pragnienia rozboleła mnie głowa. Zbliżamy się do kolejnej grupy uchodźców. Na plecach niosą tobołki, a wokół nich, jak komary nad jeziorem, wisi aura strachu. Wtedy w oddali dostrzegam grupę jadącą konno w naszym kierunku. Zbliżają się szybko. Uchodźcy natychmiast upuszczają swoje tobołki i wbiegają w zarośla, a kilku jeźdźców oddziela się od grupy i rzuca się za nimi w pogoń przez pole. Ja jadę dalej, ale moje serce zaczyna bić szybciej, moje ręce zaczynają ślizgać się na lejcach, a kłykcie na prawej dłoni pulsują.

Kiedy jeźdźcy podjeżdżają bliżej, dostrzegam zielone tuniki tregellańskiej armii, a mój lęk nasila się jeszcze bardziej. Zaczynam się pocić, pomimo braku płaszcza. Reszta uchodźców rozpierzcha się,

zostawiając mnie samą na drodze. Żołnierze są coraz bliżej.

– Za nimi! – ryczy jeden z nich, przepasany niebieską szarfą porucznika, a jego kompani ruszają w pole za uciekinierami. – Zgarnijcie ich. Ty. – Patrzy na mnie. – Z konia. Powoli.

Trzęsąc się, robię to, o co prosi, trzymając się blisko konia.

Porucznik zeskakuje z siodła i wyciąga miecz. Jego oczy rozpalają się gniewem.

– Ty parszywy złodzieju. Skąd masz tego konia? Na kolana, lormerańskie ścierwo.

– Nie jestem uchodźcą.

– Milcz. – Pochyliła się nade mną i wyciąga rękę z szyderczym uśmiechem.

Odsuwam się, wpadając na konia, który rży ze strachu. – Jestem z Tregellanu. Z Tremayne. Jestem z Tregellanu.

– Jasne, że tak. – Łapie mnie za włosy i rzuca na kolana. Dyszę i w panice szukam noża.

Z łąki nagle dobiega wrzask.

– Mamy rannego! – słychać krzyk mężczyzny.

Uścisk porucznika na moich włosach zacieśnia się, a ja zaczynam łkać.

– Zabił go! – ponownie słychać krzyk. – Ten drań go zabił!

– Zostań tu – warczy na mnie porucznik i rzuca mnie na ziemię, prawie wpychając moją twarz w błoto. – Zostań – mówi raz jeszcze, a potem puszcza moje włosy, w których czuję mrowienie i powiew zimnego powietrza.

Nawet nie próbuję udawać, że mam zamiar go posłuchać. W kilka sekund później znowu siedzę na koniu. Kiedy klacz zaczyna kłusować, moja prawa noga nie jest jeszcze nawet w strzemieniu. Usadawiając się w siodle, spoglądam przez ramię i zauważam, że nikt nawet na mnie nie patrzy. Wszyscy zgromadzili się wokół czegoś w trawie, czegoś nieruchomego. Ze wszystkich stron zbiegają się żołnierze, ciągnąc za sobą kilku złapanych uchodźców. Na twarzach uchodźców widać trwogę, a na twarzach żołnierzy, ku mojemu przerażeniu, maluje się coś, co przypomina euforię. Ich oczy są dzikie, a wargi wykręca szyderczy uśmiech. Spoglądam przed siebie, żeby upewnić się, że droga jest wolna, po czym znów patrzę do tyłu. Akurat w momencie, w którym porucznik przeciąga mieczem po gardle jednego z uchodźców.

Natychmiast odwracam wzrok, a moje usta otwierają się w niemym krzyku. Galopujemy dalej.

Zaczynamy zwalniać tempo dopiero po wielu milach. Moja głowa pulsuje z bólu, a szyja zdrętwiała od ciągłego odwracania się w tył, żeby sprawdzić, czy nikt za nami nie jedzie. Za każdym razem, kiedy spoglądam do tyłu, widzę mordowanego uchodźcę i dzikie twarze żołnierzy. To byli tregellańscy żołnierze. Moi ludzie. Ludzie przyzwoici oraz ceniący logikę i zdrowy rozsądek. Inaczej niż Lormeranie.

Traktowali Lormeran jak zwierzęta. A oni są tutaj, bo uciekają przed śmiercią. To też ludzie.

Obrazy obozu, żołnierzy, najemników i opustoszałych dróg bez handlarzy przelatują przez moją głowę... Nie spodziewałam się tego. Kirin nie mówił, że tak to wygląda. Kirin też jest porucznikiem.

Może to nie był uchodźca. Może to byli bandyci, niebezpieczni bandyci, a żołnierze nie mieli wyboru.

„Na kolana, lormerańskie ścierwo”.

Przypominam sobie porzuconą lalkę i zgubiony but. Przypominam sobie dzikie oczy żołnierza, kiedy złapał mnie za włosy i rzucił na ziemię. To nie w porządku.

Nie widzę nikogo więcej, aż doganiam mały wóz wypełniony workami i dziećmi, które patrzą na mnie poważnym wzrokiem, kiedy się zbliżam. Ku mojemu zaskoczeniu i, prawdę mówiąc, uldze, dwa muły ciągnące wóz prowadzone są przez kobietę.

Krzyczę, zanim zdążę się rozmyślić.

– Czy masz trochę wody, dobra kobieto?

Patrzy na mnie podejrzliwie. Dzieci wpatrują się we mnie swoimi dużymi oczami, ściskając pulchnymi palcami brzeg wozu. Kobieta grzebie obok i wyjmuje bukłak. Potrząsa nim, a potem rzuca mi.

Tak szybko wyrywam korek i zaczynam pić, że zapominam podziękować. Wypijam wszystko aż do dna, ale nadal jestem spragniona. Zbyt późno zdaję sobie sprawę, że to mogło być wszystko, co miała.

Patrzę na nią z ukosa. Ona również mi się przygląda z niepewnym wyrazem twarzy.

– Dziękuję – mówię zmieszana i odrzucam jej bukłak, zwracając uwagę na sposób, w jaki delikatnie trzyma go kciukiem i palcem wskazującym przed upuszczeniem go na dno wozu. – Dokąd zmierzasz?

– Tressalyn.

Jestem zawiedziona, ponieważ miałam cień nadziei, że może jedzie do Tremayne i będę mogła przez jakiś czas podróżować z nią.

– A ty? – pyta kobieta.

– Tremayne.

– Nie wiem, czy wiesz, ale jest tam punkt kontrolny – mówi.

– Gdzie?

– Na końcu Królewskiej Drogi, przed bramami miasta. Udzielają tam pozwolenia na wjazd do Tremayne. W Tressalyn jest tak samo. We wszystkich miastach tak jest. W przeciwnym wypadku byłyby pełne uchodźców.

Pełne uchodźców? Ilu ich tam jest?

– Od kiedy? – pytam.

– Od kiedy Śpiący Książę przestał spać i zaczął podpalać różne miejsca w Lormere, zmuszając ich wszystkich do przybycia tutaj. Będziesz potrzebowała papierów, żeby przejść przez punkt. Nie przepuszczają uchodźców. Bez papierów wyślą cię do jednego z obozów na wschodzie.

– Urodziłam się w Tremayne – odpowiadam. – Jestem Tregellanką.

Kobieta dokładnie mi się przygląda. Jej oczy najpierw spoczywają na moich luźnych spodniach, potem na krótko ściętych włosach.

– Jeżeli jesteś w stanie to udowodnić, nic ci nie grozi.

Przez chwilę bacznie się sobie przyglądamy. Potem kobieta lekko uderza muły lejcami i odjeżdża w stronę Tressalyn, a ja kieruję swojego konia w stronę Tremayne i punktu kontrolnego.

Nie mam żadnych papierów. Nie wiem, co powiem, kiedy zapytają mnie, kim jestem.

I naprawdę nie chcę natknąć się na żadnych żołnierzy.

Nie mogę więc dostać się do Tremayne. Stwierdzam jednak, że może tak będzie lepiej. Moim celem jest teraz znalezienie wody. Wiem, że za miastem płynie rzeka.

Patrzę na niebo. Słońce zaczyna już chylić się ku zachodowi, a powietrze szybko robi się zimne. Mój oddech zaczyna zmieniać się w parę. Dotarcie tutaj zajęło mi cały dzień. Kosztowało mnie sporo czasu, którego nie mam. Będę musiała jechać do Scarron w ciemności.

Około dwóch mil od murów miasta Tremayne zatrzymuję konia i przeglądam mapy, planując trasę tak, żeby uniknąć głównej drogi oraz punktów kontrolnych i dojechać do rzeki. Upewniwszy się, że nikogo nie ma w pobliżu, zsuwam się z siodła, jęcząc, kiedy moje zdrętwiałe nogi zostają nagle zmuszone do wysiłku. Głośno burczy mi w brzuchu. Cały dzień spędzony w siodle pozbawił mnie wszelkiej energii. Muszę coś zjeść albo padnę. Potrzebuję też nowego płaszcza. Bez niego nie przetrwam nocy.

Mimo wszystko będę musiała dostać się do Tremayne.

Na samą myśl, że jestem tak blisko mojego dawnego życia, mojej apteki, robi mi się słabo i ścisną mnie w piersi.

Na wspomnienie o żołnierzach u bram żołądek podchodzi mi do gardła.

Wyobrażałam sobie swój tryumfalny powrót do Tremayne. Myślałam, że będę wtedy miała wszystko pod kontrolą, a wstyd związany z naszą ucieczką będzie tylko złym wspomnieniem. Nie miałam mieć wtedy na sobie kradzionych ubrań, poobijanych w bójce dłoni ani obolałej od napaści żołnierza skóry na głowie.

Przypominam sobie, że nie mam wyboru. Muszę odnaleźć tę dziewczynę, muszę odzyskać mamę. Będę martwić się o aptekę, wojnę i wszystko inne, kiedy już mi się to uda.

W głowie nadal widzę miecz rozcinający gardło.

Biorę głęboki oddech i wspinam się z powrotem na siodło.

Wtedy ją dostrzegam: cienka, ledwie widoczna ścieżka biegnąca łagodnym łukiem po wzgórzu z mojej prawej strony. Popędzam konia lejcami wzdłuż drogi, a moje serce wyrywa mi się z piersi. Kiedy wjeżdżamy na niewielkie wzgórze, wspomnienia z całej siły uderzają mnie w brzuch i dostrzegam ją.

Naszą farmę.

Wydaję z siebie przytłumiony jęk. Nie zmieniła się. Nie minęło aż tak wiele czasu, od kiedy stąd odeszliśmy, więc nie powinno mnie dziwić, że nadal wygląda tak samo. Zdaje mi się, że w każdej

chwili tata i Lief mogą wyjść z domu, a mama pojawić się w oknie. Powinnam tam teraz być, z moją rodziną. Zamiast tego połowa jej członków nie żyje albo zaginęła, a moja matka jest zamknięta, bogowie tylko wiedzą gdzie. I to wszystko moja wina.

Muszę ją odzyskać. To ja do tego doprowadziłam.

Jeśli uda mi się zdobyć jedzenie i płaszczy, mogę ruszać dalej. Mogę być w Scarron o świcie. Nadal pamiętam, jak z naszej farmy dostać się do Tremayne przez bramę zegarową. Obok rzeki. Wątpię, czy będzie tam jakikolwiek punkt kontrolny.

Rozdział 16



Nie po raz pierwszy się myślę. Kiedy dojeżdżam do bramy zegarowej, witają mnie dwaj uzbrojeni w miecze żołnierze o nieufnych i nieprzyjaznych wyrazach twarzy. Trzeci siedzi na szczycie wieży z napiętym, gotowym do strzału łukiem. Jest już za późno, żeby uciekać. Na sam ich widok ściska mnie w żołądku, a drżące palce mocniej zaciskają się na lejcach.

– Zejdź z konia i mów, po co tu jesteś – mówi jeden z żołnierzy.

Trzęsąc się, robię, co każe, ale jedną ręką nadal trzymam się siodła i pozostaję gotowa ponownie na nie wskoczyć, gdyby chcieli mnie zaatakować.

– Jesteś dziewczyną – mówi jeden z zaskoczeniem. – Patrzcie, patrzcie. Ładne bryczesy. Pokaż mi więc swoje papiery. – Przyglądam mu się, starając się wymyślić powód, jakikolwiek powód, dla którego ich nie mam. – Głucha jesteś? Papiery, mówię. Pokaż nam swoje papiery.

– Nie mam... żadnych papierów. Zostałam obrabowana w drodze tutaj. Były w mojej torbie... mojej drugiej torbie. Płaszcz też mi zabrali. – Staram się, żeby mój głos brzmiał przyjaźnie i wiarygodnie, ale przychodzi mi to coraz trudniej, kiedy ucisk w mojej piersi stale się nasila. Powinnam uciekać.

– Skąd jesteś? – pyta mężczyzna.

– Pochodzę stąd. Urodziłam się w Tremayne. Ale już tu nie mieszkam. Nadal mam tu rodzinę i to właśnie z nimi chcę się zobaczyć.

Żołnierz chowa miecz do pochwy i wkłada kciuki za pas. Wzdycham cicho, kiedy napięcie nieco ustępuje.

– Skąd więc przyjechałaś?

– Z Tressalyn – kłamię. – Przyjechałam przekazać mojej rodzinie wiadomość. Pilną wiadomość.

– Sama? Jedziesz tak sobie przez kraj na bardzo ładnym koniu? – Ta niewielka władza, którą posiada, wyraźnie sprawia mu przyjemność. Słysząc to w jego głosie i widząc na jego twarzy. Patrzy na moje luźne spodnie, krótko ścięte włosy i zabandażowaną rękę. – Przypomnij mi, skąd przyjechałaś?

– Wpuść ją, Tuck. Nie jest przecież Śpiącym Księciem i nie ma lormerańskiego akcentu. Poza tym zaraz kończymy wartę – mówi drugi strażnik stojący przy bramie. Mężczyzna na wieży dłubie sobie grotem strzały w paznokciach, a łuk ma przewieszony przez ramię. Ignoruje nas.

– Jak to miałaś na imię? – dalej znęca się nade mną Tuck.

– Er...ika. Erika Dunn. – W Tremayne mieszka wielu ludzi o nazwisku Dunn, wszędzie jest ich pełno. To wystarczająco pospolite nazwisko.

– Nigdy nie słyszałem o Erice Dunn – szczerzy się Tuck.

– A ja tak – odzywa się nagle mężczyzna z góry. – Tak właśnie myślałem, że skądś cię znam. Nie jesteś przypadkiem siostrzenicą Tarveya Dunna?

– Tak – odpowiadam, próbując ukryć zaskoczenie. Tarvey to jeden z rzeźników, któremu mój ojciec sprzedawał bydło. Słyszał z tego, że miał zawsze doskonałe mięso i tylko jedną nogę. Na moje szczęście jego rodzina jest znana z liczego potomstwa. – Jedną z wielu – dodaję, rzucając łucznikowi uśmiech.

Tuck krzywi się.

– To nieistotne, zasady to zasady. Nikt nie wchodzi ani nie wychodzi bez papierów. I nikt nie wchodzi ani nie wychodzi po zachodzie słońca. Ups. – Patrzy na ciemniejące niebo i uśmiecha się złośliwie. – Może jutro będę bardziej życzliwy.

– Tarvey byłby wściekły, gdyby się dowiedział, że jej nie wpuściłeś. Pewnie na nią czeka. – Łucznik drapie się strzałą po nodze, a potem ją odkłada.

– Tak, czeka na mnie – powtarzam.

Tuck patrzy najpierw na niego, a potem na mnie.

– To nieistotne...

– Czy to nie Tarvey dostarcza nam mięso? – mówi łucznik, udając naiwnego.

Tuck rzuca mu kolejne paskudne spojrzenie, ale on nadal zajęty jest swoimi paznokciami. Wzdychając przeciągle, strażnik w końcu przytakuje i odsuwa się na bok, a ja przeprowadzam konia przez wieżę zegarową, uśmiechając się potulnie, choć moje serce nadal wali jak szalone. Spoglądam w górę na strażnika na wieży, który puszcza mi oczko, a ja czuję, że w tej chwili mogłabym go pocałować.

Udaje mi się przejść jedynie kilka kroków, kiedy słyszę za sobą brzęk łańcuchów. Odwracam się i widzę, jak żelazna brama zamyka się z trzaskiem.

– Co ty robisz? – pytam.

– Mówiłem przecież – nikt nie wchodzi ani nie wychodzi po zachodzie słońca.

– Ale ja muszę wyjechać jeszcze dziś w nocy! Jestem tutaj, żeby tylko coś załatwić i przekazać wiadomość. Za najwyższą godzinę będę z powrotem. Nie mogę zostać.

Tuck uśmiecha się z zadowoleniem.

– Obawiam się, że będziesz musiała. Chciałaś dostać się do środka i ci się to udało. Twój wujek na pewno cię przenocuje. Chcesz, żeby pójść z tobą i się upewnić?

Potrząsam głową i szybko odchodzę, prowadząc ze sobą konia. Opieram się chęci spojrzenia przez ramię, żeby sprawdzić, czy nie idzie za mną, po czym udaję się w kierunku placu miejskiego.

Na zewnątrz tawerny kręci się jeszcze kilku żołnierzy. Jeden opiera się o główną studnię i rozmawia z kobietą, której nie poznaję. W rogu placu dostrzegam stosy worków z piaskiem i wóz z dużymi beczkami ciągnięty przez wyraźnie naburmuszonego muła. Ale są to jedyne oznaki wojny. Chaos widoczny w innych częściach kraju prawie wcale nie dociera za mury miasta. Dwóch chłopców bawi się w berka koło piekarni, a ich matka stoi obok i rozmawia sobie z piekarzem. Inni ludzie śmieją się i plotkują, od strony sklepów słychać dźwięki dzwonek i trzaskających drzwi. Powietrze wypełnia zapach dobrego, świeżego jedzenia, mięsa, warzyw, chleba i ciast. Pachnie domem. Lief i ja często ganiałiśmy się obok piekarni jak ci chłopcy. Lirys i ja czekałyśmy przy studni na Kirina. Wszystko tutaj przywołuje wspomnienia tego, co straciłam: moich przyjaciół, rodziców i brata. Wspomnienie mojego dawnego życia.

Po drugiej stronie placu dostrzegam światło w oknie apteki, w której kiedyś pracowałam. Zatrzymuję się i przyglądam się jej. Wygląda tak samo jak dawniej. Czuję, że mogłabym wejść po schodach, otworzyć drzwi, zdjąć fartuch z haka i wrócić do pracy.

Chłopcy przebiegają obok mnie, krzycząc radośnie i wrywając mnie z zadumy. Spuszczam głowę i ruszam dalej. Przechodzę przez plac jak duch. Mijam rzeźnię, gdzie najprawdopodobniej pracuje Tarvey, i dom szewca, do którego chodziła moja matka. Zatrzymuję się przy sklepie z jedzeniem i zaglądam do środka, jednak kiedy widzę, że w środku nadal są klienci – ludzie, których kiedyś przelotnie znałam – decyduję się nie wchodzić. Najpierw zdobędę płaszcz, a potem tu wrócę. Później zastanowię się, jak się stąd wydostać.

Opuszczam główny plac i udaję się do alejki kupców, zmierzam w stronę pracowni krawieckiej. W każdym oknie, które mijam, palą się świece i można zobaczyć ludzi, rodziny. Widok ten wypełnia mnie tęsknotą za domem – moim domem. Moje dawne życie jest wszędzie wokół. Mijam opuszczoną kuźnię, w której pracował dawniej Kirin, i dom handlarza solą. Znałam kiedyś jego córkę. Spoglądam w górę i zatrzymuję się, kiedy dostrzegam wycięty na drzwiach okrąg przecięty linią. Wydaje mi się znajomy. Marszczę brwi.

– Errin?

Odwracam się na pięcie, sięgając za pas po nóż, jednak zatrzymuję się, zdając sobie sprawę, kto wypowiedział moje imię.

Carys Dapplewood, matka Lirys i moja druga matka, stoi w cieniu z koszykiem zaciśniętym w dłoniach.

– Czy to naprawdę ty?

Język przywiera mi do podniebienia.

– Widziałam cię na placu – mówi i robi krok w moim kierunku. – Myślałam, że oszalałam. Ale musiałam się upewnić... Co tu robisz, drogie dziecko?

– Ja... Ja... Potrzebuję płaszcza i trochę jedzenia. Potem muszę ruszać dalej.

– Co to znaczy, że musisz ruszać dalej? Gdzie jest Lief? Gdzie Trina? Od jak dawna tu jesteś? Gdzie mieszkasz?

Moje serce zaczyna przyspieszać, a gardło się zaciska. Zaczyna ogarniać mnie znajome uczucie niemocy. Chcę odpowiedzieć. Chcę uciec. Nie jestem na to gotowa. Spoglądam na nią i potrząsam głową.

Gdzie jest Lief?

Carys bez słowa rzuca koszyk na ziemię i bierze mnie za ramię, łapiąc drugą ręką lejce. Prowadzi mnie szybkim krokiem, nic nie mówiąc, a ciężar w mojej piersi cały czas rośnie i rośnie. Kiedy przechodzimy przez most, dostrzegam mleczarnię Dapplewoodów z jej żółtymi jak masło cegłami. Miejsce to jest mi tak bliskie, jak nasza farma. Carys puszcza lejce i prowadzi mnie do frontowych drzwi, ale ja panikuję i próbuję wyrwać jej moją rękę. Jak na kobietę w tym wieku, trzyma mnie zaskakująco mocno, a ja jestem zbyt skupiona na oddychaniu, żeby dłużej się z nią szarpać.

Otwiera frontowe drzwi i woła Lirys. Otula mnie światło, ciepło i zapach pieczonego mięsa. Moje oczy wypełniają się łzami.

– Zabiorę konia do stodoły – mówi, klepiąc mnie po ramieniu, i odchodzi.

Na dźwięk kroków ściska mnie w żołądku. Przygotowuję się na cios, jakim będzie pierwsze spotkanie z moją najlepszą przyjaciółką od pogrzebu mojego ojca.

Wtedy staje przede mną. Jej złote loczki uciekają spod czepka, a kremowa cera jest rumiana od ciepła. Przechyliła głowę na bok, przez co trochę przypomina mi Silasa. Patrzymy na siebie, a ja zdaję sobie sprawę, że jestem gotowa do ucieczki.

– Errin – odzywa się w końcu, przyglądając mi się. Przełykam ślinę, a moje oczy zaczynają szczytać pod jej wzrokiem. – Czy to naprawdę ty? Wyglądasz... – przerywa. – Cóż, podobają mi się twoje bryczesy – mówi. – Czy to Lief? Z takimi włosami wyglądasz jak on. Myślałam przez chwilę, że jesteś nim. – Wyczekująco patrzy mi przez ramię, po czym znów spogląda na mnie. – Czy on jest z tobą? Wróciliście? Errin? Errin, dobrze się czujesz?

Gdzie Lief?

Gapię się na nią, moje uszy pulsują od krwi, a moje serce wali jak szalone.

Lief.

Na żadnym etapie mojego planu – czy to szantażując Silasa, licząc na ewakuację mnie i mamy do Konklawe, czy wyruszając w drogę, nie wzięłam pod uwagę Lief.

Nie zastanawiałam się nawet na poważnie, co stanie się z nami dalej, gdyby miał być tego częścią. Nie brałam go pod uwagę już od dłuższego czasu. Powtarzałam sobie, że pewnego dnia wróci do

domu.

Przez cały czas byłam tego pewna. Po prostu nie chciałam myśleć inaczej.

Teraz jestem tutaj, w Tremayne, w naszym domu. Nie mogę tego zignorować.

Nie jest uwięziony gdzieś w Lormere, nie jest ranny. Nie próbuje do nas dotrzeć.

Ból, od dawna ukryty w mojej duszy, uwalnia się bez ostrzeżenia i stalową łapą chwyta mnie za serce. On nie żyje. Mój brat nie żyje. Nie wróci do domu. Ból pojawia się nagle, a jego uderzenie rzuca mnie na kolana, przykuwając mnie do zimnej, drewnianej podłogi. Nie mogę oddychać, ból jest nie do zniesienia, miazdzy mi płuca.

Wtedy Lirys obejmuje mnie. Pachnie mąką, masłem i dobrocią, a ja zaczynam wycić, wtulając głowę w jej ramię jakbym była zwierzęciem. Poprzez dźwięk mojego płaczu docierają do mnie odgłosy kroków, zbliżające się i oddalające, ale nadal kurczowo trzymam się swojej przyjaciółki, a ona trzyma się mnie. Za każdym razem, kiedy moje palce zaciskają się mocniej, ona robi to samo, aż ściskamy się tak mocno, że pozostaną nam sińce.

W końcu przestaję płakać i opadam z sił, wiotcząc w jej ramionach.

Po raz pierwszy od czterech miesięcy mogę oddychać.

– Potrzebujesz kąpieli i czegoś do jedzenia – mówi swoim pięknym, śpiewnym głosem. – A potem do łóżka.

– Nie – odpowiadam, skrzeczając jak wrona. – Muszę iść.

– Errin Vastel, nie możesz. Po zmierzchu jest zakaz i bramy są zamknięte. A nawet gdyby nie były, to i tak byśmy cię nie wypuścili. Jesteś w domu.

Na te słowa moje oczy znów wypełniają się łzami, ale te łzy są duże i ciepłe i mogę przez nie oddychać.

Lirys siada na stołku obok wanny, patrząc na mnie lekko przymrużonymi oczami. W pokoju obok słyszę jej matkę i ojca jedzących kolację. Lirys trzymała ich z dala ode mnie, od kiedy się załamalam. Zaprowadziła mnie do ciepłej kuchni i przyciągnęła tam cynową wannę, stawiając ją obok ognia i napełniając ciepłą wodą dzbanek po dzbanku. Pomogła mi się rozebrać i wejść do niej, patrząc ze zdziwieniem na pokrywające mnie siniaki i na moją wychudzoną sylwetkę. Potem umyła mi włosy. Na koniec odwinęła bandaż z mojej dłoni i opatrzyła ją prawdziwą gazą, wcierając w nią maść, która od razu przyniosła ulgę.

Domyślałam się, że umiera z ciekawości, ale czeka, aż będę gotowa mówić. Nie pyta, gdzie byłam ani dlaczego nie pisałam. Akceptuje wszystko z cierpliwością i współczuciem, opowiadając niezobowiązująco o Kirinie i o ich długim, spokojnym tańcu, który trwał przez całą jesień, aż w końcu Kirin ją pocałował i zapytał, czy zostanie jego żoną. Mówi o tym, że został żołnierzem i jaki to był dla niej szok, ale teraz uważa, że wszystko będzie dobrze.

Jej zdaniem wojna tu nie dotrze.

Myślę o ataku w lesie, o strzale w nodze Kirina. O golemach w Almwyk i obozie w Tyrwhitt.

O najemnikach, którzy prześladowali mnie w nocy, i żołnierzu, który rzucił mnie na ziemię, a potem poderżnął gardło człowiekowi. Myślę o Liefie, który nigdy nie wróci z Lormere. Wojna już nadeszła. Nieważne, czy Śpiący Księżę najedzie na Tregellan, czy nie. Wojna już tu jest. Najgorsze jest to, że gdybym była na jej miejscu, tutaj, w Tremayne, gdzie mieszkałam całe życie, również bym w to wątpiła. Nadal myślałabym, że Tregellan to bezpieczny raj, w którym królują sprawiedliwość i poszanowanie prawa.

Niewinność i zwyczajność jej słów – bez klątw, bestii, alchemii, tajemnic – porusza coś we mnie i sprawia, że postanawiam nie mówić jej nic o moim życiu w Almwyk. Nie chcę, żeby wiedziała, jakich podłych rzeczy się dopuszczałam – robiłam trucizny, biłam ludzi i podpalałam domy. Kradłam. Napadłam na jej narzeczonego. Nie chcę, żeby w ten sposób mnie postrzegła. Nie chcę jej przestraszyć. Chcę, żeby pozostała niewinna.

Ale coś muszę powiedzieć. Czuję, że czeka, aż wyrzucę to z siebie.

Nie wspominam ani słowem o Eliksirze albo o Silasie. Milczę na temat zalotów Unwina i ludzi w lesie. Nie opowiadam jej o golemach ani o tym, co przydarzyło mi się w drodze tutaj. Nie wdając się w szczegóły, opowiadam o załamaniu mamy, pomijając fragmenty na temat bestii, oraz o tym, jak próbowałam ją leczyć. Idzie mi całkiem nieźle, kiedy zdaję sobie sprawę, że muszę jej powiedzieć o tym, że mama została zabrana i że nie było mnie przy niej, kiedy potrzebowała pomocy. I że teraz próbuję za wszelką cenę ją odzyskać.

– To nie twoja wina – mówi nagle Lirys, podając mi kolejną kostkę mydła, które chciwie obwąchuję.

– Oczywiście, że moja. Nie powinnam była zostawiać jej samej. Bogowie, Lir, wyobraź sobie, jakie to musiało być straszne. Żołnierze wpadli do domu i zabrali ją. Nie wiedziała przecież, co się z nią dzieje. Zrobiłam jej to, bo...

– Bo co?

Potrząsam głową.

– Nieważne.

– Errin, nie mów tak.

– Przepraszam.

– Nie na wiele mi się zdadzą twoje przeprosiny – rzuca, całkiem mnie zaskakując. – Szkoda, że siebie nie widziałaś, jak tu przyjechałaś. Wyglądałaś jak trup. Twoje włosy, te siniaki. Wyglądasz, jakbyś nie zjadła porządnego posiłku, od kiedy wyjechałaś. Od jak dawna tak żyłyście? Kto się wami zajmował?

– Ja.

– Nie, Errin. To nieprawda. – Jej głos jest delikatny, ale zarazem stanowczy. Znowu przypomina mi Silasa, to współczucie w jego oczach, kiedy po raz pierwszy zobaczył moją chatę. – Nie jestem głupia. Wiem, że coś przede mną ukrywasz. Jak zarobiłaś pieniądze na wynajęcie chaty? Co jadłyście? Z czego żyłyście?

– Ja... – patrzę na nią bezradnie.

– Nie mogę cię zmusić, żebyś mi powiedziała. Ale byłoby miło, gdybyś do mnie napisała, do kogokolwiek z nas – mówi, potrząsając głową. – Powinnyście tutaj zostać. Jesteście jednymi z nas. Zajęlibyśmy się wami.

Jej słowa przywołują bolesne wspomnienia. Kiedy Mistrz Pendie przyszedł złożyć nam kondolencje, nie otworzyłam drzwi, nie chcąc powiedzieć mu, że wyjeżdżam. Mama była na górze w swoim pokoju, a Lief był zajęty sprawdzaniem naszego inwentarza. Stałam za czarnymi zasłonami i patrzyłam przez szparę, jak przez dłuższy czas puka do drzwi. W końcu, ze smutnym wyrazem twarzy, zostawił na progu koszyk i odszedł powolnym krokiem, jakby był przywiązany do farmy niewidzialnymi linami i z każdym krokiem musiał pokonywać ich opór. Kiedy otworzyłam koszyk, znalazłam fiolki z miksturami na żalobę, smutek i sen. Było też ciasto. Nierówno upieczone, brzydkie ciasto, przypalone na spodzie i surowe w środku.

Zrobił nam ciasto. Było paskudne, ale zjadłam je do ostatniego okruszka. Następnego dnia wyruszyliśmy do Almwyk i nigdy mu za nie nie podziękowałam.

– Było mi wstyd – mówię w końcu cichym głosem, zwrócona w kierunku stygnącej w wannie wody. – Nadal jest.

– Dlaczego? Nie zrobiłaś nic, czego powinnaś się wstydzić.

Parskam.

– Długi. Sprzedawanie wszystkiego. Nasz wyjazd.

– To nie była twoja wina. Co mogę zrobić, żeby cię przekonać?

– Nie moja? Gdybym odłożyła narzędzia na miejsce, to tata by na nie nie wpadł. To znaczy, że nadal bylibyśmy tutaj. Lief i mama też. Zamiast tego Lief i tata nie żyją, a mama jest zamknięta w jakimś opuszczonym przez bogów miejscu w Tressalyn i...

Lirys pochyła się i chłapie mi wodą w twarz, a ja zaskoczona spoglądam w górę.

– Wystarczy – mówi stanowczym głosem. – Nie jesteś winna śmierci swojego ojca. Nie jesteś też winna tego, co zrobił Lief albo co się z nim stało. Wiesz przecież, jaki on był. Bogowie wiedzą, że kochałam go jak własnego brata, ale był lekkomyślny. Nie byłabyś w stanie go powstrzymać, nikt by nie był. A na pewno nie jesteś winna tego, co stało się twojej matce. Nie jesteś winna żadnej z tych rzeczy. Przestań się za to karać.

– Lirys – mówię.

– Errin – odpowiada mi tym samym błagalnym tonem. – Musisz coś zjeść. I pójść spać. Zostawiłam na łóżku jedną z moich koszul nocnych. Załóż ją, jeśli nie brzydzisz się teraz sukienkami. – Uśmiecha się.

– Nie mogę. Muszę ruszać dalej. Muszę kogoś odnaleźć. Jeśli uda mi się do niej dostać, może mi pomóc w odzyskaniu mamy.

– I na pewno ją odnajdziesz. Ale na razie zostań tu i odpocznij. Rano porozmawiamy z mamą i tatą i zdecydujemy, co robić dalej. Może to zająć trochę czasu, ale wiem, że wszyscy będą chcieli ci pomóc.

Potrząsam głową.

– Trochę czasu to dla mnie za długo. Muszę ją odzyskać najszybciej jak to możliwe. Nie możesz mi w tym pomóc.

Żałuję, że nie mogę opowiedzieć jej o bestii i wytłumaczyć, dlaczego nie ma czasu.

Lirys, ufna i posłuszna Lirys, wzdycha.

– Cóż, nie zmienia to faktu, że nie możesz odejść do rana. Wszystkie bramy są zamknięte. I strzeżone. Podoba ci się to czy nie, twoje poszukiwania muszą poczekać. Równie dobrze możesz więc ubrać się i coś przekąsić.

Pomaga mi wyjść z wanny i założyć gruby szlafrok, po czym popędza mnie po schodach do swojego małego, czystego pokoju.

– Przyniosę ci tu jakąś kolację – mówi. Zamyka drzwi i zostawia mnie samą.

Zrzucam z siebie szlafrok i zakładam przez głowę płócienną koszulę nocną, wzdychając, kiedy czuję delikatny, czysty materiał na mojej miękkiej i czystej skórze. Siadam na łóżku i próbuję ocenić, gdzie może być teraz Silas. Jeżeli nadal podróżuje pieszo, mógł przejść najwyżej trzydzieści mil, nawet jeśli szedłby nocą. Ale jeżeli ma konia... Postanawiam odpocząć kilka godzin. O świcie będę przy bramie. Popędzimy do Scarron jak wiatr. Nie mogę pozwolić mu się wyprzedzić.

Mężczyzna idzie ciemną ulicą omiataną deszczem i wiatrem, jego płaszcz łopocze za nim, twarz zakrywa mu kaptur. Woła moje imię, raz za razem powtarzając je pośród wyjącego wiatru.

Nie mówię nic, przyglądając się mu i zastanawiając, czy biec do niego, czy przed nim uciekać.

Mężczyzna odwraca się, a jego usta otwierają się na mój widok. Stoi tak, w bezruchu, a świat dookoła szaleje. Powoli podnosi rękę i wzywa mnie odzianym w rękawicę palcem. Patrzę, wciąż niezdecydowana, czy mam zostać, czy odejść, a on przechyla głowę na bok.

– Errin – mówi łagodnie. – Proszę.

Nieświadomie zaczynam iść w jego kierunku. Wyciąga ku mnie rękę i uśmiecha się. Niebo nad nami rozświetla błyskawica, a ja jestem dziesięć kroków od niego, potem pięć i zaledwie dwa. Podnoszę rękę, żeby złapać jego dłoń...

Nic. Nie spotykają się. Jest między nami coś, co nas zatrzymuje. Naciskamy i uderzamy w niewidzialną barierę, przesuwając rękami w górę i w dół, próbując znaleźć wyłom.

– Mój brat nie żyje – mówię. – Miałeś rację. – Spuszczam głowę, a moje palce ześlizgują się po dzielącej nas barierze.

– Gdzie jesteś? – mówi. – Dlaczego nie mogę się do ciebie dostać?

– Gdzie ty jesteś? – pytam.

– Tam, gdzie zawsze byłem.

– Ja jestem w Tremayne – mówię i natychmiast tego żałuję. Teraz będzie wiedział, że już prawie jestem na miejscu.

Jego blada, rozmyta twarz zwraca się w stronę ciemnego nieba.

– Tremayne – szepcze, a wiatr kradnie to słowo, kiedy tylko opuszcza ono jego usta. Ponownie spogląda na mnie. – Dlaczego?

Odwracam się od bariery między nami, ignorując jego wołanie. Jego głos stopniowo ginie wśród burzy.

Budzi mnie chrapanie dobiegające z podłogi obok łóżka. Przewracam się na plecy i przeciągam się. Wzdycham, czując pod sobą wygodne łóżko. Od kiedy opuściłam farmę, po raz pierwszy śpię w prawdziwym łóżku. Jest takie miękkie i przyjemne. Czuję się tak, jakby ktoś trzymał mnie na rękach. Upajam się tą chwilą, moszcząc sobie zagłębienie na samym środku pościeli.

Jakąś godzinę później nadal nie śpię, patrząc w sufit zirytowana chrapaniem Lirys i faktem, że już śpi. Łóżko – taki luksus po siennikach i podłogach, na których ostatnio sypiałam – jest zbyt miękkie. Próbowalam już każdej możliwej pozycji, ale pierzyny nie zapewniają mi odpowiedniego podparcia. Czuję, jakbym się w nich zapadała. Wiem już, że tej nocy nie zasnę. Zsuwam z siebie kołdrę i stawiam stopy na zimnej, drewnianej podłodze. Używając łóżka jako drogowskazu i wyciągając ręce przed siebie, podchodzę do okna i otwieram okiennice, żeby wyjrzeć na zewnątrz. Ciemno. Nadal. Ani śladu świtu.

Zamykam okiennice i skradam się z powrotem przez pokój, zdejmuję z drzwi szlafrok Lirys, po czym otwieram je i wymykam się z pokoju. Kiedy schodzę po schodach do kuchni, w chacie panuje cisza. Pod stopami czuję chłód łupkowych płytek. Zapalam kawałek drewna od pieca i dotykam świeczek na gzymsie kominka jego płonącym końcem, a potem wchodzę do spiżarni. Burczy mi w brzuchu, a w nocnej ciszy dźwięk ten wydaje się bardzo głośny. Przespałam kolację.

Mając nadzieję, że nikt z Dapplewoodów nie będzie miał mi tego za złe, częstuję się zimnym kurczakiem, chlebem i masłem. Nalewam sobie też dużą szklanekę mleka, którą wypijam w trzech łykach, a potem nalewam następną. Zabieram swój posiłek do stołu – siadam na krześle, na którym zawsze siadałam w tym domu, i zawijam pod siebie nogi, żeby je ogrzać.

Odrywając mięso kurczaka od kości, słyszę kogoś za sobą.

Obok mnie przechodzi Carys Dapplewood, otwiera spiżarnię i nalewa sobie szklanekę mleka, a potem siada naprzeciw mnie. Czeka, patrząc, jak żuję i połykam mięso.

– Lirys powiedziała mi, że twój brat nie żyje – odzywa się po chwili. – Przykro mi, Errin. Był wyjątkowym, szalonym, zabawnym chłopcem. Bardzo go lubiłam. Wszyscy go lubiliśmy.

Potrząsam głową, odpychając ogarniającą mnie falę żalu. Znała Liefę. Wszyscy tutaj znali Liefę. Nie mogę oddychać, kiedy sobie o nim przypominam.

– Twój brat, niech bogowie nad nim czuwają, był dumny. Ty też jesteś. Modlę się, żebyś była ostrożniejsza niż on. – Jej słowa są ostre, ale nie brzmią nieuprzejmie. – Słyszałam, że chcesz znowu odejść i szukać swojej matki. Lirys powiedziała, że zabrano ją z powodu jej umysłu.

– Tak, zabrano ją. A ja muszę odejść.

– Wiesz, gdzie ona jest?

– W Tressalyn. Jadę tam.

– Przez Tremayne? Dziwną wybrałaś drogę. – Carys patrzy na mnie przenikliwie.

– Muszę coś najpierw zrobić.

– Tak mówiła Lirys. Powiedziała też, że nie mogła tego z ciebie wydobyć. Że stałaś się tajemnicza.

– To nie tajemnica – kłamię. – Muszę gdzieś dotrzeć, zanim pojedę po mamę, nic więcej.

– Wygląda mi to na próżny wysiłek. Masz szczęście, że udało ci się dotrzeć aż tutaj. Wiem, że nie jesteś damulką, ale to nadal duże ryzyko. – Przypominam sobie palce szarpiące mnie za włosy i to, jak bezsilna wtedy byłam. Na to wspomnienie przechodzi mnie dreszcz. Nie mówiłam o tym Lirys, a wyraz twarzy Carys Dapplewood utwierdza mnie w przekonaniu, że była to słuszna decyzja.

– Los sprzyja odważnym. – Uśmiecham się lekko.

– Ale śmierć także – dodaje natychmiast Carys. – Tchórze zazwyczaj żyją dłużej niż bohaterowie. Powinnaś tutaj zostać i poszukać innego sposobu.

– Nie mam na to czasu.

– Lirys ostrzegła, że tak powiesz. – Popija mleko. – Co zrobisz, kiedy znajdziesz Trinę? Dokąd pojedziesz?

– Mam plan.

– Twój brat też miał – odpowiada, uciszając mnie. – Nie będę próbowała odwozić cię od twoich zamiarów. Nie sądzę, żeby komuś udało się kiedykolwiek odwieść kogoś z rodziny Vastelów od zrobienia czegoś głupiego. Ale powiem ci to: masz tutaj dom. Nieważne, w jakich będziesz tarapatach albo co złego się stanie. Jesteśmy twoją rodziną, a to jest twój dom.

Przytakuję, czując uścisk w gardle, a wtedy ona wyciąga rękę i poklepuje mnie po dłoni.

– Te drzwi będą dla ciebie otwarte, Errin. Zawsze były. A my zawsze będziemy na ciebie czekać. A więc – kończy z czułością – bramy będą zamknięte aż do świtu, więc utknęłaś tu. Jeśli jednak nie masz nic przeciwko towarzystwu starej kobiety, zostanę z tobą.

– Nie jest pani stara – mówię bez namysłu, ale przyglądając się jej w świetle świecy, dostrzegam, że jednak jest. Lirys jest o rok starsza ode mnie i Kirina. Jest w tym samym wieku co Lief. Jak mówili ludzie, Carys i Idrys starali się o dziecko przez dwadzieścia lat, ale im się nie poszczęściło. Kiedy w końcu się udało, Carys nie mogła uwierzyć. Kiedy skończyły się jej cykle, myślała, że to już czas, a jej coraz szersza talia to kolejny objaw. Dopiero kiedy odeszły jej wody, uświadomiła sobie, że w końcu będzie miała dziecko.

Teraz Carys ma sześćdziesiąt jeden żniw, a jej włosy pełne są szarych i białych pasemek. Światło świecy, tak przychylnie młodemu twarzom, podkreśla jedynie cienie pod jej oczami i na policzkach, przeskakuje między liniami otaczającymi jej usta i biegnącymi od kącików jej oczu. W moim umyśle nadal wygląda tak jak wtedy, kiedy byliśmy dziećmi – nieco ponura i zatroskana, ale również gwałtowna, porywcza i o ciętym języku. Mimo to zawsze była najzyczliwszą kobietą, jaką kiedykolwiek znałam. Podnoszę szklanę i piję, a ona robi to samo. Kiedy odstawia szklanę, zauważam, że jej palce są nieco przykurczone do środka.

Szykując się do wyjścia, zabieram trochę mleka, kurczaka, chleba i sera, jak również kilka jabłek dla konia i kawałek placka śliwkowego. Dyskutujemy chwilę, czy obudzić Lirys, żeby się z nią pożegnać, jednak martwię się upływem czasu, a Carys nie naciska.

Poza jedzeniem przygotowała też dla mnie trochę nowych ubrań. Mam teraz na sobie ładną, niebieską tunikę i lepiej dopasowane czarne bryczesy. Nie wiem, do kogo należały, ale nie obchodzi mnie to. Ważne, że nie są Unwina. Mówię Carys, żeby spaliła moje stare ubrania. Podczas ostatniej godziny przed wschodem słońca Carys poprawia mi włosy i pożycza swój stary zimowy płaszcz. Ma piękny ciemnozielony kolor i jest podszyty króliczym futrem. Poza czystymi włosami i ubraniami mam jeszcze, co najważniejsze, świeżo podrobione papiery stwierdzające, że jestem Eriką Dapplewood, które Carys wsuwa mi do kieszeni, stukając palcem w bok swojego nosa. Kiedy wskakuję na konia, który również wygląda bardziej świeżo, przepełnia mnie uczucie nadziei.

– Do zobaczenia niedługo, Errin – mówi Carys łagodnie, stojąc w drzwiach. – Obiecuj mi to.

– Obiecuję – mówię, kierując konia w stronę wyjazdu z podwórka.

Przejeżdżając, pozwalam swoim oczom pobłądzić przez chwilę po pograżonym we śnie Tremayne. Zawsze wygląda tak idyllicznie, bezpiecznie i dziewiczo. Jestem rozdarta, ponieważ bardzo chcę tu wrócić i kontynuować moje życie. Jednak nie wiem, czy to będzie możliwe z powodu mamy. Co więcej, nie wiem, czy byłabym w stanie po tym wszystkim, co zobaczyłam poza murami miasta.

To jest właśnie problem z rzeczami, które się wie: nie można już przestać o nich wiedzieć. Kiedy już się na coś spojrzy albo powie to głośno, staje się to prawdziwe. Patrząc na wprost w kierunku bramy i zauważam, że tego ranka pilnują jej inni strażnicy. Rzucają pobieżnie okiem na moje papiery, a potem pozwalają mi przejechać. Raz jeszcze spoglądam na Tremayne, a moje serce krwawi, kiedy opuszczam miasto.

Poganiam nieco konia i kieruję się w stronę Scarron, w stronę morza. Znajdę tę dziewczynę i odzyskam matkę. Potem zdecyduję, co dalej.

Rozdział 17



Scarron to malutka, odizolowana od świata wioska rybacka, ulokowana na najdalej wysuniętym na północny zachód krańcu Tregellanu, w miejscu, w którym rzeka Aurmere wpada do morza. Rzeka zaczyna swój bieg gdzieś w górach. Mówi się, że jest tam sto wodospadów, które tworzą Aurmere, zmierzając do morza. Krążą również liczne opowieści o pirackich jaskiniach i skarbach. Mówi się nawet, że gdzieś tam znajduje się też fontanna młodości. Kiedyś myślałam, że to mit, ale biorąc pod uwagę, że ostatnimi czasy opowieści okazują się prawdą, chętnie bym się tam kiedyś udała i poszukała jej.

Kiedy rzeka opuści już góry, biegnie między Tregellanem i Tallith. Na odcinku siedemdziesięciu mil robi się coraz szersza i szersza, aż wpada do morza i łączy się z nim. Jest znana z tego, że jej wody są wzburzone i niebezpieczne, a prądy gwałtowne i bezlitosne. W pogodne dni można na jej drugim brzegu dostrzec miasto Tallith albo to, co z niego zostało. Zamek stał wysoko na klifie ponad portem, a ruiny jego siedmiu wież nadal tam są, kawałek po kawałku osuwając się do morza.

Ludzie mieszkający w Scarron to w większości rybacy. Są twardzi, być może najtwardsi w całym Tregellanie. Muszą tacy być, żeby łowić na tych wodach. Ich skóra jest ogorziała od wiatru, a twarze przedwcześnie poorane bruzdami wyciętymi przez sól, wodę i morskie powietrze. Scarron to wioska, w której ludzie rodzą się i umierają. Rzadko kiedy ktoś ją opuszcza. Jeszcze rzadziej pojawia się w niej nowa twarz. Jeśli dziewczyna nie jest w ukryciu, tak jak wcześniej Silas, nie powinnam mieć problemu z jej znalezieniem. Pewnie byłaby znana jako „ta nowa” przez kolejne pięćdziesiąt lat, gdyby tam została.

Byłam już kiedyś w Scarron, osiem lat temu z matką. Zabrała mnie i Liefę z farmy na kilka dni

i właśnie tam pojechaliśmy. Na miejscu byliśmy po zmroku, więc nie widzieliśmy morza aż do następnego ranka, kiedy to wybiegliśmy z gospody i popędziliśmy na plażę. Czuliśmy jednak jego zapach przez całą noc. Słone, morskie powietrze wypełniało nasz pokój przez otwarte okno. Śniły mi się wtedy dziwne rzeczy. Stara kobieta z rybimi łuskami i zieloną skórą, uśmiechająca się do mnie ustami pełnymi ostrych zębów, wzywająca mnie do wody. Tak bardzo chciałam do niej pójść. Kiedy się obudziłam, z trudem łapałam powietrze, jakbym się topiła.

Uwielbiałam Scarron. Uwielbiałam jego smagane wiatrem chaty rozsypane wzdłuż portu. Uwielbiałam kapitana portu – wesołego mężczyznę o gromkim głosie, który uczył mnie i Liefa wiązać węzły, zarzucać pułapki na homary i łowić małże. Nad morzem wszystko lśniło, wszystko było wypolerowane do czysta przez wiatr. Poza tym to miejsce znajdowało się tak daleko od świata. Było praktycznie samowystarczalne, jak Almwyk. Prawie jak osobny kraj, tylko lepszy, sprawiedliwszy i zdrowszy. Rozumiem, dlaczego ta dziewczyna przyjechała właśnie tu.

Jadę na północ, a krajobraz zmienia się po raz kolejny. Ciśniej okrywam się płaszczem, żeby stawić czoła zimnemu powietrzu. Drzewa rosną coraz rzadziej, a coraz więcej z nich to drzewa iglaste, pochylone od ciągłego naporu wichur i sztormów. Co kilka godzin zatrzymuję się, żeby coś zjeść, wypić i odzyskać krążenie w dłoniach i stopach. Konia karmię jabłkami i niewielką ilością sera. Piję mleko i z przyjemnością zagryzam je świeżym chlebem, który zapakowała mi Carys.

Co kilka mil zsiadam z konia i idę pieszo, żeby moje mięśnie pozostały w dobrej formie. Minąwszy Toman, przestaję napotykać żołnierzy, a nawet kiedy jacyś się trafiają, nie proszą mnie o pokazanie papierów. Sioła za Toman stają się coraz mniejsze. Mieszka w nich po pięćdziesiąt, sześćdziesiąt osób, większość z nich to rolnicy. Są tak małe, że nie ma ich nawet na mojej mapie. Przejeżdżając przez nie, ignoruję ciekawskie spojrzenia mieszkańców. Wyglądają na spokojnych, jakby to, co dzieje się na południu i wschodzie, ich nie dotyczyło. Usilnie wypatruję jakichkolwiek śladów armii, ale, podobnie jak w Tremayne, wszyscy tutaj wydają się niczym nie przejmować, co z jakiegoś powodu wzbudza we mnie gniew. Niewiele więcej niż sto mil stąd w lasach strzelają do młodych mężczyzn z łuków. Łapią uchodźców na drogach i spędzają do obskurnych obozów. A prawdziwa wojna nawet się jeszcze nie zaczęła. Dlaczego tych ludzi to nie obchodzi? Czy naprawdę nic nie wiedzą?

Krawędź nieba przybiera złoty kolor, a chmury na jego tle wyglądają jak sińce. Powoli zaczyna się ściemniać. Schodzę z konia i wolno idę kilka kroków przed nim, pozostając na drodze. W oddali pojawia się kilka światełek, a my brniemy w ich kierunku, podczas gdy świat wokół nas robi się niebieski, potem fioletowy, a na końcu czarny.

Kiedy docieramy na peryferie Scarron, wiele z tych światełek już zgasło, a sioło pogrążone jest w ciszy. Jak we wszystkich rybackich miasteczkach, większość mieszkańców o tej porze jest już w łózkach, żeby wstać wcześniej rano i wypłynąć łodziami w morze. Strach zaczyna powoli nadgryzać moją pewność siebie. Zsiadam z konia i prowadzę go poprzez mały okrąg utworzony przez chaty, a stukot końskich kopyt jest jedynym dźwiękiem w otaczającej nas nocy.

Nie, nie jedynym. To tak naturalne, że nawet tego nie zauważyłam, kiedy się zbliżyliśmy, ale nagle

czuję je i słyszę. Morze: jego odległy szum. Pojawia się we mnie uczucie tęsknoty i chcę do niego biec. Ale tego nie robię. Idę naprzód i stwierdzam, że jeszcze będzie na to czas. Nie dzisiaj, ale może w najbliższych dniach czy tygodniach. Jeśli dopisze mi szczęście. Dużo szczęścia.

Nie znam imienia tej dziewczyny. Nie wiem, ile ma lat ani czy jest tu sama. Nie zastanawiałam się, czy w Scarron jest gospoda. Nie sądziłam, że będę jej potrzebować, ale teraz nie widzę nikogo, kogo mogłabym o to zapytać. Nie czuję nawet zapachu tawerny. Mam wrażenie, jakby cała wioska była pogrążona we śnie.

Prowadzę konia przez schludnie wyglądający plac, jednym uchem nasłuchując dźwięków życia, kiedy dochodzi do mnie coś znacznie mi bliższego: znajomy, głęboki brzęk żelaza uderzającego o żelazo. Udaję się w jego kierunku i dostrzegam niewielką szopę obok maleńkiej, przechylonej chatki oddalonej nieco od reszty. Przywiązuję konia naprzeciw niej. Pukam do drzwi i czekam. Nadal słyhać brzęk żelaza. Kiedy ustaje, pukam po raz kolejny i popycham drzwi, otwierając je. Przed sobą dostrzegam błyszczące oczy mężczyzny o całkiem pomarszczonej twarzy. W jednej ręce trzyma młotek, a w drugiej wygięty, zardzewiały hak.

– Nie jesteś stąd – mówi, przyglądając mi się od stóp do głów.

– Nie. Nie jestem. Szukam kogoś. Ona...

– Lormerańska dziewczyna? – przerywa mi. – Dimia?

Imię brzmi znajomo. Odczuwam ulgę, ale powstrzymuję uśmiech.

– Tak. Dimia. Czy możesz mi powiedzieć, gdzie ją znajdę?

Obrzuca mnie przenikliwym spojrzeniem.

– Jesteś jej krewną?

– Przyjaciółką. – To nie do końca kłamstwo.

Znów mi się przygląda, a potem wzrusza ramionami.

– A więc czeka na ciebie?

– Nie.

– Jest bardzo późno, moja droga. Raczej nie będzie chciała przyjmować gości o tej porze, poza tym sztorm wisi w powietrzu. Idź może do tawerny i wynajmij sobie pokój.

– Nie mogę tu zostać. Muszę się z nią spotkać jeszcze dziś w nocy. To bardzo ważne. Chodzi o wojnę.

– Wojnę?

Wlepiam w niego wzrok.

– W Lormere.

– Myślałem, że skończyła się lata temu.

– Nie, teraz zaczęła się kolejna. Ze Śpiącym Księciem.

Ponownie wzrusza ramionami.

– Nic nam tu nie wiadomo o żadnej wojnie, kochana.

– To niemożliwe – mówię. – Rada powołała armię. Na pewno wcielono jakichś mężczyzn z okolicy. Na całej długości Królewskiej Drogi są punkty kontrolne, uchodźcy, w Tressalyn i Tremayne na noc zamykają bramy. Na wschodzie panuje niepokój, wszędzie są żołnierze. Rada musiała was powiadomić.

– Eee, nie wtrącamy się w ich sprawy, a oni nie wtrącają się w nasze.

– Ale... kiedy wieziecie swoje ryby na rynek? Co z ludźmi, którzy tam przychodzą?

– Tu nikt nie przychodzi, nie o tej porze roku. A najbliższy rynek jest w Toman. Przystajemy tam chodzić po żniwach, kiedy przyniesiemy to, czego nam potrzeba na zimę. W zimie droga robi się zdradliwa. Nie zdziwię się, jak wiadomości dotrą tu wiosną.

Mężczyzna wydaje się kompletnie nie przejmować niczym, co powiedziałam, co znowu wywołuje we mnie gniew, czerwony i pulsujący.

– Niech pan posłucha, naprawdę muszę odnaleźć Dimię jeszcze dzisiaj. To bardzo pilna sprawa.

– Zbliża się sztorm, kochana. Nie możesz zostać na zewnątrz.

– Proszę. Błagam pana. Niech mi pan powie, gdzie ona jest.

Mruga, a potem potrząsa głową zawiedziony.

– Wróć przez tamten plac i skręć ostro w lewo koło portu. Idź tamtędy, aż zobaczysz ścieżkę prowadzącą do klifu. Idź nią, a kiedy dojdiesz do rozwidlenia wiodącego w głąb lądu, na końcu zobaczysz jej chatę. Nie możesz nie trafić, to jedyna chata w tej okolicy.

– Dziękuję. – Pozdrawiam go skinieniem i zaczynam zamykać drzwi.

– Czekaj – mówi, wychodząc ze mną na zewnątrz. – Nie prowadź tą ścieżką konia. Jest zbyt wąska.

– Czy jest tu jakieś miejsce, w którym mogłabym go zostawić?

Zastanawia się przez chwilę.

– Możesz go zostawić tutaj. Będzie bezpieczny pod dachem za chatą, sztorm mu nie zagrozi. Zaprowadzę go, gdy tylko z tym skończę.

Patrzę na konia, a potem na niego, zastanawiając się chwilę.

– Dziękuję – mówię w końcu. – Niedługo po niego wrócę.

– Bez pośpiechu – mówi. – Masz latarnię?

– Nie.

– Proszę. – Wskazuje lampę oliwną wiszącą na ścianie. – Weź ją.

Podnoszę lampę ostrożnie.

– Dziękuję.

– Nie ma za co. Wszyscy przyjaciele Dimii są tu mile widziani. Uważaj na siebie. Sztorm nadejdzie szybko i z dużą siłą. Uważaj, jak idziesz. – Potem wraca do pracy nad hakiem, a ja zostawiam go w spokoju.

Postępując według jego wskazówek, idę w kierunku małego placu we wsi. Wokół studni naliczam

dziewięć chat, chata kowala jest trochę dalej w dół ścieżki, w rzędzie koło portu jest ich jeszcze pięć, no i oczywiście chata Dimii. Nie ma tu Domu Sprawiedliwości ani gospody, jest tylko jeden mały sklep, który najwyraźniej jest również czyimś domem. Czy to możliwe, że nikt tutaj nie wie o Śpiącym Księżciu? Że naprawdę nie wysłano żadnej wiadomości, że ich pominięto albo zapomniano? Myślę o tym przez całą drogę, idąc ścieżką położoną wzdłuż klifu, słuchając fal uderzających o kamienie na dole i patrząc, jak zbliżają się sztormowe chmury przesłaniające gwiazdy.

Przyspieszam kroku dopiero, gdy zakrywają księżyc. Skręcając przy rozwidleniu i kieruję się w głąb lądu.

Chatka pojawia się nagle, wyłaniając się z ciemności. Nie ma piętra, ale jest duża. Dostrzegam dwa okna po obu stronach drzwi i więcej po bokach domu. Odkładam latarnię i przyglądam się jednemu z okien na froncie, próbując dostrzec jakiegokolwiek światło. Wtedy – tak – dostrzegam je. Cienki pomarańczowy pasek widoczny na ścianie.

Zdejmuję kaptur i wygładzam włosy, żałując, że nie poszłam do gospody i przynajmniej nie umyłam twarzy. Ale teraz jest już za późno. Otwieram małą, drewnianą bramkę i przechodzę przez pusty ogród. Na nosie ląduje mi kropla deszczu, potem na policzku. Mam nadzieję, że będzie w gościnnym nastroju.

Otrzeputuję sukienkę, biorę głęboki oddech i pukam do drzwi.

Rozdział 18



Drzwi otwierają się na oścież i staje w nich dziewczyna, której sylwetka widoczna jest na tle światła dochodzącego z pokoju. Rzuca mi krótkie spojrzenie, a potem przygląda mi się dokładniej przymrużonymi oczami, następnie patrzy mi przez ramię w noc. Ja również się jej przyglądam.

Długie czarne włosy. Zielone oczy.

Nie jest alchemiczką. Nie może być osobą, która robi Elik sir.

Jej wzrok ponownie spoczywa na mnie. Dziewczyna marszczy brwi i wydaje się równie zdziwiona i rozczarowana jak ja.

– Kim jesteś – pyta.

– Nazywam się Errin. Errin Vastel.

Lekko otwiera usta, a przez jej twarz przebiega dziwny grymas.

– Czy ktoś cię tu przysłał? – mówi ostrym, czystym jak kryształ głosem. Jej oczy wwiercają się w moją twarz, kiedy czeka na odpowiedź.

– Nie. Przepraszam. – Przerrywam, starając się zebrać myśli. – Masz na imię Dimia?

Dziewczyna zastyga w bezruchu, a ja mam nadzieję, że może to nie ona.

– Tak – odpowiada cicho. – Jestem Dimia.

– Aha. – Nie jestem w stanie ukryć rozczarowania, które mnie ogarnia, a ona unosi brwi i spogląda do wnętrza swojego domu. – Czekaj... Jesteś tu sama?

– Czy jestem sama? – Kiedy odwraca się do mnie, jej oczy znów się zwężają.

– Czy mieszkasz sama?

– Co to za pytanie?

– Przepraszam, nie chciałam... Szukam kogoś. – Na twarzy Dimii widać zdziwienie i zniecierpliwienie, a ja tracę nadzieję. – Jak widzę, nie jesteś osobą, której szukam – mówię.

Ona powoli potrząsa głową.

– Nie. Nie sędzę.

– Po prostu... Rozmawiałam z mężczyzną we wsi, który powiedział mi, że mieszka tutaj dziewczyna z Lormere.

Waha się przez chwilę.

– Jestem z Lormere.

– A gdybym zapytała cię o Siostry albo o Konklawe, to miałyby to dla ciebie jakieś znaczenie? – Potrząsa głową. – Czy są w Scarron jeszcze jacyś Lormeranie? – Próbuję dalej.

Dziewczyna ponownie potrząsa głową.

Łzy frustracji zaczynają szczypać mnie w oczy. Powinnam była wiedzieć. Przecież to oczywiste, że nawet jeśli tutaj jest, to będzie się ukrywać, tak jak Silas. Nie mieszkałaby w chacie, jak wszyscy. To byłoby zbyt łatwe, gdyby stary kowal po prostu powiedział mi, gdzie ona jest. Chyba że... Silas powiedział, że z alchemikami mieszkają zwykli ludzie. Czy to możliwe, że ta dziewczyna kłamie, żeby ochronić filtromantkę? Może to jakaś służąca albo przykrywka?

– Jesteś pewna? – odzywam się nagle. – Jesteś pewna, że jesteś tu sama? Jesteś pewna, że nie wiesz, o czym mówię?

Spojrzenie, które mi rzuca, mogłoby zamrozić wodę.

– Nie kłamie.

– Rozumiem – mówię. – Cóż, jeśli trafisz na kogoś, kto mógłby wiedzieć coś na ten temat, przekaz jej, że jestem w tawernie. Jest w niebezpieczeństwie. Śpiący Książę chce ją dopaść.

Nie jestem przygotowana na jej reakcję.

– Co? Co powiedziałaś? – domaga się odpowiedzi. Chwyta się za framugę. Już wcześniej wydawała się blada w świetle latarni, ale teraz blednie tak bardzo, że piegi na jej nosie, policzkach i czole tworzą wyraźny wzór. – Gdzie on jest? Czy zmierza do Lormere? Czy już tam jest?

Przytakuję, przyglądając się jej uważnie.

– Zasiada na tronie Lormere już od trzech miesięcy.

– Nie... – Jej głos urywa się.

– Cały Tregellan szykuje się do wojny – kontynuuję. – We wszystkich większych miastach są żołnierze, na drogach i bramach miejskich są punkty kontrolne. W Lormere giną ludzie. Setkami. Za cel obiera sobie głównie ludzi religijnych w nadziei, że odnajdzie Siostry. I dziewczynę.

– Mówiłam ci, że nie wiem, co to znaczy. Nie znam żadnych Sióstr. Przyjechałam tu jeszcze przed zniwami... – Jej wzrok zdaje się przechodzić przeze mnie i kierować w noc. Przecinająca niebo błyskawica sprawia, że obie podskakujemy, a ona dochodzi do siebie. – Trzy miesiące temu – mówi. Prawie nie słyszę jej słów wśród pomruku gromu przetaczającego się po niebie. – Co z królową?

Czy zawarła sojusz ze Śpiącym Księciem? Co z księciem... królem Lormere? Czy się ukrywa? Czy mobilizuje swoich ludzi? Czy walczą? Czy jest w tym Konklawe?

– Nie żyje. Król nie żyje. Został zabity tej samej nocy, w której upadło Lormere.

– Kłamiesz. – Dimia patrzy na mnie, a jej spojrzenie prawie wypala mi oczy.

Już mam wybuchnąć, kiedy zdaję sobie sprawę, że ona nie chciała być niemiła. Ona mnie błaga.

– Przykro mi – szepczę. Wiem dobrze, jak wygląda prawdziwy smutek.

Zamyka oczy. Obejmuje się rękami, jakby próbowała nie rozpaść się na kawałki. Potem odwraca się ode mnie i wchodzi do domu, zostawiając otwarte drzwi. Podchodzi do kominka i bierze do ręki kielich, wypijając całą jego zawartość. Patrzę, jak napełnia go znowu.

– Lepiej wejść do środka – mówi ponurym głosem.

Kiedy tylko te słowa padają jej z ust, niebo rozdziera kolejna błyskawica, wchodzę więc do jej małej, schludnej chatki i zamykam za sobą drzwi. Kiedy odwracam się do niej, cała drży. Bez zastanowienia przechodzę przez pokój i kładę dłoń na jej ramieniu.

Podsłakuje, jakbym dźgnęła ją nożem, odsuwając się ode mnie i wyciągając rękę do przodu. Na jej twarzy, pod smugami łez, widać przerażenie.

– Przepraszam – jękam się i podnoszę ręce do góry, żeby pokazać, że nie mam złych zamiarów.

Nagle głośnie stukanie sprawia, że obie się odwracamy: deszcz zamienił się w grad i siecze w okna, zostawiając smugi na grubym, zielonkawym szkłe. Pokój rozświetla się znowu, a potem słychać grom. Przechodzą mnie dreszcze. Dimia odwraca się, opierając się o gzyms kominka, a ja wykorzystuję okazję i rozglądam się po pokoju. Jeden kielich, jeden fotel, otwarta książka leżąca na siedzeniu grzbietem do góry. Czytała, kiedy tu przyszłam. Drzwi do pozostałych pokoi są otwarte. Z miejsca, w którym stoję, widzę małą kuchnię i sypialnię z kocem w kratę leżącym na wąskim łóżku. Przesuwam się, jakbym chciała wyrzeć przez okno, i zauważam, że ostatni z pokoi jest pusty. Nie ma tu miejsca, żeby kogoś ukryć. Nikt więcej tu nie mieszka. Tylko Dimia, która nie ma bożego oka ani księżycowych włosów. Mówi prawdę. Podchodzę do niej znowu.

– Wiem, że to nie znaczy dla ciebie zbyt wiele, kiedy mówi to Tregellanka, ale lubiłam waszego króla – mówię łagodnie. – Widziałam go, kiedy tu przybył.

– Merek lubił Tregellan. Planował wprowadzić niektóre z waszych zwyczajów w Lormere.

Przez moment jej słowa dziwią mnie, a po chwili uświadamiam sobie dlaczego. Ludzie zazwyczaj nie mówią o swoich władcach po imieniu.

– Znałaś go?

Odwraca się do mnie.

– Krótco. – Patrzy w dal, a jej policzki robią się różowe. – Przez jakiś czas pracowałam w zamku. Był dla mnie dobry.

– Wyglądał na dobrego króla.

Dimia przytakuje, a jej twarz znowu smutnieje.

– Już nim nie będzie – szepcze, a na jej policzkach znów pojawiają się srebrzyste ślady łez. –

Wybacz mi. – Bierze głęboki, drżący oddech i zamyka oczy. Kiedy je otwiera, są skupione na mnie. – Opowiedz mi o wszystkim. Co jeszcze wiesz o tym, co dzieje się w Lormere? Mówiłaś, że polują na ludzi religijnych.

Kiedy recytuję litanie zbrodni, których dopuścił się Śpiący Książę, jej twarz staje się coraz bardziej szara, a ramiona coraz bardziej skulone. Lortune, Haga, Monkham. Nosiciel, który stał się Srebrnym Rycerzem. Plądrowanie świątyń, głowy nabite na pale, serca wystawione na placach miejskich. Rzeź wierzących, palenie składów jedzenia. Golemy.

Opowiadam jej też o obozach dla uchodźców. O ludziach na drodze. O żołnierzach i ich brutalności. Robi mi się niedobrze, kiedy sobie to przypominam. W mojej głowie znów pojawia się obraz porzuconej lalki i leżącego przy drodze buta. Teraz już chyba wiem, dlaczego ktoś mógłby zostawić za sobą jeden but.

Kiedy kończę, Dimia jednym łykiem opróżnia swój kielich, a jej oczy znowu giną we łzach.

– A co robi Rada Tregellanu, żeby pomóc Lormere?

– Co masz na myśli?

– Jaką pomoc zaoferowali? Ludzi do armii? Broń? Jedzenie? Leky?

Potrząsam głową.

– Nasza armia została niedawno powołana. Mężczyznom nie dano wyboru i kazano im walczyć. Większość z nich nadal przechodzi szkolenie. Możliwe, że kobiety też będą musiały walczyć, jeśli będzie to konieczne. Jeżeli chodzi o jedzenie i leki, my nie... – Patrzy na mnie, a ja czuję, że znowu się czerwienię. – Ale, jak mówiłam, niektórym udało się uciec. Obozy...

– Obozy, które opisałaś jako „piekło na ziemi”? – przerywa mi, a ja milknę. – Śpiący Książę zabija niewinnych, a twoi ludzie zamknęli granice. Potężny Tregellan, taki demokratyczny i ucywilizowany, przemyka oko na zabójstwo króla i mordowanie jego poddanych. Zamiast pomóc, zamykacie się w swoich domach i czekacie, aż krew zachlapie wam progi? To, jak sądzę, z powodu ostatniej wojny. Należy nam się za to, że ją wygraliśmy?

– Nie. Oczywiście, że nie. – Jednak protestując, zastanawiam się, czy przypadkiem nie ma racji. Dlaczego nie zareagowaliśmy wcześniej? Dlaczego nie zaoferowaliśmy więcej pomocy? Nie mówię jednak tego na głos. – Nikt nie był na to gotowy. Rada próbowała z nim negocjować.

– Nie da się negocjować z potworami – mówi beznamiętnie Dimia. – Uwierz mi. Można tylko działać.

Nagle czuję głęboki wstyd za własny kraj. Potrząsam głową, nie mogąc spojrzeć jej w oczy.

– Przykro mi, że przynoszę aż tak złe wieści.

– A mnie przykro, że nie jestem tą, której szukasz.

Obie milczymy, a ja słucham deszczu stukającego na zewnątrz. Droga powrotna do wioski będzie raczej przykrym doświadczeniem.

– Lepiej już pójdę – mówię w końcu, wcale nie chcąc opuszczać ciepłej chaty.

Dimia spogląda na mnie.

– Będzie lepiej, jak zostaniesz. Na zewnątrz jest paskudnie. Wiatr zwieje cię do morza, zanim wyjdiesz z mojego ogrodu.

– To bardzo... Nie znasz mnie. Mogę być kimkolwiek.

– Ja również, więc jesteśmy kwita. Siadaj – mówi, ruchem głowy wskazując krzesło przy ogniu.

Ponieważ nie mam się gdzie podziać, ponieważ jestem zmęczona i u kresu wytrzymałości, siadam, uprzednio podnosząc jej książkę i kładąc ją na podłokietniku. Dimia ponownie napełnia swój kielich i podaje mi. Biorę go i zaczynam powoli sączyć zawartość. Mocne czerwone wino rozlewa się po moim języku. W smaku wyczuwam nutę dymu i jeżyn. Biorę kolejny łyk i wyciągam kielich w jej kierunku, ale odmawia ruchem ręki, więc zatrzymuję go i obejmuję dłońmi.

– Może wyjaśnisz mi, dlaczego szukasz dziewczyny z Lormere – mówi w końcu. – Powiedziałaś, że jest w niebezpieczeństwie. Dlaczego?

Rozmowa na ten temat z Lormeranką wydaje mi się zdradą, ale przecież nie powtórzy królowi moich słów.

– To nie jest zwykła dziewczyna. Jest alchemiczką. Właśnie dlatego.

– W Lormere nie ma alchemików.

– Tak właśnie wszyscy myślą. Ale to nieprawda. Mają swoje Konklawe, ukryte przed rodziną królewską. – Kiedy marszczy brwi, zaczynam wyjaśniać. – Konklawe to miejsce, w którym żyją tregellańscy alchemicy. Jest ukryte. Owiane tajemnicą. Lormeranie zrobili to samo, ale zamiast się ukrywać, udają religijny zakon. Ukryli się właściwie na widoku.

– Jesteś alchemiczką?

– Nie.

– Więc dlaczego musisz ją odnaleźć?

– Miałam nadzieję, że będzie mogła mi pomóc. Że pomożemy sobie nawzajem. – Dimia wygląda na dezorientowaną. – Jestem w tarapatkach – dodaję.

– Jakich?

Biorę kolejny łyk wina i napawam się jego ciepłem. Potem wyjaśniam najlepiej jak potrafię, opowiadając o ewakuacji i chorobie mamy, nie wspominając jednak o bestii. Później mówię jej o tym, jak Silas dał mi miksturę, która wydawała się mamie pomagać, ale nie chciał dać mi jej więcej, więc zdecydowałam się nie mówić mu, gdzie jest dziewczyna, dopóki nie zgodzi się mi pomóc.

Podnosi brwi i opiera się o kominek.

– Szantażowałaś go?

– Nie. To nie tak. Powiedział, że mi pomoże i że nie ma mi tego za złe. Uwierzyłam mu i... I powiedziałam, że ona jest tutaj. – Przerywam na chwilę. – Ale zdradził mnie. Począł, aż pójde do domu po matkę i swoje rzeczy, po czym wyruszył beze mnie.

Wyciąga rękę po kielich, a ja jej go podaję.

– Więc, jak rozumiem, on również tutaj zmierza. Żeby znaleźć dziewczynę, której tu nie ma.

– Tak sądzę. Nie wiem, które z nas będzie bardziej zawiedzione. Bez urazy.

Wzrusza ramionami.

– Gdzie jest teraz twoja matka?

– W przytułku dla umysłowo chorych – mówię cicho. – Kiedy byłam z Silasem, przyszli żołnierze i zabrali ją. I znaleźli... Ktoś umarł w naszej chacie. Nie zabiłam go – dodaję szybko, żeby rozwiać jej wątpliwości, kiedy zauważam, że jej oczy rozszerzają się. – W lesie niedaleko chaty zaatakowano pewnego mężczyznę, a Silas przyniósł go do mnie. Byłam uczennicą aptekarza, więc miał nadzieję, że go uratuję. Próbowałam, ale i tak umarł. Chwilę po tym, jak powiedział mi, że dziewczyna jest tutaj. Musiałam uciekać. Zdecydowałam więc, że znajdę dziewczynę sama i powiem jej, że musi udać się do Konklawe. Mogłabym ją tam odeskortować. Miałam nadzieję, że alchemicy będą mi wystarczająco wdzięczni, żeby mi pomóc.

Dimia znowu podaje mi kielich i biorę łyk.

– Problem w tym, że jej tu nie ma. Co teraz zrobisz?

Zlizuję wino z warg.

– Muszę odzyskać moją matkę. Oni myślą, że ma depresję, że jest w żałobie, ale to nieprawda. To coś znacznie poważniejszego i jeśli jej stamtąd nie wydostanę... Poza nią nie mam nikogo – mówię łamiącym się głosem. – W tym roku straciłam ojca, dom, moją praktykę w aptece i brata. Nie mogę stracić też jej.

Dimia otwiera usta i zamiera. Widzę, jak żyły pulsują jej na szyi, kiedy próbuję się opanować.

– Straciłaś brata? Liefa?

Spoglądam na nią oszołomiona.

– Jego też znałaś? – Wlepiam w nią wzrok. – Spotkałaś go w zamku?

– Tak – odpowiada, marszcząc czoło, a jej głos brzmi, jakby dobiegał z oddali. – Czy on...

Przytakuję, a ona zakrywa twarz dłońmi. Jej plecy są tak zgarbione, jakby spoczywał na nich cały świat.

Mama, Lirys, Carys, Dimia. Wszyscy ci ludzie, którzy opłakują mojego brata.

Dziwię się, że po ostatniej nocy zostały mi jeszcze jakieś łzy, ale okazuje się, że tak.

– Przykro mi – mówię, kiedy przestają spływać mi po policzkach, ale mój oddech nadal jest przerywany.

Ona już doszła do siebie i stoi sztywno obok kominka z grymasem wysiłku na twarzy.

– Niepotrzebnie.

– Dlatego właśnie muszę odzyskać matkę. Mamy teraz tylko siebie.

– On by was nie zostawił – mówi Dimia łagodnie. – Nie, jeśli to zależałoby od niego. – Kiedy na nią patrzę, uśmiecha się przelotnie. – Nie wiem dużo na temat twojego brata, ale wiem, że cię kochał, waszą matkę też.

Nie mogę zmusić się, żeby na nią spojrzeć.

– Dziękuję. – Przede mną znów pojawia się kielich, a ja z wdzięcznością biorę go w dłoń.

– A co jeśli ja byłabym w stanie ci pomóc? – mówi nagle. – Co zaoferujesz mi w zamian?

Słowa wydobywają się z jej ust tak szybko, jakby z nich uciekły, a nie zostały wypowiedziane.

– Słucham?

– Powiedziałaś, że uczyłaś się, żeby zostać aptekarką, prawda?

– Tak. Nie mam licencji, ale jestem dobra. Potrafię robić lekarstwa. Potrafię robić trucizny. – Na te słowa gwałtownie unosi brwi, a ja wzruszam ramionami. – Musiałam – mówię.

– Dobrze. To się może przydać.

– Jak?

– Kiedy będę walczyć ze Śpiącym Księciem.

Mierzę ją wzrokiem. Przypomina małą sarenkę, z chudymi nóżkami i rączkami, z dużymi oczami.

Wygląda, jakby mogła połamać się na wietrze.

– Chcesz z nim walczyć?

Na chwilę milknie, najwyraźniej zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Tak – mówi w końcu. – Chcę. Ktoś musi. Wy tego nie zrobicie, chyba że wojna rozpęta się również u was. Merek nie żyje. Jeśli nie ja, to kto? Poza tym nie będzie to pierwszy potwór, jakiemu stawiałam czoła.

– Co masz na myśli? Z jakimi potworami już walczyłaś?

Ignoruje moje pytanie i patrzy w kierunku okna.

– Dzisiaj się stąd nie wydostaniemy. Szlak będzie zbyt niebezpieczny.

– My? – pytam z wahaniem.

Dimia przytakuje.

– Powiedziałaś już, że pomogę ci, jeśli mi się za to odwdzięczysz. Bądź moją aptekarką. Zrób lekarstwa, aby wyleczyć żołnierzy, których zgromadzę. Zrób trucizny, których będziemy mogli użyć na jego ludziach – na jego Srebrnym Rycerzu i zdrajcach, którzy za nim podążają.

Patrzę na nią z wytrzeszczonymi oczami. Kim ona jest? Skąd weźmie ludzi? W jaki sposób może uratować Lormere? Jak może mi pomóc?

– Twoi ludzie? Dlaczego nazywasz ich swoimi ludźmi?

– Mieszkańcy Lormere. – Macha ręką. – Moi rodacy. Skoro twoi ludzie nie chcą im pomóc, ja to zrobię. Dla Mereka. I dla twojego brata. Zmobilizuję tylu ludzi w Lormere, ilu tylko będę w stanie, i wszystkich innych, którzy będą chcieli się do mnie przyłączyć, a potem znajdę sposób, żeby z nim walczyć. – W świetle rzucanym przez ogień dostrzegam w niej coś królewskiego, coś w jej oczach sprawia, że wydają się być z żelaza. Ona naprawdę to zrobi.

– Czy wiesz, jak się prowadzi wojnę?

– Nie – odpowiada, rumieniąc się w świetle kominka. – Nie wiem. Ale znajdę ludzi, którzy wiedzą. I będę miała ciebie. Może wystarczy tylko trucizna w jego kielichu z winem, jak

w opowieści. Czy to nie tak stał się Śpiącym Księciem w waszych opowiadaniach, waszych historiach?

Przytakuję, marszcząc brwi.

– Dobrze. To jakiś początek. A więc czego oczekujesz ode mnie, żebym mogła dotrzymać swojej części umowy?

Biorę głęboki oddech.

– Muszę uwolnić moją matkę z przytułku w Tressalyn i zabrać ją w bezpieczne miejsce. Gdzieś na odludziu. Muszę zdobyć dla niej miksturę. – Robię pauzę. – Muszę też przez jakiś czas trzymać się z dala od tregellańskiej armii.

Dimia mruga kilkakrotnie.

– Jeśli chodzi o miksturę, to nie znam się na tym. Ale chyba będę w stanie pomóc w uwolnieniu twojej matki. – Podchodzi do paleniska i sięga do komina. Słyszę brzęk monet, zanim jeszcze wyjmie z niego torbę. Jest pełna pieniędzy, aż pęka w szwach. Mała fortuna.

– Myślę, że będę w stanie przekonać ich, żeby oddali twoją matkę pod opiekę jej odnalezionej po latach kuzynki. – Przytakuję, oniemiała. – Dobrze – kontynuuje Dimia. – Jeśli chodzi o odosobnienie, ta chata jest całkiem daleko od świata. Jest też nad morzem. Sądzę, że to korzystnie wpływa na zdrowie.

Moje oczy rozszerzają się.

– Pozwoliłabyś nam tu zamieszkać? W swojej chacie?

– Wątpię, żebym nadal z niej korzystała, prowadząc wojnę. Jest stąd dość daleko do Lormere. – Uśmiecha się krzywo. – Mogłabyś używać kuchni jako pracowni, robiąc dla mnie trucizny i mikstury lecznicze, a jednocześnie opiekować się matką. Oczywiście, kiedy zacznie się walka, będę potrzebowała cię znacznie bliżej naszej kwatery głównej. Ale to jeszcze odległe plany. Potrzebuję czasu na znalezienie i zorganizowanie moich ludzi. Jeśli nie poprawi jej się do czasu, kiedy rozpocznie się walka, będziesz mogła zatrudnić opiekunkę, która zajmie się nią pod twoją nieobecność. Nie będziesz walczyć, więc o to nie musisz się martwić.

– Jej się już nie poprawi. Nigdy. Jej choroba jest bardzo osobliwa. Jeśli ktokolwiek dowiedziałby się, czym jest...

Dimia potrząsa torbą i ponownie słyszc brzęk monet.

– Jestem pewna, że znajdziemy kogoś dyskretnego, kto podoła temu zadaniu. Zdziwiłabyś się, co ludzie są w stanie zrobić dla pieniędzy. – Patrzy na mnie, a jej oczy szukają moich. – Chyba że nie? Co ty na to? Mamy umowę?

– Dlaczego? – pytam. – Dlaczego chcesz to zrobić? Jestem dla ciebie obcą osobą. Dlaczego chcesz to dla mnie zrobić?

Otwiera usta, omijając mnie wzrokiem, i patrzy na deszcz uderzający w okno.

– Ponieważ trochę przypominasz mi mnie samą.

Wtedy również spoglądam na deszcz, patrząc, jak spływa po szybie.

– Co robiłaś w zamku? – pytam.

Spogląda w bok.

– Służyłam. Byłam służącą.

Już mam zapytać o szczegóły, ale powstrzymuję się. Wszystko układa się w całość w mojej głowie. Służąca, która mówi o królu, używając jedynie jego imienia. Służąca, która ma worek wypchany złotymi monetami. Służąca, która jest na tyle pewna swojej władzy nad mężczyznami, że jest w stanie stworzyć armię. Zainspirować ich do walki. Wydaje mi się, że wszystko rozumiem. Pamiętam porozumiewawcze spojrzenia żołnierzy, kiedy Kirin powiedział, że jestem córką pułku. Staram się nie myśleć, skąd zna mojego brata.

– Errin – mówi łagodnie, a ja kieruję na nią wzrok. Jej twarz jest poważna. – To się nie skończy. Śpiący Książę nie zatrzyma się na Lormere. Wasza Rada o tym wie. Potem przybędzie tutaj i zrobi ludziom w Tregellanie to, co zrobił moim ludziom. Wasi ludzie będą mordowani. Ich głowy będą nabijane na pale. Będą uciekać. – Odstawia swój kielich i przechodzi przez pokój, zatrzymując się obok mnie i łapiąc mnie za dłonie.

– Nie mówię, że będę w stanie go pokonać. Wiem, jakie mam szanse. Mówiłaś, że ma po swojej stronie zarówno golem, jak i ludzi. Ale muszę spróbować. Jeśli uda mi się przekazać do Lormere wiadomość, że mają powód do nadziei i walki... Wiesz, podczas ostatniej wojny przegrywali z waszymi. A potem... zmobilizowali się. Dano im nadzieję i to sprawiło, że walczyli z większą determinacją. Właśnie to chcę im dać. Pomóż mi to zrobić. A ja pomogę tobie.

Kirin powiedział, że największą słabością Lormere jest to, że próbują się przeciwstawić. A teraz mam przed sobą dziewczynę, lormerańską służącą, która chce to zrobić. Która wierzy, że jej się to uda.

Wyjmuję dłonie z jej dłoni, wstaję i mijając ją, podchodzę do okna. Przyciskam czoło do chłodnego szkła, patrząc, jak nowe krople deszczu łączą się ze starymi, aż stają się małymi strużkami płynącymi w dół szyby. Błyskawice rozświetlają horyzont. Widzę, gdzie rozpoczynają się klify. Gdzie kończy się ląd.

Filtromantki tutaj nie ma, a bez niej nie mam szans na znalezienie Konklawe i zdobycie Elikseru. Może nigdy jej tu nie było. Może Ely się mylił, może bredził z bólu. Jak mogę być pewna, że wiedział, co mówi? Mogę się o tym przekonać tylko, jeśli zjawi się Silas i będzie jej szukał, ale co wtedy? Czy mam próbować za nim iść, próbować z nim rozmawiać, znowu go błagać? Wzdycham cicho, a mój oddech zaparowuje szybę, kiedy próbuję to sobie wyobrazić. Nie. Ten most jest już całkiem spalony. Jedyną rzeczą, której jestem teraz pewna, to to, że muszę odzyskać mamę. Poza nią nie mam nikogo. Jestem za nią odpowiedzialna.

Próbuję wszystko dokładnie przemyśleć, biorąc ciche, głębokie wdechy. Mijają minuty, a każda ciągnie się jak dekada. Jaki mam wybór?

– A więc? – Z tyłu dochodzi mnie głos Dimii. – Dołączysz do mnie?

Odwracam się ku niej.

– Pomożesz mi sprowadzić moją matkę w bezpieczne miejsce? Niezależnie od tego, co usłyszysz

na jej temat?

Jej oczy zwięzają się na chwilę, ale przytakuje.

– Przysięgam.

– A więc tak, zostanę twoją aptekarką.

Na jej twarzy pojawia się mroczne spojrzenie.

– Też musisz przysiąc, Errin Vastel. Bez szantażu, bez zdrady.

Czerwienię się i wyciągam rękę.

– Przysięgam. Nie zdradzę cię. Chcę po prostu, żeby moja matka była bezpieczna.

Jej spojrzenie wwierca się w moją twarz i wydaje mi się, że trwa to wieki. Potem przytakuje i bierze moją dłoń w swoje dłonie.

– A więc dokonano się. – Jej słowa wywołują u mnie dreszcz, jakby stała za mną śmierć.

– Dziękuję. Jutro wyjeżdżamy. Od razu udamy się do Tressalyn. Kupię twojej matce wolność, a potem wrócimy tutaj. Teraz musimy odpocząć – mówi. – Jest tu jeszcze jeden pokój, w którym można spać, ale w tej chwili nie ma w nim mebli. Nie jestem przyzwyczajona do mieszkania na tak dużej przestrzeni. Jutro przed wyjazdem wynajmę cieśnię, który się tym zajmie, zanim wrócimy z twoją matką. Dzisiaj w nocy możesz spać w moim łóżku.

Potrząsam głową. Nie nalega. Zamiast tego zbiera koce i poduszki i robi coś na kształt łóżka.

– W takim razie dobranoc – mówi, zatrzymując się na chwilę w drzwiach pokoju, który, jak sędzę, jest jej sypialnią. Wygląda, jakby chciała coś powiedzieć, ale po chwili jednym ruchem zamyka drzwi. Zrzucam płaszcz i kładę się na stercie koców, którą dla mnie przygotowała. W moim nowym domu. Dociera do mnie, że ze wszystkich absolutnie nieprawdopodobnych rzeczy, które spotkały mnie w ostatnim czasie, ta jest najdziwniejsza.

We śnie jestem ubrana w zbroję, a część mnie wie, że to z powodu obietnicy, którą złożyłam Dimii. Patrzą na siebie, na kirys okrywający moją pierś, na karwasze na moich rękach. Wiem, że zbroja powinna być ciężka, ale nie jest. Macham rękami, podnoszę je tak, jakbym trzymała miecz.

– Co to?

Mężczyzna stoi w drzwiach za mną. Ma kwaśną minę, a jego oczy zakrywa kaptur.

– Byłam tu pierwsza – mówię. – Jestem z Dimią.

– Dimią? – Uśmiecha się.

– Ona nie jest filtromantką. Nie było tu dziewczyny, której szukałeś.

– Naprawdę? – Jego ton jest ostrożny.

– Cóż, jeśli nawet tu jest, to ukrywa się przed nami.

– Spryciara. Co zamierzasz zrobić z tą Dimią?

– Uratować moją matkę. Potem ruszamy na wojnę.

– Ze mną?

– Ze Śpiącym Księciem. Pomogę jej.

Uśmiech znika z jego twarzy.

– Doprawdy?

Przytakuję.

– To wiele zmienia – mówi powoli. – To bardzo wiele zmienia.

Rozdział 19



Kiedy Dimia budzi mnie następnego ranka, potrząsając mną, wydaje mi się, że ledwie zdążyłam zmrużyć oczy. Jest już ubrana, a rozpuszczone włosy opadają jej na ramiona. Siadam zaspana, narzekając na ostry ból w udach i u dołu pleców, i sięgam po kubek, który mi podaje.

– Daleko do świtu? – pytam.

– Sądząc po świetle, około godziny – mówi, podnosząc torbę i sięgając po płaszcz. – Przed wyjazdem muszę iść do wioski.

Przyglądam jej się, wstając i doprowadzając się do porządku. Chodzi po pokoju, wszystkiego dotykając. Głaszcząc oparcie krzesła, delikatnie stuka w blat stołu i przesuwa palcem po grzbietach kilku swoich książek. Wygląda to jak swego rodzaju rytuał. Jakby żegnała się z tym miejscem. Wywołuje to we mnie dreszcz. Przecież mówiła, że jeszcze tu wrócimy.

Chyba że sądzi, iż jej może się to nie udać.

W końcu zwraca się do mnie.

– Chodźmy.

Udajemy się grząską ścieżką wzdłuż klifu w stronę miasteczka, oświetlając sobie drogę latarnią, którą dostałam od starego mężczyzny. Próbując dotrzymać jej kroku, czuję się niezdarna i dziecinna. Jest niższa ode mnie, ale porusza się, jakby była znacznie wyższa. Trzyma głowę wysoko, jej ramiona są wyprostowane, a po nich spływają kruczoczarne włosy.

Kiedy docieramy do miasteczka, we wszystkich domach pali się światło, również w sklepie, mimo że do świtu jeszcze godzina. Rybaków dawno już nie ma, a ich kobiety krzątają się, przynosząc wodę, plotkując z sąsiadkami, wymieniając się jedzeniem i opowieściami na małym skwerku. Wszystkie

zatrzymują się i odwracają, dostrzegając latarnię Dimii, po czym machają do niej i uśmiechają się.

Mały tłum rozprasza się, kiedy podchodzi, jakby była statkiem na oceanie, a one falami. Ludzie witają się z nią, a ona rozmawia z cieślą, szwaczką, sklepikarzem, ze wszystkimi, którzy się do niej zwracają, jakby była królową. Podążam jej śladem do chaty kowala, żeby odebrać mojego konia. Nie dziwi mnie wcale, kiedy kowal oddaje Dimii lekki, zabawny ukłon. Kilka szybkich słów i za chwilę wyprowadza dla niej brzuchatego kucyka, osiodłanego i gotowego do drogi.

– Taki musi wystarczyć – mówi, łącząc ręce, żeby pomóc jej wsiąść. Dimia lekko wzrusza ramionami, a potem z zaskakującą gracją wkłada stopę w strzemię i wskakuje na siodło. Najpierw wygląda na zaskoczoną, ale chwilę potem z zadowoleniem usadawia się i poprawia spódnicę.

– Proszę się nią zająć, panienko – mówi do mnie. – Ona jest już jedną z nas.

– Potrafię sama o siebie zadbać, Javik. – Posyła mu uśmiech, a on z radością go odwzajemnia, pokazując dziurawy zgryz i czerwone dziąsła, po czym kłania się i odsuwa.

– Jak daleko jest do Tressalyn? – pyta Dimia, poprawiając strzemiona, a potem odwracając się do mnie.

– Będziemy musiały jechać drogą koło rzeki w stronę Tremayne, ale nie musimy przez nie przejeżdżać. Jeśli ominiemy miasto, możemy udać się Królewską Drogą na południe.

– Jak długo to zajmie?

– Dzień lub dwa.

– A gdzie będziemy spać? Nie mogę przecież przyjechać do Tressalyn i prosić o uwolnienie twojej matki, jeśli będę wyglądała, jakbym nie potrafiła zadbać nawet o siebie.

– Masz papiery? – pytam.

Stuka palcem w kieszeń.

– I pieniądze na jedzenie i nocleg.

Nie chcę nocować w Tremayne.

– Zobaczymy, jak daleko uda nam się dojechać, i wtedy zaplanujemy resztę. Po drodze będą wioski i przydrożne gospody. Mam mapę.

Z jakiegoś powodu Dimia prawie się uśmiecha.

– A więc najlepiej będzie, jeśli poprowadzisz.

Po ośmiu godzinach podróży, na zmianę jadąc konno i idąc, bolą mnie plecy, uda i ręce. Boli mnie głowa. Twarz Dimii jest biała i zmęczona, a od trzymania lejców z jej dłoni całkiem odpłynęła krew, ale dopóki ona nie narzeka, ja też nie mam zamiaru. Zamiast tego brniemy naprzód, mijamy milę za milą fioletowych i brązowych wrzosowisk, omijamy małe laski, pojedyncze chaty i farmy. Niebo na horyzoncie jest pomarańczowe, a wiatr wieje nam w plecy, popychając do przodu. Szybko zaczyna pojawiać się mgła, a moje serce bije szybciej, bo jesteśmy już niedaleko Tremayne, najwyżej trzy mile.

Przysypiam w siodle, kołysana w przód i w tył przez spokojny chód konia, kiedy głos Dimii

wyrywa mnie z zadumy.

– Co to? – pyta, a ton jej głosu sprawia, że aż podskakuję w siodle. Zauważam, czemu się przygląda, i ściska mnie w żołądku. Mocniej chwytam lejce.

– To cmentarz – mówię w końcu.

– Grzebią tutaj zmarłych? Możemy się na chwilę zatrzymać?

– Nie mamy czasu – odpowiadam szybko.

– Tylko na chwilę. Nigdy żadnego nie widziałam.

– Wy nie stawiacie pomników swoim zmarłym?

– Nie. Są paleni. Rodzina królewska i lordowie mają rodzinne grobowce, które mogą odwiedzać.

– Trzyma się w nich popioły?

– Nie. – Wygląda na zakłopotaną. – To pomieszczenia do kontemplacji. Miejsca, w których rodzina może powspominać.

– A co z, ehm, zwykłymi ludźmi?

– Oni nie mają tego luksusu.

Oni. Nie mają. Bez dalszego komentarza podprowadzam konia, a Dimia jedzie za mną. Obie zsiadamy i przywiązujemy zwierzęta. Dimia przeciąga dłonią po drewnianej bramie prowadzącej na cmentarz, przygląda się jej wygiętemu łukowi, a potem drewnianym ławkom w zagłębieniach po jej bokach.

– Ładne – mówi.

– To brama umarłych – mówię, nie dziwiąc się, że marszczy brwi. – Brama dla zwłok. Kiedy przynoszą tutaj zmarłego, żeby go pochować, wnoszą go właśnie tędy, głową do przodu. Kapłan daje błogosławieństwo, a potem odwracają trumnę stopami do przodu i wnoszą ją na cmentarz, podczas gdy ktoś dzwoni dzwonkiem martwych.

– Dlaczego?

– Żeby zmylić duszę zmarłego, żeby nie próbowała wyjść z cmentarza za żyjącymi. To stary przesąd. – Przytakuje i wchodzi przez bramę na teren cmentarza. Skręca mnie w brzuchu, ale biorę głęboki oddech i idę za nią.

Dimia idzie przodem, oglądając się na prawo i lewo, chłonąc atmosferę tego miejsca. Zauważam, że stara się nie wychodzić za ścieżkę. Kiedyś, kiedy byłam mała, przyszłyśmy z mamą na cmentarz zostawić kwiaty na grobie mojej babci. Byłam zachwycona kopcami gliniastej ziemi, biegałam po nich i śpiewałam, że jestem krecią królową. Matka dała mi klapsa w nogę i przyciągnęła mnie do siebie, a jej twarz poczerwieniała ze wstydu. Nie wiedziałam, że to świeże groby. Właściwie to nawet nie wiedziałam wtedy, co to jest grób. To wspomnienie, mimo że dość makabryczne, wywołuje uśmiech na mojej twarzy. Mama na pewno doceniłaby ostrożny krok Dimii.

Od czasu do czasu przystaje, żeby przeczytać inskrypcje na nagrobkach. Wydaje się, że zatrzymuje się głównie przy grobach dzieci, a jej usta poruszają się bezgłośnie, kiedy czyta napis, po czym rusza

dalej.

– To niesamowite, nie sądzisz? Ta świadomość, że pod nami spoczywają kości. – Jej głos jest dziwny. Jest w nim coś ciężkiego, a zbliżający się zmierzch sprawia, że zaczynam drżeć. Spoglądam w stronę bramy umarłych, żeby się upewnić, że konie nadal tam są. – Wszyscy w rzędzie, prawie jak zboże – ciągnie dalej Dimia. – Pole umarłych. – Patrzy w kierunku pierwszego rzędu mauzoleów, opierających się niebezpiecznie jedno o drugie. – Jakie to dziwne. Budować pomniki, żeby schować w nich zwłoki.

Mrugam ze zdziwienia.

– To pomnik dla ich życia, nie dla ich ciała. Może ci się to wydawać dziwne, ale mnie palenie zwłok wydaje się jeszcze dziwniejsze. Palicie ramiona matek, które was trzymały. Palicie usta ojców, które całowały was w czoło, kiedy płakaliście. Niszczycie ciała, które dały wam życie. My oddajemy je ziemi. Traktujemy naszych zmarłych z szacunkiem.

Dimia odwraca się do mnie gwałtownie.

– Nie wiesz nic o śmierci.

– Wiem wystarczająco dużo – odpowiadam ostro, zapominając, że to ona jest kluczem do uwolnienia mojej matki. – Widziałam ją. Czułam jej zapach. Próbowałam z nią walczyć. Czego jeszcze mogę się o niej dowiedzieć? – Moje oczy zmiernają w stronę rzędu grobowców wzdłuż przeciwległej ściany, a ona podąża za moim wzrokiem. Przytakuje, przypominając sobie coś. Potem odwraca się i idzie dalej.

Podążam za nią w jej wycieczce po grobach mieszkańców Tremayne, próbując zachować spokój. Od czasu do czasu mijamy groby oznaczone okręgiem przeciętym pośrodku linią. Ten symbol przykuwa moją uwagę, bo gdzieś już go kiedyś widziałam. Przypominam sobie: był wycięty na drzwiach handlarza solą w Tremayne.

Zatrzymuję się przed jednym z grobów oznaczonych symbolem i w zamyśleniu zrywam ostatnie owoce z krzewu jeżyny rosnącego obok i układam je sobie na dłoni. Wiem, że to oznacza coś jeszcze, ale nie mogę sobie przypomnieć co.

Przypadkowo – a może właśnie taki miała zamiar od początku – trafiamy do zachodniej części cmentarza. Grobowce są tutaj wysokie, wykonane z szarego kamienia, z nazwiskiem rodziny wyrytym u szczytu. Pole umarłych, jak to nazwała. Jeśli chodzi o tę część cmentarza, ten opis jest odpowiedni, to jej przyznam. Grobowce są jak małe domy, niektóre mają okna, niektóre mają w środku ołtarze z półkami na ofiary. Na prawie wszystkich są liście dębu albo ostrokrzewu, czasami i jedno, i drugie, wyrzeźbione na nadprożach. Nawiązanie do dawnych przesądów, dawnych bogów i dawnego życia. Grobowce tutaj są dobrze utrzymane, żaden z kamieni nie jest ułupany. Kątem oka dostrzegam Dimię przyglądającą się im i od czasu do czasu przesuwającą swoim długim palcem po rzeźbionych liściach.

Zaczyna pojawiać się mgła, niosąc ze sobą zapach dymu z palenisk w wiosce. Moja dłoń zaciska się w pięść, zgniatając jeżyny, aż spomiędzy palców wycieka fioletowy sok. Spoglądam w prawo, a moje serce przyspiesza.

Widzę nasz grobowiec, dziesięć, może dwanaście stóp przede mną. Na drzwiach wyryte są imiona naszych dziadków i pradziadków.

I mojego ojca.

Odwracam wzrok i patrzę na pomnik za mną skrzydlaty anioł śpiący na kamiennym łożu, na którym wyrzeźbione jest przekreślone koło: miejsce ostatniego spoczynku Jephrys Mulligan. Kiedy ściska mnie w żołądku, próbuję skoncentrować się na datach i słowach, żeby nie poddać się panice. Dimia przechodzi za moimi plecami, a jej wzrok nadal skupiony jest na grobowcach. Odliczam w myślach do dziesięciu.

Kiedy docieram do siedmiu, słyszę jej westchnienie i powoli odwracam się do niej.

Patrzy na grobowiec z wyciągniętą do przodu, zawieszoną w powietrzu ręką. Jej usta poruszają się w ciszy, kiedy czyta wyryte tam imiona.

– Lief Vastel – mówi na głos.

– Mój dziadek. Ojciec mojego ojca. Mój brat miał po nim imię.

Podchodzę do grobowca, a każdy krok zdaje się grzęznąć w ziemi jak w bagnie. Odrywanie stóp od ziemi sprawia mi ból. Oto jest: Azra Vastel. Mój ojciec. Jego imię jest wyryte na drzwiach pod imieniem jego matki, która zmarła dziesięć miesięcy przed moim urodzeniem. Litery już wyglądają na stare i wyblakłe, jakby były tutaj znacznie dłużej niż od sześciu miesięcy. Mijam Dimię i łapię za żelazny uchwyt. Przez chwilę stawia opór, a potem ustępuje. Z grobowca wydobywa się zapach stęchlizny i miesza z wilgotnym powietrzem.

Wchodzę do środka i czekam, aż moje oczy przyzwyczają się do słabego światła przenikającego przez brudne okna. Po chwili zaczynam dostrzegać kamienne tablice na ścianach z wygrawerowanymi imionami odpowiadającymi tym, które widnieją na drzwiach. Jest też kilka pustych. Dla mnie, dla matki i innych dzieci, które mogą się jeszcze urodzić. Przeszywa mnie ostry ból, kiedy zdaję sobie sprawę, że na jednej z tablic trzeba będzie wykuć imię Lief. Nie będzie miał jednak trumny. Nie spocznie tutaj, nie zmieni się w proch wraz z resztą rodziny, wracając do natury. Może został spalony jak Lormeranin. Albo gorzej.

Biorę głęboki oddech i trzymam go w płucach, po czym wydycham powietrze tak mocno, że wzbijam w powietrze drobinki kurzu, które krążą wokół mnie.

Powietrze drga. Dimia weszła za mną do środka. Odwracam się, a ona patrzy na mnie z przejmującym współczuciem. Mrugam, zdziwiona jej przejściem, aż na dłoń upada mi łza. Znowu płaczę. Podchodzi do mnie cicho, jakbym była dzikim zwierzęciem, a ona bała się, że ją ugryzę, i podnosi rękę. Obejmuje mnie, po czym sztywnieje i trzyma mnie, jakby nie do końca wiedziała, co ma robić. Tak niezręczna sytuacja przypomina mi o Silasie. Odsuwam się od niej, a ona natychmiast robi krok do tyłu.

– Przepraszam – mówi, a ja nie wiem, czy przykro jej z powodu mojej straty, czy dlatego, że mnie objęła.

– Pierwszy raz tutaj jestem – mówię, a mój głos odbija się dziwnym echem od otaczających nas kamiennych ścian.

Dimia rozgląda się po grobowcu, patrzy na tablice, na mały, pusty ołtarz i na kamienne półki, które mogą również służyć za siedzenia.

– To dlatego nie chciałaś tu wchodzić. Mogłaś mi powiedzieć.

– Czy tak właśnie wyglądają wasze grobowce? Dla szlachty? – pytam ją.

– Nie. Inaczej. – Potrząsa zdawkowo głową, a moje wargi natychmiast zaciskają się w gniewie. – Są... zimne – mówi szybko. – Te są prostsze, ale prawdziwsze. Grobowce szlachty mają w środku rzeźbione podobizny zmarłych. Twarze, dłonie. Wszystko wyrzeźbione w marmurze. Wyglądają bardziej jak muzea, niż jak mauzolea. – Uśmiecha się krzywo. – To nie miejsce, do którego chciałabyś pójść, żeby oddać się żałobie. To raczej miejsca, które mają cię przestraszyć. Sprawiają, że czujesz się mała, ale to... To ma sprawić, że możesz poczuć się częścią czegoś większego.

Przytakuje samej sobie w dziwny sposób i wychodzi z grobowca, zostawiając mnie sam na sam z moją rodziną. Podchodzę, żeby dotknąć tablicy mojego ojca, kiedy Dimia znowu pojawia się w wejściu.

– Konie się niepokoją – mówi. – Zapach dymu wydaje się silniejszy. Chyba coś niedaleko się pali.

Wychodzę za nią. Wiatr zmienił kierunek, a słaby zapach dymu jest teraz bardzo silny, uderza w nasze twarze, jest gęsty i gryzący. Niebo już ciemnieje i zbliża się noc, nagle, bez ostrzeżenia, jak to bywa późną jesienią. Księżyc jest już na niebie i zaczyna chudnąć po pełni. Na jego tle widać przecinającą go wstęgę niebieskiego dymu i ten obraz znów zaczyna mnie dręczyć.

– Powinnyśmy już iść. – Opanowuję irytację. – Wkrótce będzie ciemno.

– Gdzie dzisiaj przenocujemy?

Uczucie obawy ściska mi wnętrze, ale nie mamy wielkiego wyboru.

– Tremayne jest najbliżej, jakieś dwie mile, jeśli chcesz spać w gospodzie.

– Tam znajduje się dom alchemika.

– I tam się urodziłam. Lief również. – Dimia nie odpowiada. – O zachodzie słońca zamykają bramy miasta.

Dimia patrzy w niebo, które zaczyna już ciemnieć na brzegu, jak atrament przesączający się przez papier.

– Powinnyśmy się więc pośpieszyć.

Potykając się w narastającej ciemności, wracamy do zaniepokojonych koni, które rżą cicho, kiedy je odwiązujemy. Odjeżdżamy, mijając pogrążony w ciszy cmentarz. Galopujemy w noc, a zapach dymu staje się coraz silniejszy. Jakieś pół mili poza murami miasta dostrzegamy źródło ognia. Tłące się w ciemności na czerwono i pomarańczowo pozostałości magazynu na zbiory, wybudowanego na obrzeżach wioski. Stodoły, w których składowano siano w okresie zimy, i poddasza wypełnione jabłkami i gruszkami. Obory i stajnie, w których trzymano bydło i owce po nadejściu śniegów. Doszczętnie spalone. Powietrze jest ciężkie od dymu, zapachu spalonego siana i zboża. Upieczonego mięsa. Ściska mnie w gardle, kiedy myślę o zwierzętach, które były zamknięte w oborach, przerażone

i uwięzione.

Dimia patrzy na mnie z pewną dozą zaciekawienia.

– Wiesz, kto był właścicielem? – pytam.

– Prythewellowie. Przyjaciele mojego ojca. Trzymali tu owce i krowy na rzeź. To było całe ich jedzenie i zarobek na zimę. – Potrząsam głową na myśl o ich stracie.

– Wygląda na to, że nic już nie można zrobić.

Marszczę brwi, patrząc na pozostałości budynków. Ruiny nadal się tlą. Na pewno musi tu być ktoś, kto próbował je gasić. Jeśli wiatr zaniósłby gorący popiół do wioski, to strzechy mogłyby się zająć, a ogień błyskawicznie by się rozprzestrzenił i przeszedł przez Tremayne jak plaga. Gdzie są ludzie? Gdzie żołnierze? Czy nie powinno tu być kogoś, kto próbowałby coś odzyskać czy choćby nawet ukraść?

Odwracam się w stronę Tremayne i zaczyna we mnie narastać zimny, przejmujący strach. Popędzam konia do galopu, słysząc za sobą tętent kopyt kucyka Dimii. Zapach dymu staje się silniejszy, a koń kładzie uszy po sobie i zatrzymuje się, mimo że nadal go popędzam. Drepcze na boki po ścieżce, ale nie chce jechać dalej. Kucyk Dimii zatrzymuje się przede mną. Dimia trzyma się jego szyi, kiedy staje dęba. Jego rzenie brzmi bardziej jak krzyk. Widzę białka jego oczu, kiedy próbuje ją z siebie zrzucić.

Zeskakuję z siodła, próbując jej pomóc, ale gdy tylko dotykam ziemi, mój koń zaczyna biec w kierunku, z którego przyjechałyśmy. Spoglądam za nim w przerażeniu. Wtedy słyszę jęk Dimii. Odwracam się do niej i widzę, jak kucyk biegnie w moją stronę, w ślad za moim koniem. Kiedy mnie mija, chwytam za lejce i trzymam je na tyle długo, żeby Dimia mogła ześlizgnąć się z jego grzbietu. Po chwili również jego tracę z oczu, a moje palce są czerwone i szczypią od przeciągniętej po nich skóry.

Dimia opiera się o drzewo, blada i drżąca.

– Co im się stało?

– Nie mam pojęcia – mówię, ale to nie jest cała prawda. Mój koń był wojskowym wierzchowcem wyszkolonym do walki. Jeśli od czegoś uciekł, to musiało to być przerażające. I nienaturalne.

– Co teraz zrobimy?

– Musimy sprawdzić, co się dzieje – mówię znacznie odważniej, niż faktycznie się czuję. Zza pasa wyciągam nóż.

*

Pierwsze ciało znajdujemy w bramie. Nogi ma zgięte pod dziwnym kątem, a gardło poderżnięte. Jego krew jest ciemna i gęsta, nie jest świeża. Tuck, ten bardziej uparty, został przybity swoim własnym mieczem do muru, którego miał pilnować. Kiedy słyszę jęk Dimii, podążam za jej spojrzeniem. Żołnierz, który skłamał, żeby pomóc mi przejść przez bramę, ten, który puścił mi oko, wisi teraz na murze obok bramy wieżowej. Jedno oko ma otwarte, niebieskie, utkwione w jakimś

punkcie. W drugim zagłębiona jest strzała. Odwracam wzrok, mając nadzieję, że nie była to jego własna strzała i że jego śmierć była szybka. Nie znałam jego imienia.

Dimia wsuwa palce w moją dłoń i ściska ją mocniej, kiedy wchodzimy do miasta, stąpając ostrożnie pomiędzy poległymi. Naprzeciw nas, wewnątrz murów drugiego miasta Tregellanu, płonie ogień. Idziemy powoli przez skwer kupców, zakrywając tunikami nosy i usta. Oczy łzawią nam od gryzącego dymu. Światło rzucane przez ogień wystarcza, żeby zobaczyć ogrom zniszczeń, kiedy zbliżamy się do głównego placu.

Wszystko zniszczone. Wszystkie sklepy – piekarnia, mydlarnia, sklep ogólny – dymiące, czarne skorupy. Apteka jest w ruinie. Powybijane okna zieją jak brakujące zęby, drzwi są wyłamane, a w środku jest ciemno jak w jaskini. Dom Sprawiedliwości to sterta tłącego się gruzu. Żółte cegły są osmalone i potrzaskane, a rozsypane szkło odbija światło płomieni. Rynek jest poorany bruzdami brązowej ziemi przypominającymi blizny.

W rumowiskach leżą ludzie z rozpostartymi ramionami i stopami przykrytymi stosami kamieni. Leżą w takich pozycjach, że nie muszę nawet sprawdzać, czy komukolwiek z nich można jeszcze pomóc. Nikt, kto upadł w taki sposób, nigdy już nie wstanie. Co mówiła Carys? Że śmierć sprzyja odważnym? Tutaj śmierć sprzyjała wszystkim tak samo. Zielone tuniki żołnierzy pozbawionych broni, czerwone i niebieskie wełniane ubrania ludzi, którzy tu mieszkali. Moich przyjaciół. Moich sąsiadów. Boję się patrzeć na ich twarze, odwracając się, zanim zdążę kogokolwiek rozpoznać. Dimia ściska moją dłoń, a kiedy na nią patrzę, na jej pokrytych sadzą policzkach widzę ślady pozostawione przez łzy.

Przechodzimy w ciszy przez plac i kierujemy się w stronę kuźni i placu murarzy. Wyteżam słuch w poszukiwaniu głosów, zdesperowana licząc na to, że jest tu ktokolwiek żywy. Przechodzimy obok znajomych domów. Ich drzwi są powyrywane z framug, a okna powybijane na wszystkich piętrach. Cała ich zawartość porozrzucana jest na zewnątrz, jakby podniósł je jakiś olbrzym, wysypał wszystko ze środka, a potem odrzucił na ziemię. Cynowe dzbanki, potłuczone garnki, pościel, drewniane stołki – wszystko połamane, powyginane albo zgniecione pod stopami. Nic nie pozostało w całości, wszystko zostało rozszarpane i zniszczone z premedytacją, która przyprawia mnie o mdłości.

Zaglądam do domu, w którym mieszkał niegdyś Kirin. Kiedy dostrzegam leżący w środku cień, zakrywam usta i odwracam wzrok.

– Znałaś kogokolwiek z nich? – pyta Dimia cicho. – Czy są tutaj jacyś twoi ludzie?

Moje oczy rozszerzają się i puszczam jej dłoń, po czym zaczynam biec, potykając się o porozrzucane wszędzie przedmioty. Czuję, że skóra na moim kolanie pękła, a w nadgarstki powbijał się żwir, ale nie obchodzi mnie to. Wstaję z powrotem na nogi i kuśtykam obok tawerny, w której nadal słychać pękające z hukiem, zajmujące się ogniem ukryte zapasy alkoholu. Moje płuca płoną od dymu i wysiłku, a moje uda i łydki wyją z bólu, ale nie mogę się zatrzymać. Mieszkają na brzegu miasta, obok wieży zegarowej. To daleko stąd. Na pewno nic im nie jest.

Na pierwszy rzut oka ich dom wydaje się jakimś cudem nietknięty. Ale wtedy zauważam drzwi,

otwarte jak rana, i ciemność w środku.

– Nie rób tego – mówi Dimia, kiedy zbliżam się do domu, ale odpycham ją i zostawiam za sobą, podchodząc coraz bliżej.

Z każdym krokiem moje serce bije coraz silniej. Obok kuchni dostrzegam błysk światła. Przepływa przeze mnie fala nadziei i wchodzę do środka.

– Lirys? – mówię cicho. – Carys?

Światło rośnie, kiedy właściciel świecy podchodzi do mnie.

Nie jest to żaden z moich przyjaciół.

Przede mną staje ciemnowłosa mężczyzna z zębami tak czarnymi jak jego włosy. W drugiej ręce trzyma nóż. Wpadam w szal i krzyżąc, unoszę swój. Mężczyzna rzuca we mnie świecą, a gorący wosk rozlewa mi się po ręce. Upuszczam nóż.

– Jest tutaj dziewczyna – woła, a ja odwracam się i zrywam do biegu.

– Uciekaj! – krzyczę do zaskoczonej Dimii, która podnosi spódnicę i też zaczyna biec.

Chwytam ją za rękę i rzucamy się do ucieczki. Oddalamy się od domu, a moje kolano pulsuje bólem przy każdym kroku. Odwracając się, dostrzegam innych mężczyzn o ziemistych cerach, brodatych i uzbrojonych po zęby. Wysypują się z mleczarni i obory jak mrówki z mrowiska. Ich ręce są czerwone od krwi. Chwytam nadgarstek Dimii jeszcze mocniej i ciągnę ją do przodu.

Kieruję nas w stronę placu miejskiego w nadziei, że zgubimy ich w labiryncie ulic wokół placu kupców. Biegniemy wąskimi alejkami, raz w lewo, raz w prawo, potykając się o gruzy i przedmioty domowe ukryte przed nami we mgle. Gdzieś za nami słyszę odgłosy pościgu, które nakazują nam uciekać szybciej, nie pozwalając się zatrzymać.

Kiedy docieramy do placu, biegnę jeszcze szybciej, z całych sił próbując dostać się na drugą stronę, gdzie znajdują się gildie i gdzie będziemy mogły wdrapać się na mury i ukryć. W połowie drogi przez plac Dimia wydaje z siebie pisk i zatrzymuje mnie.

Jak koszmar z mgły wyłania się golem, blokując nam przejście.

Próbuję się wycofać, ale jest za późno. Sięga naprzód swoją kolosalną dłonią i łapie mnie za rękę, a jego gliniane palce miażdżą mi nadgarstek.

– Errin! – Dimia krzyczy, kiedy golem ciągnie mnie do góry. Ciemnieje mi przed oczami i mam poczucie, że moje ramię zaraz oderwie się od ciała. Boli tak bardzo, że nie mogę oddychać. Stwór podnosi mnie do poziomu swojej głowy, jakby na mnie patrzył. Wisząc w jego uścisku, dostrzegam kątem oka ścigających nas mężczyzn. Zatrzymali się. Niektórzy patrzą na Dimię, a niektórzy na golema. Odnoszę wrażenie, że wolą pozostawać poza jego zasięgiem, mimo że próbują obejść go i zbliżyć się do Dimii.

– Uciekaj! – krzyczę do niej, a golem odwraca się i rzuca mną. Przez chwilę szybuję w powietrzu, a nad sobą widzę księżyc. Kiedy uderzam o ścianę budynku, w oczach pokazują mi się gwiazdy, a w plecach słyszę cichy trzask. Po chwili ból uderza z taką siłą, że nie mogę nawet krzyknąć, kiedy agonizacja ściska mnie za gardło. Nie czuję nic, leżę na ziemi i patrzę w noc.

Wszystko robi się czarne.

Kiedy się budzę, nadal leżę na ziemi. Mrugam szybko, zbyt oszołomiona, żeby się poruszyć. Kątem oka dostrzegam błysk, a potem pojawia się Dimia wymachująca dużym kijem, którego koniec płonie. Staje w pewnej odległości ode mnie, wykonując pchnięcie w stronę golema, który próbuje jej dosięgnąć. Nie ma śladu mężczyzn. Cisza wydaje mi się tak głośna, że przez chwilę zastanawiam się, czy od uderzenia nie straciłam słuchu. Golem nie ma ust, a Dimia również nie wydaje żadnego dźwięku. Słyszę tylko syk jej pochodni, kiedy dotyka glinianego boku golema, oraz szmer jej butów na ziemi, kiedy unika jego ataku.

Uderza płonącym kijem w dłoń golema, który zatacza się w tył i tracę go z oczu. Następnie golem szarżuje naprzód, a Dimia odskakuje i przetacza się na bok, schodząc mu z drogi.

Ja jednak nie mogę się oddalić.

Najpierw próbuję poruszyć palcami u stóp, potem kolanami, a na końcu biodrami. Nie wiem, czy się ruszają, nie czuję ich. Nie czuję nóg. Nie czuję niczego. Powinnam być teraz w agonii. Golem rzucił mną o budynek.

Ten trzask to był mój kręgosłup.

Mam złamany kręgosłup.

Rozdział 20



Z lewej strony słyszę krzyki. Łkam z bezradności, zaciskam oczy, kiedy wiele par stóp przebiega obok mnie. Potem staram się je otworzyć, desperacko próbując powstrzymać się od płaczu i krzyku. Próbuję zmusić swoje nogi do ruchu, ale nic z tego. Nic nie czuję.

– Celujcie w rękę – krzyczy Dimia i wtedy dostrzegam tłum mężczyzn i kobiet z pochodniami takimi jak ta, którą ma Dimia. Wszyscy wykonują pchnięcia w stronę golema. Dimia walczy razem z nimi. Obnaża zęby, kiedy wbija pal w rękę stwora, która zdaje się płonąć. „Chciała walki i ją dostała” – myślę oszołomiona. Jest otoczona ludźmi, którzy przyłączają się do walki. Ma swoją armię.

Nie sądzę, żebym została jej aptekarką.

Dostrzegam, jak po raz trzeci uderza płonąca głównią w wyciągniętą rękę golema, która tym razem sztywnieje. Dimia wraz z pozostałymi odsuwa się ostrożnie. Na początku nic się nie dzieje. Potem, bez ostrzeżenia, golem pada na kolana i zamiera w bezruchu.

Dimia patrzy na mnie ponad jego ciałem. Odrzuca pochodnię i podbiega do mnie.

– Errin – mówi, wyciągając dłoń.

– Nie – odpowiadam, próbując uśmiechać się do niej, uspokoić ją. – Nie poruszaj mną. Mam złamany kręgosłup.

– Nie. – Patrzy na mnie. – Nie.

Biorę głęboki oddech i zdaję sobie sprawę, że jestem spokojna.

– Posłuchaj – mówię cicho. – Moja matka nazywa się Trina Vastel. Cierpi na tę samą chorobę, co Szkarłatny Varulv. Możesz o tym przeczytać. Mikstura, która jej pomogła, zwana jest Eliksiem Życia.

Alchemik, którego szukałam, którego z tobą pomyliłam, potrafi ją zrobić. Jeśli mama dostanie Elikser w nocy przed pełnią i po niej, nic jej nie będzie. Bez tego zrobi ci krzywdę. Więc jeśli mogłabyś zdobyć trochę... Proszę, odnajdź ją. Pomóż jej.

Dimia przytakuje, a z jej oczu płyną łzy.

– Świetnie radziłaś sobie w walce – mówię. – Nie myślałam, że tak będzie, ale pomyliłam się. Zabiłaś go. Gdyby...

Na jej ramionach pojawiają się odziane w rękawice dłonie i ktoś odciąga ją na bok.

Jej miejsce zajmuje Silas Kolby.

– Ty głupia, głupia dziewczyno – mówi i patrzy na mnie, wykrzywiając usta. – Dlaczego odeszłaś beze mnie?

– To ty mnie zostawiłeś – mówię, spoglądając w jego bursztynowe oczy. – Unwin cię widział.

– A ty go posłuchałaś? – Silas przygląda mi się, jego oczy błyszczą. – Nigdy bym tego nie zrobił. – Potrząsa głową. – Nigdy bym tego nie zrobił – powtarza.

– Musimy wejść do środka – odzywa się kobiecy głos.

Przytakuje, nie spuszczając ze mnie wzroku.

– Podniosę cię.

– Nie możesz. – Znowu odzywa się ta sama kobieta. – Silasie, ona ma złamany kręgosłup. To byłoby okrutne. – Ścisza głos. – Ona nie przeżyje.

– Przeżyje.

Nastaje cisza, powietrze zdaje się falować.

– Chyba nie chcesz... – Kobieta pojawia się w zasięgu mojego wzroku. Ma ciemną skórę i ciemne włosy. W dłoniach trzyma małe, cienkie miecze. Jej zaciśnięte usta wyrażają dezaprobatę. Jej oczy rozszerzają się, kiedy spogląda w dół na Silasa, próbując nie patrzeć na mnie. Nagle zdaję sobie sprawę, że ją poznaję.

– Tak, chcę – mówi.

– Ona nie jest jedną z nas.

Silas odwraca się i mimo że nie widzę jego twarzy, to, w jaki sposób kobieta się odsuwa, mówi mi wszystko, co powinnam wiedzieć o jej wyrazie. Kiedy odwraca się do mnie, na jego białych rzęsach dostrzegam łzy.

– Już dobrze – zapewniam go.

– Będzie dobrze – mówi. Nie mruga, patrzy surowo naprzód i ostrożnie wsuwa rękę pod mój połamany kręgosłup. Nie czuję dotyku jego ramion, kiedy mnie podnosi i trzyma blisko swojej piersi. Nigdy nie lubiłam bólu, ale to jest jeszcze gorsze. Ta nicość. Czuję się, jakbym miała za chwilę odlecieć.

– Chodźmy – mówi stanowczym głosem.

Patrzę na niego, kiedy się przemieszczamy, ale jego spojrzenie skierowane jest przed siebie, a jego

zaciśnięte w linię usta wyrażają koncentrację. Kątem oka widzę idącą obok niego Dimię, która spogląda na mnie. Uśmiecham się lekko, ale wystarczająco, żeby zrobiła to samo. Moje spojrzenie pada na budynki po obu stronach ulicy. Jesteśmy z powrotem na placu kupców. Zatrzymujemy się przy jednym z domów. Patrząc w górę, ponownie dostrzegam przekreślony okrąg i zdaję sobie sprawę, że jesteśmy przed domem handlarza solą. Znowu nachodzi mnie to drażniące uczucie. Rozpoznaję ten znak i próbuję sobie przypomnieć skąd. Z książki? Z moich lekcji?

Po chwili znowu ruszamy. Po przejściu przez drzwi powietrze natychmiast staje się zimniejsze, jakbyśmy znaleźli się w mleczarni albo chłodni. Jednak tutaj jest ciemno, a drogę rozświetlają pochodnie. Czuję, jak zmienia się chód Silasa, który stawia teraz mniejsze kroki. Schodzimy w dół.

– Gdzie jesteśmy? – szepczę.

– Ciii. Odpoczywaj – odpowiada również szeptem, a ja czuję, jak jego głos rozbrzmiewa w mojej klatce piersiowej. Chcę mu powiedzieć, żeby mnie nie ignorował, ale nagle czuję się wyczerpana. Co jakiś czas słyszę otwieranie i zamykanie drzwi, zbyt wiele, żeby policzyć. Pozwalam swoim powiekom opaść. Poddaję się ogarniającemu mnie odrętwieniu.

Chyba musiałam stracić przytomność, bo kiedy znowu widzę cokolwiek, nie jestem już w ramionach Silasa. Leżę na plecach, wpatrując się w skalny sufit. Nie czuję, na czym leżę, ale po wysokości zgaduję, że to jakiś stół. Pokój oświetlony jest świecami, a na ścianach wiszą kinkiety. Z sufitu zwisają stalaktyty. Tysiące białych i błyszczących igieł. Jesteśmy pod ziemią.

Oczywiście, można by przemierzyć całe królestwo i nigdy nie znaleźć tego miejsca. Nie dziwi mnie, że usypiano gości przed sprowadzeniem ich tutaj.

Jesteśmy w Konklawe. Pod Tremayne. Było tutaj. To właśnie oznacza ten symbol. Alchemicy. Na drzwiach i na nagrobkach. Jest też częścią księżycowych tatuaży Silasa. Okrąg przecięty przez środek linią. To symbol alchemiczny. Przez cały czas był pod moim nosem.

– Wyjdźcie! – Silas rozkazuje nieznanym mi ludziom, żeby opuścili salę, co też robią. Kobieta, która wcześniej protestowała, stoi z tyłu. Mogę ją dostrzec, spoglądając w bok. Jej ramiona są uniesione i sztywne. Pozostaje tylko Dimia, która wygląda na zdenerwowaną, a jej oczy są skupione na czymś, co znajduje się za mną.

– Potrzebujesz Elik siru – mówi łagodnie. – Bez niego... – milknie i zaciska wargi.

Patrzę na nią.

– Przecież mówiłaś, że nie jesteś alchemikiem.

– Nie jest – odzywa się Silas z lewej strony, a ja spoglądam w kierunku, z którego dobiega jego głos.

Jest jeszcze jeden stół obok tego, na którym leżę. Silas stoi za nim i umieszcza trójnóg na kawałku łupka. Moje serce przyspiesza, kiedy kładzie pod nim małą miszkę, a na niej stawia kolejną, ceramiczną, cienką, wydającą się mienić wszystkimi barwami tęczy w blasku świecy. Przyglądam się, jak przygotowuje szczypcę, szklane słoiki z proszkami i liśćmi, dwa gliniane naczynia, zwoje papieru, które szeleszczą o odrapany, drewniany stół, kiedy je na nim kładzie, pipety i łyżki,

ceramiczne mieszadła. Otwieram usta i wlepiam w niego wzrok.

– To ty? – mówię. – Ty jesteś filtromantą?

Przytakuje, ale nie patrzy na mnie, nadal rozkładając swoje laboratorium. Nic z tych rzeczy nie wygląda na specjalnie alchemiczne. Taki sam sprzęt, jaki znam z pracy w aptece, ale to, że widzę go w tym miejscu, z jakiegoś powodu wydaje mi się dziwne i powoduje u mnie dreszcz podobny do strachu.

– To przez cały czas byłeś ty? – pytam, a on znowu potwierdza skinieniem. – Ale dziewczyna...

Jego bursztynowożłote oczy odnajdują moje spojrzenie i uciszają mnie natychmiast. Wygląda, jakby patrzył w głąb mnie, czytał mnie. Mimo że moja skóra zdaje się płonąć, nie wzdrygam się ani nie odwracam wzroku.

On pierwszy zrywa kontakt.

– Co czujesz?

Zamykam oczy, próbując skupić się na swoim ciele.

– Nic – mówię i otwieram szybko oczy, a mój głos zmienia się w szloch.

Silas bierze głęboki oddech.

– Możesz spróbować poruszyć palcami u stóp? – pyta.

Skupiam się na tym, na poruszaniu nimi, a on patrzy na mnie surowo, po czym potrząsa głową.

– Palce u rąk?

Próbuję, a Silas wypuszcza powietrze z płuc i spogląda na Dimię, która przytakuje.

– Poruszyły się? – pytam i wzbiera we mnie nadzieja.

– Mały palec tak – mówi Dimia.

– Jeszcze raz – odzywa się Silas, a ja robię to, o co prosi. Kiedy przytakuje, uczucie ulgi jest upajające.

– Dobrze. To dobrze – mówi Silas, ale chowa twarz w okrytych rękawicami dłoniach, co zaprzecza jego słowom.

Odsłania twarz i patrzy na swoje dłonie, po czym bierze głęboki oddech. Wydaje się, że wraz z tym oddechem pomieszczenie stało się mniejsze, bliższe, jakby przyciągnął je do siebie.

Powietrze jest gęste od panującej atmosfery wyczekiwania. Osiada na mnie jak zasłona i sprawia, że włosy z tyłu mojej szyi unoszą się pod drapiącą wełną tuniki. Czuję to.

– Jesteś gotowa? – pyta. – To może nie zadziałać. Ja nigdy... Nie z czymś tak poważnym. Ale warto spróbować.

– Dziękuję ci – szepczę.

Silas kiwa głową i zaczyna pracę. Odkorkowuje butelki, rozwija zwoje papieru i sprawdza wagę. Kiedy znowu na mnie spogląda, uśmiecham się, a on odchrząkuje.

– Zaczynamy więc. – Otwiera mały pakunek woskowanego papieru z wyrysowanym kołem przeciętym linią na dwie części, a ja wstrzymuję oddech.

– Co? – pyta i zerka na mnie, a w jego ochrypłym głosie słyszę zdziwienie. Następnie wysypuje na stół białe ziarenka.

– Czy to sól?

– Tak. – Zbiera do rąk rozsypaną sól. – Dlaczego pytasz?

– Nie dawało mi to spokoju, wszędzie to widziałam. Zdałam sobie sprawę, że ma związek z alchemią, kiedy tu przybyliśmy. Do teraz nie wiedziałam jednak, że oznacza sól. Doskonałą substancję oczyszczającą.

Wzdycha, a następnie sypie białe kryształki na wagę, równoważąc je za pomocą wyglądających na drogie odważników z brązu, po czym przytakuje z satysfakcją.

– Ta sól pochodzi stąd. Kryształki tworzą się, kiedy woda przecieka przez skałę. To właśnie ona lśni tam na górze. – Wskazuje palcem mieniący się sufit, a potem przesypuje sól do moździerza i zaczyna ją mielić. – *Sal Salis*. To co innego niż sól morska. Nie chciałabyś przyprawić nią jedzenia. Zaufaj mi, przekonałem się na własnej skórze.

Podciąga rękawy swojej tuniki, a potem zawija pod ramionami. Widzę, jak jego mięśnie poruszają się, kiedy pracuje, to zaś, jak napinają się i rozluźniają, kiedy zmienia sól w proszek i wysypuje go do miski, wydaje mi się dziwnie hipnotyzujące.

– Czy możesz rozpaść ogień? – mówi, wrywając mnie z transu.

Dimia pojawia się obok niego przy stole i uśmiechając się do mnie, uderza w krzesiwo. Czuję ukłucie zazdrości, kiedy widzę, jak pracuje u jego boku. Też chcę w tym uczestniczyć.

Milczę, kiedy on mówi jej, co ma mu podać. Przyglądam się, jak dodaje składniki do ceramicznej miski, próbując za nim nadążyć, kiedy wskazuje zioła, rośliny, proszki, rzeczy, które znam, rzeczy, których nigdy nie widziałam, i rzeczy, o których istnieniu nie miałam pojęcia. Nagietek, wilec, anielska woda, tonik spagiryiczny, liść laurowy, mandragora, powój, kora cisowa, pszenica. Nazwy wirują w moim umyśle, a ja próbuję zapamiętać je wszystkie.

Kiedy mikstura podgrzewa się, zaczyna się z niej wydobywać dziwny, ziołowy zapach, aż marszczę nos.

– Będzie znacznie gorzej. – Silas odsuwa się od stołu i znika mi z oczu. Kiedy wraca, niesie ze sobą dwa gliniane naczynia. Zagląda do miski, po czym umieszcza je obok. – Prawie – mówi, tak samo do siebie, jak do Dimii i do mnie. Przysuwa naczynia do siebie, a ja zauważam, że na obu wypalone zostały symbole.

Na pierwszym znajduje się trójkąt z odwróconym krzyżem wychodzącym z jego podstawy. Z niego Silas wyjmuje żółty kamień. Z drugiego, oznaczonego okręgiem z koroną, wyjmuje czerwony kamień. Kładzie każdy z nich na małym, płytkim, miedzianym talerzyku oznaczonym takim samym symbolem jak gliniane naczynie, po czym umieszcza talerze obok trójnogu.

– Musisz teraz wyjść. – Patrzy na Dimię, która przytakuje niechętnie i rzuca mi spojrzenie.

– Niedługo się zobaczymy – mówi, a przechodząc, dotyka mojej dłoni. Wydaje mi się, że to czuję. Uśmiecham się do niej, a potem już jej nie widzę. Spoglądam w stronę Silasa.

Wyjmuje świecę, mały, tępy nożyk, szklaną rurkę i kryształową fiolkę z płaską, metalową podstawką i kładzie przed sobą. Robi to tak precyzyjnie i metodycznie, że aż ogarnia mnie wściekłość, że nie mogę usiąść i dokładnie się temu przyjrzeć. Nagle dociera do mnie, że to, co widzę, to prawdziwa alchemia. Od początku do końca. Nie produkt końcowy po narkotycznym śnie, ale być może ostatni filtromanta na świecie, warzący Elixir od podstaw na moich oczach.

Silas wydycha powietrze, głośno, wrywając mnie z podziwu. Z prędkością błyskawicy zanurza świecę w płomieniach pod białą miską i używa jej do podpalenia czerwonego i żółtego kamienia. Pomieszczenie natychmiast wypełnia się metalicznym, siarkowym smrodem, a ja żałuję, że nie mogę zakryć nosa. Podnosi białą miskę odzianymi w rękawice dłońmi i przenosi jej zawartość do kryształowej fiolki. Wkłada cienki koniec przypominającego rurkę instrumentu do szyjki fiolki i trzyma go w dymie wydobywającym się z czerwonego kamienia. Patrzę, jak płynie z szerokiej miski poprzez cienką rurkę i trafia do fiolki, gdzie krystalizuje się i opada na dno, tworząc warstwę o głębokim kolorze krwistej czerwieni. Kiedy czerwień dociera do połowy, Silas przerywa i powtarza ten sam proces z żółtym kamieniem. Żółta warstwa jest cięższa od czerwonej i opada na samo dno fiolki.

Kiedy pozostaje miejsca ledwie na jedną kroplę, usuwa rurkę i odstawia fiolkę, zakorkowując ją. Ignorując moje westchnienie, przy użyciu lewej dłoni gasi oba kamienie, najpierw żółty, potem czerwony, aż one i jego rękawica tłą się lekko.

Wydaje się jednak nie zwracać uwagi na ból. Potrząsa butelką, a płyn w jej wnętrzu zmienia kolor na jasnoróżowy.

Jego czoło jest zmarszczone, a usta zaciśnięte w linię i wyrażają ce zrezygnowanie, ale po chwili rozchyła je i spogląda na mnie. Skupiając na mnie wzrok, zdejmuje rękawice i kładzie je na stole. Płonącymi oczami patrzy na swoje dłonie, a ja robię to samo. Ten widok zapiera mi dech, zapominam o moich plecach i o wszystkim innym.

Palce jego lewej dłoni są czarne. Kciuk jest nadal bladoróżowy, jak cała jego prawa dłoń, ale reszta lewej dłoni jest cała w kolorze czerni.

Nie mogę oderwać od niej wzroku. To okropne.

Silas wydaje cichy dźwięk, a ja zauważam, że patrzy na mnie, kiedy przyglądam się jego dłoni. Próbuję znaleźć jakieś słowa, jakiegokolwiek, żeby zapytać, co to, ale nie znajduję żadnych. Zamiast tego otwieram usta i marszczę brwi, jakby z przerażenia.

Silas dostrzega to i coś zmienia się w wyrazie jego twarzy. Spuszcza wzrok i wraca do pracy, otwierając fiolkę i ostrożnie ją przechylając, aż pojedyncza kropla mikstury spada na czubek jego lewego kciuka. Potem stawia fiolkę na jej metalowej podstawce.

Podnosi mały nóż i wykonuje nacięcie na swoim lewym kciuku dokładnie tam, gdzie spoczywa kropla Eliksiru. Przez krótką chwilę krew, która wydobywa się z rany, jest czerwona, zaraz jednak zmienia się w jasną, perłową biel, kiedy styka się z Eliksirem. Silas przechyla kciuk, a biała kropla wpada do fiolki, zatrzymując się na tafli białego płynu i lśniąc delikatnie w kolorze kości słoniowej.

Spoglądam na jego kciuk akurat w chwili, kiedy robi się czarny. Widzę, jak jego skóra się zmienia.

Ciemność rozprzestrzenia się po nienaznaczonej jeszcze skórze jego dłoni. Spływa w dół po jego nadgarstku i zatrzymuje się w taki sposób, że tworzy przerażającą imitację rękawicy, którą właśnie zdjął. Na ten widok ściska mnie w brzuchu.

Podchodzi do mnie z fiolką Elixiru w zdrowej dłoni, ale to na tej drugiej się skupiam. Umieszcza ją, odsłoniętą, szerniałą, pod moją głową. Zimny dotyk przeklętej skóry na mojej skórze wywołuje we mnie wstrząs. Podnosi moją głowę i wlewa mi do ust zawartość fiolki, co do kropli. Smak jest lekko metaliczny. Spoglądam na niego z odrazą i współczuciem.

Kiedy odwzajemnia moje spojrzenie, jego oczy wydają się wieczne i niezgłębione.

– Połknij – mówi, a ja robię, o co prosi.

Opuszcza delikatnie moją głowę i odsuwa się, wracając z drugą fiolką. Kiedy przytyka mi ją do ust, czuję zapach maku.

Wypijam zawartość bez zastanowienia, nagle pragnąc zapomnieć.

Ostatnią rzeczą, którą pamiętam, jest to, że podnosi mnie ze stołu. Znowu ma na dłoniach rękawice, poszarpane i nadpalone, ukrywające zniszczone ciało.

*

Śnię, ale po raz kolejny jestem tego świadoma. Gdzieś w oddali czuję ból w swoim ciele. Czuję, jakby moje kości w dolnej części pleców ocierały się o siebie. Świadomość, że to nieprawda, nie wydaje się istotna, ponieważ wymyka mi się, gdy tylko zdaję sobie z tego sprawę. Stoję na progu pomieszczenia o wysokim suficie, z dużymi, szklanymi oknami i podłogą z kamiennych płyt. Nigdy wcześniej tu nie byłam, tego jestem pewna. Jest to miejsce wypełnione atmosferą dostojeństwa i obfitości. Jednak najbardziej niesamowitym elementem znajdującym się tutaj jest człowiek ze srebra siedzący na złotym tronie.

Ten człowiek to Śpiący Książę.

Czekam, aż ogarnie mnie przerażenie, wstrząśnie mną i każe uciekać, ale tak się nie dzieje. Nie widzę dokładnie szczegółów jego twarzy, poza złotymi oczami. Są niewyraźne, zmieniają się. Podnosi wzrok i zdaje się mnie dostrzegać. Uśmiecha się lekko, a w wyrazie jego twarzy widać aprobatę. Mam na sobie długą, czerwoną sukienkę – czy może bardziej suknię – aksamitną i delikatną w dotyku, jak skórka brzoskwini. Wyciąga do mnie rękę, a ja podchodzę do niego, wciąż nie czując strachu. Bierze moją twarz w swoje dłonie, zaczesując moje włosy za uszy.

– Przyszłaś – mówi, a jego głos jest jak poranek, jak miód. Jest ciepły, bogaty i smakowity. – Bardzo się cieszę.

Jeśli głos Silasa jest ostry i kolczasty, a każde jego słowo brzmi jak ostrzeżenie, to głos tego mężczyzny jest gładki, aksamitny i kuszący. Ma złote oczy, jak Silas, i takie same białe włosy, ale długie i lśniące. Ma takie same kości policzkowe i jest tak samo nienaturalnie blady. Jego usta poruszają się w ten sam figlarny sposób.

– Myślałam, że jesteś Silasem – mówię. – Przez cały ten czas myślałam, że ty to on.

– Kto to jest Silas?

– Mój przyjaciel. On... Uratował mnie.

– Doprawdy? W jaki sposób?

– Twoje potwory złamały mi kręgosłup.

– Ach, to byłaś ty. Nie miałem pojęcia. To paskudnie z ich strony. Ukarzę je za to.

– Zrobił dla mnie Elikzir. Uleczył mój kręgosłup.

– To interesujące – mówi Śpiący Książę. – A więc filtromanta to mężczyzna? Bardzo interesujące.

Powiedz mi, moja słodka... Nadal jesteś w Tremayne? Ty i twój przyjaciel?

– Ukrywamy się. Przed tobą.

– Przede mną nie można się ukryć, kochana.

Dotyka ustami mojej brwi i całuje mnie w czoło. Czuję, jak jego usta wyginają się w łuk na mojej skórze, kiedy się uśmiecha, wysyłając przez moje ciało falę ciepła.

Odchyła się do tyłu i patrzy na mnie głodnymi oczami, a moje oczy zaczynają się zamykać w oczekiwaniu na jego pocałunek.

Zamiast tego uderza dłonią w moją pierś, rozrywając suknię i roztrzaskując mi żebra. Po chwili moje serce znajduje się w jego zaciśniętej pięści, nadal bijąc. Zaczynam tracić przytomność, kiedy zbliża je do swoich uśmiechniętych ust i oblizuje je.

– Potrzeba więcej soli. – Uśmiecha się.

Rozdział 21



Budzę się z krzykiem, sięgając rękami do klatki piersiowej, przekonana, że jest w niej otwarta rana.

Potem przechylam się na bok i wymiotuję. Moim brzuchem wstrząsają skurcze, ale nic się nie wydobywa. Kiedy skurcze mijają, kładę się z powrotem na poduszce, ciesząc się dotykiem chłodnego, sztywnego, drapiącego nieco materiału na mojej rozgrzanej skórze, i czekam, aż moje serce zwolni.

Mojego czoła dotyka odziana w rękawicę dłoń. Otwieram oczy i widzę Silasa stojącego nade mną.

– Sól – mówię zmęczonym głosem. Sen już zaczyna znikać, ale zostawia po sobie nieprzyjemny smak. Po chwili przypominam sobie o golemie i o moim złamanym kręgosłupie. O alchemii.

Siadam.

Mogę usiąść.

Ogarnia mnie radość. Patrzę przez chwilę na Silasa, po czym sprawdzam swoje stopy, poruszając palcami. Nie mogę opanować śmiechu, poruszając kolanami, kręcąc biodrami i machając rękami. Z mojej prawej dłoni usunięto bandaż, a skóra na moich kłykciach wydaje się nienaruszona. Zdziałało. Jestem taka jak przedtem.

– Jestem uzdrowiona. Udało ci się. Uzdrowiłeś mnie.

Patrzy na mnie z twarzą pozbawioną wyrazu.

– Tak.

Wraca do mnie wszystko inne, co wydarzyło się tej nocy. Oczami umysłu widzę czerń rozprzestrzeniającą się po jego dłoni, pożerającą jego skórę i przechodzi mnie dreszcz.

Silas natychmiast się odsuwa.

– Zostawię cię teraz, żebyś mogła odpocząć.

– Nie, proszę. Przepraszam – mówię.

Rzuca mi spojrzenie. Jego oczy błyskają, a wargi zaciskają się.

– Nie chcę cię niepokoić. – Wyraz jego twarzy jest przytłaczający, a głos ostry jak nóż.

– Nie niepokoisz mnie. Ja tylko... – Próbuję odepchnąć od siebie wspomnienia i uspokoić głos. –

Silasie...

– Przestań. Ja też nie potrzebuję twojej litości.

– Nie. Oczywiście, że nie. – Przełykam ślinę i próbuję dojść do siebie. – Powiedz mi przynajmniej, czy to boli?

Powoli wypuszcza powietrze z płuc, przechodzi przez pokój i opada na drewniane krzesło.

– Nie boli – mówi w końcu, a jego słowa, pełne ostrych odłamków, ranią moje serce.

Jego głowa jest pochylona. Widzę, jak skubie poszarpane rękawice, dostrzegając pod nimi fragmenty pociemniałej skóry.

– Co to jest?

Milczy przez długą chwilę, patrząc na swoje dłonie. Czekam, delikatnie poruszając palcami u stóp, czując na zmianę wielką radość i winę.

– To nie jest zaraźliwe, jeśli o to ci chodzi.

– Nie o to – mówię podniesionym głosem. Biorę głęboki oddech, a potem spokojnie mówię. –

Silasie, proszę. Jestem aptekarką. Widziałam już... różne choroby.

– To nie choroba.

– A więc co...?

– To klątwa – rzuca ostro i spogląda na mnie. – To klątwa filtromancji. Wszyscy alchemicy noszą klątwę. To jest moja. Jej nazwa to *Nigredo*.

– Czy to... Czy to przejdzie? Wyleczy się? – Staram się mówić spokojnie, odrzucając od siebie wrażenie, że stoi za mną śmierć.

– Tak, gdybym miał trochę Eliksiru. Wtedy znowu moja skóra stałaby się normalna.

– Nie możesz zrobić więcej? – pytam.

– Mogę. Ale nie będzie na mnie działał. Nigdy nie działa. Gdyby był inny filtromanta, to mógłbym użyć jego Eliksiru. Oczywiście też musiałby wtedy zmagać się z własnym *Nigredo*. Chyba że zrobiłbym dla niego trochę swojego Eliksiru... Widzisz, w czym tkwi problem?

Przytakuję i milknę. Spuszcza głowę i znów zaczyna bawić się swoimi rękawicami. Jego ramiona są opuszczone, a ja mam ochotę podejść i przytulić go. Wiem jednak, że nie pozwoliliby na to, więc pozostaję na swoim miejscu, pozwalając ciszy wybudować między nami ścianę, aż nie jestem już w stanie tego znieść.

– Dlaczego? – pytam. – Dlaczego tak się dzieje? Skąd wzięła się klątwa?

Powoli podnosi wzrok, jakby zapomniał, że tam jestem. Potem uśmiecha się smutno.

– Alchemia, Errin. Jaka jest główna zasada alchemii? Jaka jest jej ostateczna funkcja? Co mówią na jej temat książki?

– Transmutacja. Zmienianie podstawowych metali w inne substancje – mówię. – Ale ty jesteś człowiekiem.

– A w ludzkich żyłach płynie krew pełna żelaza... – mówi powoli, a moje usta otwierają się z przerażenia. – Za każdym razem, kiedy alchemik oddaje się swojej sztuce, część jego samego zmienia się. Nie da się stwierdzić, która to będzie część. Paznokcie, uszy, płuca, serce...

Ścisza głos...

Otwieram usta, żeby zapytać, gdzie jeszcze dotknęły go zmiany, ale przerywa mi, energicznie potrząsając głową.

– Tylko moje dłonie. Jak do tej pory. Ale będzie gorzej, to pewne. Jeśli nadal będę to robił.

– A więc będziesz musiał przestać. – Przez jego twarz przelatuje jakiś dziwny grymas, coś ulotnego i nieodgadnionego. – To nie jest tego warte – mówię. – Możesz umrzeć. Co jeśli następnym razem stanie się to z twoim sercem albo z płucami?

Patrzy na mnie.

– To uratowało twoje życie. Może uratować niezliczone istnienia.

– Ale musiałbyś poświęcić swoje życie. – Odwraca wzrok. – Poczekaj. A więc wszyscy alchemicy noszą klątwę? Czy to oznacza, że Śpiący Książę również? Czy jego też to spotyka za każdym razem, kiedy tworzy golema?

Silas potrząsa głową.

– Niestety.

– Dlaczego nie?

– Wiesz, że Aurek i Aurelia byli pierwszymi alchemikami? Urodzili się z tym. Mieli księżycowe włosy i boże oczy, ale nikt nie wiedział, co to oznacza. Kiedy mieli osiem lat, Aurek zaczął krwawić z nosa, a jego krew spadła na metalowe kulki, którymi się bawił. Zmieniły się w szczerę złoto. Za zgodą króla przeprowadzono eksperymenty i odkryto, że krew Aureka zmieniała zwykłe metale w złoto, jeśli ich dotknęła, oraz, co przerażające, jeśli dotknęła gliny, dawała jej życie. Krew Aurelii na początku zdawała się nie mieć żadnej mocy, aż jeden z bardziej gorliwych naukowców dodał jej krwi do wody i to wypił. Natychmiast zauważył, że jego sińce zniknęły, a podagra nieco się uspokoiła. Pobrano więcej krwi, a każdy, kto ją wypił, został uleczony z wszelkich dolegliwości.

Krzywię się z obrzydzeniem, ale nie jestem zaskoczona.

– Mówiłem ci, że Aurek spłodził wiele dzieci, które były wychowywane w pałacu? Cóż, próbowano wykorzystać ich krew do tworzenia złota, licząc na to, że odziedziczyły jego dar, ale nic się nie stało. Nie podziałało. Próbowano z większymi i mniejszymi ilościami krwi, ale żelazo pozostawało żelazem, a woda – wodą. Prawie zabito jedną z dziewczynek, upuszczając jej zbyt dużo krwi. Dlatego właśnie Aurelia zabrała je ze sobą, kiedy Tallith upadło, żeby uniemożliwić dalsze próby.

– O bogowie – szepczę, oburzona tym, co usłyszałam.

– Próbowano wykorzystywać też krew Aureka, kiedy już spał. Nakłuwano go i kradziono jego krew, ale trucizna, która pogrążyła go we śnie, zdawała się również pozbawiać go mocy. Dlatego właśnie Aurelia ukryła jego ciało i zabrała dzieci. Uznała, że alchemia umrze wraz z nią, i postanowiła żyć w spokoju, aż to się stanie. Jednak dzieci odkryły, że mogą uaktywnić alchemiczną moc swojej krwi. Niektóre z nich próbowały stworzyć miksturę, która obudzi ich ojca. Jedno przypadkowo skaleczyło się w palec, a kropla krwi wpadła do miski. Legenda głosi, że krew zabulgotała i zaczęła dymić, a kiedy dym opadł, na dnie pozostała grudka złota. Dzieci znalazły sposób, żeby być alchemikami, jak ich ojciec. Jednak miało to swoją cenę.

– *Nigredo*.

Silas potrząsa głową.

– Kłątwa aurumantów nazywa się *Citrinitas*. Tak jak *Nigredo*, wpływa na nich fizycznie. Ale oni zamieniają się w złoto. To jest cena, którą muszą zapłacić. Mogli zrobić tyle złota, ile tylko chcieli, ale za każdym razem, kiedy to robili, część nich również zmieniała się w złoto. – Przerzywa i przechyla głowę. – Myślę, że oni mają gorzej. Jeśli *Nigredo* zatrzyma moje serce, przynajmniej nikt nie wytnie go z mojej piersi, żeby je sprzedać.

Zakrywam dłońmi usta.

– Aurelia była wściekła – mówi, na nowo pogrążając się w opowieści. – Próbowала powstrzymać ich od tworzenia złota, ale dzieci domagały się prawa wyboru. Poddała się ich woli, mówiąc, że kiedy skończą dziewiętnaście lat, będą mogły same zdecydować. Zakazała jednak innych eksperymentów, bojąc się tego, do czego mogły doprowadzić. Kto mógł ją za to winić po tym, co widziała w Tallith? Siostry podtrzymywały tę zasadę. Dlatego właśnie nie możemy sami tworzyć trucizn. Możemy wytwarzać *Opus Magnum*, ale nic więcej. Nigdy się tego nie nauczyliśmy.

Powtarzam w myślach słowa: *Opus Magnum*, a Silas kontynuuje.

– Aurelia w końcu wyszła za mąż i miała własne dzieci. Dała im taki sam wybór, jak swoim kuzynom i kuzynkom. – Patrzy w dół na swoje ręce. – Nie wiedziała, jak będzie wyglądała ich kłątwa, jeśli w ogóle wystąpi, ale szybko okazało się, że jest inna niż *Citrinitas*. Nie wiemy, dlaczego tak się dzieje. Było w ich krwi coś innego, niż we krwi Aureka i Aurelii, jakiegoś zanieczyszczenie. Dzisiejsza alchemia zawsze zaczyna się od tej samej bazowej mikstury, tak przy tworzeniu Eliksiru, jak i złota. To właśnie krew powoduje różnicę.

– Ach, Silasie – wzdycham i kręci mi się w głowie. – A więc mikstura, której używacie do sporządzania Eliksiru, miała być lekarstwem, które obudzi Śpiącego Księcia?

– Na początku. Znasz powiedzenie „podobne lecz podobnym”? – pyta, a ja przytakuję. To zasada często stosowana w aptekarstwie. To, co jest przyczyną, może również leczyć, jeśli dawka jest odpowiednia. – Zrobili to, co ty próbowałaś zrobić z Eliksirem. Zdekonstruowali pozostałości trucizny z fiolki znalezionej w komnatach szczurołapa. Wyizolowali wszystkie składniki: sól, rtęć, siarkę i inne, i eksperymentowali z odwróceniem działania mikstury. Myśleli, że go obudzą, a on przywróci świetność Tallith.

– Tego właśnie chcieli?

– Początkowo to był ich cel. Obudzić Śpiącego Księcia, a potem odzyskać i odbudować Tallith.

Przestać się ukrywać i wrócić do domu.

Zanim zdążę zapytać go o cokolwiek innego, kotara odsuwa się i wychodzi z za niej ciemnoskóra kobieta. Przypominam sobie jej imię – Nia, córka handlarza solą. Kupowaliśmy kiedyś od niej sól do apteki. Ona ją dostarczała.

Nie patrzy na mnie, tylko na Silasa.

– Twoja matka jest tutaj.

Silas przytakuje.

– Dziękuję, Nia. Powiedz jej, że niedługo do niej dołączę.

Nia unosi brwi, nic nie mówiąc. Wychodzi szybko z pokoju, odrzucając kotarę na bok.

– Znam ją – mówię. – Myślałam, że mnie lubi.

– Dziwnie się zachowuje przy ludziach z zewnątrz. To zaskakujące, biorąc pod uwagę, że sama nie jest alchemikiem, tylko żoną alchemika.

– Jej mąż jest alchemikiem?

– Jej żona.

Próbuję sobie wyobrazić kobietę alchemika, ze srebrnymi włosami i bursztynowymi oczami. Tak właśnie musiała wyglądać Aurelia.

– A więc to jest Konklawe.

– Witam.

– Mieszkałam nad nim przez całe życie.

Silas przytakuje.

– Tak. To mi przypomniało, że słyszałem o twojej matce. Uwolnimy ją. Przyprowadzimy ją tu całą i zdrową. Mam zamiar dotrzymać danego ci słowa. Zawsze go dotrzymuję.

Czuję straszliwe poczucie winy za wszystko. Za szantażowanie go i za brak zaufania. I za to, że prosiłam go, żeby wpuścił tu moją matkę, nie wiedząc, czym ona jest. Zasługiwał na to, żeby wiedzieć.

– Musisz mi pozwolić wszystko wytłumaczyć – mówię. – Okłamałam cię. Chodzi o moją matkę. – Patrzy na mnie pustym wzrokiem. – Ona nie tylko jest w żałobie. Te zadrapania na jej rękach... Myślę, że zaatakował ją Szkarłatny Varulv. Zmienił ją.

– Co?

– Szkarłatny...

– Wiem, co to jest – przerywa mi łagodnym głosem. – To niemożliwe. To tylko opowieść, Errin.

– Tak, cóż, to samo myśleliśmy o Śpiącym Księciu, ale okazało się, że to był błąd.

– Szkarłatny Varulv to naprawdę tylko bajka, jestem tego pewien.

– Nie. Nie wiesz, jak ona się zachowywała. To ona ukruszyła mi ząb. – Odsuwam językiem wargę,

żeby mu o tym przypomnieć. – Widziałeś jej oczy, jak robią się czerwone. I jej dłonie jak szpony. Silasie, kiedy jest pełnia, ona próbuje mnie skrzywdzić. Coś się stało w lesie i myślę... nie, jestem przekonana, że to było właśnie to. To jedyne wyjaśnienie.

Silas wzdycha.

– Errin, widziałem twoją matkę. Pamiętam. Siedziałem przy niej, dwa razy. Uwierz mi, ona nie jest potworem z książek. Jest po prostu smutna i zagubiona. Wiem, że było wam ciężko w Almwyk...

– Nie traktuj mnie z góry – przerywam mu nagle.

– Nie traktuję. Naprawdę. Zdaję sobie sprawę, że było ci trudno poradzić sobie z jej zachowaniem w takich warunkach. To naturalne, że szukałaś wyjaśnienia, szczególnie jeśli nie reagowała na twoje leczenie.

– Zapomnij o tym. – Zsuwam nogi z łóżka, a on podnosi ręce.

– Poczekaj. Przepraszam. Proszę, mów dalej. Wysłucham cię. – Kiedy nie wykonuję dalszych ruchów, Silas kontynuuje. – Posłuchaj, uwolnimy ją, a potem przyprowadzimy tutaj i sprawdzimy, co jej dolega, dobrze? Wyciągniemy ją stamtąd przed kolejną pełnią i wtedy zobaczymy, co możemy zrobić. Jeśli Elixir pomoże, niech tak będzie. Zrobię go dla niej.

Spoglądam na jego odziane w rękawice dłonie i dociera do mnie pełna waga tego, co mi oferuje. O co ja poprosiłam. Jego życie za życie mojej matki.

– Nie pozwolę na to. – Mówię tak cicho, że nie wiem, czy mnie słyszy.

– Złożyłem sobie kiedyś obietnicę – mówi nagle, patrząc na mnie. – Kiedy dorastałem, widziałem, jak mój ojciec krzywdzi siebie, ratując życie innych. Za każdym razem, kiedy ktoś pukał do drzwi, ogarniał mnie strach, że ktoś przyjdzie błagać o pomoc. Cóż, dwa lata temu został poproszony o pomoc. Jak zwykle poszedł sporządzić Elixir. Nigredo zatrzymało jego serce.

Podnoszę ręce do twarzy i zakrywam nimi otwarte usta.

Patrzy w ziemię.

– Nie zabiło go to od razu. Zrobiłem Elixir, żeby spróbować mu pomóc. To... to był mój pierwszy raz. Nie zadziałało. Było za późno. Elixir może wyleczyć wszystko, ale nie może ponownie ożywić martwego serca. Potem... pukano do moich drzwi. A ja odkryłem, że też nie jestem w stanie odmówić. Jak mógłbym, kiedy odmowa oznaczałaby pewną śmierć albo przynajmniej czyjeś cierpienie? Podjąłem więc decyzję. Żadnego małżeństwa. Żadnych dzieci. Żadnych związków. Złożyłem przysięgę lojalności Siostram. Że nigdy nie postawię swojej żony na miejscu mojej matki. Nie będzie musiała patrzeć, jak zabijam siebie, żeby pomóc innym. Nie będzie dzieci, które będą się martwić, że umrę, za każdym razem, kiedy będę robił Elixir. Ani zajmować moje miejsce, kiedy już się to stanie.

– Silas...

– Kiedy zobaczyłem ciebie, leżącą na ziemi, połamaną, nie zastanawiałem się nawet przez chwilę. Zrobiłbym to, nawet gdyby oznaczało to, że Nigredo zabierze moje serce. Zrobiłbym to z radością. – Wstaje i przechodzi przez pokój. Jakimś cudem przejście trzech kroków dzielących mnie od niego zajmuje mu wieki. Przyklęka przy mnie i kładzie dłonie na moich kolanach. – Nie mogłem cię stracić,

Errin. Nie zniósłbym tego.

– Co ty mówisz?

Patrzy na mnie, przełykając ślinę. Widzę, jak grdyka w jego krtani porusza się, a potem znów spoglądam mu w oczy.

– Nie wiem – szepcze.

Powoli sięgam po jego dłonie, zdejmuję z nich rękawice i obejmuję je swoimi dłońmi, dotykając czarnej skóry, oplatając moje palce wokół jego palców. Silas zamyka oczy, a ja przyglądam się mu, jego białym rzęsom ponad ostrymi kośćmi policzkowymi, zarumienionej skórze i wpeł otwartym ustom. Zdaję sobie sprawę, że jego dłonie drżą, i ściskam je lekko. Kiedy otwiera oczy, jego źrenice są szerokie, jak czarne dyski po środku złotych tęczówek. Moje serce przyspiesza, trzepocząc jak skrzydła ptaka. Kiedy przechyliła głowę, ściska mnie w żołądku.

– Silas, twoja... och. – Odwracamy się gwałtownie i dostrzegamy w wejściu zaczerwienioną Dimię. – Przepraszam. Przepraszam bardzo. To twoja matka.

– Co z nią? – pyta, a w jego głosie słychać frustrację podobną do tej, którą odczuwam.

– Czekam na ciebie.

Za Dimią pojawia się kobieta. Jest wysoka i szczupła. W jej twarzy jest coś, co przypomina jastrzębia. Ubrana jest w długą suknię z rękawami w kształcie dzwonów. Jej szata jest czarna, z krótką peleryną, ale kiedy kładzie dłonie na biodrach, dostrzegam złote podszycie rękawów. Ma na sobie nakrycie głowy, spod którego widać jedynie jej twarz. Szyja i pozostała część głowy zakryta jest wysokim kapturem, który rozszerza się zaraz za jej czołem, a jego szczyt przypomina kształtem falę. Kiedy odwraca się i patrzy na Dimię, dostrzegam, że kaptur wygląda tak samo ze wszystkich stron i ma trójkątny kształt.

Kobieta przygląda się nam, przeskakując spojrzeniem raz na mnie, raz na Silasa.

– Ostrzegałam cię – mówi, skupiając wzrok na Silasie. – Mówiłam ci, że jesteś za młody, ale nie chciałeś słuchać. Przekonywałeś mnie, że znasz swój umysł.

– Matko, proszę – mówi Silas, a jego dłoń sięga po moją.

– Oddałeś swoje życie Siostrze, Silas. Odpowiesz przed nimi.

Rozdział 22



Idziemy za nią w ciszy przez korytarz. W jednym rzędzie. Silas idzie przede mną, od czasu do czasu spoglądając do tyłu, wygląda na zatroskanego. Za nami podąża Dimia. Przejście, którym jesteśmy prowadzeni, jest szersze, niż się spodziewałam. Mógłby tędy przejechać nawet niewielki powóz. Ściany są z kamienia naznaczonego cętkami soli i rozświetlonego kinkietami. Te wszystkie świece muszą kosztować fortunę, ale biorąc pod uwagę, kto tu mieszka, nie jest to takie dziwne.

– Czy to Konklawe zbudowało to wszystko? – pytam, żeby przerwać nieprzyjemną ciszę. Podskakuję, kiedy mój głos wraca do mnie jako echo. Zdawało mi się, że szeptałam.

– Nie, to pozostałości po podziemnej rzece. Tak nam się przynajmniej wydaje – odpowiada Silas. – Już dawno jej nie ma, ale widać ślady. W ścianach i na podłodze są skamieniałości. Są tu całe mile jaskiń, których jeszcze nie zbadaliśmy.

Podłoga jest zakurzona, ale gładkie. Na środku widać niewielkie zagłębienie, którym przez lata przechodziło wielu ludzi. Są tu kolumny stalagmitów, które wyglądają, jakby były zrobione z wosku. Przechodząc, przeciągam po nich palcami, a potem pocieram nimi o siebie, zaskoczona, jak gładkie się wtedy wydają.

Skręcamy po raz kolejny i wchodzimy w węższy korytarz z dużą czerwoną kotarą na końcu. Matka Silasa sięga do niej i odsuwa na bok, umożliwiając nam wejście do środka.

– Idźcie przodem.

Pomieszczenie jest obszerne. Wewnątrz znajdują się trzy drewniane stoły z ławkami po każdej stronie. Przy dwóch zewnętrznych stołach siedzą ludzie. Większość z nich ma białe włosy i złote oczy, ale niektórzy wyglądają normalnie. Starzy i młodzi, kobiety i mężczyźni, o ciemnej i jasnej

skórce. Pokolenia alchemików i nie-alchemików. Kiedy wchodzimy, zwraca się w naszym kierunku przynajmniej pięćdziesiąt par oczu, a żadne ze spojrzeń nie zdradza zadowolenia z naszej obecności. Wszystkie twarze są kamienne i zimne, jak samo pomieszczenie.

Przy środkowym stole osobno siedzą cztery inne postaci. Każda z nich ma na sobie takie same dziwaczne szaty jak matka Silasa. Siostry Næht.

Przełykam ślinę i czuję, jak Dimia przysuwa się o krok bliżej do mnie. Odwracam się i spoglądam na nią. Jej twarz jest blada, a piegi odcinają się wyraźnie na jasnym tle. Z mojej lewej strony Silas przeciągle wydycha powietrze. Odwracając się, muskam przelotnie palcami jego ponownie okrytą rękawicą dłoń.

– Usiądźcie – rozkazuje nam matka Silasa, a ja podążam za Silasem w stronę środkowego stołu. Dimia trzyma się blisko nas. Nikt się nie uśmiecha ani nas nie pozdrawia, kiedy się zbliżamy. Zamiast tego ich spojrzenia przeskakują z Silasa na mnie i ostatecznie spoczywają na Dimii.

Na końcu środkowego stołu pozostawiono wolne miejsca i to właśnie tam siadamy. Kątem lewego oka widzę, jak Nia przechyla się w stronę siedzącej obok białowłosej kobiety i szepcze coś do niej.

Matka Silasa podchodzi do nas i staje obok swojego syna.

– Nie zostaliśmy jeszcze sobie przedstawieni – mówi, patrząc na Dimię i na mnie. – Jestem Siostrą Nadzieją, jedną z Sióstr Næht. Są dzisiaj z nami Siostra Mądrość, Siostra Pokój, Siostra Honor i Siostra Odwaga.

Każda z nich kłania się skinieniem głowy, ale w ich zachowaniu nie ma niczego, co mogłoby uchodzić za przyjazne. Siostra Pokój nawet zaciska usta, kiedy na nas spogląda.

– Jestem Errin... – rozpoczynam, jednak milknę, słysząc ze swojej prawej strony ciche syknięcie. Odwracam się i spoglądam na morze twarzy wpatrujących się w nas, ale wzdrygam się, kiedy ich zimne oczy napotykalają moje.

– Wiemy, kim jesteś, Errin Vastel. – Głos Siostry Nadziei jest surowy.

Patrzę na Silasa, który pochyła się do przodu, cały spięty i rzucający ukradkowe spojrzenia w stronę zebranych.

– A ty, oczywiście, jesteś Twylla Morven, córka Amary Morven – kontynuuje Siostra Nadzieja, ale w znacznie cieplejszym tonie. Rozglądam się wokół, żeby dowiedzieć się, do kogo się zwraca, i zauważam, że spogląda na Dimię. – Szukałyśmy cię.

– Co? – mówię, patrząc raz na Siostrę Nadzieję, a raz na Dimię.

– Dziedziczka zjadaczki grzechów, do niedawna Daunen Wcielona.

Po jej słowach przez salę przebiega fala szeptów i kolejne wspomnienie trafia na swoje miejsce. Daunen Wcielona, żyjąca bogini. Ta, która zaginęła.

– To ty? – pytam, próbując pogodzić obraz dziewczyny, która walczyła z golemem, z tym, co wiedziałam o świątobliwej dziewicy, która miała wyjść za księcia. Nieżyjącego księcia. Och. To oczywiste, dlaczego tak zareagowała na wieść o jego śmierci. Miała przecież zostać jego żoną. – Powiedziałaś przecież, że masz na imię Dimia – mówię, a alchemicy i ich towarzysze szepczą

między sobą po raz kolejny. – Powiedziałaś, że nic nie wiesz o alchemikach i o tym, że cię szukają.

– Ona nic nie wie? – Siostra Nadzieja patrzy na Dimię, na Silasa, a potem na mnie.

– Przestań – odzywa się nagle Dimia, patrząc gniewnie na Siostrę Nadzieję. – Przestań. – Odwraca się do mnie. – Nie wiedziałam, że mnie szukają. Przysięgam. Nie kłamałam wtedy. Wytłumaczę ci, dlaczego wprowadziłam cię w błąd. Ale kiedy będziemy same. Proszę. Proszę.

Składa dłonie przed sobą, a w jej oczach widać błaganie. Kiwam głową.

Dimia, czy raczej Twylla, zamyka oczy w podziękowaniu i odwraca się do Siostry Nadziei.

– A więc? Dlaczego mnie szukaliście?

Siostra Nadzieja wykrzywia usta, a jej słowa mają gorzki smak.

– O tym powinna ci powiedzieć twoja matka.

– Moja matka?

– Już jest w drodze. Wyruszyła, zanim dowiedzieliśmy się, że tu jesteś. Widać tak chciało przeznaczenie. Ona ci to wyjaśni, to jej obowiązek. – W wyrazie twarzy Siostry Nadziei jest coś mrocznego, coś zjadliwego i złego. Podobny wyraz ma twarz Twylli, kiedy między jej brwiami pojawia się głęboka linia.

Te słowa przypomniały mi o moim własnym zadaniu. Spoglądam na Silasa, unosząc brwi, i samym tylko ruchem ust przekazuję mu słowa: „Moja matka”.

On przytakuje i zwraca się do Siostry Nadziei.

– Matka Errin została zabrana do przytułku w Tressalyn. Cierpi na swego rodzaju depresję, spowodowaną żalobą. Próbowałem jej pomóc. Kto mógłby zająć się jej uwolnieniem i przyprowadzeniem tutaj?

– Nikt. – Siostra Mądrość, do tej pory siedząca w ciszy, odzywa się nagle. – W jaki sposób ten problem dotyczy ciebie?

Silas unosi brwi.

– To moja sprawa.

Siostra Nadzieja patrzy na niego.

– Nie mamy wystarczających zasobów, żeby teraz rozjeżdżać się po Tregellanie.

– W takim razie pójdę sam.

– Silas. Ostrzeżenie.

– Obiecałem jej...

– A cóż są warte twoje obietnice, Bracie Silas? – mówi cicho Siostra Pokój. – Jak widać, nie potrafisz dotrzymać swoich ślubów.

– Dosyć! – przerywa nagle Siostra Nadzieja, sprawiając, że wszyscy prawie podskakują. Silas opuszcza wzrok na stół, ja natomiast patrzę gniewnie na Siostrę Pokój, która mierzy mnie spokojnym spojrzeniem swoich brązowych oczu. Nie jest alchemikiem. Właściwie to żadna z Sióstr nie wydaje się być. – Zostawcie nas – Siostra Nadzieja rozkazuje alchemikom w pozostałych ławkach.

Nie protestują, natychmiast wstając i kolejno wychodząc z pomieszczenia. Nia, idąca z tyłu, rzuca mi spojrzenie pełne czystej nienawiści. Czego ona ode mnie chce?

– Czy zdajesz sobie sprawę, jakie szkody mogłeś wyrządzić? – Siostra Nadzieja zwraca się do Silasa, obnażając zęby, kiedy w sali jesteśmy już tylko my i pozostałe Siostry. – Nie tylko zdradziłeś obcemu nasze tajemnice, ale zdradziłeś je właśnie jej. Mogłeś zniweczyć wszystko – wciąż może się tak stać. Czas to pokaże.

– Ojciec zdradził ci nasze tajemnice. Też urodziłaś się jako obca. To, co zrobiłem, nie było przecież precedensem.

– Wiesz dobrze, że nie w tym rzecz.

– Czy ktoś może mi wytłumaczyć, o co tu chodzi? – Odzywam się w końcu. – Przykro mi, jeśli zdenerwowało was moje... nasze... Nie wiedziałam, że jest mnichem, kiedy to się zaczęło, i nie chciałam niczego złego, naprawdę. Niezależnie od tego, co się stanie, nie musicie się martwić, nie zdradzę was. Uwierzcie mi, umiem dochować tajemnicy. Właściwie to powinnam powiedzieć wam już teraz...

– Co? – Siostra Nadzieja odwraca się do mnie z płonącymi gniewem oczami. – Co przed nami ukrywasz, Errin?

Kątem oka widzę, jak Silas potrząsa głową.

– Chciałam tylko powiedzieć, że nie jestem tchórzem. Nie chcę stwarzać dla was zagrożenia. Dla żadnego z was. Dla nikogo.

– A co jeśli cię złapią? Co jeśli zostaniesz zamknięta w ciemnym pokoju, bez wody i jedzenia, aż zaczniesz mówić?

– Matko – ostrzega Silas, ale powstrzymuję go.

– Głód nie jest mi obcy – mówię. Usta Siostry Nadziei wykrzywiają się, a ja mam wrażenie, że dałam się wprowadzić w pułapkę.

– Oczywiście. A co jeśli będą cię chłostać?

Unoszę brwi.

– Kilka godzin temu golem połamał mi kręgosłup. Chłosta już mnie nie przeraża.

Znowu ten sam grymas: rozbawienie, niesmak, trudno powiedzieć.

– A gdyby wrywano ci paznokcie szczypcami? – mówi. – Gdyby łamano ci palce, jeden po drugim, za pomocą młotka? – Czuję, jak z twarzy odpływa mi krew. – A gdyby przypalano cię rozżarzoną żelazem?

– Przestań... – szepczę.

– A gdyby nie robiono tego tobie, tylko Twylli albo jednemu z twoich przyjaciół z Tremayne, a ty musiałabyś patrzeć? Gdyby robiono to twojemu synowi? Albo twojej matce? Co jeśli już teraz ktoś jej szuka, wiedząc, że jest sposobem na to, żeby cię złamać? Co byś zrobiła, żeby uratować swoją rodzinę, Errin? Jak daleko mogłabyś się posunąć?

– Przestań! – krzyczę, a mój głos roznosi się w ogromnym pomieszczeniu.

Przez ułamek sekundy nikt nic nie mówi. Silas patrzy w stół, a jego pięści zaciśnięte są tak mocno, że jego kłykcie, poza tymi, które objęło Nigredo, są całkiem białe.

– Kocham moją matkę – mówię. – Zrobię prawie wszystko, żeby ją uratować. Chcesz mi powiedzieć, że ty byś tego nie zrobiła, żeby ratować Silasa?

Nie odpowiada. W końcu to Twylla przełamuje ciszę.

– Idziemy – mówi nagle, odsuwając ławkę od stołu. – Ci ludzie nie mają z nami nic wspólnego.

– Mówiłam ci, że nigdzie nie pójdziesz, dopóki nie usłyszysz, co ma do powiedzenia twoja matka.

Twylla uderza otwartą dłońią w stół, a echo niesie się po całym pomieszczeniu.

– Męczą mnie kobiety takie jak ty, które próbują mówić mi, kim jestem i kim powinnam być.

Siostra Nadzieja patrzy na nią.

– Twyllo, już niedługo zrozumiesz, co robi nam Śpiący Książę, do czego nas zmusi, jeśli nas znajdzie. Co robi tobie. Rozumiem, dlaczego uważasz, że jestem okrutna. Przykro mi z tego powodu, naprawdę. Ale jej ludzie – wskazuje na mnie – nie będą cierpieć tak jak moi, kiedy nas znajdą. Nie może ich skrzywdzić tak jak nas. Ona stanowi problem, a gdybyś wiedziała...

– Nie może ich skrzywdzić? – Odzywam się, zanim Twylla zdąży to zrobić. Mój głos jest zimny jak lód. – Widziałaś, w jakim stanie zostawił Tremayne. Setki ludzi nie żyją. Mężczyźni, kobiety, dzieci. Mieszkałam w tym mieście całe moje życie. Przyuczałam się na aptekarza w ruinach, które są nad nami. Widziałam dzisiaj martwe ciała, które dawniej leczyłam. Moi przyjaciele zaginęli. Może nawet nie żyją. – Mówiąc to, zdaję sobie sprawę, że to może być prawda. Dapplewoodowie, Mistrz Pendie. – Macie tutaj całe mile korytarzy, w których moglibyście ukryć dzieci i innych potrzebujących. Ale nie robicie nic. Kim jesteście, żeby sądzić, że jesteście od nas lepsi, bo jesteście alchemikami? Że jesteście od nas więcej warci, bo potraficie tworzyć złoto?

– Nie wiesz, o czym mówisz – mówi do mnie Siostra Nadzieja, potrząsając głową. – I nie jest to twoja sprawa. Twyllo, proszę. Posłuchaj nas.

Ignoruję ją.

– Nie będziemy się ukrywać. Nie będziemy kulić się w ciemnościach. Będziemy z nim walczyć – mówię, napawając się tymi słowami.

– A jeśli nam nie pomożecie, wtedy również staniecie się naszymi wrogami – dodaje Twylla. – I niech bogowie mają was w swojej opiece, jeśli spróbujecie mnie powstrzymać.

Pochyliła się nad stołem, płonąca z wściekłości. Rozumiem już, jak stała się wcieleniem bogini. Prawie w to wierzę.

Za kotarą słychać szelest. Jedna z Sióstr szybko wstaje, przechodzi przez salę i odsuwa zasłonę.

Stoi za nią grupka podsłuchujących nas osób, alchemików i innych. Ze zdziwieniem uświadamiam sobie, że jest to ta sama grupa, która pomogła Twylli walczyć z golemem. Jest tam też Nia.

– Wybacz nam, Siostrze. Ale my też chcemy walczyć – mówi wysoki mężczyzna o brązowych włosach, a reszta przytakuje.

– To nasi ludzie. – Nia wychodzi naprzód i staje przy białowłosej kobiecie, obok której siedziała

wcześniej. – Chcemy walczyć.

– Nie można go pokonać w walce – mówi Siostra Nadzieja.

– Być może – odpowiada Nia. – Ale jej udało się powstrzymać jednego z golemów. – Pokazuje na Twyllę. – Widzieliśmy to. Jeśli będziemy działać razem, możemy przerzedzić jego szeregi i osłabić go.

– Poza tym możemy przecież walczyć z ludźmi. Możemy ich zabijać – mówię. – Srebrny Rycerz dowodzi armią ludzi. Możemy zacząć od walki z nimi, nawet jeśli nie zdołamy zabić go mieczem.

Siostra Nadzieja wbija we mnie wzrok.

– Mogę nauczyć ich walczyć – mówi Silas, wstając. – Umiem władać mieczem i łukiem. Nauczę czego trzeba tych, którzy wyrażą taką wolę.

Siostra Nadzieja przenosi wzrok na niego.

– Silasie, wiesz przecież, że jest tylko jeden sposób, żeby go pokonać, i nie jest to pojedynek. To marnotrawstwo.

– Nie zatrzymasz ich – mówi łagodnym głosem, spoglądając na mnie i uśmiechając się smutno. – Wiesz o tym.

Siostra Nadzieja patrzy na pozostałe Siostry i zdaje się naradzać z nimi bez słów.

– Jak sobie życzyacie – mówi, patrząc na tłum przy wejściu. – Silasie, znajdź jakieś miejsce, w którym dziewczęta będą mogły odpocząć do przyjazdu Amary. A ja... Ja wyślę wiadomość do Rady. Twoja matka to Trina Vastel, tak? – Ponownie spogląda na mnie.

– Tak.

Przytakuje po raz kolejny i odwraca się, a jej szata sunie po podłodze jak wąż.

– Errin. – Zatrzymuje się w przejściu. – Przykro mi. Naprawdę. – Potem, w asyście pozostałych Sióstr, przechodzi przez tłum zgromadzony obok wejścia, który teraz wygląda na nieśmiały i niepewny.

– Co teraz zrobimy? – pyta Nia Silasa.

– Spotkamy się jutro po śniadaniu. Zaplanuję trening. – Jego głos brzmi pewnie. Mocnym skinieniem pozdrawia zebranych, a jego usta drgają lekko, kiedy uroczyście odwzajemniają jego ukłon.

Kiedy tłum wycofuje się, Silas odwraca się do mnie i uśmiecha nagle. W jednej chwili jego oczy są mgliste, a chwilę później płoną, uśmiech opromienia całą jego twarz. Nie mogę się powstrzymać i również się uśmiecham.

Dźwięk ciężkiego materiału przesuwającego się po kamiennej podłodze sprawia, że odwracamy się i dostrzegamy falującą jeszcze kotarę. Twylla wyszła.

Nic nie mówimy, zamiast tego idziemy za nią. Doganiamy ją w korytarzu.

– Wybaczcie mi. Boli mnie głowa – mówi płaskim, pozbawionym wyrazu tonem. – Muszę się położyć.

– Oczywiście – mówi Silas. – Jeśli chcesz, zabiorę cię do pokoju, w którym będziesz mogła

odpocząć.

Przytakuje, ale nie odwraca się. Silas patrzy na mnie, unosząc brwi, a ja potrząsam głową, zdziwiona tą nagłą zmianą.

Korytarze zdają się nie mieć końca, kiedy Silas prowadzi nas do naszych komnat sypialnych, korytarz za korytarzem, aż w końcu jestem już pewna, że chodzimy w kółko. Po drodze próbuję liczyć kinkiety na ścianach: jeden, dwa, trzy, skręt w lewo, wąsko, pięć kinkietów, znowu skręt w lewo, lekkie zejście w dół, skręt w prawo... ale po chwili mnie to przerasta. Twylla przez całą drogę idzie nieco przed nami ze spuszczoną głową. Silas i ja podążamy za nią w ciszy, nie dotykając się.

W końcu Silas mówi jej, żeby się zatrzymała, i sięga po pochodnię znajdującą się na ścianie, po czym odsuwa kotarę, za którą znajduje się wnęka z dwoma łózkami, możliwie najlepiej dopasowanymi do nierównych ścian, i małym stolikiem między nimi. W jednym z rogów jest miejsce do mycia z dzbankiem i miską. W drugim rogu dostrzegam zasłanianą toaletę. Na środku sali leży duży dywanik z krowiej skóry. Na łózkach znajdują się futra i wełniane koce, a na każdej z poduszek, które nie wyglądają na zbyt wygodne, leży koszula nocna.

– Ja będę kilka pokoi dalej. Jeśli mnie zawołacie, usłyszę was – mówi, patrząc na Twyllę, a potem znowu na mnie. Kiedy opuszcza pokój, podążam za nim.

Idzie korytarzem jeszcze kilka kroków, po czym zatrzymuje się i opiera o ścianę. W świetle pochodni jego włosy wyglądają na półprzezroczyste, jak aureola. Kiedy staję naprzeciw niego, widzę płomienie odbijające się w jego oczach, zmieniające jego spojrzenie w ogień. Jego oczy napotykają moje i rumieni się. Czuję, jak moje ciało robi się ciepłe i ciężkie. Jestem świadoma tego, jak blisko siebie stoimy, jestem świadoma rytmu jego oddechu. I tego, jak jesteśmy samotni. Wtedy Silas niepewnie podnosi dłoń i dotyka nią końcówek moich włosów, a ja wysilam się, żeby nie rzucić się w jego ramiona i go nie wystraszyć.

– Ładnie ci w takich włosach. – Przesuwa palcami po kilku pasemkach, a potem zabiera rękę. – Kiedy to zrobiłaś?

Uśmiecham się.

– Zatrzymałaś się może w chacie niedaleko Tyrwhitt noc po tym, jak widzieliśmy się po raz ostatni?

– Tak. Próbowałem cię dogonić. Widziałem ślady kopyt w błocie i poszedłem za nimi, ale już cię nie było.

– Właściwie to byłam wtedy na dachu. Słyszałam cię, kiedy stałeś przy oknie.

– Byłaś tam? Byłaś na dachu?

– Niedługo przed tym, jak przyszedłeś, zostałam obrabowana. Do chaty włamała się dwójka uchodźców, więc ukryłam się tam. Gdybyś został jeszcze jakieś pięć minut, zobaczyłbyś, jak spadam stamtąd na ziemię.

Jego oczy rozszerzają się.

– Bogowie... Gdybym tylko wiedział. – Wyciąga ręce i łapie mnie za ramiona, jakby chciał mnie do siebie przyciągnąć, ale zamiera i patrzy uważnie.

– Cóż – mówię powoli. – Obciąłam włosy zaraz potem.

– Dlaczego? Przeze mnie?

Myślę o najemnikach, potem o żołnierzach.

– Nie. Kiedyś ci powiem. Ale nie teraz.

– W porządku. – Jego spojrzenie zmierza w kierunku moich ust, a ja oblizuję je nieco skrępowana.

– Bogowie – szepcze, a jego palce zaciskają się na mnie. W odpowiedzi czuję ucisk w żołądku, który pozostawia po sobie dziwny ból.

Wtedy przechodzi obok nas Nia, głośno wzdychając z irytacją.

– Dobranoc – mówi, przeciągając „c” na końcu.

Silas zabiera ręce z moich ramion i oboje rzucamy jej gniewne spojrzenia. Kiedy odwraca się do mnie znowu, wygląda na zatroskanego.

– Dlaczego zdecydowałaś się walczyć? – pyta cicho. – Myślałem, że chcesz się ukryć w bezpiecznym miejscu.

Wzruszam ramionami.

– Chciałam. Ale to nie wystarczy. Widziałam obóz w Tyrwhitt. Wszystkich tych ludzi, zamkniętych jak zwierzęta. Widziałam, jak to zmienia Tregellan, czyniąc ludzi przesądnymi i okrutnymi... On nie przestanie, a jeśli uda mu się zdobyć przewagę... będzie tylko gorzej. Poza tym zabił mojego brata. I moich przyjaciół. Mnie prawie też. Chyba powinnam mu się za to odwdziaczyć.

– Od samego początku chciałem coś z tym zrobić. Właśnie dlatego zostałem wysłany do Almwyk. Nie mogłem już wytrzymać w świątyni. Wysłanie mnie, żebym czekał na Twyllę, miało mnie czymś zająć i trzymać z dala. – Uśmiecha się, pokazując zęby.

– Dlaczego powiedziała mi, że ma na imię Dimia? – pytam.

Silas milknie na chwilę.

– To ona musi odpowiedzieć ci na to pytanie.

– Ale ty wiesz?

Przytakuje powoli.

– Wiem. I porozmawiam z tobą o tym później, jeśli będziesz chciała.

Nie podoba mi się to, ale wiem dobrze, że nie warto się z nim sprzeczać.

– Nie zadawaj pytań, to nie usłyszysz kłamstw? – mówię.

– Nie usłyszysz kłamstw, nawet jeśli zapytasz. Ale najpierw porozmawiaj z nią.

Obydwoje milkniemy, wsłuchując się w rytm kropeł wody spadających z sufitu korytarza.

– Aptekarka, mnich i żyjąca bogini poszli na wojnę – odzywam się w końcu. – To brzmi jak początek jakiegoś dowcipu.

Silas przez chwilę nic nie mówi, marszcząc brwi.

– Chcę... – zaczyna, a potem potrząsa głową. – Nas – mówi. – Nie wiem jeszcze, jak to zrobić. Ale chcę tego. Jestem tego pewien. – Jego twarz ciemnieje, a słowa wypowiada szybko i poważnie. –

Kiedy zobaczyłem cię leżącą na ziemi, wiedziałem na pewno, że może to się potoczyć tylko w jeden sposób. – Podnosi lewą rękę i drżąc, głaszcze mnie po policzku.

Tym razem wtulam się w jego dłoń.

– Nie musimy obmyślać wszystkiego już dziś – mówię, a potem całuję go delikatnie we wnętrze dłoni. – To był długi dzień. Powinniśmy odpocząć.

Słyszę słowa rozsądne, praktyczne, wydobywające się z moich ust i chcę ugryźć się w język. Nie chcę odpoczywać. Chcę spędzić całą noc, zgłębiając to, cokolwiek to jest. Wiem jednak, że to zły pomysł. Musimy teraz pomyśleć o Śpiącym Księżciu, o mojej matce, o tym, czego matka Twylli od niej chce, oraz jaką w tym wszystkim odegramy rolę. Muszę się dowiedzieć, dlaczego Twylla mnie okłamała.

Muszę być też pewna jego. Że znowu mnie nie odrzuci.

– Jeszcze będzie czas – mówię, mając nadzieję, że się nie mylę.

Jego oczy poszukują moich, a w ich kącikach maluje się zaniepokojenie. Po chwili Silas pochyła się powoli i całuje mnie w policzek. Dotyk jego ust jest tak gorący, że prawie mógłby pozostawić trwałe ślady na mojej twarzy.

– Dobranoc, Errin Vastel. – Jest tak blisko, że jego oddech całuje moje usta. – Ale... Dokonałem już wyboru. Jesteś nim ty. My, jeśli oczywiście tego chcesz.

Tak bardzo pragnę zanurzyć palce w jego włosach, przyciągnąć jego twarz do mojej. Dotykać, smakować. Jednak odsuwam się od niego.

– Dobranoc, Silasie Kolby. Zobaczymy się rano.

Czuję, jak na mnie patrzy, kiedy odchodzę.

– Nie – woła za mną, kiedy odsuwam jedną z kotar. – Następny. Jestem cztery pokoje dalej. Jeśli zmienisz zdanie.

Uśmiecham się i wchodzę do mojego pokoju.

*

Mimo że nie było mnie tylko chwilę, po moim powrocie Twylla jest już w łóżku. Ma na sobie ubrania, poza butami, a koszula nocna leży obok nietknięta. Jest przykryta i odwrócona w stronę ściany, a pochodnie w kinkietach nadal są zapalone. Zapalam świecę od jednej z pochodni, po czym gaszę je.

– Nie śpię – mówi Twylla, zaskakując mnie. Odwraca się i podpira łokciem.

– Dobrze – mówię, siadając na łóżku i okrywając ramiona jednym z koców.

– Przepraszam. To musiało wyglądać na niegrzeczne, kiedy opuściłam was w Wielkiej Sali. Ja tylko... Mam ci sporo do powiedzenia, jak sądzę. Chyba powinnyśmy zacząć od tego, dlaczego skłamałam – mówi, a ja przytakuję. – To długa historia. Na początek musisz wiedzieć, że Dimia to imię dziewczyny, której Nosiciel użył do obudzenia Śpiącego Księcia.

Biorę gwałtowny wdech. To pewnie dlatego brzmiało znajomo. Przypominam sobie mężczyznę, który przechodził przez Almwyk i pytał, czy widzieliśmy dziewczynę z młodym mężczyzną. To była Dimia z Nosicielem.

Twylla kontynuuje.

– Zabrał ją z zamku w Lormere. Była tam służącą. Słyszałam Nosiciela, kiedy po nią przyszedł. Słyszałam muzykę, którą grał, żeby ją zwabić. – Milknie, marszcząc brwi. Potem bierze głęboki oddech. – Imię Dimia było pierwszym, które przyszło mi do głowy, kiedy przybyłam do Scarron. Przez część drogi eskortował mnie tam jej brat, Taul. Merek wysłał go i kilku innych, żeby spróbowali ją odnaleźć. A ja nie chciałam być już Twyllą. Miałam już jej dość, dość jej życia, czy też żyć, więc kiedy Javik zapytał mnie o imię, wypowiedziałam je bez zastanowienia. Już wtedy miałam pofarbowane włosy, żeby móc niezauważona opuścić Lormere. Wydawało się to odpowiednie: nowe włosy, nowe imię. Nowe życie. – Przerzywa, a ja czuję, jakbym nadal nie znała wielu ważnych elementów tej historii: Daunen Wcielona była niezwykle ważna dla Lormere. Na pewno nie pozwoliliby jej tak po prostu odejść.

Jakby czytając w moich myślach, Twylla opowiada dalej.

– Odeszłam. Nie było to życzeniem Mereka, ale rozumiał mnie. Musiałam odejść, a on to uszanował. Pomógł mi. Jego pieniędzmi zapłaciłam za chatę. Mieliśmy je również wykorzystać do uratowania twojej matki.

– Nie byłaś z nim zaręczona?

– Byłam. – Twylla zwiesza głowę. – Znałam twojego brata – mówi. Jej głos się zmienia. – Gdy po raz pierwszy zobaczyłam cię na moim progu, myślałam, że to on cię wysłał. Kiedy jednak powiedziałaś, że szukasz Lormeranki imieniem Dimia, wiedziałam już, że tak nie było.

– Dlaczego miałby wysłać mnie do ciebie?

Milknie na chwilę.

– Byłam zaręczona z Merekiem, ale byłam też w krótkim... związku z Liefem.

– W związku? Z Liefem?

Przytakuje.

– Przydzielono go, żeby mnie chronił, i staliśmy się sobie bliscy. To dlatego opuściłam zamek.

– Co się stało?

– Nie wyszło tak, jak tego chciałam.

– Zranił cię? – pytam cicho.

Robi dziwną minę i wygląda, jakby zaraz miała się rozkleić, ale w ostatniej chwili zbiera się w sobie i patrzy mi w oczy buńczucznie.

– Myślałam, że jesteś nim, wiesz? Kiedy zapukałaś. Pukacie w ten sam sposób. To dziwne, że takie coś może być rodzinne. Ale najwyraźniej tak jest. Założę się, że przynajmniej jedno z twoich rodziców też tak pukało.

Teraz wszystko nabiera sensu: dlaczego wyglądała na tak pełną nadziei, a jednocześnie tak

przestraszona, kiedy otworzyła mi frontowe drzwi. Dlaczego była taka smutna przy grobie mojego ojca. Ale to nie wyjaśnia, dlaczego chce mi pomóc.

– Byłaś zawiedziona?

Twylla bierze głęboki oddech i patrzy na swoje ręce.

– Moje serce było. Ale nie moja głowa. Przez większość czasu toczę wojnę z samą sobą. Moja głowa zazwyczaj wygrywa. Cieszę się, że tak jest.

– Przykro mi – mówię w końcu, nie wiedząc, co innego mogę jej zaoferować.

– Nie jesteś temu winna – mówi spokojnie, ale w jej spojrzeniu widać smutek. – Mówił o tobie. I o twojej matce. Opowiadał mi o farmie. I o twoim ojcu.

Chce mi się płakać, kiedy wyobrażam sobie Lief z dala od domu, zwierającego się tej dziwnej dziewczynie.

– Dlaczego zaoferowałaś nam swoją pomoc? Jeśli ty i on... Jeśli to nie skończyło się dobrze, dlaczego miałybyś nam pomagać?

– Nie cieszy mnie to, że on nie żyje – odpowiada, ignorując moje pytanie. – Nieważne, co się stało. Nie chcę, żebyś tak myślała.

Zamyka oczy, jakby się modliła, a ja obserwuję ją w słabym świetle świecy. Ma owalną twarz, ładny podbródek. Jej policzki pokrywają piegami, a kąci jej ust nieznacznie opadają, przez co wygląda na zamyśloną, nawet kiedy jest rozluźniona. Im dłużej na nią patrzę, tym wydaje mi się ładniejsza, co jest zaskakujące, bo na początku tego nie zauważyłam. Lirys jest piękna w sposób oczywisty. Przez całe życie przyzwyczaiałam się do tego, jak ludzie na nią reagowali, jak uśmiechali się na jej widok, jakby sama jej uroda sprawiała im przyjemność. Uroda Twylli pojawia się zniecka. Ciekawe, czy Lief też tak myślał.

– Co widzisz? – pyta nagle, a moja twarz pokrywa się rumieńcem. Patrzy na mnie swoimi zielonymi oczami, które w tym świetle wydają się ciemniejsze. – Powiedz mi, co widzisz, kiedy na mnie patrzysz?

– Dziewczynę – mówię, a ona uśmiecha się. – Co powinnam widzieć?

– Wyglądasz jak on – mówi. – Zanim odezwałaś się do mnie, wiedziałam już, że jesteś jego siostrą. Takie same oczy, taki sam kształt twarzy. Macie też ten sam uśmiech. Jesteś do niego bardzo podobna. – Przerzywa, po czym siada na łóżku i podwija nogi pod siebie. – Wiem, że chcesz wiedzieć, co się stało. A ja wszystko ci opowiem. Obiecuję. Ale nie dzisiaj.

Przytakuję.

– Twyllo – mówię z wahaniem, wymawiając jej nowe imię. – Kiedy Lief mieszkał na farmie, on... Nigdy nie myślał o niczym innym. Kiedy ją straciliśmy, pękło mu serce. Więc jeśli zachowywał się nieodpowiednio, to... – Ściszam głos. – Chodzi mi o to, że jeśli Liefowi na coś zależało, to dawał z siebie wszystko. Wszystko albo nic. Dlatego myślę, że musiał naprawdę cię lubić, przynajmniej przez jakiś czas.

Wyraz jej twarzy staje się pochmurny, a usta zaciskają się.

– Nie, Errin – mówi poważnie. – Nie lubił.

Jej oczy znowu się zamykają i bierze głęboki oddech. Nie chcę wiedzieć nic więcej. Nie chcę, żeby powiedziała cokolwiek, co może sprawić, że będę o nim źle myśleć.

– Miałaś... Masz może braci lub siostry?

– Jedno i drugie. Dwójkę braci starszych ode mnie. Są bliźniakami. I młodszą siostrę, która zmarła.

– Przykro mi.

– Mnie również.

Przez chwilę milczymy. Potem odzywam się.

– Najgorsze jest to, że tracimy również część samych siebie. – Odwracam się na plecy i wpatruję w ciemny, cętkowany sufit. – Było tyle rzeczy, które tylko Lief wiedział na mój temat. Tyle wspomnień, które dzieliliśmy, głównie związanych z rzeczami, których nie powinniśmy byli robić, ale teraz to ja jestem jedyną, która o tym pamięta. Kiedy budziliśmy się w nocy i kradliśmy plastry miodu ze słoików w kuchni. Kiedy skakaliśmy na siano na farmie. Nikt nigdy już mnie w ten sposób nie pozna. A co jeśli o czymś zapomnę? Co się wtedy stanie?

Odwracam się do niej i widzę, że wyciera twarz.

– Przepraszam – mówię znowu.

Potrząsa głową.

– Nie, to dobry sposób myślenia. – Milknie na chwilę. – Chyba powinniśmy teraz spróbować zasnąć – mówi. – Sądzę, że jutro będzie interesujący dzień. – Patrzy gdzieś w dal, po czym nagle odwraca się w stronę ściany.

Zsuwam się ze swojego łóżka, żeby umyć twarz. Potem zdejmuję buty i przebieram się w nocną koszulę, z przyjemnością zakładając czyste ubranie, a później zdmuchuję świecę. Słyszę cichy płacz Twylli.

Leżąc w ciemności, myślę o Silasie, który jest tylko kilka pokoi dalej. Wiedział, że ona ma na imię Twylla. Sądził, że będzie przejeżdżała przez Almwyk. Czekał tam na nią. Czy to z powodu Liefy? Czy sądził, że przyjedzie tutaj z jego powodu, czy po prostu dlatego, że jest to główne miasteczko na granicy między dwoma krajami?

Wtedy przychodzi mi do głowy okropna myśl: czy to dlatego się ze mną zaprzyjaźnił? Żeby do niej dotrzeć?

Siadam na łóżku i patrzę w ciemność. Twylla zamilkła. „Zapytam ją jutro” – mówię do siebie. Nawet jeśli byłby to powód, czy ma to jakieś znaczenie?

Nie, stwierdzam, kładąc się z powrotem, nie ma. To niczego między nami nie zmienia.

Po kilku chwilach słyszę kolejny stłumiony szloch i zaciskam pięści na kocu. Czuję się straszliwie winna tego, co zrobił jej mój brat. Cokolwiek to było. Czasami myślę, że wcale nie znałam Liefy.

Rozdział 23



Budzą mnie głośne kroki na zewnątrz naszego pokoju. Słyszę głosy, zbyt donośne jak na noc. Nie jestem w stanie wyłapać słów, ale docierają do mnie ostre tony i wyczuwalna w nich panika. Siadam i odwracam się do Twylli.

– Co się dzieje? – pytam, przecierając oczy. Potrząsam głową, a moje serce przyspiesza.

Dookoła słyszę dudnienie i zgrzyty, niosące się echem przez skały.

– Co to? – pyta nerwowo Twylla.

Zrzucam z siebie przykrycie, po czym sięgam po bryczesy i wciskam stopy w buty.

– Wstawaj – mówię. – Coś jest nie tak.

Kiedy Twylla zakłada buty, Silas odrzuca na bok kotarę. Patrzy najpierw na mnie, potem na nią, a potem znowu na mnie.

– Atakują nas – mówi. – Nie wiem, czy widzieli, jak tu wchodzimy, czy sami nas znaleźli, ale próbują przedostać się przez główne drzwi.

– Co robimy?

– Wy musicie odnaleźć Amarę. Przyjechała godzinę temu. Jest w ossuarium. Wysłuchajcie jej. Potem spotkamy się w głównej sali. Poczekam tam na was. Być może będziemy musieli się ewakuować, więc bądźcie gotowe.

Spoglądam na Twyllę. Na jej bladej twarzy, w świetle dochodzącym z korytarza, maluje się determinacja.

– Spotkamy się w sali.

– Silas! – ktoś woła z zewnątrz.

Silas odwraca się w kierunku, z którego dobiega głos, a potem znowu patrzy na nas, mówiąc szybko:

– Kiedy stąd wyjdziecie, skręćcie w prawo i połóżcie lewą dłoń na ścianie po lewej stronie. Trzymajcie na niej dłoń i podążajcie wzdłuż niej. Zorientujecie się, kiedy dotrzecie do celu. Dopóki się to nie stanie, nie zdejmujcie ręki ze ściany.

Potem znika, a ja i Twylla patrzymy na siebie.

Na zewnątrz pokoju wszyscy biegną w kierunku przeciwnym do tego, w którym Silas kazał nam się udać. Trzymając się blisko siebie, kładziemy dłonie na ścianie i zaczynamy iść. Mijają nas alchemicy i ich partnerzy, ludzie w różnym wieku i różnej płci. Niektórzy z nich są uzbrojeni, niektórzy trzymają na rękach dzieci. Ignorują nas. Ponad nami słyszę wybuch, a z sufitu sypie się pył.

– Szybko – odzywa się za mną Twylla. Nie odrywając dłoni od ściany, zaczynamy biec. Grunt pod naszymi stopami staje się lekko schodzący w dół, a potem coraz bardziej stromy. Zakręty robią się ostrzejsze, a sam korytarz węższy. Odgłosy drapania są teraz odległe. Nie słyszę prawie nic poza naszymi oddechami i kapiącą od czasu do czasu wodą. Powietrze robi się coraz zimniejsze, a kinkiety są rozmieszczone coraz dalej od siebie, ukrywając fragmenty korytarza w cieniu. Każdy z nich sprawia, że moje serce przyspiesza. W końcu docieramy do drzwi, nie kotary, ale drzwi z ciemnego, chropowatego drewna. Są na nich wypalone dwa nachodzące na siebie okręgi. Na środku znajduje się mały, srebrny półksiężyc.

– To musi być tutaj – mówi Twylla, po czym bierze głęboki oddech, otwiera drzwi i wchodzi do środka. Idę za nią, zamykając za sobą drzwi.

Potem zatrzymuję się. I patrzę z niedowierzaniem.

Oczekiwałam kolejnej małej jaskini, może jakiejś sali spotkań. Ale komnata, do której weszłam, jest rozmiaru katedry. Sufit, znajdujący się jakieś sto stóp nad nami, pokrywają białe, błyszczące stalaktyty. Są ode mnie dwukrotnie większe i wyglądają jak tysiące skierowanych w dół mieczy wiszących nad naszymi głowami. Ściany natomiast wypełnione są kośćmi. Setki, może nawet tysiące czaszek, ułożonych równo jedna na drugiej, patrzy na nas ze ścian. Niektóre z nich mają na sobie symbole soli, ognia i powietrza wytrawione na czołach i pokryte złotem.

Inne kości, pewnie pochodzące z rąk i nóg, są ułożone w skomplikowane wzory, serca, okręgi i gwiazdy, i osadzone w ścianach. Na ścianie po lewej stronie widzę różę zrobioną z kości miednicy, a po prawej kielich wykonany z żeber.

Nad głową mam żyrandol z ludzkich kości, zwisający z nieprawdopodobnie wysokiego sufitu: czaszki ze świecami w oczodołach, trzymane przez zaciśnięte kości palców, rozświetlają pomieszczenie, rzucając jednocześnie niesamowite cienie.

Długie, wytrzymałe kości udowe tworzą połączenia między czaszkami i dłońmi. Całość oplatają kręgosłupy, utrzymujące konstrukcję w całości, a pod nimi, na małych kościach zawieszono są sznury koralików z małutkich kosteczek.

Widok jest jednocześnie piękny i makabryczny, aż przyprawia mnie o dreszcze. Podziemna świątynia. I jednocześnie krypta.

Jestem pewna, że każda znajdująca się tu kość należała do alchemika. Zdaję sobie sprawę, że ta świątynia, to ossuarium, zostało zbudowane znacznie wcześniej, niż ukryło się tutaj Konklawe. Może właśnie dlatego jest pod ziemią. Może to działanie upływu czasu. Młode kości i stare kości łączą się, żeby stworzyć to miejsce. Jest okropne, ale i piękne. Za każdym razem, kiedy wzbiera we mnie obrzydzenie, zostaje pokonane przez podziw, kiedy dostrzegam nowy, nieprawdopodobny wzór.

Zastanawiam się, do kogo należą oznaczone groby na cmentarzu, ale odpowiedź natychmiast nasuwa się sama. Silas mówił, że alchemicy wiązali się z nie-alchemikami. Oni nie mogą być częścią tego miejsca, ale ich miejsce w świecie alchemii oznaczane jest subtelnie na ich grobach.

Twylla zniknęła mi z oczu za zasłoną niedaleko ołtarza. Docierają do mnie głosy. Idę za ich dźwiękiem wzdłuż przejścia między rzędami ławek. Przechodząc, dotykam każdej z nich. Żadna z nich nie jest taka sama. Różne rodzaje drewna, różne rozmiary. Niektóre z nich są bogato rzeźbione i udekorowane symbolami starych bogów: Ostrokrzewu i Dębu. Niektóre są proste i pozbawione zdobień. Wszystkie są zużyte i widać zagłębienia pozostawione po pokoleniach modlących się ludzi, siedzących tutaj i patrzących na swoich przodków.

Ołtarz to jedyne miejsce, które nie jest ozdobione kośćmi. Zamiast nich nad nim znajduje się duża metalowa rzeźba – dwa dyski: jeden ze złota, drugi ze srebra. Srebrny dysk zachodzi na złoty, tworząc sierp, który przypomina mi księżyc. Ołtarz jest pokryty kwiatami i płonącymi świecami. Powietrze pachnie kadzidłem i czymś jeszcze. Nie jest to zapach, ale jakiś ciężar, czyjaś obecność. Kości. Czuję je, jakby tysiące alchemików było tutaj wraz ze mną, szpiegując mnie.

Znajduję je w alkwie, ukryte za rzeźbionym, drewnianym ekranem. Twylla stoi sztywno, patrząc na potężną kobietę ubraną w całości na czarno, jak Siostry, ale bez charakterystycznej dla nich dziwacznej elegancji. To musi być zjadaczka grzechów, Amara. Jej powieki są ciężkie, opadające na oczy. Twarz ma okrągłą i woskową, kontrastującą ze zdradzającą gniew twarzą córki. Nie widzę między nimi żadnego podobieństwa.

– Myślałam, że pracujesz sama – mówi Twylla, kiedy siadam obok niej. Zjadaczka grzechów patrzy na mnie, a ja pozdrawiam ją skinieniem, czując dziwną ulgę, kiedy również mi się kłania, a potem odwraca w stronę Twylli. – Nigdy nie sądziłam, że zaprzyjaźnisz się z mniszkami.

– Mniszkami – powtarza drwiąco Amara. – To zreformowany kult zmartwychwstania, ale niezależnie od tego, co jeszcze ci powiem, nie zapominaj, że ten bałagan to po części również ich sprawka. Wszyscy odegraliśmy swoją rolę.

– Nie rozumiem. Co one mają wspólnego z nami, z tobą?

Matka przygląda jej się dłuższą chwilę.

– One są Siostrami Næht. Ja jestem zjadaczką grzechów, Najwyższą Kapłanką Sióstr Næht.

Kiedy wypowiada te słowa, przechodzi mnie dreszcz. Brzmiały one, jakby wypowiedziało je naraz sto kobiet.

– Ale ona nie istnieje, prawda? – mówi Twylla. – Cokolwiek powiesz o Næht i Daegu, oni nie

istnieją. Nigdy nie istnieli.

Amara patrzy swojej córce w oczy, a ta odwzajemnia jej spojrzenie.

– Właściwie to istnieli – mówię, a mój głos jest ledwie słyszalny wśród doniosłej atmosfery. Amara odwraca się do mnie i skinieniem daje mi znak, żebym kontynuowała, nie wyglądając przy tym na zdziwioną, że to wiem. – Ich prawdziwe imiona to Aurek i Aurelia.

– Aurek i Aurelia? – pyta Twylla. – Śpiący Książę i jego siostra?

– Znasz tę historię? – pytam, a ona przytakuje.

Potem odwraca się do matki.

– Znam je wszystkie. Potrafię już czytać. – W jej głosie słychać dumę i bunt, ale też bolesną niedojrzałość. – Mów dalej – zwraca się do mnie.

– Cóż, wszystko zmienił Dom Belmis. Przekręcił opowieść tak, żeby poprzeć swoją drogę do władzy. Zmienili imiona Aureka i Aurelii na Daega i Naeht, żeby dopasować historię do swoich celów. W końcu zrobili też z rodzeństwa kochanków.

– Bogowie, wyobraźcie sobie, że budzicie się i dowiadujecie o tym wszystkim. Że wasze życie stało się legendą, mocno podkolorowaną legendą.

– Współczujesz mu? – Amara przygląda się swojej córce.

– Nie. – Głos Twylli jest lodowaty. – To morderca. Nic nie usprawiedliwia tego, co zrobił. Dlatego właśnie chcę z nim walczyć. Lormere miało już wielu zdemoralizowanych władców.

– Zastanawiam się, co musiałoby się stać, żeby otworzyć ci oczy – mówi spokojnie zjadaczka grzechów.

Twylla groźnie wykrzywia usta.

– Może gdybyś, zamiast się tylko nad tym zastanawiać, powiedziała mi, w co się pakuję, byłabym lepiej na to przygotowana. Zamiast tego połykałam wszystkie ich kłamstwa, aż było już za późno.

– Nie miałam wyboru, Twyllo. Jestem zjadaczką grzechów...

– Tak, tak, twoje niezwykle ważne stanowisko. Mam nadzieję, że to ono zajmie się tobą na starość, bo tylko bogowie wiedzą, gdzie są teraz moi bracia, Maryl nie żyje, a ja na pewno ci nie pomogę.

Zjadaczka grzechów siada, widocznie oszołomiona jadem w głosie swojej córki. Mnie również zaczyna kręcić się w głowie. Już wcześniej dostrzegłam boginię w Twylli, ale to jest coś całkiem nowego. To zemsta i okrucieństwo: bogini wojny. Walcząca z Najwyższą Kapłanką Sióstr Næht. Znowu drzę, stojąc między tymi dwiema kobietami, które najwyraźniej zapomniały, że tutaj jestem.

– Próbowałam ci powiedzieć wiele razy, że nasza rola jest ważniejsza, niż się wydaje.

– Siedziałam w pokoju, a ty karmiłaś mnie swoimi zagadkami. Byłam dzieckiem – mówi Twylla głębokim, surowym i pełnym bólu głosem. – Jak mogłaś myśleć, że rozumiem to, co do mnie mówisz? Skąd miałam wiedzieć, jaka naprawdę była królowa? Czy wiesz, że służące nie przynosiły mi posiłków, bo bały się, że mogę je zatruci? Nie dotykały moich brudnych talerzy i noży, dopóki nie zobaczyły, że strażnicy biorą je do rąk i nie umierają. Przez cały ten czas jedynymi moimi przyjacielami, jedyną moją pociechą, byli twoi bogowie. Żyłam tak każdego dnia przez cztery zniwa,

żeby w końcu dowiedzieć się, że wszystko, w co wierzyłam, było kłamstwem.

Twylla odwraca się, by odejść, ale zjadaczka grzechów łapie ją mocno za nadgarstek, poruszając się nadzwyczaj szybko.

– Pozwól, że wyjawię ci prawdę. Potem zdecydujesz, czy jesteś w stanie walczyć w swojej wojnie bez mojej wiedzy. Jeśli nadal będziesz chciała odejść, nie będę cię zatrzymywać. Jednak jesteś ostatnią z nas i muszę spróbować.

– Gdybyś nie pozwoliła umrzeć Maryl, miałabyś też ją. – W głosie Twylli jest coś, co rozpoznaję. Żaloba. Dobrze ukryta.

– Próbowałam – mówi zjadaczka grzechów, puszczając nadgarstek Twylli.

Twylla odwraca się, a ja widzę jej profil w świetle, ostry i okrutny.

– Mam ci wierzyć? Pamiętam, matko, kiedy jeszcze była dzieckiem, płonąca od gorączki w tym okropnym pokoju. Zostawiłaś ją na śmierć. A kiedy ją uratowałam, zabiłaś moją kozę. Nie mów mi więc, że próbowałaś.

Zjadaczka grzechów gwałtownie podnosi wzrok.

– Uważasz, że jestem aż tak bezduszna? Wiedziałaś, że ją uratujesz. Wiedziałaś, że gdy tylko wyjdę z domu, pobiegiesz do wioski i będziesz błagać o zioła. Jak sądzisz, dlaczego cię z nią zostawiłam? Nie mogłam przecież prosić akuszerki o zioła, bo byłam zjadaczką grzechów. Nie mogłam interweniować. Ale ty mogłaś. Miałam w sercu nadzieję, że tak właśnie zrobisz.

Twylla unosi brwi.

– Dlaczego więc zabiłaś kozę?

– Życie za życie, taka jest zasada. Akuszerka wiedziała, co zrobiłaś. Wszyscy, którym powiedziała, również wiedzieli. Dlatego musiałam złożyć ofiarę. Musiałam przestrzegać swoich własnych praw.

Twylla mruga i odwraca się w stronę ossuarium, patrząc na murale z kości, po czym siada bez słowa. Na twarzy jej matki wyraźnie rysuje się ulga.

– Wybacz nam, Errin – mówi. – Zaraz dojdę do twojej roli w tym wszystkim. – Ponownie spogląda na swoją córkę. – Nigdy nie pytałaś, dlaczego to właśnie my byliśmy tymi, które zjadały grzechy. Myślałam, że jeśli ktoś ma o to zapytać, to właśnie ty, ale nigdy się tak nie stało.

– Powiedziałaś mi dlaczego. Miałam wtedy może sześć lat. Przywołałaś mnie i powiedziałaś, że istnieliśmy przed bogami i królami, ale nie dla nich to robiliśmy. Że ktoś musiał to robić, bo grzechy istniały zawsze.

– Pamiętasz to?

– Miałam ostatnio ku temu powody. Kiedy odkryłam, że bogowie to kłamstwo. Teraz mówisz, że to nie kłamstwo, ale przeinaczona prawda.

– Kiedy przybyliśmy do Lormere, nie było ani bogów, ani królów i królowych.

– Skąd tam przybyliśmy?

– Zza morza.

Twylla pochyla się do przodu, żeby lepiej słyszeć, co mówi jej matka, a ja patrzę na zjadaczkę

grzechów Lormere i czuję mrowienie, kiedy skóra z tyłu mojej szyi zaczyna się napinać. Kiedy zjadaczka grzechów również się pochyła, ja robię to samo, tworząc wraz z nimi trzy wierzchołki trójkąta.

– Prawda jest taka, że trucizna w winie, które wypił książe i jego rodzina, trucizna, która wywołała jego sen i zabiła jego ojca oraz później jego kochankę... tę truciznę zrobiła nasza przodkini. Była ona zaręczona z synem szczurołapa. Kiedy ten dowiedział się, że Śpiący Książę splugawił jego córkę, posłał po przyszłą żonę swojego syna i użył jej umiejętności oraz jej mikstur, żeby zabić ich wszystkich za zniewagę, której się dopuścili. Sporządziła więc truciznę w świetle słonecznych sióstr.

Spoglądam na Twyllę, która wpatruje się z otwartymi ustami w swoją matkę.

– To niemożliwe.

– Nie wiedziała nic o dziecku. Wlała truciznę do jedzenia przeznaczonego na ucztę. Kiedy niesiono je na górę, usłyszała w kuchni, jak służące plotkują o córce szczurołapa i o stanie, w jakim się znajduje. Jej rodzina kierowała się zasadą, żeby nigdy nie krzywdzić niewinnych. Poszła więc do Aurelii i wyznała prawdę. Zanim Aurelia dotarła do nich z Elikirem, król już nie żył, a Aurek i jego kochanka byli o włos od śmierci. Aurelia próbowała ich uratować. Ale trucizna zawierała krew, jej własną krew, i również miała właściwości alchemiczne. W ciałach kochanków toczyła się walka między krwią Aurelii a krwią księżniczki-wiedźmy, aż poród osłabił córkę szczurołapa i umarła.

W którymś momencie tej historii zakryłam twarz dłońmi, żeby się od niej odciąć. Alchemia, trucizny, magia. Lormerańskie przesady. Ale to prawda. Czuję mrowienie w kręgosłupie, które przypomina mi, jak bardzo to wszystko jest prawdziwe.

– Szczurołap uciekł z dzieckiem, które żyło normalnym życiem, ale ciążyła na nim klątwa, która sprawiała, że raz na sto lat wstawało z grobu, żeby nakarmić sercem swojego ojca. Śpiący Książę leżał zamknięty w swoim ciele, a wewnątrz niego wciąż toczyła się walka. Za swoją zbrodnię nasza przodkini zdała się na łaskę Aurelii. To właśnie w jej imieniu, w imieniu Næht, żyjemy jako wygnańcy, otwarcie przyjmując na siebie brzemień grzechu, żeby nigdy nie zapomnieć, co uczyniła nasza krew. Będziemy na zawsze nosić grzechy innych, kumulujące się z każdym pokoleniem.

Jej historia kończy się. Głucha cisza, która następuje po jej słowach, sprawia, że czuję, jakby ściany zamykały się wokół mnie. Nagle z przerażeniem zdaję sobie sprawę, że jestem pod ziemią, pod tonami skał i gleby. Gdyby sufit w tej chwili zawalił się, to miejsce stałoby się naszym grobowcem i nikt nigdy by się o tym nie dowiedział. Ogarnia mnie tęsknota za niebem, za powietrzem. Za dźwiękiem.

– Królowa wiedziała o tym wszystkim, prawda? – pyta Twylla. – Stąd powzięła zamiar, żeby uczynić mnie trującą. Właśnie stąd. Z naszej przeszłości. Naśmiewała się z nas. Z nich. Niech potomkini trucicielki stanie się usankcjonowanym zabójcą zdrajców.

Amara przytakuje.

– Helewys była znana ze swojego zamiłowania do opowieści o alchemii i dawnych dziejach. Była to zniewaga wobec nich, wobec ludzi, którzy nie chcieli się jej pokłonić. Zrobiła z ciebie trucicielkę

przez twoje dziedzictwo. Może myślała, że uda jej się ich wywabić przy twojej pomocy.

Ponownie zapada cisza. Odległy, ledwie słyszalny huk przypomina mi, że gdzieś nad nami nadal toczy się bitwa.

– Więc to dlatego chce dopaść Twyllę? – pytam. – Ponieważ wie, że jej przodkowie próbowali go zabić? Pragnie zemsty.

Amara patrzy na mnie, a potem odwraca się do córki.

– Oraz dlatego, że ona może zrobić to ponownie – mówi.

Twylla wlepia wzrok w matkę.

– Co chcesz...? – Nie kończy zdania. Zamiast tego zaczyna się śmiać.

Zwracam się w kierunku Amary, która delikatnie potrząsa głową i znowu spogląda na córkę. Twylla odchyła głowę do tyłu i śmieje się, a dźwięk jej śmiechu odbija się echem od kości.

– Nie mogę od tego uciec, prawda? Odrzuciłam dwa przeznaczenia. Próbowалам schować się za spódnicą królowej, a potem uciekłam przez całe królestwo, ale to i tak nie da mi spokoju. Ciągłe to samo. A ja nie mogę przed tym uciec.

– Twyllo... – odzywa się Amara.

– Wmawiano mi, że moja skóra jest zatruta. – Twylla patrzy na mnie i mówi lekko rozmarzonym głosem, a jej oczy patrzą w dal, kiedy zaczyna sobie przypominać. – Każdego miesiąca dawali mi miksturę i mówili, że to trucizna. Że czyni moją skórę trującą w dotyku. Że moim zadaniem jest zabijanie zdrajców poprzez położenie na nich rąk. Oczywiście to nie ja ich zabijałam. Byli zatruci, zanim zdążyłam się do nich zbliżyć. To twój brat udowodnił, że to kłamstwo, kiedy... – Przerywa, a jej spojrzenie znów jest czyste. – Ale to przez cały czas była prawda, tylko w inny sposób. Nie moja skóra, tylko moja krew jest trucizną. Moja krew. – Jej śmiech cichnie, a jego miejsce zajmuje cisza. – A więc mam dokonać jego egzekucji trucizną – mówi Twylla. – Prawie żałuję, że królowa tego nie widzi. Myślę, że uśmiełaby się.

– Nie chodzi tylko o twoją krew – dodaje szybko Amara. – Twoja krew to tylko element trucizny. Ale to nie wszystko.

– Jaka trucizna mogłaby teraz na niego podziałać?

Wydaję z siebie dźwięk zaskoczenia. Zrozumienia.

– Myślę, że wiem – mówię. – Mikstura, którą zrobił Silas, czyli baza używana przez wszystkich alchemików, jest odwrotnością tego, co uśpiło Aureka. Jego dzieciom udało się wyodrębnić składniki z pozostałej trucizny. Miały nadzieję, że jeśli ją odwrócą, uda im się go obudzić. Jak w aptekarstwie, podobne leczy podobne. W alchemii też tak jest. – Przerywam, starając się poukładać myśli. – Więc jeśli uda nam się odwrócić odwróconą miksturę, będziemy miały oryginalną truciznę, której na nim użyto.

– Dodamy do niej moją krew – mówi Twylla, a jej głos nadal zdaje się dobiegać z daleka.

Tak jak Silas dodaje swojej krwi do *Opus Magnum*, krew Twylli też musi z nim reagować, ale nie alchemicznie. Śmiercionośnie.

– Możemy znowu go otruć – mówię. – Wzmocnimy truciznę, która już krąży w jego żyłach.

– Możesz ją zrobić? – pyta Twylla, która nagle zdaje się być bystra jak jastrząb.

Próbuję sobie przypomnieć to, co widziałam.

– Tak. Myślę, że tak.

– Z tego, co wiem, Siostry mają już w planach próbę odtworzenia trucizny – mówi Amara.

– Nie – Twylla potrząsa lekceważąco głową. – Chcę, żeby pracowała ze mną Errin. Nie one.

Amara siada i krzyżuje ręce na piersi. Przełykam ślinę.

– Oczywiście – mówię, po czym zwracam się w stronę Amary. – Mogę być najlepszą osobą do tego zadania. Silas powiedział mi, że alchemikom brakuje umiejętności aptekarskich. Nigdy tak naprawdę ich nie potrzebowali. Musieliby uczyć się wszystkich technik od początku. Ale dla mnie dekonstrukcja mikstury to bułka z masłem. Mogę zdekonstruować *Opus Magnum*, jeśli będę wiedziała, co w nim jest. Mogę zrobić z niego truciznę.

Amara przytakuje zdawkowo, a ja spoglądam na jej córkę.

– Myślę, że będę potrzebowała do tego pomocy Silasa albo innego alchemika. Nie wszystko pamiętam. Ale mogłabym to zrobić. Mogłabym zdekonstruować miksturę, a wtedy zrobilibyśmy z niej oryginalną truciznę. Potem podali mu ją. Zalali go nią. Przełamali utrzymujące się działanie Elixiru Aurelii.

Amara ucina naszą ekscytację. Nie możemy już mu pozwolić zdobyć ani kropli Elixiru. RzUCA mi ostre spojrzenie.

– Musisz trzymać Silasa z dala od niego. Nie może się dowiedzieć, że jakikolwiek filtromanta nadal żyje.

Zastanawiam się, skąd ona wie o Silasie. Nagle wypełnia mnie dziwne zimno i zapiera mi dech.

– Co się stało? – pyta Amara.

Otrząsam się.

– To tylko dreszcz. On przecież walczy tam na górze – mówię. – Powinnyśmy go stamtąd jak najszybciej zabrać. Wy dwie i on jesteście zbyt ważni. Musimy was stąd wydostać. Musi być jakieś wyjście, tajemne drzwi czy coś. Silas by wiedział. Możemy wrócić do Scarron. – Odwracam się do Twylli, która już stoi na nogach. – To wystarczająco daleko, żeby dać nam trochę czasu.

Nie udaje nam się ująć nawet trzech kroków, kiedy bezpośrednio nad nami rozlega się huk. Z sufitu sypią się kamienie i pył. Zatrzymujemy się i odwracamy niepewnie w stronę Amary. Obok ściany po naszej lewej stronie na podłogę spada samotna kość miednicy i roztrzaskuje się na kawałki.

Przez dłuższą chwilę patrzymy jedna na drugą. Wtedy dobiega nas kolejny huk, tym razem głośniejszy i posyłający w dół jeszcze więcej pyłu i spore kawałki skał. Żyrandol trzęsie się, a my spoglądamy w górę w jego kierunku. Grzechotanie kości jest ogłuszające, ale w ich drzeniu jest coś hipnotyzującego.

Wtedy hałas się urywa. Na ułamek sekundy nastaje cisza.

– Biegnijcie – mówi Amara, a my nie potrzebujemy dalszej zachęty. Pędzimy wzdłuż przejścia

między ławkami w stronę drzwi, a żyrandol spada na ziemię z ogłuszającym hukiem.

Rozdział 24



W naszym kierunku lecą kawałki kości, kłując mnie w plecy, kiedy szarpnię za drzwi i otwieram je na oścież. Dopiero teraz, kiedy grube drzwi nie tłumią już dźwięków, docierają do nas echa krzyków i wybuchy, przetaczające się jak koła powozu po wszystkich korytarzach Konklawe.

Zza rogu wybiega dwóch alchemików, niosących duże, drewniane pudło. Musimy przycisnąć się do ściany, kiedy mijają nas i zmierzają w kierunku ossuarium. Ich twarze są sparaliżowane strachem. Łapię Twyllę za rękę i biegniemy na oślep przez labirynt korytarzy. Próbując wrócić po własnych śladach, tym razem trzymam na ścianie prawą dłoń. Oddech biegnącej za nami zjadaczki grzechów zdradza wyczerpanie, a jej kroki są powolne i ociężałe. Ogarnia mnie zaniepokojenie.

Docieramy do szerokiego, dobrze oświetlonego przejścia. Wydaje się być tym, którym szłyśmy wcześniej, więc zaczynam odsuwać kotary na bok w poszukiwaniu ludzi, broni albo drogi ucieczki.

Nadal słychać niosące się echem zgrzyty, jak podziemne grzmoty. Dźwięk ten zdaje się podążać za nami, a mnie zaczyna ogarniać przekonanie, że sufit naprawdę zaraz się na nas zawali i nas żywcem pogrzebie.

Przed nami pojawia się postać.

– Tędy! – wzywa nas, a my biegniemy w jej kierunku i docieramy w końcu do Wielkiej Sali. Nia i Siostra Nadzieja stoją obok stołu, obie uzbrojone w krótkie miecze. Inna kobieta, białowłosa i waleczna, wymachuje buławą.

– Musicie iść – mówi Siostra Nadzieja, kierując nas w stronę kotary po drugiej stronie sali. – Silas jest już w drodze. Dołączy do was.

Kotara odsuwa się. Ja i Siostra Nadzieja kierujemy się w jej stronę, a do środka wpada Amara.

Twarz ma zaróżowioną z wysiłku i trzyma się ręką za bok.

Twylla odwraca się do niej plecami.

– Co się dzieje? – pyta Nię.

– Są w środku. Wysłaliśmy wszystkie dzieci i starców na zewnątrz przez ukryte wyjście. Cała reszta poszła walczyć.

– Czy on tu jest? – Nie musi wypowiadać jego imienia.

Nia przytakuje, a krew w moich żyłach zastyga. Z golemami. I ze swoim synem. Przybył, żeby podbić to miejsce, tak jak Lortune.

– Bogowie... – mówi Twylla, a mnie ściska w żołądku. – Musimy znaleźć jakąś broń.

– Musicie stąd odejść! – rozkazuje Siostra Nadzieja. – Nia, zabierz dziewczęta i wyprowadź je stąd.

– Chcę walczyć! – protestuje Nia. – To mój dom!

– Może stać się twoim grobem – dyszy Amara, łapiąc ją za ramię. – Zabierz stąd moją córkę i Errin. Chłopaka też, jeśli przyjdzie na czas.

– Ale...

– Nie ma czasu na sprzeczki... – Przerzywa jej wielki kawał skały, spadający trzy stopy od miejsca, w którym stoimy.

Spoza sali słycać przeszywający krzyk, a my odwracamy się w stronę, z której dobiega. Sekundę później wbiega Silas. Jego twarz jest biała, a na tunice widnieje ciemna plama.

– Silas – krzyczę, biegnąc w jego stronę. Ogarnia mnie ulga, kiedy zdaję sobie sprawę, że krew nie należy do niego.

– Już prawie tu są – mówi swojej matce, a potem patrzy na mnie. Jedną ręką obejmuje mnie w talii i mówi: – Musisz stąd odejść.

– Ty też musisz – mówię. – Jeśli cię złapie, jeśli zobaczy twoją dłoń...

– Ona ma rację – rozkazuje Siostra Nadzieja, chwytając go za prawą rękę. – Ty też, Amaro. Idź. Na zewnątrz, wężowym tunelem.

– Nie dam rady – mówi Amara. – Zostawcie mnie.

– Amaro, nie możesz...

– Zostawcie mnie, powiedziałam – żąda. Jej twarz jest wykrzywiona, a oddech przyspieszony. Silas i jego matka wymieniają pełne napięcia spojrzenia. – Twyllo, wiesz już teraz wszystko. Powiedziałam ci całą prawdę. To twoja decyzja, co z tym zrobisz dalej. Zawsze była. – Oczy Amary wwiercają się w córkę.

Z zewnątrz słycać coraz więcej krzyków i wrzasków, odgłosy kroków, brzęk metalu, ale żadne z nas nie porusza się. Wszyscy trwają w bezruchu.

– Kochałam cię – mówi Amara. – Próbowałam.

Twarz Twylli jest pozbawiona wyrazu, kiedy patrzy na swoją matkę.

Wtedy kotara odsuwa się na bok, a do pokoju wpada dwóch mężczyzn w czarnych kaftanach, ściskających w dłoniach zakrwawione miecze.

– Szybko! – krzyczy Amara, a czar pryska. Silas rzuca się w przód z wyciągniętym mieczem, a ja szukam swojego noża, ale zbyt późno zdaję sobie sprawę, że zgubiłam go w Tremayne.

Zaczynam się wycofywać, ciągnąc za sobą Twyllę. Silas idzie przed nami z mieczem gotowym do walki. Alchemiczka wykonuje zamach buławą i uderza nią jednego z mężczyzn prosto w czaszkę, zabijając go na miejscu. Siostra Nadzieja rzuca się na jego kompana i zaczyna z nim walczyć. Stoję jak wryta, widząc, że matka Silasa włada mieczem lepiej niż jakikolwiek mężczyzna. Stał rozmywa się w powietrzu, a jej szaty wirują za nią, kiedy wykonuje zwroty, parady i pchnięcia. Kiedy powala mężczyznę jednym uderzeniem, Silas odwraca się do mnie i uśmiecha z dumą.

– Szybko! – krzyczy Siostra Nadzieja, kiedy coraz więcej mężczyzn wpada do pomieszczenia. Znowu podnosi miecz i szarżuje w ich kierunku.

Zostawiamy z tyłu toczącą się walkę. Wyciągam ręce do Silasa i Twylli. Wtedy kotara, przez którą mieliśmy uciekać, osuwa się, a w jej miejscu staje mężczyzna odziany od stóp do głów w lśniącą zbroję. Stajemy w miejscu, a Silas odpycha mnie i Twyllę do tyłu, a sam zasłania nas przed Srebrnym Rycerzem. Mężczyzna wyciąga swój miecz i z arogancją i lekkością wykonuje nim pętlę. Słyszę, jak Twylla szepcze:

– Nie.

Silas napina mięśnie.

– Kiedy zacznę walczyć, uciekajcie – mówi cicho.

– Nie...

– Będę zaraz za wami.

– Si... – Nie udaje mi się dokończyć, bo Srebrny Rycerz wykonuje pchnięcie w stronę Silasa. On zaś unosi miecz, żeby obronić się przed atakiem. Ogłuszający szcęk metalu uderzającego o metal odbija się echem od skał, a z lewej strony spada na ziemię kilka stalaktytów, prawie trafiając wymachującą buławą alchemiczkę.

Łapię Twyllę za rękę, ale zanim jesteśmy w stanie wybiec przez drzwi, Srebrny Rycerz zdaje sobie sprawę, co chcemy zrobić, i cofa się, zagradzając nam drogę. Za nami Siostra Nadzieja, Nia i jej żona w jakiś sposób odpierają atak, spychając napastników w kierunku drzwi, bezustannie wymierzając ciosy – Siostra Nadzieja z wyraźną wprawą, a reszta ze szczęściem po ich stronie.

Puszczam rękę Twylli i biegnę do stołu, łapiąc za jedną z ławek. Twylla patrzy na mnie, jakbym oszalała, i krzyczy coś, ale nie słyszę jej w otaczającym mnie hałasie. Z całej siły popycham ławkę po podłodze, uderzając w nogi Srebrnego Rycerza, odpychając go od drzwi. W tym samym czasie Silas wydaje okrzyk tryumfu, kiedy jego miecz trafia w lukę w zbroi na prawej ręce rycerza.

– Teraz! – słyszę jego krzyk i znowu chwytam Twyllę za rękę, stając jednak jak wryta, kiedy do pomieszczenia wchodzi golem, sięgając na oślep swoimi glinianymi ramionami. Jest mniejszy niż ten, który połamał mi kręgosłup, ale jego pusta twarz nadal mrozi krew w żyłach. W plecach czuję klucie i zastygam w miejscu.

Wtedy zza golema wyłania się kolejna postać.

Ubrana w złotą zbroję, zdejmuje z głowy złoty hełm w kształcie smoka. Na jego plecy opadają białe włosy, a na bladej twarzy widać szyderczy uśmiech.

Śpiący Książę.

*

Przechyla głowę w ten dziwny sposób, w jaki najwyraźniej zwykli robić to wszyscy alchemicy.

– Spotkaliśmy się już – mówi, skupiając na mnie wzrok. Jego głos rozpoznaję z moich snów. Przenosi spojrzenie na Twyllę. – Córka zjadaczki grzechów? – Przytakuje sam sobie, a potem dalej nam się przygląda, podnosząc brwi, kiedy jego oczy docierają do Amary. – I sama zjadaczka? Świetnie. – Po jego twarzy rozchodzi się długi, leniwy uśmiech. Wtedy skacze w przód, ale zostaje odepchnięty przez Silasa.

– Uciekajcie! – krzyczy Silas.

Popycham Twyllę obok niego, a golem wykonuje zamach swoim potężnym ramieniem w stronę Silasa. Natychmiast trafiamy na jednego z odzianych w czerń mężczyzn, który pochyła się nad zwłokami. Nie jestem w stanie stwierdzić, czy ciało należy do kobiety, czy mężczyzny. Widzę tylko ciemną krew wsiąkającą w białe niegdyś włosy. Mężczyzna podnosi wzrok i uśmiecha się okropnie, unosząc miecz, a ja odciągam Twyllę od niego.

Mężczyzna rusza za nami w pościg, a ja wyrywam jedną z pochodni wiszących na ścianie i uderzam go nią prosto w twarz. Słychać głośny krzyk, po czym mężczyzna przewraca się na ziemię, trzymając się za głowę. Jaskinię wypełnia swąd spalonego ciała. Nadal ściskając pochodnię w dłoni, łapię Twyllę za rękę i zaczynam biec, oddalając się od Wielkiej Sali, poparzonego mężczyzny i Śpiącego Księcia.

Nie oglądam się za siebie. Biegając po kamiennej podłodze, próbuję zachować orientację, odsuwając na bok kotary, żeby sprawdzić, czy cokolwiek wyda mi się znajome. Powietrze staje się nieco zimniejsze, a więc znajdujemy się głębiej. Niedobrze, musimy dostać się bliżej powierzchni, jeśli chcemy mieć jakiegokolwiek szanse na ucieczkę.

– Stój – mówi Twylla, dysząc, a jej głos wydaje się zbyt głośny w przytłaczającej ciszy tuneli. – Nie uda nam się znaleźć wyjścia bez pomocy. Te tunele ciągną się przez całe mile. Możemy się zgubić bez szans na ratunek.

– Lepsze to niż dać się złapać – mówię.

Otwiera usta, żeby dalej się sprzeczać, ale wtedy dochodzi do nas ten dźwięk. Kroki, ciężkie, i szcęk metalu. Metalowych płyt. Zbliża się do nas. Czuję, jak z twarzy odpływa mi krew. Tym razem to ona łapie mnie za nadgarstek i próbuje odciągnąć. Kiedy dostrzegam drzwi, uświadamiam sobie, że popełniłyśmy błąd. Utknęłyśmy w sercu Konklawe, a kroki zbliżają się w naszą stronę.

– Musimy się ukryć – Twylla szepcze w pośpiechu. – Musimy.

Zdaję sobie sprawę, że ma rację, i podążam za nią do świątyni.

Wcześniejszy majestat zastępuje scena rodem z koszmaru. Bez żyrandola w pomieszczeniu panuje półmrok. Światło rzucają jedynie pochodnie znajdujące się na ścianach. Podłoga jest zasypana setkami roztrzaskanych czaszek. Spoglądają na nas puste oczodoły, a połamane żuchwy i zęby pokrywają poobijane ławki. Spoglądam w kierunku sufitu, z którego luźno zwisają kości, i zastanawiam się, co zrobił Śpiący Książę, że tutaj zawalił się sufit.

Stąpając po zmarłych, zbliżamy się do ołtarza, ślizgając się na zdradziecko ostrych kawałkach kości i drewnianych drzazgach, zgniatając je pod butami i wzbijając tumany kurzu oraz pyłu. Moje serce bije jak szalone. Mdli mnie od niepewności i strachu.

– Gdzie się schowamy?

– Nie wiem. – Twylla rozgląda się zdesperowana dookoła. – Musi tu coś być. Jakaś mała nisza albo półka skalna. – Zgląda za drewniany ekran, a ja podążam za nią, rozgarniając nogami żebra tak szybko, jak tylko jestem w stanie.

Kiedy słyszę jej westchnienie, myślę, że jesteśmy uratowane, że znalazła dla nas wyjście. Jednak ona nie patrzy za ekran, ale w stronę przejścia między ławkami.

W drzwiach stoi mój brat, od stóp do głów odziany w srebrną zbroję, również na nią patrząc. Pod jedną ręką trzyma hełm, a druga, prawa, zwisa luźno, osłaniająca ją zbroja ocieka zaś krwią.

Srebrnym Rycerzem nie jest Nosiciel. Jest nim Lief.

Rozdział 25



Jego oczy skupiają się na niej, kiedy idzie między ławkami, zdając się nie zauważać kości pod swoimi stopami. Jest w tym coś, co przywodzi na myśl ślub: ona stoi w podartej i zabrudzonej sukni obok ołtarza, a on brnie w jej kierunku poprzez rzekę kości.

On żyje.

„Miała rację – myślę dziko – on żyje”. Wiedziałam, że nie dałby się tak po prostu zabić. Ale moja radość znika tak szybko, jak się pojawiła. Przecież jest sprzymierzeńcem Śpiącego Księcia. Pracuje dla niego – z nim. Mój własny brat. To dlatego nie wrócił do domu.

Patrzę na niego, mając nadzieję, że to nieprawda, że to tylko halucynacje. Jego usta rozciągają się w uśmiechu, ale nie przypomina wcale tego, który pamiętam. Mimo że jego usta rozciągają się i wykrzywiają, bardziej przypomina to grymas niż uśmiech.

– Witaj, Twyllo – mówi, zatrzymując się kilka stóp od niej i odkładając hełm na ławkę.

– Witaj, Liefie – odpowiada i odwzajemnia uśmiech.

Jego twarz rozświetla się, ale trudno mi na nią patrzeć. Jego uczucia lśnią tak samo jasno jak jego zbroja, a ja już wiem, że naprawdę ją kochał, że nadal ją kocha, niezależnie od tego, co ona sądzi. Odwracam się w jej kierunku i dostrzegam w jej twarzy tę samą tęsknotę. Ja mogłabym wcale nie istnieć. Jest tylko ich dwoje.

Musi być pod wpływem jakiegoś zaklęcia, to na pewno to. Dlatego ani nie wrócił do domu, ani do nas nie pisał. On by tak nie postąpił. Śpiący Książę musiał go zczarować, a teraz Twylla przełamie urok. Jak w opowieściach – jeden pocałunek i będzie wolny, a nasza trójka odszuka Silasa i znajdzie sposób na pokonanie Śpiącego Księcia.

Wtedy zdaję sobie sprawę, że jest tutaj Lief, a Silas nie. Lief walczył przecież z Silasem. Żeby tutaj dotrzeć, musiał go najpierw pokonać...

Opieram się o ławkę, a moje usta otwierają się w niemym krzyku.

Patrzę na Twyllę. Miłość i tęsknota zniknęły już z jej twarzy.

– Znowu to zrobiłeś, prawda? – mówi.

– Mogę wyjaśnić.

– Czy naprawdę znowu będziemy o tym rozmawiać? – warczy Twylla, a Lief i ja wzdrygamy się i odsuwamy od niej nieco. – Nie możesz nic poradzić na to, że jesteś zdrajcą, prawda? Jak możesz być krewnym Errin? Ona ryzykuje swoje życie dla tych, których kocha. Ty zdradzałeś wszystkich, którzy kiedykolwiek okazali ci dobroć, raz za razem, dla własnego zysku.

– Nie oczekuję, że zrozumiesz.

Potrząsa głową i spogląda na jego miecz.

– To miecz Mereka? – Kiedy nie odpowiada, Twylla śmieje się gorzko. – Oczywiście, że tak. Jeśli należał do Mereka, musiałeś go zdobyć, prawda? Jego dom, jego miecz, jego narzeczoną...

– Nie przypominam sobie, żebyś się wzbraniała – mówi Lief zimno, a Twylla bierze długi oddech. – Nie wiedziałem, że on zabije Mereka – mówi dalej Lief, wyraźnie usiłując utrzymać spokojny ton głosu, a moje serce nagle staje w miejscu. Kiedy zabito króla, mój brat tam był. Był tam od samego początku. – Myślałem, że zamierza go uwięzić. Nigdy nie chciałem, żeby mu stało się coś złego.

– A mówiłeś, że to ja jestem naiwna.

Potrząsa głową.

– Twyllo, ja...

– Jeśli powiesz, że nadal mnie kochasz, to cię zabiję, przysięgam na bogów – syczy.

– Nie zamierzałem – odpowiada, a szczerłość rozbrzmiewająca w jego głosie przyprawia mnie o dreszcz. – Chciałem ci powiedzieć, żebyś się ukryła. Upewnij się, że cię nie znajdą.

– Pomagasz nam?

– On chce twojej głowy obok głowy Mereka na bramie Lortune – mówi Lief. – I mimo tego, że nie jesteśmy już... przyjaciółmi, nie chcę, żeby to się stało.

Widzę, jak Twylla blednie, we mnie samej narasta gniew, gorący i jadowity.

– Lief? – mówię, a mój głos sprawia, że oboje podskakują. Odwracają się do mnie zaskoczeni.

– Errin – Lief sili się na uśmiech.

– Gdzie się podziewałeś? Dlaczego nie wróciłeś? Dlaczego nie napisałeś?

Lief patrzy na Twyllę, a potem jego spojrzenie znowu pada na mnie.

– Później o tym porozmawiamy.

– Jesteś Srebrnym Rycerzem? Jesteś z nim?

Mój głos odbija się echem, a Lief spogląda przez ramię.

– Ciszej.

Potrząsam głową.

– Gdzie jest Silas? Czy ty... – Nie mogę wypowiedzieć tych słów. – Czy to zrobiłeś?

Potrząsa głową.

– Nic mu nie jest.

– Ale ma go teraz twój pan, prawda? – Sплюwam, a Lief czerwienieje. – Dzięki tobie. Tremayne zostało zniszczone! Nasza wioska, Lief. Już jej nie ma. Piekarnia, kuźnia. Moja apteka. Jego potwory zrównały ją z ziemią, rozniosły wszystko na kawałki. Zginęli ludzie, Lief. Żona piekarza. Kowal. Możliwe, że Lirys też. Ludzie, których znaliśmy.

– Nie było mnie tu, kiedy to się stało...

– Myślałam, że nie żyjesz – przerywam mu, opluwając go moimi słowami. – I żałuję, że tak nie jest. Bogowie, żałuję, że tak nie jest. Zdrajca.

Jego oczy przeskakują między mną a Twyllą.

– Co ona ci powiedziała? – pyta.

Potrząsam głową i odsuwam się od niego.

– Powiedz nam, jak się stąd wydostać. Przynajmniej tyle jesteś mi winien. Jej jesteś winien więcej.

– Errin, ja...

Dochodzi nas odgłos kroków.

– Lief? – z głębi korytarza dobiega gładki, mrozący krew w żyłach głos, a ja zamieram jak sarna na widok myśliwego.

– Tutaj, Wasza Miłość – woła Lief. – Schowajcie się – syczy do Twylli. – Nie mogę was ochronić. Schowajcie się.

Twylla patrzy na mnie, a ja przytakuję. Rozejrzawszy się wokół, zaczyna skradać się w stronę ekranu, za którym siedziałyśmy przed około godziną, ale coś nagle ściska mnie za serce. To nie wystarczy. Złapią ją.

Lief nagle skacze w moim kierunku i boleśnie ściska mnie za ramię, po czym rzuca mnie na ziemię, przywodząc mi na myśl porucznika, którego spotkałam na drodze. Zaczynam krzyczeć, ale natychmiast milknę, kiedy podnosi miecz i kieruje go w moją stronę.

– Udawaj – szepcze. – Dla jej dobra. I Silasa. I twojego też.

Kątem oka dostrzegam Śpiącego Księcia wchodzącego do sali, a Lief mocniej wbija palce w moje ramię.

– Gdzie ona jest? – pyta groźnie, a ja znów zaczynam krzyczeć. – Którędy uciekła?

– Nie wiem – odpowiadam. Ból i strach są bardzo prawdziwe.

– Kłamiesz – mówi Lief, pochylając się. – Wiem, kiedy kłamiesz. Którędy uciekła?

– Mówię ci, że nie wiem. – Po mojej twarzy ciekną łzy.

Wtedy Lief puszcza mnie, a moim oczom ukazuje się Śpiący Książę, który kuca przede mną,

trzymając dłonie na kolanach. Przygląda mi się z przechyloną na bok głową.

– Ona mówi, że nie wie, Lief – szepcze. – Czy to prawda, moja słodka?

Przytakuję, pozwalając płynąć łzom.

– Już dobrze, moje dziecko. – Podnosi mnie z ziemi i bierze w ramiona. Moja twarz jest przyciśnięta do jego zimnej zbroi, a jego metalowe ręce przytrzymują mnie. Jestem przerażająco świadoma, że mój brat stoi za nami, a Twylla chowa się za ekranem. Ale on nadal mnie trzyma. Czuję, jak jego nos dotyka moich włosów, jak wciąga powietrze. – Nie zostaliśmy sobie odpowiednio przedstawieni – mówi, zbliżając usta do mojego ucha. – Jestem Aurek. Teraz już król Aurek. A ty jesteś Errin.

Odpycham go od siebie, a on pozwala mi na to, uśmiechając się swobodnie. Z bliska zauważam, że jego policzki są zapadnięte, a skóra na nich cienka i woskowata. Jego włosy są suche i łamliwe, a wokół jego ust i między brwiami widać linie. Starzeje się. Szybko.

– Gdzie jest Silas? – pytam, zanim zdążę się zastanowić.

Tym razem jego uśmiech jest promienny i rozświetla całą jego twarz.

– A, Silas. Mój cudowny siostrzeniec. Cóż za dar, coś za nieoczekiwany prezent w tak mrocznych czasach. Jest bezpieczny, to oczywiste. Jest moim skarbem. Tak jak ty, moja słodka. Tak jak twój brat. Moja nowa rodzina. Zobaczysz go już wkrótce, jeśli będziesz się zachowywać. Jednak nie oczekuję żadnych kłopotów z twojej strony. W końcu jesteś dziewczyną z moich snów.

Ścisną mnie w żołądku. Byłam taka głupia.

– Więc to byłeś ty...

– To jedna z zalet bycia animantą. Mój mały żart. Jednak ty się nie śmiejesz. – W jego zachowaniu jest coś odrażająco dziecinnego. Wzrusza ramionami. – Właściwie to ten żart i tak był tylko dla mnie. Tak jak ten drugi.

– Co? Drugi?

Kładzie na moich ustach swój długi palec i ucisza mnie.

– Później, moja najśłodsza. – Zwraca się do Lief. – Kiedy ostatni raz widziałeś zdrajczynię?

– W Wielkiej Sali, zanim uciekły. Myślałem, że to właśnie ją goniłem. Zmyliło mnie to, że ufarbowała włosy.

– Czy naprawdę nie wiesz, gdzie jest twoja przyjaciółka? – Śpiący Książę przygląda mi się uważnie, a ja używam całej swojej siły woli, żeby utrzymać na nim swój wzrok i nie spojrzeć w miejsce, w którym ukrywa się Twylla.

– Powiedziałam jej, żeby uciekała.

– Niedobrze – mówi Śpiący Książę. – To nie było mądre. – Marszczy brwi i odwraca się, rozglądając po sali. Moje serce wali jak szalone.

– Czy wszyscy w Tremayne nie żyją? – rzucam. – Czy twoje potwory zabiły ich wszystkich?

– Co za brak szacunku. – Ponownie spogląda na mnie, a jego oczy lustrują moją twarz. – Jestem królem, Errin. Powinnaś mi się pokłonić. Jeszcze tego nie zrobiłaś. Nie powinnaś też się do mnie

zwracać, jeśli ja nie przemówię do ciebie pierwszy.

– Powiedz mi, co się z nimi stało, a wtedy zdecyduję, czy ci się pokłonić, czy nie.

Krzywi się, zaciskając usta, a jego twarz zalewa gniew. Znika jednak tak samo nagle, jak się pojawił, i zastępuje go mechaniczny uśmiech.

– Dość pytań, moja słodka. Później będziemy mieli mnóstwo czasu. – Szybkim ruchem chwytam mnie za nadgarstek i gładzi go kciukiem, uśmiechając się, kiedy się wzdrygam.

Ponad jego ramieniem stoi Lief z dziwnym wyrazem twarzy. Mruga raz, jakby przypomniał sobie, gdzie jest, po czym mówi.

– Wasza Miłość, proszę wybaczyć śmiałość, ale mogę poszukać jej przy pomocy golemów, jeśli taka jest twoja wola. Wszystkie sprawy powinny już być zakończone, tak jak sytuacja na powierzchni.

– Sprawy. – Wlepiam wzrok w mojego brata. – Masz na myśli morderstwa?

– Żeby wyeliminować zagrożenie, należy zniszczyć gniazdo, Errin – odzywa się śpiwnie Śpiący Książę. – Nie oczekujemy, że to zrozumiesz.

– To dobrze, bo nie rozumiem. – Odwracam się od niego. Czuję ukłucie paniki, stając do niego plecami, ale zbieram w sobie odwagę i spoglądam na brata. – Co z Lirys, Lief? Była w Tremayne. Wiesz, że ona i Kirin byli zaręczeni? Co z nim? Był żołnierzem, Lief. Przechodziliście przez Almwyk? Wiesz, że tam był? Jego też zabiliście?

Lief zaciska pięści, ale jego twarz pozostaje niewzruszona.

– Jeśli zginął jakiś żołnierz, to zginął, pełniąc swoją służbę. Właśnie do tego się zgłaszali: do obrony swojego kraju.

– To twój najlepszy przyjaciel! – Szlocham, a potem znowu zostaję uwięziona w żelaznym uścisku Śpiącego Księcia.

– Już, już, moja piękna – mówi Śpiący Książę, kładąc głowę na moim ramieniu. – I tak zrobiłbym to wszystko, więc właściwie nie powinnaś winić za to swojego brata. Można nawet rzec, że uratował więcej istnień, niż zostało do tej pory straconych. Zabiłem dziesięć razy mniej ludzi, niż myślałem, że będę musiał. – W jego głosie słyszę zadowolenie, co przyprawia mnie o mdłości.

Ignoruję Śpiącego Księcia i zwracam się bezpośrednio do mojego brata.

– I co teraz? Mieszkasz w zamku w Lormere jako jego sługa?

Słyszę za sobą cmoknięcie.

– On jest moim następcą – mówi łagodnie Śpiący Książę do mojego ucha. – Jeśli nie będę miał własnych dzieci, twój brat będzie moim następcą. A jeśli będę miał jeszcze dzieci, zostanie wielkim księciem z własną ziemią, którą będzie władał i którą będzie mógł przekazać swoim następcom. Nie będzie już musiał się nikomu kłaniać ani o nic prosić. To w podziękowaniu za to, co pomógł mi osiągnąć. A ty, jeśli nauczysz się panować nad językiem, możesz zostać księżną.

– Wolę umrzeć.

– To też mogę dla ciebie zrobić – szepcze. Potem kontynuuje, mówiąc głośniej. – Dużo

zawdzięczam twojemu bratu, Errin. Jego wiedza na temat układu zamku w Lormere oraz wiedza na temat geografii i praw Tregellanu były dla mnie nieocenione. Powiedział mi też, że wasz pradziadek był kiedyś kapitanem Tregellańskiej Armii Królewskiej. W nim również to dostrzegam.

Spoglądam na Liefę, oczekując, że będzie napawał się jego pochwałami, ale on jedynie się kłania. Śpiący Książę odzywa się znowu.

– To proste, Errin. Jeśli zgodzisz się przysiąc mi swoją wierność, zostaniesz nagrodzona. Zależy mi na dobrze prosperującym królestwie. Moje początkowe metody mogą wydawać się niesmaczne, ale dziedzictwo będzie tego warte. Zjednoczę Lormere i Tregellan, żeby wszyscy mogli żyć w dobrobycie. Czy zaakceptujesz mnie jako swojego króla?

– Nie – odpowiadam bez namysłu.

Jego uścisk na moim nadgarstku staje się silniejszy, aż zaczynam wyć. Lief wychyla się naprzód, jakby chciał przyjść mi z pomocą, ale szybko się opanowuje, a jego twarz ponownie staje się beznamiętna.

– Liefie, czy pozwolisz mi zostać przez chwilę sam na sam z twoją siostrą? Wydaje mi się, że twoja obecność budzi w niej bunt. Rywalizacja między bratem i siostrą, dobrze to pamiętam. Poszukaj jeszcze raz tej dziewczyny. Weź golemy. Weź też Bracha i jego drużynę. Nie mogła uciec daleko.

Lief kłania się ponownie, po czym odwraca się i rusza przejściem między ławkami w stronę kotary, którą odsuwa na bok, a potem wychodzi. Jestem zszokowana, że zostawił mnie tutaj samą ze Śpiącym Księciem. Że zostawił Twyllę samą, ukrytą za ekranem.

Śpiący Książę odwraca mnie w swoją stronę.

– Pozwól, że wyrażę się inaczej, Errin – mówi łagodnie. – Mam twojego brata. Mam Silasa. Za kilka godzin będę miał również twoją matkę. Jeżeli mnie rozżościsz, zrobię im krzywdę. Jeżeli mi się sprzeciwisz, zrobię im krzywdę. Wiesz, Errin, że jedyną rzeczą, o jaką prosił twój brat, było bezpieczeństwo twoje i twojej matki? Nie prosił o te wszystkie nagrody, którymi go obsypuję. Czy to nie szlachetne? Mogłem mu dać wszystko, czego zażąda, ale on tylko chciał, żeby ktoś zajął się jego rodziną. Żebyśmy razem stworzyli szczęśliwą rodzinę.

– Mówiłam ci już, że wolę umrzeć.

– A ja powiedziałem, że i to da się załatwić. Ale myślę, że zmienisz zdanie. Podobałem ci się w twoich snach, prawda? – Rumienię się, a on wyszczerza zęby w uśmiechu. – Tak, podobałem ci się. Nawet bardzo.

– Gdybym wiedziała, że...

– Ach tak, oczywiście. Myślałaś, że ja to Silas. Jest jeszcze jedna rzecz, którą zawdzięczam rodzinie Vastel. Mojego dawno utraconego siostrzeńca, filtromantę. Gdybyś nie powiedziała mi w swoich snach, gdzie byłaś, z kim byłaś, nie chcę nawet myśleć, jak wiele mogłoby mnie ominąć.

– Nie. Nie. To były moje sny. To nie była prawda. – Moja krew zastyga. – Nie.

Odpowiada uśmiechem rodem z koszmaru.

– Jestem animantą. Potrafię tworzyć życie, Errin. To właśnie zrobiłem. Użyłem krwi twojego brata i stworzyłem dwa małe symulakra. Powiedziałem mu, że będę je chronił, a dopóki tak będzie, obie będziecie bezpieczne. Jedno nazwałem Errin, to byłaś ty. To drugie to Trina. Właściwie to Trina była moją ulubienicą. Łatwiej było się nią bawić. Była plastyczna.

Moje uszy wypełnia wysoki dźwięk, kiedy element układanki trafia na swoje miejsce. Lalka we śnie. Pokazał mi ją. Powiedział, że to ja. To była prawda. I... O bogowie... „Moja słodka”. Moja matka mówiła tak, kiedy była pod wpływem klątwy. Tylko że nie ma żadnej klątwy. Nie ma Szkarłatnego Varulva. Przez cały czas to był on. On ją taką uczynił. On zmusił ją do tego wszystkiego, co mi robiła.

Uśmiecha się ponownie, dostrzegając, że wszystko zrozumiałam.

– Lubię bawić się moimi małymi symulakrami. Było coś poetyckiego w robieniu tego podczas pełni księżyca. Coś mistycznego, jak w opowieściach. Nie mówiłem nic Liefowi. Chyba by mu się to nie podobało. Ale czasem się nudzę.

Odwracam głowę, a z mojej twarzy kapią łzy. Te wszystkie razy, kiedy matka rzucała się na mnie. To był on. I wszystkie moje sny. Siedział w mojej głowie. Czuję żółć zbierającą się w moim gardle.

– Dlaczego? – pytam cicho. Powinnaś czuć ulgę, że mama nie jest przeklęta, ale to jest jeszcze gorsze.

– Okradziono mnie, Errin. – Głaszczesz moją twarz kciukiem, a potem zwraca ją ku sobie. – Z mojego życia. Z mojego dziedzictwa. Otruty, mając ledwie dwadzieścia dwa lata. Spałem przez pięćset lat. Nie budziło mnie nic. Dziedzictwo, które budowała moja rodzina przez pokolenia, obróciło się w popiół rozwiewany przez wiatr. Obiecano mi królestwo – warczy. – Obiecano mi najwspanialsze królestwo, jakie widział świat. I będę je miał. Nawet jeśli będę musiał zbudować je na ruinach Lormere i Tregellanu.

Jego oczy wwiercają się w moje, są rozpalone szaleństwem i stają się jeszcze bardziej przerażające, kiedy wybucha śmiechem.

– Powinnaś mi dziękować. Ze wszystkich ludzi ty powinnaś powitać mnie z otwartymi ramionami. Spójrz na siebie. – Odpycha mnie i przygląda mi się, trzymając mnie na wyciągnięcie ręki. – Nie masz nic. Przez całe życie rządzą tobą bogaci głupcy, liberałowie bez szacunku dla tradycji, historii i ciężkiej pracy. Zabrali twoją matkę i zamknęli w przytułku. Zabijali twoją krew. Lief mi powiedział. Twój pradziadek zginął z ich rąk. Powinnaś od zawsze mieszkać w zamku. Mogę ci to dać. Sprawię, że wszystko będzie takie, jakie być powinno.

Wlepiam w niego wzrok.

– A jakie powinno być?

– Moje. – Uśmiecha się drapieżnie. – Wszystko moje, pod moją kontrolą i do mojej dyspozycji. Mówiłem ci, trzeba zniszczyć gniazdo, Errin – mówi łagodnie. – Tak się właśnie postępuje z plagą. Właśnie to powinniśmy byli zrobić w Tallith, zamiast wzywać szczurołapa. Teraz to widzę. Spalić źródło.

– Jesteś potworem – szepczę.

– Jestem królem. Ojciec powiedział mi, że król może rządzić poprzez strach albo poprzez miłość. Za pięćdziesiąt lat ci ludzie będą mnie kochać. Nie będą tego pamiętać – a jeśli będą, uznają to za ciemność, która musi nastać przed świtem. Kiedy będą żyć w dobrobycie, bezpieczeństwie i znać swoje miejsce, będą szczęśliwi i będą mnie za to kochać. Ale do tej pory będę rządził poprzez strach, jeśli będzie to konieczne.

Uśmiecha się do mnie lubieżnie.

– Wtedy zacznę od nowa. Wykorzystam Silasa i kilku innych wybranych do wyhodowania nowych alchemików. Znajdę ostatnią z linii zjadaczek grzechów i powieszę jej głowę nad moim tronem. Każę wpleść jej włosy w swoją koronę, a z zębów zrobić naszyjnik. A kiedy będę bezpieczny, uczynię te ziemie wspaniałymi, Errin. Takimi, jakie było niegdyś Tallith. Nawet ty nauczysz się mnie za to kochać. Przysięgniesz mi wierność. Ja i ty, Silas i Lief oraz każdy, kogo uznam za godnego, pozostanie ze mną na tych ziemiach i zostanie moim dworzaniem. Na zawsze.

Całuje mnie w czoło i zaczesuje mi włosy za uszy. Potem przyciąga mnie tak blisko, że nasze nosy stykają się. Czuję smak jego oddechu, jest lekko metaliczny, lekko zgniły, rozkładający się, jak zapach jego golemów.

– Spałem przez pięćset lat i budziłem się tylko po to, żeby zjadać serca takich małych, głupiutkich dziewczynek jak ty. Zjadłem serce własnego syna, żeby zdobyć siłę do stworzenia moich golemów. Jeśli nie zamkniesz buzi i nie klęknie przedemną, zjem serce twojej matki, a potem twojego brata. Znajdę wszystkich, których kiedykolwiek znałaś: twoją najlepszą przyjaciółkę z dzieciństwa, twoją pierwszą miłość, wszystkich, którzy kiedykolwiek okazali ci dobroć. A potem wyrwę serca z ich piersi i zjem je na twoich oczach.

Uśmiecha się nikiemnie.

– Zmuszę Silasa, żeby robił dla mnie Elikzir, aż zostanie z niego tylko zgnilizna. Zmuszę, żeby go zrobił, a potem wyleję przez okno na waszych oczach, a potem zmuszę go, żeby zrobił go jeszcze raz. Im bardziej będziesz mi się sprzeciwiać, tym gorzej dla wszystkich.

– Dlaczego jestem dla ciebie taka ważna? – pytam łamiącym się głosem.

– Nie jesteś.

– Więc dlaczego to robisz?

– Bo mogę. Bo spałem przez pięćset lat i potrzebuję trochę sportu. – Puszczając moje ręce i spoglądając na mnie wyczekująco. – Wybieraj.

Nie patrzę na ekran, za którym ukrywa się Twylla.

Klękam.

Epilog



– Zatańcz ze mną.

To chwila jak ze snu. W ramionach trzyma mnie przystojny księżę i spogląda na mnie z góry, uśmiechając się. Dotyka dłonią mojego policzka, a jego kciuk gładzi delikatnie moją twarz w czasie tańca. Nie ma muzyki, ale nie jest nam potrzebna. Ten bal jest tylko dla nas dwojga, intymny i pełen obietnic. On jest szczęśliwy. Widzę to w jego rozświetlonych oczach i w tym, w jaki sposób patrzy w moje, zerkając przelotnie na moje usta, a potem znowu chwytając moje spojrzenie. Jego ciało zadaje mi pytanie, a jego palce obejmują mnie lekko, kiedy przysuwa twarz do mojej twarzy.

Kiedy nie ma już między nami przestrzeni, zamykam powieki. A potem dźgam go w gardło nożem, który ukradłam dziś rano podczas śniadania. Jest tępy, ale wkładam w uderzenie całą swoją siłę.

On zatacza się w tył, a jego oczy są szeroko otwarte. Zwijam moje palce niczym szpony, kiedy patrzę na krew lejącą się w dół po jego aksamitnym niebieskim kołnierzyku i plamiącą jego koszulę.

Wyciąga nóż ze swojej szyi i wbija mi go w brzuch. Upadam na podłogę, a ból zalewa całe moje ciało.

Nie. Nie.

Krew leje się na moje dłonie, kiedy chwytam za rękojeść. Instynkt podpowiada mi, żeby wyrwać nóż z mojego brzucha, żeby pozbyć się tego, co sprawia, że ciemnieje mi w oczach. Umrę, jeśli go wyciągnę. Może tak będzie lepiej.

Chwytam rękojeść mocniej, a wtedy jego dłoń łapie mnie za szczękę i zmusza do odchylenia głowy do tyłu. Otwieram usta, a on wlewa do nich płyn. Potem zamyka mi usta.

– Połknij – syczy, a ja połykam. Krzyczę, kiedy gwałtownie wyciąga ze mnie nóż.

Zanim zdążę spojrzeć w dół, krew przestaje płynąć, a rana zamyka się. Widzę ją przez rozdarcie w mojej czerwonej aksamitnej sukni. Opadam na ziemię. Leżę na podłodze sali balowej w kałuży naszej wymieszanej krwi. On kładzie się na ziemi obok mnie.

– To musi się skończyć – mówi wreszcie, leżąc blisko jak mój kochanek. – Dlaczego wciąż to robisz? Dałem ci wszystko. Mieszkasz w zamku, na litość boską. Uwolniłem twoją matkę. Pojednałem cię z twoim bratem. Karmię cię i ubieram. Nie proszę cię o nic poza twoim towarzystwem. Czego jeszcze ode mnie chcesz? Bo, mówiąc szczerze, Errin, to już robi się nudne.

– Chcę, żebyś zostawił mnie w spokoju.

– Aaa, ale ja lubię z tobą przebywać. – Uśmiecha się do mnie.

– Bo cię nienawidzę.

– Nieprawda – mówi łagodnie, a jego głos jest jak pieszczota. – Nie możesz. Spójrz na mnie, Errin. Co widzisz?

Odwracam wzrok, ale on łapie mnie za podbródek i odwraca moją głowę. Patrzę na niego. Jego złote, jastrzębie oczy, jego srebrnobiałe włosy. Jego piękna, nienawistna twarz.

– Już zawsze będziesz mną gardzić, ponieważ mam jego twarz – mówi. – Możesz mnie nienawidzić, ale nie poradzisz nic na to, że również mnie pragniesz, bo wyglądam jak on. Takie same oczy, takie same włosy. Taki sam uśmiech. – Jego usta rozciągają się w uśmiech, ten uśmiech, a ja wiem, że znowu mnie pokonał. – Nie potrafisz tego przeżyć. Za każdym razem jest tak samo. Dlatego właśnie nie mogę pozwolić ci odejść. Musisz nauczyć się, jak się kontrolować albo sam się tym zajmę na swój sposób. – Wyraz jego twarzy się zmienia, stając się tak szczery, jak u każdego drapieżnika, a mnie ściska w żołądku.

– Doprowadź się do porządku. – Wstaje, nie podając mi ręki. – Myślę, że poprosimy Silasa, żeby zjadł dzisiaj z nami kolację. Co o tym sądzisz, moja słodka? – Milczę, a moje serce przyspiesza w oczekiwaniu na puentę. Z Aurekiem zawsze jest jakaś puenta.

– Oczywiście będzie trzeba go tu przynieść. I nakarmić. Właściwie byłby to paskudny widok. Ale ty pewnie nie będziesz miała nic przeciwko. Prawda? Zajmowałaś się swoją matką, kiedy była niedysponowana, to dość podobne. Oczywiście twoja matka miała władzę nad rękami i nogami, mimo że nie chciała ich używać. Niestety, biedny Silas... nie ma wyboru.

– Przestań... – szepczę, a moje usta wypełnia ten dziwny smak, który poprzedza wymioty.

– Chciałbym to zobaczyć. – Jego głos jest głębszy, jakby ten pomysł sprawił mu przyjemność. – Kroisz mięso i podnosisz widelec do jego ust. Czekasz aż pogryzie i przełknie. Wycierasz mu usta. – Każde słowo wbija się we mnie jak igła. – Nie wiem, jak wysoko zaszło *Nigredo* na jego nogach. Kiedy widziałem go po raz ostatni, było poniżej kolan, ale teraz... może być już na jego udach. Ciekawe, czy zdecyduje się siedzieć, czy stać do końca swojego życia? Co ty byś wybrała, Errin? Wolałabyś siedzieć czy stać?

Nie mogę się powstrzymać i wymiotuję. Krtuszę się, kiedy zawartość mojego żołądka wylewa się na moją zniszczoną sukienkę i na podłogę.

On cofa się o krok, a w jego głosie słyszę obrzydzenie.

– Jesteś okropna. Idź się wykapać. Do kolacji każę przygotować ci nową suknię.

Słyszę, jak odchodzi, a jego kroki rozbrzmiewają w sali balowej. Potem rozlega się pisk na drewnianej podłodze, kiedy odwraca się do mnie.

– Ach, cóż ze mnie za głupiec. Nie mogę zaprosić go na kolację. Nie będzie miał czasu. Będzie musiał przygotować więcej Elikśiru, żeby zastąpić ten, który wlałem w ciebie. Sądzę jednak, że nie będzie miał nic przeciwko, kiedy dowie się, że uratował ci życie. Zabierzcie ją do jej komnaty – rozkazuje osobie ukrytej w kącie sali balowej.

Drzwi zamykają się za nim z lekkim trzaskiem, a moje łzy dołączają do mieszaniny krwi i wymiocin na pięknej niegdyś sukni.

Służący w ciszy wyłania się z cienia. Jest ubrany w szorstki szary kaftan i pasujące bryczesy. Staje nade mną, a jego ciemne oczy są pełne współczucia. Jego włosy są ścięte krótko przy czaszce, a jego szczeka jest mocno zaciśnięta, kiedy wyciąga rękę, żeby pomóc mi wstać. Odtrącam ją. Nie chcę pomocy od tchórza, który klęka przed Śpiącym Księciem, żeby ocalić skórę.

Tak jak ja.

– Proszę wybaczyć – mówi i odsuwa się, robiąc mi miejsce, żebym mogła wstać.

Podnoszę się i wygładzam suknię. Zastanawiam się, czy należała kiedyś do Twylli. Zastanawiam się też, jak sobie radzi, gdzie jest. Mam nadzieję, że udało jej się uciec daleko, daleko stąd. Spoglądam w dół na swoją szatę i gniotę materiał w zaciśniętych dłoniach. Ciekawe, czy kiedyś tu tańczyła.

Powoli wychodzę z sali. Mimo że nie jestem już ranna, mój umysł podpowiada mi, żeby udawać, że coś mi dolega. Strażnicy przy drzwiach nie patrzą na mnie, kiedy ich mijam. Służący idzie za mną, irytując mnie swoją obecnością przez całą drogę korytarzem. Kiedy docieramy do południowej wieży, próbuje odprowadzić mnie do samej sypialni. Chcę zamknąć mu drzwi przed nosem, ale udaje mu się zablokować je stopą.

– Rusz się – rozkazuję, a on potrząsa głową, trzymając palec przy ustach i pokazując na schody.

– Rusz się, mówię. – Mój głos jest donośniejszy, ale sługa stoi w miejscu i nie słucha mnie.

– Muszę z tobą porozmawiać – szepcze. – Proszę. Mam tylko chwilę. Powinnaś usłyszeć to, co mam do powiedzenia.

Patrzę na niego, a potem wzruszam ramionami i odwracam się, kiedy zamyka drzwi.

– A więc? – pytam, patrząc na niego.

– Czy Twylla nadal żyje? – Jego oczy rozszerzają się, a jego ciało pochyla się w moją stronę, jakby pod ciężarem tego pytania. – Wiesz, gdzie ona jest? Proszę. Jeśli wiesz cokolwiek...

– Chyba nie sądzisz, że ci coś powiem, zdrajco.

– Nadal jesteś jej przyjaciółką?

Przyglądam mu się w milczeniu.

– Dobrze. Czy jesteś przyjaciółką Śpiącego Księcia?

Patrzę w dół na zniszczoną suknię.

Służący przytakuje, jakby usłyszał moją odpowiedź.

– Dlaczego go dźgnęłaś? Wiesz, że to go nie zabije.

– Bo to poprawia mi humor – odszczekuję, ale natychmiast żąkę, że nie potrafię kontrolować swojego języka i złości.

Wydaje się wiedzieć, o czym teraz myślę, kącik jego ust drga nieco, jakby powstrzymywał uśmiech.

– A może dlatego, że próbujesz zdobyć trochę jego krwi?

– Co? – Pokój wydaje się zmniejszać, a ja rozglądam się za czymś, czym mogłabym się bronić.

– Słyszałem o tobie. Jesteś aptekarką. Wiem, co potrafią zrobić tregellańscy aptekarze. Wiem, że potrafią rozkładać mikstury, dowiedzieć się, z czego są zrobione.

– A co to ma do rzeczy?

Patrzy mi prosto w oczy.

– Zawsze robisz mu krzywdę w taki sposób, żeby zaczął krwawić. Zawsze. Myślę, że potrzebujesz jego krwi do badań. Żeby ją rozłożyć. Znaleźć sposób, żeby go powstrzymać. Chcę ci tylko pomóc.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– A gdybym powiedział ci, że znam sposób, żeby stąd uciec? Gdybym obiecał, że pomogę ci zdobyć to, co jest ci potrzebne, a potem wydostanę cię stąd? Czy to coś zmienia? Mogę cię stąd wydostać, Errin. Kiedy tylko będziesz chciała. – Przerywa, a potem patrzy na mnie kątem oka i bierze głęboki wdech. – To był kiedyś mój zamek.

Zajmuje to chwilę, zanim jego słowa do mnie docierają. Zaczynam uważnie przyglądać się jego twarzy. Tak... Tak, te kości policzkowe, ta krzywizna żuchwy. Kręcone włosy zostały ścięte, a ubrania są proste i zniszczone, ale teraz to dostrzegam: ta twarz patrząca w dół z grzbietu białego konia wiele miesięcy temu.

– Wszyscy myśleliśmy, że nie żyjesz.

– To, co stało się z tregellańską rodziną królewską, nauczyło mnie, że jeśli pod twoją bramą są ludzie, którzy chcą cię skrzywdzić, masz dwie możliwości. Uciekaj albo giń. A martwy król nie na wiele się zda.

– Chcesz odzyskać swoje królestwo?

– Jeżeli Śpiący Książę może obudzić się ze snu, to czemu nie martwy król? – Coś w jego oczach wyraża szeroki, zuchwały uśmiech, a ja bezwiednie również zaczynam się uśmiechać.

– Dlaczego nie, Wasza Królewska Mość?

– Mów mi Merek – rzuca. – Jak wszyscy moi przyjaciele.

Podziękowania



Aż trudno mi uwierzyć, że miałam tyle szczęścia, iż udało mi się opublikować jedną książkę, nie mówiąc już o tym, że rok później jestem tutaj znowu, przez cały czas wspierana, prowadzona i sprowadzana do pionu przez następujące osoby:

Moją agentkę, Claire Wilson, która odpisywała na wszystkie moje e-maile zaczynające się od słów „Claire, Claire, pomocy” z niebywałą gracją i cierpliwością. To w dużej mierze właśnie dzięki temu, że miałam szczęście mieć cię po swojej stronie, udało mi się nie stracić rozumu przez ostatni rok. Dziękuję. Chciałabym też ponownie podziękować Lexie Hamblin – będę za tobą tęsknić, i Rosie Price, która ma wszystko przed sobą...

Team Sin Eater w Scholastic UK, a w szczególności moich wspaniałych redaktorów w Zjednoczonym Królestwie, Genevieve Herr i Emily Lamm. Mieć jednego redaktora, który świetnie rozumie, co chcesz robić, to spore szczęście, ale mieć taką dwójkę to jak wygrana na loterii. A ja wygrałam. Zabawna historia: na samym początku pracy redakcyjnej wysłały mi listę sugestii, przeciwko którym się buntowałam. Każdej. Jednej. Z nich. A mój wspaniały zespół redaktorski (również Mallory Kass w USA) odpowiedział po prostu: „Okej. Ufamy ci. Ty znasz tę historię najlepiej. Jeśli twoim zdaniem to nie zadziała, to jesteśmy pewni, że znajdziesz inne rozwiązanie”.

Każda ich sugestia znalazła się ostatecznie w książce w taki czy inny sposób. Każda ich sugestia okazała się właściwym wyborem. Ponieważ podczas redagowania zdałam sobie sprawę, że może i jestem osobą, która zna tę historię najlepiej, ale nie jestem jedyną, która ją zna. Oni byli w stanie dostrzec to, co mi umknęło, a *Śpiący Książę* jest dzięki temu znacznie lepszy. Tak się cieszę, że to właśnie oni byli moimi redaktorami i że mi zaufali. Nigdy nie znajdę słów, żeby im za to podziękować. Jestem bardzo dumna z tego, co udało się nam osiągnąć.

Jamie Gregory po raz kolejny stworzył dla mnie idealną okładkę i pewnie powinnam oddać mu za to swoją duszę albo coś w tym stylu. Jamie, gdybym tylko jakąś miała. Magiczna specjalistka od reklamy, Rachel Phillipps, która dosłownie potrafi dokonywać cudów i jest jedną z najwspanialszych osób, jakie spotkałam. Dziękuję ci za to, że jesteś taka genialna. Zawsze genialna. Pete Matthews, kierownik projektu Team Sin Eater i niesamowity korektor.

Osoby, którym również należą się podziękowania, to David Sanger, Fi Evans, Sam Selby Smith oraz zespół Rights, jak też każda osoba, która ciężko pracowała w moim imieniu za kulisami. Pewnego dnia poznam wszystkie wasze imiona i wypełnię nimi strony z podziękowaniami.

Po drugiej stronie świata, w Scholastic Inc., miliony słów podziękowania należą się Mallory Kass, która, jak już wspomniałam, zaoferowała wsparcie, o jakim większość pisarzy może tylko marzyć, oraz udostępniła mi swoje mieszkanie w Nowym Jorku na jedną noc. I kupowała mi sernik. I wino. Dziękuję. Chciałabym również podziękować Saracie Fennell, Bess Braswell i każdemu, kto wspierał mnie w inny, niezwiązany z winem sposób.

Dziękuję również moim piszącym-przyjaciołom-którzy-teraz-są-już-tylko-przyjaciółmi, szczególnie Robin Stevens za nieprawdopodobne wsparcie krytyczne. Wielkie podziękowania dla moich kumpelek – Sary Barnard, Holly Bourne, Alexii Casale, CJ Daugherty, Catherine Doyle i Katie Webber, za świetną zabawę i wsparcie, i śmiech przez ostatni rok.

W szczególności chciałabym też podziękować następującym osobom za to, że zrobiły dla mnie przynajmniej jedną lub więcej niesamowitych rzeczy: rodzina Lyonsów, Allportów, również Sophie Reynolds, Denise Strauss, Emma Gerrard, Lizzy Evans, Mikey Beddard, Bevin Robinson, Stine Stueland, Neil Bird, Franziska Schmidt, Katja Rammer, Julie Blewett-Grant, Romana Bicăková, Jim Dean, Lucy Powrie, Kate Ormand, Leigh Bardugo, Nina Douglas, Sofia Saghir, Chelley Toy, Laura Hughes, Ciocia Penny, Wujek Eddie i wszyscy, Steven, Kelly i spółka, Ciocia Cath i Wujek Paul. Wszyscy jesteście wspaniali.

Największe podziękowania wszech czasów trafiają do Emilie Lyons: Detektywa Eugene'a Mortona, do mojego Szeryfa Dana Anderssen. Bam, bam, bam... Cieszę się, że nie aresztowano nas w Portugalii. Musimy się postarać, żeby to się nigdy nie powtórzyło. Nie mogę się już doczekać, kiedy pokażę wam moje nowe Melseum w stylu shabby-chic.

W końcu – Javert.

Nie zapomniałam o tobie. Nie zapomniałam twojego imienia.

O Autorce



Melinda Salisbury mieszka nad morzem, gdzieś na południu Anglii. Jako dziecko naprawdę myślała, że *Matylda* Roalda Dahla to jej autobiografia, po części dlatego, że jej dziadek często omyłkowo nazywał ją Matyldą, a lokalna biblioteka miała dość nonszalanckie podejście do wypożyczanych książek. Niestety, nigdy nie przejawiała zdolności telekinetycznych. Lubi podróżować i przeżywać przygody. Lubi też średniowieczne zamki, nieśredniowieczne akwaria, Ryszarda III i wszystko co skandynawskie.

Można znaleźć ją na Twitterze pod [@AHintofMystery](#), ale czujcie się ostrzeżeni, bo dużo tweetuje.

MELINDA SALISBURY mieszka nad morzem, gdzieś na południu Anglii. Jako dziecko naprawdę myślała, że *Matylda* Roalda Dahla to jej autobiografia, po części dlatego, że jej dziadek często omyłkowo nazywał ją Matyldą, a lokalna biblioteka miała dość nonszalanckie podejście do wypożyczanych książek. Niestety, nigdy nie przejawiała zdolności telekinetycznych. Lubi podróżować i przeżywać przygody. Lubi też średniowieczne zamki, nieśredniowieczne akwaria, Ryszarda III i wszystko co skandynawskie.

Można znaleźć ją na Twitterze pod [@AHintofMystery](#), ale czujcie się ostrzeżeni, bo dużo tweetuje.



Melinda Salisbury

Trylogia

Wkrótce trzecia część trylogii

Nadszedł czas. Wojna przeciwko Śpiącemu Księciu i jego armii jest nieunikniona – nawet jeśli niektórzy nie przeżyją...

Już wkrótce ostatnia, zaskakująca część trylogii autorstwa wschodzącej gwiazdy beletrystyki, Melindy Salisbury.